

lauren oliver



# delirium

tłumaczenie

monika bukowska

kraków 2012

Wszystkim tym, którzy zarazili mnie amor deliria nervosa  
w przeszłości – sami dobrze wiecie, o kim mówię.

I wszystkim tym, którzy zarażą mnie nią  
w przyszłości – nie mogę się doczekać, by Was poznać.

Jednym i drugim z całego serca dziękuję

Jednym i drugim z całego serca dziękuję

## 1

Ze wszystkich chorób najgorsze są te, które  
pozwalają człowiekowi wierzyć, że ma się dobrze.

Sentencja 42, [w:] Księga SZZ

Minęły sześćdziesiąt cztery lata, od kiedy prezydent i  
Konsorcjum zaklasyfikowali miłość jako chorobę, i czterdzieści  
trzy, od kiedy naukowcy udoskonalili sposób jej leczenia. W  
mojej rodzinie wszyscy mają zabieg już dawno za sobą. Moja  
starsza siostra Rachel została wyleczona dziewięć lat temu, na  
tyle dawno, że, jak twierdzi, nawet już nie pamięta objawów  
choroby. Ja natomiast poddam się zabiegowi dokładnie za  
dziewięćdziesiąt pięć dni, trzeciego września. W swoje urodziny.  
Wiele osób boi się zabiegu. Niektórzy próbują nawet  
stawić opór. Ale ja się nie boję. Powiem więcej – nie mogę się  
doczekać. Mogłabym iść na zabieg choćby jutro, gdyby tylko się  
dało, ale niestety, żeby remedium zadziało, trzeba mieć  
skończone osiemnaście lat, a czasem i więcej. W przeciwnym  
razie skutki mogą być oplakane: uszkodzenie mózgu, częściowy  
paraliż, ślepotą. Albo nawet gorzej.

Przeraża mnie za to myśl, że zakażki choroby ciągle krążą w  
Przeraża mnie za to myśl, że zakażki choroby ciągle krążą w  
moich żyłach. Wydaje mi się czasem, że wręcz czuję, jak  
panoszą się w moim ciele niczym coś zepsutego, jak zwarzone  
mleko. Mam wtedy wrażenie, że jestem brudna. Gdy myślę o  
chorobie, widzę przed oczyma rozkapryszone dzieci. Przychodzi  
mi też wtedy na myśl ruch oporu oraz zakażone dziewczyny, jak  
się ślinią, drapią paznokciami po chodniku i rwą sobie włosy z

głowy. Oczywiście myślę też wtedy o mamie.

Po zabiegu będę na zawsze bezpieczna i szczęśliwa.

Wszyscy to mówią: lekarze, siostra oraz ciotka Carol. Gdy będę już mieć zabieg za sobą, zostanę sparowana z chłopakiem, którego wybierze dla mnie komisja ewaluacyjna, a za kilka lat się pobierzemy. Ostatnio zresztą kilka razy śnił mi się mój ślub: oto stoję pod białym baldachimem z kwiatami wpiętymi we włosy i trzymam kogoś za rękę, ale gdy tylko obracam głowę, by na niego spojrzeć, jego rysy rozmazują się, jakby kamera traciła ostrość, i nie jestem w stanie dostrzec jego twarzy. Ręce ma zimne i suche, a moje serce bije spokojnie, i w tym śnie wiem, że zawsze będzie biło tak miarowo, bez gwałtownych porywów, po prostu bum, bum, bum, i tak aż do śmierci.

Po zabiegu będę bezpieczna i wolna od bólu.

Nie zawsze jednak życie było takie proste. W szkole mówili nam o dawnych, mrocznych czasach, kiedy ludzie nie zdawali sobie sprawy, jak poważną chorobą jest miłość. Przez długi czas postrzegano ją nawet jako coś dobrego, coś, na co czekało się z utęsknieniem. I to właśnie jedna z przyczyn, dla których miłość jest taka niebezpieczna: „załęga się w umyśle tak, których miłość jest taka niebezpieczna: „załęga się w umyśle tak, że człowiek nie jest w stanie jasno myśleć ani podejmować racjonalnych decyzji dotyczących własnego życia” (to symptom numer dwanaście wymieniony w rozdziale Amor deliria nervosa dwunastego wydania Księgi szczęścia, zdrowia i zadowolenia, czyli Księgi SZZ, jak ją w skrócie nazywamy). Ludzie myśleli, że cierpią na coś innego – stres, problemy z sercem, niepokój, depresję, nadciśnienie, bezsenność, chorobę dwubiegunową – nie zdając sobie sprawy, że tak naprawdę w większości wypadków to symptomy amor deliria nervosa.

Niestety Stany Zjednoczone nie są jeszcze całkiem wolne od delirii. Dopóki remedium nie zostanie udoskonalone, dopóki zabieg nie będzie bezpieczny również przed osiemnastym rokiem życia, nie możemy spać spokojnie. Niewidzialna choroba wciąż krąży w pobliżu, oplata wokół nas swoje macki, dusi. Widziałam mnóstwo ludzi przed zastosowaniem remedium, jak zaciągano ich na zabieg tak umęczonych i wyniszczonych miłością, że gotowi byli wydrapać sobie oczy albo nadziać się na otaczający laboratorium drut kolczasty, niż żyć bez choroby.

Pamiętam przypadek sprzed kilku lat, kiedy pewnej dziewczynie w dzień zabiegu udało się wymknąć spod straży i dostać na dach laboratorium. Upadek trwał sekundy, nawet nie krzyknęła. Przez następnych kilka dni w telewizji pokazywano

jej twarz, by przypomnieć nam o niebezpieczeństwach delirii. Dziewczyna miała otwarte oczy i nienaturalnie wykręconą szyję, ale widząc jej policzek spoczywający na chodniku, można by raczej pomyśleć, że dziewczyna po prostu śpi. Co ciekawe, krwi było niewiele – ledwie mała ciemna strużka w kąciku ust. było niewiele – ledwie mała ciemna strużka w kąciku ust. Jeszcze dziewięćdziesiąt pięć dni i będę bezpieczna. Oczywiście, że się denerwuję. Zastanawiam się, czy będzie bolało. Chciałabym mieć to już za sobą. Tak trudno tu o cierpliwe wyczekiwanie. Tak trudno się nie bać, gdy choroba wciąż stanowi zagrożenie.

Wprawdzie deliria nigdy mnie nie dotknęła, jednak martwię się. Podobno dawniej miłość doprowadzała ludzi do szaleństwa. Czy nie jest to wystarczający powód do niepokoju? Księga SZZ przytacza także historie ludzi, którzy zmarli z powodu utraconej lub nigdy niezaznanej miłości, co chyba jest w tym wszystkim najgorsze.

Oto najbardziej zdradliwa choroba na świecie: zabija człowieka, gdy go dopada, i wtedy, gdy go omija.

## 2

Musimy stale czuwać, by nie dopadła nas choroba.

Zdrowie całego narodu, naszych rodzin i naszych umysłów zależy od naszej nieustannej czujności.

Podstawowe kwestie zdrowotne, [w:] Księga SZZ, wydanie 12

Zapach pomarańczy zawsze przywodzi mi na myśl pogrzeb. I ta właśnie woń obudziła mnie w dniu mojej ewaluacji. Zerkam na zegarek na stoliku nocnym: jest szósta rano. W Zerkam na zegarek na stoliku nocnym: jest szósta rano. W pokoju jest jeszcze szaro, światło powoli pełźnie po ścianach sypialni należącej do mnie oraz do dwóch córek mojej kuzynki Marcii. Grace, młodsza z nich, już ubrana przykuca na swoim łóżku i wbija we mnie wzrok. W ręku trzyma nieobraną pomarańczę i próbuje ją ugryźć swoimi małymi ząbkami, jakby to było jabłko. Czuję, jak ogarnia mnie fala mdłości, i muszę na powrót zamknąć oczy, by odegnąć wspomnienie grubej, gryzącej sukienki, którą kazano mi założyć na pogrzeb mamy, przyciszonego gwaru głosów i wielkiej szorstkiej dłoni podającej mi jedną pomarańczę za drugą, żebym zajęła się jedzeniem i siedziała cicho. Zjadłam wtedy cztery pomarańcze, jedną po drugiej, kawałek po kawałku, i gdy został mi tylko stos obierek na kolanach, zaczęłam je również ssać, a gorzki smak białego mięszu pomagał mi powstrzymać łzy.

Po chwili otwieram oczy i widzę, że Grace nachyla się w

moją stronę, trzymając owoc w wyciągniętej ręce.

– Nie, Gracie. – Odsuwam kołdrę i podnoszę się z łóżka.

Czuję, jak mój żołądek kurczy się i rozwiera niczym pięść. –

Wiesz przecież, że nie je się pomarańczy ze skórką.

Grace dalej spogląda na mnie w milczeniu tymi wielkimi szarymi oczami. Wzdycham ciężko i siadam obok niej.

– Daj – mówię i pokazuję jej, jak ma oderwać skórkę paznokciem. Jasnopomarańczowe spirale lądują na jej kolanach, a ja cały czas próbuję wstrzymać oddech. Mała obserwuje mnie w milczeniu. Gdy wreszcie owoc jest obrany, Gracie trzyma go w obu dłoniach ostrożnie, jakby to była szklana kula, trzyma go w obu dłoniach ostrożnie, jakby to była szklana kula, którą jeden nieuważny ruch może rozbić na kawałki.

– No jedz – ponaglę ją szturchnięciem, ale dziewczynka tylko spogląda na pomarańczę, więc wzdycham i zaczynam dzielić owoc na pojedyncze części, szepcząc przy tym łagodnie:

– Wiesz, Gracie, ludzie byliby dla ciebie miłsi, gdybyś się od czasu do czasu odezwała.

Grace nic nie odpowiada – nie, żebym spodziewała się czegoś innego. Carol przez całe sześć lat i trzy miesiące życia swojej wnuczki nie usłyszała od niej ani słowa – ani jednej sylaby. Ciotka sądzi, że coś jest nie tak z jej mózgiem, ale na razie lekarze nie odgadli, co to jest.

– Jest głupia jak but – westchnęła kiedyś bezceremonialnie, obserwując Grace, która obracała w dłoniach jaskrawy klocek jak piękny i magiczny przedmiot mający się zaraz zamienić w coś innego.

Podchodzę do okna, żeby uwolnić się od Grace, od jej wielkich, wpatrzonych we mnie oczu i chudych, zwinnych palców. Tak mi jej żal.

Marcia, matka Grace, nie żyje. Zawsze powtarzała, że nie chciała mieć dzieci. To jeden ze skutków ubocznych zabiegu.

Niektórzy uwolnieni od delirii uznają rodzicielstwo za coś odstręczającego. Na szczęście przypadki całkowitej obojętności – kiedy matka lub ojciec nie potrafią stworzyć „normalnych, wynikających z odpowiedzialności i poczucia obowiązku więzi” z własnymi dziećmi do tego stopnia, że gdy te płaczą, są w stanie je utopić, udusić lub zatłuc na śmierć – są rzadkie.

Komisja ewaluacyjna uznała mimo wszystko, że Marcia  
Komisja ewaluacyjna uznała mimo wszystko, że Marcia  
powinna mieć dwójkę dzieci. Wtedy wydawało się, że to dobra decyzja. Jej rodzina osiągnęła podczas dorocznej kontroli wysoką ocenę stopnia stabilizacji. Jej mąż był szanowanym

naukowcem. Mieszkali w ogromnym domu przy Winter Street. Marcia sama przygotowywała wszystkie posiłki, a w wolnym czasie, by czymś się zająć, dawała lekcje gry na pianinie. Jednak gdy jej męża oskarżono o sympatyzowanie z ruchem oporu, wszystko się zmieniło. Wraz z dziećmi, Jenny i Grace, musiała się przeprowadzić z powrotem do swojej matki, a mojej ciotki, Carol, i od tej pory wszędzie, gdzie się pojawiły, towarzyszyły im szepty i wytykanie palcami. Grace nie mogła jednak tego pamiętać. Zdziwiłabym się, gdyby w ogóle pamiętała swoich rodziców.

Mąż Marcii zniknął jeszcze przed rozpoczęciem procesu i pewnie było to dla niego najlepsze wyjście z sytuacji. Większość z nich to procesy pokazowe. Sympatycy niemal zawsze skazywani są na śmierć. Nieliczni, którym udaje się tego uniknąć, kończą w Kryptach, gdzie odsiadują wyrok potrójnego dożywocia. Marcia doskonale o tym wiedziała. Carol uważa, że właśnie dlatego serce odmówiło jej posłuszeństwa zaledwie kilka miesięcy po zniknięciu męża, gdy została oskarżona zamiast niego. Dzień po otrzymaniu wezwania do sądu szła ulicą i nagle – bach! Atak serca.

Serce to wrażliwy organ. Dlatego trzeba na nie uważać. Zapowiada się gorący dzień. W sypialni jest duszno, a gdy otwieram okno, by pozbyć się zapachu pomarańczy, powietrze na zewnątrz wydaje się gęste i ciężkie jak smoła. Biorę głęboki na zewnątrz wydaje się gęste i ciężkie jak smoła. Biorę głęboki oddech, wciągając do płuc rześki zapach wodorostów i wilgotnego drewna oraz wsłuchując się w odległe piski mew, które krążą w kółko po niebie gdzieś ponad niskimi szarymi domkami nad zatoką. Na dźwięk silnika za oknem podskakuje przestraszona.

– Denerwujesz się przed ewaluacją?

Odwracam się. W drzwiach, ze splecionymi dłońmi, stoi ciotka Carol.

– Nie – odpowiadam, chociaż to nieprawda.

Przez jej twarz przemyka nikły uśmiech.

– Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Weź prysznic, a potem pomogę ci się uczesać. A po drodze przećwiczmy odpowiedzi.

– Okej. – Carol nie przestaje się we mnie wpatrywać. Kulę się instynktownie, wbijając paznokcie w parapet za plecami. Nie znoszę, jak ludzie na mnie patrzą. Tak, wiem, powinnam się z tym oswajać. W czasie egzaminu przez jakieś dwie godziny będę czuć na sobie wzrok czteroosobowej komisji ewaluacyjnej,

ubrana za ledwie w cienkie, plastikowe, półprzezroczyste szpitalne ubranie, które pozwoli im obserwować reakcje mojego ciała.

– Masz szansę na siedem albo osiem punktów – oznajmia Carol, wydymając usta. To byłby przyzwoity wynik, a dla mnie pełnia szczęścia. – Aczkolwiek jeśli się nie ogarniesz, dostaniesz co najwyżej sześć.

Ostatni rok szkoły dobiega końca i jedynym testem, który mam jeszcze przed sobą, jest właśnie ewaluacja. Przez minione cztery miesiące zdawałam różne egzaminy końcowe – matematykę, fizykę, ustny i pisemny z języka, socjologię, psychologię oraz fotografię jako przedmiot fakultatywny. Za kilka tygodni powinnam poznać wyniki, ale jestem prawie pewna, że poszło mi całkiem dobrze i dostanę się na studia. Zresztą zawsze dobrze się uczyłam. Teraz czekam, aż komisja akademicka oceni moje plusy i minusy i wybierze odpowiednią dla mnie uczelnię i kierunek.

Ewaluacja jest ostatnim etapem wiodącym ku temu, żebym mogła zostać sparowana. W ciągu najbliższych miesięcy komisja przyśle mi listę czterech lub pięciu najbardziej odpowiednich kandydatów. Jeden z nich zostanie moim mężem, gdy skończę studia (o ile się dostanę; dziewczyny, które oblewają egzaminy, wychodzą za mąż zaraz po szkole średniej). Komisja zrobi wszystko, co w jej mocy, by połączyć mnie z kimś, kto osiągnął podczas ewaluacji podobny wynik. Starają się unikać dużych dysproporcji w poziomie inteligencji, temperamencie, pochodzeniu i wieku, chociaż czasem słyszy się straszne historie o ubogich osiemnastolatkach wydawanych za bogatych osiemdziesięciolatków.

Schody zaczynają skrzypieć i za chwilę w drzwiach pojawia się Jenny, siostra Grace. Ma dziewięć lat i jest wysoka jak na swój wiek, ale bardzo chuda: sama skóra i kości, a do tego klatka piersiowa zapadnięta niczym wypaczona blacha do pieczenia. Wiem, że nie powinnam tak mówić, ale nie przepadam za nią. Ma tak samo nieprzyjemny wyraz twarzy jak przepadam za nią. Ma tak samo nieprzyjemny wyraz twarzy jak miała jej matka.

Jenny staje obok Carol i wbija we mnie wzrok. Mam za ledwie metr pięćdziesiąt siedem wzrostu, a Jenny jest tylko kilka centymetrów niższa ode mnie. Chociaż nie powinnam się czuć onieśmielona w towarzystwie ciotki i kuzynek, zalewa mnie fala gorąca. Wiem, że martwią się, jak wypadnę podczas ewaluacji. Im również zależy na tym, żebym została sparowana z

kimś odpowiednim. Jenny i Grace mają do zabiegu jeszcze mnóstwo czasu. Jeśli uda mi się dobrze wyjść za mąż, za kilka lat będą miały z tego wymierne korzyści. Być może ucichną wtedy wszystkie szeptaki i urywane słowa, które jeszcze dziś, cztery lata po skandalu, towarzyszą nam wszędzie, niczym szmer liści niesiony przez wiatr: sympatycy, sympatycy, sympatycy. To jedynie nieco lepsze od innego słowa, snującego się za mną przez lata po śmierci mamy, niczym syk wijącego się węża, który pozostawia po sobie ślad trucizny: samobójstwo. Słowo wstydlive, słowo, które wymawia się szeptem, niewyraźnie lub mimochodem; słowo, które można z siebie wydobyć, zasłaniając usta rękami lub wymamrotać w gronie najbliższych. Jedynie w moich snach rozlega się ono głośno jako krzyk.

Biorę głęboki oddech, a potem schylam się pod łóżko po plastikowy kosz, żeby Carol nie zauważyła, że się trzęsę.

– Czy Lena wychodzi dzisiaj za mąż? – pyta ją Jenny głosem przypominającym monotonne brzęczenie pszczoł w upalny dzień.

– Nie bądź głupia – odpowiada ciotka tonem pozbawionym irytacji. – Wiesz, że nie może wyjść za mąż, pozbawionym irytacji. – Wiesz, że nie może wyjść za mąż, dopóki nie będzie wyleczona.

Wyciągam z kosza ręcznik i prostując się, przyciskam go do piersi. Na dźwięk słów „wyjść za mąż” robi mi się sucho w ustach. Każdy wstępuje w związek małżeński, gdy zakończy właściwy dla siebie etap edukacji. Taka jest kolej rzeczy.

„Małżeństwo jest gwarantem porządku i stabilności, wykładnikiem zdrowego społeczeństwa” (zob. Księga SZZ, rozdział Podstawy zdrowego społeczeństwa, s. 114). Jednak myśl o tym wciąż sprawia, że serce tłucze mi się w piersi jak owad uwięziony za szybą. Nigdy nie dotknęłam żadnego chłopaka – fizyczne kontakty między nieleczonymi odmiennej płci są zakazane. Szczerze mówiąc, nigdy nawet nie rozmawiałam z żadnym mężczyzną dłużej niż pięć minut, nie licząc kuzynów, wujka oraz jego pomocnika ze sklepu Stop-NSave Andrew Marcusa, który dłubie w nosie i wyciera jego zawartość o spody puszek z warzywami.

A jeśli, nie daj Boże, nie zdam egzaminów końcowych, wyjdę za mąż, jak tylko zostanę wyleczona, czyli za niecałe trzy miesiące. I czeka mnie wtedy noc poślubna.

Powietrze wciąż przesycone jest intensywnym zapachem pomarańczy i znowu czuję falę mdłości. Żeby ją powstrzymać, kryję twarz w ręczniku i biorę głęboki wdech.



Z dołu dobiega szcęk naczyń. Carol wzdycha i spogląda na zegarek.

– Musimy wyjść za niecałą godzinę – oznajmia. – Lepiej zacznij się szykować.

### 3

O Panie, pomóż nam stąpać twardo po ziemi

I patrzeć prosto przed siebie.

Pomóż mieć stale w pamięci upadłe anioły,

Które – choć pragnęły wzlecieć,

To osmalone przez słońce, ze stopionymi skrzydłami –

Runęły prosto do morza.

O Panie, pomóż nie odrywać wzroku od drogi

I patrzeć tam, gdzie stawiam kroki,

Abym nigdy się nie potknął.

Psalm 42, rozdział Modlitwa i nauka, [w:] Księga SZZ

Carol nalega, że mnie odprowadzi. Laboratorium położone jest na nabrzeżu, tak jak inne rządowe instytucje; jest to szereg jasnych białych budynków, połyskujących w słońcu niczym lśniące zęby między rozchylonymi ustami oceanu. Gdy byłam mała i dopiero co przeniosłam się do domu Carol, ciotka codziennie odprowadzała mnie do szkoły. Przedtem razem z mamą i siostrą mieszkaliśmy na obrzeżach miasta, dlatego te wszystkie kręte, ciemne ulice, wśród których unosił się zapach śmieci i nieświeżych ryb, jednocześnie mnie fascynowały i przerażały. Pragnęłam, by ciocia wzięła mnie za rękę, ale nigdy tego nie zrobiła. Zaciskałam więc tylko dłonie i podążałam za tego nie zrobiła. Zaciskałam więc tylko dłonie i podążałam za hipnotycznym szelestem jej sztruksowych spodni, z trwogą oczekując chwili, gdy ponad szczytem ostatniego wzgórza wyłoni się Szkoła Świętej Anny dla dziewcząt, której budynek z ciemnego kamienia pokryty bruzdami szczelin przypominał ogorzałą od wiatru i słońca twarz rybaka.

To niesamowite, jak z czasem wszystko się zmienia.

Kiedyś przerażały mnie ulice Portland i niechętnie rozstawałam się z Carol. Teraz znam to miasto tak dobrze, że mogłabym pokonać wszystkie wzniesienia i zakręty z zamkniętymi oczami.

A jeśli chodzi o moją ciotkę, to niczego bardziej dzisiaj nie pragnę, jak zostać sama. Dociera do mnie zapach oceanu,

ukrytego jeszcze przed moim wzrokiem za wijącą się

pagórkowato wstęgą ulic, i to mnie odpręża. Aromat soli

unoszony wiatrem znad morza nadaje powietrzu ciężar i

konsystencję.

– Pamiętaj – powtarza Carol po raz tysięczny. – Owszem,

chodzi o to, żeby zaprezentować swoją osobowość, ale im ogólniejszą dasz odpowiedź, z tym większej grupy chłopców wybiorą ci kandydatów na męża. – Ciotka, mówiąc o małżeństwie, zawsze używa słów wyjętych prosto z Księgi SZZ, takich jak „obowiązek”, „odpowiedzialność” i „wytrwałość”.  
– Tak jest, będę o tym pamiętać.

Mija nas autobus z herbem Szkoły Świętej Anny, więc szybko spuszczam głowę, wyobrażając sobie, jak Cara McNamara czy Hillary Packer wyglądają teraz przez zabrudzone szyby i z chichotem pokazują mnie sobie palcami. zabrudzone szyby i z chichotem pokazują mnie sobie palcami. Wszyscy wiedzą, że dzisiaj jest dzień mojej ewaluacji. W ciągu roku wyznaczane są tylko cztery terminy i zapisuje się na nie z ogromnym wyprzedzeniem.

Makijaż, na który nalegała Carol, sprawia, że moja skóra jest śliska i nie ma czym oddychać. Gdy przed wyjściem spojrzałam w lustro w łazience, stwierdziłam, że wyglądam jak ryba, a z tymi wszystkimi metalowymi wsuwkami i spinkami we włosach wręcz jak ryba z haczykami wbitymi w głowę.

Nie lubię się malować, nigdy nie interesowały mnie szminki czy błyszczyki. Moja najlepsza przyjaciółka Hana uważa mnie z tego powodu za wariatkę, ale ona to zupełnie co innego. Hana jest po prostu cudowna – nawet gdy zwyczajnie upnie swoje blond włosy w niedbały kok na czubku głowy, jej fryzura wygląda na starannie wystylizowaną. Jeśli natomiast o mnie chodzi, to choć nie jestem brzydka, nie można też powiedzieć, żebym była ładna. Wszystko we mnie jest trudne do określenia. Moje oczy nie są zielone ani brązowe, ale jakby pomiędzy. Nie jestem chuda i nie jestem też gruba. Jediną rzeczą, którą można o mnie powiedzieć na sto procent, jest to, że jestem niska.

– Gdyby cię, nie daj Boże, zapytali o kuzynostwo, pamiętaj, mów, że nie znałaś ich za dobrze...

– Mhm. – Jej słowa wpadają mi jednym uchem, a drugim wypadają. Jest gorąco, zbyt gorąco jak na czerwiec i czuję, że w dole pleców i pod pachami wykwitają mi plamy potu, mimo że tego ranka nie szczędziłam dezodorantu. Po prawej znajduje się zatoka Casco, otoczona wyspami Peaks i Great Diamond, a na nich widać wieże obserwacyjne. Za zatoką rozciąga się na nich widać wieże obserwacyjne. Za zatoką rozciąga się bezkresny ocean, a jeszcze dalej wszystkie te kraje i miasta na skraju ruiny, wyniszczane chorobą.

– Lena, czy ty mnie w ogóle słuchasz? – Carol kładzie mi rękę na ramieniu i odwraca twarzą do siebie.

– Niebieski – odpowiadam mechanicznie. – Niebieski to mój ulubiony kolor. Albo zielony. – Czarny jest zbyt ponury, czerwony obudzi czujność komisji, różowy z kolei uchodzi za infantylny, a pomarańczowy za dziwaczny.

– A co lubisz robić w wolnym czasie?

Próbuję delikatnie wyswobodzić się z jej uścisku.

– Już to przerabialiśmy.

– Ale to ważne, Lena. To może być najważniejszy dzień twojego życia.

Wzdycham ciężko. Gdy dochodzimy na miejsce, brama broniąca wejścia do rządowych laboratoriów otwiera się powoli ze zgrzytem. Za nią ukazują się dwie kolejki: po jednej stronie dziewczyny, a kilkanaście metrów dalej, przy drugim wejściu, chłopcy. Ostre słońce każe mi zmrużyć oczy, gdy próbuję wypatrzeć znajome twarze, i oślepią blaskiem oceanu widzę tylko migoczące czarne plamki.

– Lena? – poganiam mnie Carol.

Biorę głęboki oddech i zaczynam monolog, który powtarzałyśmy już miliony razy:

– Lubię pracę w szkolnej gazetce. Interesuję się fotografią, ponieważ w niezwykle sposób potrafi uchwycić i zatrzymać chwilę. Lubię spotkania z koleżankami i koncerty w Deering Oaks Park. Lubię biegać, przez dwa lata byłam współkapitanem Oaks Park. Lubię biegać, przez dwa lata byłam współkapitanem szkolnej drużyny w biegach przełajowych. Pobiłam też rekord szkoły w biegach na pięć tysięcy metrów. Często zajmuję się młodszymi członkami rodziny i naprawdę lubię dzieci.

– Skrzywiłaś się – mówi Carol.

– Uwielbiam dzieci – powtarzam, tym razem z przyklejonym do twarzy uśmiechem. Tak naprawdę niezbyt je lubię, z wyjątkiem Gracie. Dzieci są męczące, robią dużo hałasu, łapią, co popadnie, płaczą się pod nogami i sikają w majtki. Ale cóż, dobrze wiem, że kiedyś sama będę musiała je mieć.

– Już lepiej – stwierdza Carol. – Mów dalej.

– Moje ulubione przedmioty to matematyka i historia – oznajmiam i Carol kiwa głową z zadowoleniem.

– Lena!

Odwracam się i widzę Hanę, która właśnie wygrzebuje się z samochodu rodziców. Jej jasne loki tańczą na wietrze, a półprzezroczysta tunika ześlizguje się z opalonego ramienia. Wszyscy w kolejce do laboratorium odwracają się w jej stronę. Hana właśnie tak działa na ludzi.

– Lena! Zaczekaj! – Hana biegnie w naszym kierunku,

machając do mnie radośnie. Za jej plecami auto zaczyna mozolnie zawracać na wąskiej drodze dojazdowej. Samochód rodziców Hany jest ciemny i lśniący jak pantera. Gdy kilka razy miałam okazję przejechać się nim po okolicy, czułam się jak księżniczka. Teraz już mało kto ma samochody, a jeszcze większą rzadkością są te, które jeżdżą. Ropa jest ściśle racjonowana i bardzo droga. Wśród klasy średniej spotyka się racjonowana i bardzo droga. Wśród klasy średniej spotyka się więc czasem zwyczaj trzymania samochodów w ogródkach przed domem, gdzie wyglądają jak posągi, zimne i martwe, z nieskazitelными oponami.

– Dzień dobry, pani Tiddle – wyrzuca z siebie Hana jednym tchem, dopadając nas. Z jej niedomkniętej torby wypada jakieś czasopismo i Hana schyla się, by je podnieść. To jedna z rządowych publikacji, „Dom i Rodzina”, w odpowiedzi na moje pytające spojrzenie Hana krzywi się. – Mama kazała mi zabrać. Stwierdziła, że powinnam to czytać, oczekując na swoją kolej. Jej zdaniem to zrobi dobre wrażenie. – Po czym wkłada palec do gardła i udaje, że wymiotuje.

– Hana – Carol przywołuje ją do porządku przenikliwym szeptem. Zdenerwowanie wyczuwalne w jej głosie przyprawia mnie o niespokojne bicie serca. Ciotkę rzadko coś wyprowadza z równowagi, nawet na chwilę. Rozgląda się wokół niespokojnie, jak gdyby spodziewała się patroli porządkowych lub komisji ewaluacyjnej czających się na ulicy w ten jasny, letni poranek.

– Proszę się nie martwić, nie szpiegują nas. – Hana odwraca się plecami do Carol, dodając bezgłośnie w moją stronę: „jeszcze nie”. I szczyrzy zęby w uśmiechu.

Obie kolejki robią się coraz dłuższe i wychodzą już na ulicę. Nie zmniejszają się nawet, gdy szklane drzwi laboratorium otwierają się i pojawiają się w nich pielęgniarki z podkładkami do pisania, po czym zaczynają wprowadzać ludzi do poczekalni. Carol kładzie delikatnie rękę na moim łokciu.

Carol kładzie delikatnie rękę na moim łokciu.

– Lepiej stań w kolejce – mówi. Jej głos znowu brzmi normalnie. Chciałabym, żeby spłynęło na mnie choć trochę z jej spokoju. – I... Lena?

– Tak? – Czuję, że robi mi się słabo. Laboratorium wydaje się takie odległe, jego biel tak oślepiająca, że ledwo mogę na nie patrzeć, a chodnik przed nami lśni od gorąca. Słowa „najważniejszy dzień twojego życia” ciągle dźwięczą mi w

uszach. Słońce wygląda jak ogromny reflektor.

– Powodzenia – Carol rzuca mi przelotny uśmiech.

– Dziękuję. – Chciałabym w głębi duszy, żeby powiedziała coś innego, na przykład: „na pewno świetnie sobie poradzisz” albo „nie martw się”, lecz ona stoi nieruchomo i tylko mruga oczami, z twarzą spokojną i nieodgadnioną jak zawsze.

– Proszę się nie martwić, pani Tiddle. – Hana puszcza do mnie oko. – Dopilnuję, żeby tego nie schrzaniła. Obiecuję. Hana podchodzi do ewaluacji z takim luzem, nonszalancją i naturalnością, że całe zdenerwowanie spływa ze mnie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Ruszamy w stronę laboratorium. Hana ma prawie metr siedemdziesiąt pięć wzrostu. Gdy idziemy razem, muszę co chwila z lekka podskakiwać, by dotrzymać jej kroku, przez co wyglądam pewnie jak kaczka wynurzająca się spod wody. Dzisiaj mi to jednak nie przeszkadza. Cieszę się, że Hana jest ze mną. Gdyby nie ona, byłabym teraz kłębkim nerwów.

– O Boże – wzdycha, gdy zbliżamy się w stronę kolejki. – Twoja ciotka strasznie to wszystko przeżywa, no nie?

– Ale to przecież jest poważna sprawa. – Stajemy na

– Ale to przecież jest poważna sprawa. – Stajemy na końcu ogonka. W tłumie rozpoznaję kilka znajomych twarzy: parę dziewczyn ze szkoły, które znam z widzenia, i jakichś chłopców, których widziałam grających w nogę za Spencer Prep, jedną z męskich szkół. Jeden z nich spogląda w moją stronę i widzi, że się na nich gapię. Unosi brwi, więc szybko spuszczam wzrok, czując na twarzy uderzenie gorąca, a w żołądku nerwowe pulsowanie. Będziesz sparowana za niecałe trzy miesiące, powtarzam sobie, ale słowa te wydają się tak absurdalne i pozbawione sensu, jak gra w lepiej, w której układa się niedorzeczne zdania: „lepiej zjeść banana w szybkiej motorówce, niżli na wieprzowej pomykać parówce”.

– Tak, wiem. Wyobraź sobie, że czytałam Księgę SZZ tyle samo razy co wszyscy. – Hana podnosi okulary nad czoło i trzepocząc rzęsami, recytuje słodkim głosem: – Dzień ewaluacji jest ekscytującym rytmem przejścia, który toruje nam drogę ku szczęśliwej przyszłości w stabilności i partnerstwie. – Po czym spuszcza okulary z powrotem na nos i krzywi się.

– Nie wierzysz w to? – pytam szeptem.

Hana ostatnio dziwnie się zachowuje. Zawsze była inna niż wszyscy – bardziej otwarta, niezależna, odważniejsza. To jeden z powodów, dla których chciałam się z nią zaprzyjaźnić. Ja zawsze byłam nieśmiała i bałam się, że powiem lub zrobię coś

nieodpowiedniego, a Hana jest pod tym względem moim przeciwieństwem. Ale ostatnio doszło do tego coś jeszcze. Przestała się przejmować szkołą, kilka razy wzywano ją nawet do gabinetu dyrektora za arogancję wobec nauczycieli. I czasem w środku zdania zatrzymuje się, po prostu zamyka usta, jakby napotkała jakąś przeszkodę. Parę razy przyłapałam ją też, jak wpatrywała się w ocean, jakby myślała o tym, żeby odpłynąć jak najdalej stąd. Gdy teraz na nią patrzę, na jej jasnoszare oczy i wąskie usta, czuję przypływ paniki. Myślę o mojej mamie lecącej w dół, zanim runęła w ocean jak kamień. Myślę o twarzy dziewczyny, która skoczyła z dachu laboratorium kilka lat temu, i o jej policzku przylegającym do chodnika. Odsuwam od siebie myśli o chorobie. Hana nie jest chora. Nie może być chora. Wiedziałybym o tym.

– Gdyby naprawdę chodziło im o nasze szczęście, pozwoliliby nam samym wybierać – mruczy Hana z pretensją w głosie.–

Hana – upominam ją ostro. Krytykowanie systemu jest w naszym kraju najcięższym przestępstwem. – Cofnij to, co powiedziałaś.

Hana podnosi rękę do góry.

– No dobra, dobra. Cofam.

– Przecież wiesz, że to nie działa. Zobacz, jak było kiedyś.

Wieczny chaos, kłótnie i wojny. Ludzie byli nieszczęśliwi.

– Powiedziałam już, że to cofam. – Hana uśmiecha się do mnie, ale złość jeszcze mi nie przeszła, więc odwracam wzrok.

– Poza tym – ciągnę – przecież dają nam wybór.

Zwykle komisja ewaluacyjna tworzy listę czterech lub pięciu kandydatów najbardziej do nas podobnych i wybieramy spośród nich. Dzięki temu wszyscy są zadowoleni. W ciągu tych wielu lat, od kiedy ludzie poddawani są zabiegowi, a małżeństwa wielu lat, od kiedy ludzie poddawani są zabiegowi, a małżeństwa aranżowane, w stanie Maine było tylko kilka rozwodów, a w całych Stanach niecały tysiąc – a do tego w większości przypadków jedno z małżonków było podejrzane o sympatyzowanie z ruchem oporu, wobec czego rozwód był koniecznością pochwalaną przez rząd.

– Bardzo ograniczony wybór – poprawia mnie Hana. –

Możemy wybierać tylko spośród tych, których dla nas wybrano.

– Każdy wybór jest ograniczony – warczę. – Takie jest życie.

Hana otwiera usta, jakby miała zamiar coś powiedzieć, ale zamiast tego zaczyna się śmiać. Potem chwyta mnie za rękę i

ściska ją dwa razy szybko i dwa razy przeciągle. To nasz stary sygnał, który wprowadziłyśmy w drugiej klasie, kiedy jedna z nas była przestraszona lub smutna, sposób na to, by powiedzieć: „nie martw się, masz przecież mnie”.

– Okej, okej, nie zaperzaj się. Jestem fanką ewaluacji, w porządku? Niech żyje dzień ewaluacji!

– To już lepiej – odpowiadam, ale niepokój mnie nie opuszcza. Kolejka posuwa się powoli. Wreszcie mijamy żelazne bramy zwieńczone drutem kolczastym i wchodzimy na długi podjazd, który rozwidła się na kilka dróg, wiodących do poszczególnych budynków laboratoryjnych. Nas skierowano do budynku 6-C, chłopców zaś do 6-B i kolejki zaczynają się rozchodzić.

Gdy jesteśmy już blisko wejścia, za każdym razem gdy szklane drzwi rozsuwają się, a potem z szumem zamykają, uderza nas powiew klimatyzowanego powietrza. To cudowne uderza nas powiew klimatyzowanego powietrza. To cudowne uczucie, jak gdyby na chwilę otoczyła człowieka cienka warstwa lodu, więc obracam się, podnosząc kucyk znad karku, już teraz zmęczona upałem. W domu nie mamy klimatyzacji, tylko wysokie, niezgrabne wiatraki, które zawsze gasną w środku nocy. Zresztą przez większość czasu Carol nawet na to nam nie pozwala. Pochłaniają za dużo energii – tłumaczy – a nas na to nie stać.

Wreszcie przed nami zostało już tylko kilka osób. Przed budynek wychodzi pielęgniarka ze stosem podkładek do pisania oraz garścią długopisów i zaczyna je rozdawać.

– Proszę się upewnić, że wszystkie wymagane pola są wypełnione – mówi – a w szczególności informacje o zdrowiu i rodzinie.

Serce podchodzi mi do gardła. Ponumerowane pola na stronie – nazwisko, imię, drugie imię, adres, wiek – zlewają się w jedno. Cieszę się, że mam przed sobą Hanę. Jej widok, gdy zaczyna

szybko i pewnie wypełniać formularz, opierając podkładkę na przedramieniu, dodaje mi otuchy.

– Następna.

Drzwi otwierają się znowu, pojawia się w nich inna pielęgniarka i gestem zaprasza Hanę do środka. W bijącym chłodem półmroku naszym oczom ukazuje się biała poczekalnia z zielonym dywanem.

– Powodzenia – rzucam jej na odchodne.

Hana odwraca się i posyła mi szybki uśmiech. Ale widzę,

że i ją dopadły nerwy. Poznają to po drobnej zmarszczce między  
że i ją dopadły nerwy. Poznają to po drobnej zmarszczce między  
brwiami i po tym, że zagryza wargę.

Już ma wejść do środka, kiedy odwraca się nagle i  
podchodzi do mnie z powrotem, ma twarz obcą i dziką, chwytą  
mnie za ramiona i zbliża usta do mojego ucha. Wystraszona,  
upuszczam podkładkę.

– Wiesz, że nie możesz być szczęśliwa, jeżeli czasami nie  
bywasz nieszczęśliwa, prawda? – szepcze ochryłym głosem,  
jak gdyby przed chwilą płakała.

– Co? – Jej paznokcie wpijają mi się w ramiona i nagle  
Hana budzi we mnie przerażenie.

– Nie możesz być naprawdę szczęśliwa, jeżeli czasami nie  
bywasz nieszczęśliwa. Wiesz o tym, prawda?

Zanim mam szansę odpowiedzieć cokolwiek, Hana  
puszcza mnie i gdy się odsuwa, jej twarz jest tak pogodna,  
piękna i spokojna jak nigdy. Schyla się po moją podkładkę i  
podaje mi ją z uśmiechem. Potem odwraca się i znika za  
szklanymi drzwiami, które otwierają się i zamykają za nią gładko  
jak tafla wody nad topielcem.

## 4

Diabeł wkradł się do ogrodów Edenu i przyniósł z  
sobą chorobę – amor deliria nervosa – pod  
postacią ziarna. Ziarno wykiełkowało i wyrosła z  
niego wspaniała jabłoń, która rodziła owoce koloru  
niego wspaniała jabłoń, która rodziła owoce koloru  
krwi.

dr Steven Horace, Genesis. Kompleksowa historia świata  
i znanej części kosmosu, Uniwersytet Harvarda

Gdy wreszcie pielęgniarka puszcza mnie do poczekalni,  
po Hanie nie ma już śladu – zniknęła w jednym ze sterylnie  
białych korytarzy, a potem za którymiś z dziesiątek identycznych  
białych drzwi – choć kilka wcześniej wpuszczonych dziewczyn  
wciąż czeka na swoją kolej. Jedna z nich siedzi na krześle i  
pochylona nad podkładką gryzmoli odpowiedzi, by zaraz je  
przekreślić, a potem pisze na nowo. Inna dziewczyna  
gorączkowo wypytuje pielęgniarkę o różnicę między chorobami  
przewlekłymi a uwarunkowaniami genetycznymi. Nabrzmiała  
żyła pulsująca na czole i histerycznie podniesiony głos sugerują,  
że może być na skraju załamania nerwowego i zastanawiam się,  
czy ma zamiar wymienić w ankiecie swoją skłonność do  
zaburzeń lękowych.

Wiem, że to nie jest zabawne, ale chce mi się śmiać.



Zakrywam usta ręką i parskam śmiechem. Często właśnie tak reaguję na stres. W czasie egzaminów zawsze mam z tego powodu problemy. Zastanawiam się, czy powinnam o tym teraz napisać.

Pielęgniarka odbiera ode mnie podkładkę i przegląda formularz, by sprawdzić, czy nie zostawiłam jakichś nieuzupełnionych pól.

– Lena Haloway? – zwraca się do mnie pogodnym, uprzejmym tonem, tak typowym dla wszystkich pielęgniarek, jak gdyby był on częścią ich szkolenia zawodowego.

– Mhm – odpowiadam, ale szybko się poprawiam. Carol mówiła, że członkowie komisji ewaluacyjnej oczekują od nas pewnej dozy formalności. – Tak, to ja. – Wciąż dziwnie reaguję na dźwięk mojego prawdziwego nazwiska, Haloway, i w moim żołądku wzbiera nagle fala mdłości. Od dwunastu lat używam nazwiska ciotki, Tiddle. Chociaż brzmi ono dosyć głupio (Hana stwierdziła kiedyś, że przypomina jej ćwierkanie wróbla), to przynajmniej nie kojarzy się z moimi rodzicami. I przynajmniej Tiddle'owie są prawdziwą rodziną, podczas gdy Halowayowie są już tylko wspomnieniem. Mimo to w sprawach urzędowych muszę się posługiwać nazwiskiem rodziców.

– Proszę za mną. – Pielęgniarka wskazuje jeden z korytarzy, więc ruszam za nią i za miarowym stukotem jej obcasów o linoleum. Korytarze są oślepiająco jasne. Fala mdłości podchodzi coraz wyżej, przyprawiając mnie o zawroty głowy. Próbuję się uspokoić, wyobrażając sobie ocean na zewnątrz, jego gniewny oddech i mewy zataczające kółka na niebie. Wkrótce będzie po wszystkim, mówię sobie. Wkrótce pójdę do domu i już nigdy nie będę musiała myśleć o ewaluacji. Korytarz zdaje się nie mieć końca. Gdzieś w jego głębi słychać dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi. Za rogiem mija nas szybko jakaś dziewczyna. Ma czerwoną twarz i widać, że płakała. Musi już być po ewaluacji. Poznaję ją, była jedną z pierwszych dziewczyn wpuszczonych do środka. Robi mi się jej żal. Ewaluacja zwykle trwa od pół godziny do dwóch godzin i mówi się, że im dłużej trzyma cię komisja, tym lepiej ci idzie. Jednak nie jest to reguła. Dwa lata temu słynny był przypadek Marcy Davies, która zaliczyła cały pobyt w laboratorium w czterdzieści pięć minut, a dostała dziesiątkę, czyli maksimum. W ubiegłym roku Corey Winde pobiła rekord wszech czasów w najdłuższej ewaluacji – trzy i pół godziny – a dostała tylko trzy punkty. Oczywiście ewaluacją rządzą pewne zasady, ale jest w

niej też pewien element przypadkowości. Czasami mam wrażenie, że cały proces został pomyślany tak, by był jak najbardziej przerażający i tajemniczy.

Nagle przychodzi mi do głowy szalona myśl, by pobiec tymi czystymi, sterylnymi korytarzami i otworzyć kopniakiem wszystkie drzwi. Zaraz potem dopadają mnie wyrzuty sumienia. To najgorszy czas na wątpliwości co do idei ewaluacji i w myślach przeklinam za to Hanę. To jej wina i tego, co mi powiedziała przed wejściem. Nie możesz być szczęśliwa, jeżeli czasami nie bywasz nieszczęśliwa. Ograniczony wybór. Możemy wybierać tylko spośród tych, których dla nas wybrano.

A ja się cieszę, że wybiera się za nas. Cieszę się, że sama nie muszę tego robić – ale jeszcze bardziej cieszę się, że nikt nie wybiera mnie. Dla Hany nie byłoby problemu, gdyby wszystko wyglądało jak za starych czasów – z jej złotymi, lśniąco-czarnymi włosami, jasnoszarymi oczami i równiutkimi zębami, z jej śmiechem, który sprawia, że wszyscy w promieniu kilkuset metrów odwracają głowę w jej stronę i również zaczynają się uśmiechać. Nawet z niezdarnością jej do twarzy. Od razu budzi w człowieku chęć pomocy albo sprawia, że ma się ochotę pozbierać za nią książki. Kiedy zaś ja potykam się o własne nogi lub wylewam kawę na podkoszulek, ludzie z zażenowaniem odwracają wzrok. Wręcz widzę ich myśli: „co za niezdara”. I za każdym razem gdy jestem wśród obcych, mój mózg spowija mgła i staje się on szarą breją jak śnieg topniejący na ulicach po obfitych opadach – nie to co Hana, która zawsze umie się znaleźć. Jaki chłopak przy zdrowych zmysłach miałby mnie wybrać, skoro po ziemi chodzą takie dziewczyny jak ona? To jakby zadowolić się suchym ciastkiem, podczas gdy naprawdę ma się ochotę na wielki puchar lodów z bitą śmietaną, wiśniami i wiórkami czekoladowymi. Naprawdę będę więc szczęśliwa, gdy dostanę kopertę z listą swoich kandydatów. Przynajmniej dzięki temu nie skończę samotnie. I nie ma znaczenia, że nikt nigdy nie uzna mnie za ładną (choć przyznaję, że czasami chciałabym, żeby ktoś kiedyś tak o mnie pomyślał); nie miałyby znaczenia, nawet gdybym miała tylko jedno oko.

– To tutaj. – Pielęgniarka zatrzymuje się wreszcie przed drzwiami, które niczym nie różnią się od innych. – Rozbierz się i zostaw swoje rzeczy w przebieralni, a potem załóż uniform, zapięciem do tyłu. Spokojnie, nie spiesz się, możesz sobie pomedytować, napić się wody, zrobić, co tylko uważasz za stosowne.

Nagle przed oczami staje mi wizja dziewczyn siedzących tu na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, z rękami na kolanach, mrużących „om”, i muszę stłumić kolejny napad śmiechu. mrużących „om”, i muszę stłumić kolejny napad śmiechu.

– Jednak weź pod uwagę, że im dłużej tu siedzisz, tym mniej czasu dajesz komisji na poznanie ciebie.

Posyła mi sztuczny uśmiech. Wszystko w niej jest sztywne i nienaturalne: skóra, oczy, nawet jej fartuch. Wbija we mnie wzrok, ale mam wrażenie, że tak właściwie wcale mnie nie widzi i w myślach już maszeruje z powrotem do poczekalni, by poprowadzić korytarzem kolejną dziewczynę i uraczyć ją tą samą gadką. Nagle w otoczeniu grubych ścian, które tłumią wszystkie dźwięki, w izolacji od słońca, wiatru i ciepła, ogarnia mnie dojmujące uczucie samotności – to wszystko jest bowiem takie idealne i nieludzkie.

– Gdy będziesz gotowa, otwórz niebieskie drzwi. Komisja czeka na ciebie w sali laboratoryjnej.

Po czym oddała się ze stukotem obcasów, a ja wchodzę do przebieralni tak samo wąskiej i jasnej jak korytarz.

Pomieszczenie przypomina gabinet lekarski. W kącie stoi ogromna pikająca miarowo aparatura medyczna i kozetka pokryta papierem ochronnym, a w powietrzu unosi się gryzący, chemiczny zapach leków. Zdejmuję ubrania, trzęsąc się z zimna od klimatyzacji, i na skórze natychmiast pojawia się gęsia skórka, a wszystkie włoski na rękach stają mi na sztorc.

Cudownie. Teraz komisja pomyśli, że jestem włochatą bestią.

Składam ubrania i stanik w równy stos i wkładam uniform, owijając go wokół ciała, a potem zawiązuję w pasie na supeł.

Jest wykonany z przezroczystego plastiku, przez który, jak sobie uświadamiam, widać prawie wszystko – łącznie z zarysem moich majtek.

majtek.

Już niedługo. Wkrótce będzie po wszystkim.

Biorę głęboki wdech i otwieram niebieskie drzwi.

W sali laboratoryjnej jest jeszcze jaśniej. Oślepiąca

blaskiem lamp muszę robić dziwne wrażenie na komisji:

wchodzę, mrużę oczy, cofam się o pół kroku i przykładam rękę do twarzy. Na początku mam przed sobą tylko cztery rozmyte

cienie, lecz po chwili mój wzrok przyzwyczaja się do ostrego światła i widzę czworo członków komisji siedzących za długim

niskim stołem. Sala jest ogromna i niemal pusta, nie licząc

stojącego w kącie metalowego stołu chirurgicznego. Dwa rzędy lamp świecą wprost na mnie z wysokiego na jakieś dziesięć

metrów sufitu. Ogarnia mnie nieodparta potrzeba, by skrzyżować ręce na piersi i zakryć ciało przed ich wzrokiem. Zasycha mi w ustach, a głowa robi się gorąca i jałowa jak te światła. Czuję kompletną pustkę, nie wiem już, co mam zrobić ani co powiedzieć. Na szczęście wtedy odzywa się zasiadająca w komisji

kobieta:

– Masz z sobą formularz? – Jej głos brzmi przyjaźnie, ale strach ściskający moje wnętrze nie ustępuje.

O Boże, z nerwów chyba się zaraz posikam. Próbuję sobie wyobrazić, jak to wszystko podsumuje potem Hana, gdy będziemy wracały w skwarze popołudniowego słońca, wdychając zapach soli i rozgrzanego asfaltu unoszący się ciężko w powietrzu. O rany – powie pewnie. Co za ženada. A cała ta banda wyglądała jak cztery kury siedzące na grzędzie. banda wyglądała jak cztery kury siedzące na grzędzie.

– Mhm, tak. – Gdy podchodzę bliżej, mam wrażenie, że powietrze zgęstniało i stawia mi opór. Kiedy jestem o krok od stołu, wyciągam rękę i podaję komisji podkładkę. Za stołem zasiada trzech mężczyzn i kobieta, ale nie potrafię się skupić na ich rysach. Przebiegam wzrokiem po ich twarzach szybko tam i z powrotem, tak że widzę tylko kilka nosów, kilka par ciemnych oczu i błysk okularów.

Podkładka z moim formularzem wędruje z rąk do rąk.

Opuszczam ramiona swobodnie wzdłuż tułowia i staram się robić wrażenie zrelaksowanej.

Wzdłuż tylnej ściany za moimi plecami, kilka metrów nad ziemią znajduje się platforma obserwacyjna. Wchodzi się tam przez małe czerwone drzwi umieszczone wysoko nad rzędami krzeseł, na których z pewnością zasiadają studenci, lekarze, stażyści i początkujący laboranci. Ich bowiem zadaniem jest nie tylko przeprowadzanie zabiegów, ale i sprawdzanie, czy się powiodły, oraz leczenie trudnych przypadków z innych chorób. Dociera do mnie, że to właśnie tu, w tej sali, aplikuje się remedium. Niepokój znowu zaciska zimne macki na moim żołądku. Dziwne, chociaż tyle razy myślałam o tym, jak to jest być wyleczonym, nigdy nie zastanawiałam się, jak wygląda sam zabieg: twardy metalowy stół, ostre światło, rurki, kable i ból.

– Lena Haloway?

– Zgadza się.

– Witaj, Leno. Może na początek opowiesz nam coś o sobie? – Mężczyzna w okularach pochyła się nieco do przodu, wyciągając ręce, i uśmiecha się. Ma duże, kwadratowe białe

wyciągając ręce, i uśmiecha się. Ma duże, kwadratowe białe zęby, które przypominają mi łazienkowe kafelki. Światło odbijające się w jego okularach sprawia, że nie widzę jego oczu. Wolałabym, żeby je zdjął. – Opowiedz nam, co lubisz robić. Czym się interesujesz, jakie masz hobby, jakie są twoje ulubione przedmioty.

Rozpaczynam więc przygotowany wcześniej monolog o fotografii, bieganiu i spotkaniach z koleżankami, jednak nie mogę się skupić. Widzę, jak członkowie komisji kiwają głowami, przybierając poważne miny, i zaczynają robić notatki, więc wiem, że dobrze mi idzie, ale nawet nie słyszę słów, które wychodzą z moich ust. Moje myśli zaprzęta stół chirurgiczny, który obserwuję kątem oka, i jego błyszcząca powierzchnia migocząca w świetle jak ostrze noża. I nagle przychodzi mi na myśl mama. Nie udało się jej wyleczyć mimo trzech zabiegów. Choroba nie dała za wygraną, upomniała się o nią, zaczęła pożerać od środka, odbierając jej oczom i skórze blask, przejęła kontrolę nad jej ciałem, aż powoli zaprowadziła na skraj piaszczystego klifu, a potem kazała jej rzucić się w dół. Tak mi przynajmniej powiedziano. Sama miałam wtedy zaledwie sześć lat. Pamiętam tylko ciepły dotyk jej palców na mojej twarzy tamtej nocy i ostatnie słowa, które wyrzekła do mnie szeptem: „Pamiętaj, kocham cię. Tego nie mogą nam odebrać”.

Zamykam szybko oczy i pod powiekami pojawia się mama próbująca się bronić i lekarze w fartuchach laboratoryjnych beznamiętnie robiący notatki. Trzy razy przywiązano ją do metalowego stołu. Trzy razy obserwowano z platformy jej reakcje, gdy igły, a potem lasery przeszywały jej skórę. Zwykle reakcje, gdy igły, a potem lasery przeszywały jej skórę. Zwykle ludzie są usypiani przed zabiegiem i niczego nie czują, ale Carol wysnęło się raz, że podczas trzeciej próby nie uspiono mamy, podejrzewając, że to środki usypiające przeszkadzają w prawidłowej reakcji jej mózgu na remedium.

– Może chcesz wody? – Kobieta wskazuje na butelkę i szklankę stojące na stole. Zauważyła, jak się wzdrygam, ale to nie szkodzi. Przedstawiłam się już i ze sposobu, w jaki na mnie spoglądają, zadowoleni i dumni, jakbym była małym dzieckiem, któremu udało się dopasować wszystkie klocki do właściwych otworów, mogę powiedzieć, że wykonałam kawał dobrej roboty. Nalewam sobie wody i upijam kilka łyków. Cieszę się z chwili przerwy. Jednocześnie czuję, jak pot zbiera mi się pod pachami i na karku, i modlę się, żeby tego nie dostrzegli. Próbuję patrzeć wprost na nich, ale kątem oka wciąż widzę ten przeklęty

stół szczerzący do mnie zęby.

– Dziękujemy, Leno. A teraz zadamy ci kilka pytań. Chcemy, byś odpowiedziała na nie szczerze. Pamiętaj, że chcemy cię poznać jako osobę.

Jako osobę? – nie mogę się w myślach powstrzymać od pytania. W przeciwieństwie do czego? Do zwierzęcia? Biorę głęboki oddech, zmuszam się do kiwnięcia głową i uśmiechu.

– Oczywiście.

– Jakie są twoje ulubione książki?

– Miłość, wojna i ingerencja Christophera Malleya –

– Miłość, wojna i ingerencja Christophera Malleya –

recytuję przygotowaną wcześniej wypowiedź. – Granica Philippy Harolde. – Już wiem, że nie ma sensu z tym walczyć: obrazy zalewają mój umysł jak fale powodzi. A w mózgu pulsuje ciągle tylko jedno słowo, jakby było tam wyryte. Ból. Chcieli poddać mamę zabiegowi po raz czwarty. Tej nocy, kiedy się zabiła, mieli przyjść po nią i zaciągnąć ją do laboratorium. Ale ona wybrała ciemność i odmęty oceanu. A zanim uciekła, obudziła mnie słowami: „Pamiętaj, Kocham cię. Tego nie mogą nam odebrać”, które wiatr przynosił mi jeszcze długo po tym, jak zniknęła, słowami powtarzanymi później przez nagie konary drzew oraz szelestem i szeptem liści w zimny szary świt. – Oraz Romeo i Julia Williama Szekspira.

Członkowie komisji kiwają głowami i notują każde moje słowo. To dobra odpowiedź. Romeo i Julia jest lekturą obowiązkową na lekcjach zdrowia w pierwszej klasie.

– A dlaczego właśnie ta książka? – pyta członek komisji numer trzy.

Bo jest przerażająca – powinnam teraz powiedzieć. To historia z morałem, ostrzeżenie ukazujące niebezpieczeństwa starego świata przed wprowadzeniem remedium. Moje gardło jest jednak tak ściśnięte, że nie mogę wydusić z siebie żadnych słów, które utknęły tam jak kamyki. Do tego nagle wydaje mi się, że słyszę przytłumiony ryk oceanu, jego dalekie, monotonne mruczenie i widzę oczyma wyobraźni, jak woda zamyka się nad mamą, jak przytłacza ją, ciężka jak kamień. I wyrzucam z siebie:

– Ponieważ jest piękna.

Cztery twarze natychmiast unoszą się do góry jak  
Cztery twarze natychmiast unoszą się do góry jak  
marionetki połączone jednym sznurkiem.

– Piękna? – Kobieta marszy nos. Powietrze aż iskrzy od lodowatego napięcia i dociera do mnie, jak wielki popełniłam

błąd.

Mężczyzna w okularach nachyla się w moją stronę.

– To ciekawe słowo w tym kontekście. Bardzo ciekawe. –

Tym razem gdy odsłania zęby, przypominają mi wilcze kły. –

Może uważasz, że cierpienie jest piękne? Może bawi cię przemoc?

– Nie, nie, to nie tak – staram się myśleć jasno, ale w mojej głowie narasta ryk oceanu i wzmaga się z każdą sekundą. Teraz wydaje mi się nawet, że słyszę również krzyk, jak gdyby wołanie mojej matki dosięgało mnie z przestrzeni dwunastu lat. –

Chciałam przez to powiedzieć, że... w tej historii jest coś smutnego... – Staram się z tego jakoś wybrnąć, ale marnie mi idzie. Mam wrażenie, że tonę w białym świetle i huku wody.

Poświęcenie. Chcę powiedzieć coś o poświęceniu, ale to słowo

nie chce mi przejść przez usta.

– Przejdźmy dalej. – Kobieta, która wydawała się taka przyjazna, kiedy proponowała mi wodę, teraz zarzuciła wszelkie pozory serdeczności. Jest już tylko zimną urzędniczką. –

Powiedz nam na przykład, jaki jest twój ulubiony kolor.

Część mojego mózgu – ta racjonalna, wykształcona,

logiczna część – krzyczy: „Niebieski! Powiedz: niebieski!”, ale ta

druga, pierwotna siła przedziera się na zewnątrz z całą mocą i wyrzucam z siebie:

– Szary.

– Szary.

– Szary? – powtarza członek komisji numer cztery.

Serce przestaje mi bić. Wiem już, że zawałam na całej linii,

niemal widzę, jak moje punkty lecą na łeb, na szyję. Jest za

późno. Już po mnie – huczy mi w uszach coraz głośniejsze i to

dudnienie uniemożliwia mi zebranie myśli. Szybko wyrzucam z siebie wyjaśnienie.

– To znaczy nie do końca szary. Jest taka chwila tuż przed

wschodem słońca, kiedy całe niebo ma blady, trudny do

określenia kolor. Tak właściwie to nie jest szary, raczej jakiś

rodzaj bieli, i od zawsze go lubiłam, ponieważ przypomina mi oczekiwanie na coś miłego.

Oni jednak przestali mnie słuchać. Wszyscy zadzierają

głowy i spoglądają na coś za moimi plecami, na ich twarzach

maluje się niepewność i wysiłek, jak gdyby próbowali rozpoznać

znajome wyrazy w obcym języku. Nagle hałas i krzyki nasilają

się, a ja uświadamiam sobie, że nie są wytworem mojej

wyobraźni. Ludzie krzyczą naprawdę, słysząc jakiś dziwny

łomot, dudnienie, jakby tysiąc nóg tupowało naraz. Teraz słyszę też

trzeci dźwięk, gdzieś w tle, jakiś nieartykułowany ryk, który nie brzmi jak głos człowieka. Z powodu zamętu, który mam w głowie, wszystko wydaje mi się zupełnie oderwane od siebie, tak jak czasem bywa w snach. Kobieta podnosi się z krzesła ze słowami:

– Co u diabła...?

Jednocześnie mężczyzna w okularach mówi:

– Usiądź, Helen. Sprawdzę, co się tam dzieje.

W tej chwili niebieskie drzwi otwierają się z hukiem i fala krów – prawdziwych, żywych, muczających krów – wdziera się do laboratorium.

Rozpędzone stado bydła – stwierdzam, i przez chwilę rozpiera mnie dziwna дума, że jednak słuch mnie nie mylił. Zaraz potem dociera do mnie, że w moją stronę pędzi gromada ciężkich, a do tego bardzo przestraszonych rogatych zwierząt, i za jakieś dwie sekundy wdepcze mnie w ziemię. Niewiele myśląc, rzucam się w kąt i wciskam za chirurgiczny stół, gdzie powinnam być bezpieczna. Wychylam głowę na tyle, by widzieć, co się wokół dzieje. Członkowie komisji wskakują na stół, otoczeni morzem brązowych i łaciatych krów. Kobieta wydziera się ze wszystkich sił, a okularnik wrzeszczy: „Uspokój się! Uspokój się!”, choć to on trzyma się jej rozpaczliwie, jakby tonął, a ona była tratwą ratunkową.

Niektóre krowy mają na łbach dziwnie przekrzywione peruki, a inne są częściowo owinięte w takie same uniformy, jaki mam na sobie. Przez chwilę wydaje mi się, że to sen. Może cały ten dzień jest tylko sennym wytworem mojego umysłu, zaraz się obudzę i okaże się, że jestem w domu, w łóżku, w poranek przed ewaluacją. A wtedy dostrzegam napisy na bokach krów: NIE REMEDIUM, ALE ŚMIERĆ. Słowa wymalowane są odręcznie tuż nad rzędami cyfr – znakiem, że zwierzęta jechały do rzeźni.

Wzdłuż kręgosłupa przebiega mi dziwny dreszcz i nagle wszystko zdaje się układać w całość. Co kilka lat Odmieńcy – ludzie, którzy żyją w Głuszy, ziemi niczyjej znajdującej się między oficjalnymi granicami miast – wślizgują się do Portland i organizują happeningi różnego rodzaju. Pewnego razu przedostali się w nocy do miasta i wymalowali czerwone trupie czaszki na domach lekarzy pracujących w laboratoriach. Innym razem włamali się do komendy głównej policji, która koordynuje patrole i straże w Portland, i przenieśli na dach całe wyposażenie biura, nawet automaty do kawy. Szczerze mówiąc, wydało mi



się to wtedy całkiem zabawne – i zdumiewające, bo można by przypuszczać, że co jak co, ale nie ma w mieście lepiej strzeżonego miejsca niż komenda główna. Dla ludzi z Głuszy miłość nie jest chorobą i nie wierzą w remedium. Zabieg uważają za okrucieństwo. Stąd to hasło.

Nagle dociera do mnie przesłanie ich akcji: krowy są ubrane jak my podczas ewaluacji. Jakbyśmy byli stadem bydła. Zwierzęta chyba trochę się uspokoiły. Nie szarżują już, tylko spokojnie wałęsają się po sali. Kobieta trzyma w ręku podkładkę i opędza się nimi od krów, które mucząc, ocierają się o stół i skubią porozrzucane na nim papiery – notatki komisji, co uświadamiam sobie, gdy jedna z krów porywa jakąś kartkę i rozrywa ją zębami. Dzięki Bogu. Może zjedzą wszystkie notatki, a komisja zapomni o tym, jak się pogrążyłam. I teraz gdy siedzę bezpiecznie schowana za stołem, stwierdzam, że cała ta sytuacja jest właściwie przekomiczna. Wtedy dociera do mnie jeszcze jeden dźwięk. Jakimś cudem ponad tym parskaniem, tupotem i wrzaskiem udaje mi się dosłyszeć nad sobą czyjś śmiech – niski, urywany i melodyjny, jakby ktoś ćwiczył wprawki na pianinie. Dźwięk dobiega z platformy obserwacyjnej. Stoi tam jakiś Dźwięk dobiega z platformy obserwacyjnej. Stoi tam jakiś chłopak i obserwuje z góry całe to zamieszanie. I śmieje się. Gdy podnoszę oczy, jego wzrok pada na moją twarz. Całe powietrze uchodzi ze mnie i wszystko zastyga na sekundę, jak gdybym spoglądała na niego przez obiektyw, w maksymalnym zbliżeniu, a świat zatrzymał się na krótką chwilę między otwarciem a zamknięciem migawki.

Chłopak ma złocistobrazowe włosy, jak liście wczesną jesienią, i jasne bursztynowe oczy. Jedno spojrzenie wystarcza mi, by stwierdzić, że jest jednym z ludzi odpowiedzialnych za ten bałagan. Wiem, że musi żyć w Głuszy. Wiem, że jest Odmieńcem. Strach łapie mnie za serce i już otwieram usta, żeby coś krzyknąć – choć jeszcze sama nie wiem co – kiedy w tej samej sekundzie chłopak nieznacznie kręci głową, co nagle odbiera mi mowę. Następnie intruz robi coś absolutnie, zupełnie nieprawdopodobnego.

Puszcza do mnie oko.

Wreszcie włącza się alarm, tak głośny, że muszę zakryć uszy rękami. Spoglądam w stronę stołu, żeby sprawdzić, czy członkowie komisji również widzieli to co ja, ale oni, niczego nieświadomi, wciąż odstawiają swój dziki taniec, a gdy znowu spoglądam w górę, po chłopaku nie ma śladu.

## 5

Włóż szybko piżamę, bo zamęczysz mamę.

Jeśli będziesz psotny, to skończysz samotny.

Jeśli będziesz psotny, to skończysz samotny.

Noś złotą ozdobę, bo złapiesz Chorobę.

Uważaj na ruchy, bo uwolnisz duchy.

Dziecięca wylicznanka, której często towarzyszy  
klaskanie i skoki przez skakankę

Tej nocy znów nawiedził mnie ten sen.

Oto stoję na skraju białego piaszczystego klifu. Grunt jest niestabilny. Skalna półka pod moimi stopami zaczyna się kruszyć i odrywać kawałkami, a te lecą tysiące metrów w dół, aż do oceanu, którego szalejące fale przypominają wielki spieniony kocioł. Boję się, że zaraz spadnę, ale jakaś niewidzialna siła nie pozwala mi się cofnąć znad krawędzi nawet gdy czuję, że grunt usuwa mi się spod nóg, miliony ziarenek piasku ulatują w przestrzeń, z wiatrem, a ja w każdej chwili mogę podzielić ich los. Nie zdążę nawet uświadomić sobie, że pode mną jest już tylko powietrze, że za ułamek sekundy poczuję wokół siebie wycie wiatru i runę wprost do wody, kiedy wzburzone fale pode mną otwierają się na chwilę i ukazują mi się twarz mamy – blada, nabrzmiała i pokryta niebieskimi plamami – unosząca się tuż pod powierzchnią wody. Oczy ma otwarte, tak samo jak usta, ułożone niczym do krzyku, a rozpostarte po bokach ręce kołyszą się na falach, jak gdyby czekała, aby wziąć mnie w objęcia.

I wtedy się budzę. Zawsze wtedy się budzę.

Poduszka jest mokra i coś drapie mnie w gardle. Płakałam

Poduszka jest mokra i coś drapie mnie w gardle. Płakałam

przez sen. Gracie leży obok mnie zwinięta w kłębek, z policzkiem przyciśniętym do pościeli, a jej usta bezgłośnie powtarzają coś w kółko. Zawsze kładzie się przy mnie, kiedy przychodzi do mnie ten sen. W jakiś niezwykle sposób go wyczuwa.

Odgarniam jej włosy z twarzy i odsuwam z ramion przesiąkniętą potem pościel. Żal mi będzie rozstać się z Grace, gdy się stąd wyprowadzę. Nasz sekret bardzo nas do siebie zbliżył. Tylko ona jedna wie o Zimnie. Zimno to uczucie nawiedzające mnie czasem, kiedy leżę w łóżku, doświadczenie czarnej ziejącej pustki, które odbiera mi oddech, jak gdyby wrzucono mnie do lodowatej wody. W nocie jak ta – choć wiem, że to niewłaściwe – myślę o tych dziwnych i strasznych słowach: „kocham cię”, zastanawiając się, jak by smakowały na

moich ustach, i próbuję sobie przypomnieć ich śpiewny rytm na wargach mamy.

Ja zaś znam sekret Grace. Jestem jedyną osobą, która wie, że ona nie jest głupia ani opóźniona w rozwoju i że wszystko z nią w porządku. Jestem jedyną osobą, która słyszała, jak Grace mówi. Pewnej nocy po tym, jak przyszła do mojego łóżka, obudziłam się wcześniej rano, gdy nocne cienie dopiero odpływały ze ścian. Leżała obok mnie, płakała cichutko w poduszkę, ssąc prześcieradło, tak że ledwie ją słyszałam, i powtarzała w kółko jeden wyraz: mama, mama, mama. Tak jakby chciała przeżuć to słowo, jakby dławiła się nim przez sen. Objęłam ją i przytuliłam do siebie, aż wreszcie po czasie, który zdawał się wiecznością, Grace, zmęczona, znowu zapadła w sen. zdawał się wiecznością, Grace, zmęczona, znowu zapadła w sen. Napięcie powoli opadło z jej ciała, ale twarz długo jeszcze była rozpalona i napuchnięta od płaczu.

Oto dlaczego Grace nie mówi. Cała reszta słów jest tłamszona przez to jedno zawieszone w powietrzu słowo, które wciąż rozbrzmiewa echem w ciemnych zakamarkach jej pamięci. Mama. Wiem. Pamiętam.

Siadam na łóżku i spoglądając na światło pełzające coraz pewniej po ścianach, wsłuchuję się w piski mew za oknem, a potem sięgam po szklankę z wodą stojącą obok łóżka. Dzisiaj jest drugi czerwca. Jeszcze dziewięćdziesiąt cztery dni. Chciałabym ze względu na Grace, by remedium było dostępne wcześniej. Pocięszam się myślą, że pewnego dnia i ona przejdzie zabieg. Pewnego dnia i ona będzie bezpieczna, a jej przeszłość i cierpienie zostaną unicestwione, zmielone w bezkształtną, łatwostrawną masę, jak papka dla niemowląt. Pewnego dnia obie będziemy bezpieczne.

Na śniadanie wlokę się zmęczona, czując piasek pod powiekami. W wiadomościach podano już oficjalną wersję wydarzeń w laboratorium. Carol zawsze ścisza telewizor, kiedy robi śniadanie, przez co mrużenie prezentera niemal na powrót mnie usypia. „Wczoraj ciężarówka z bydłem wiezionym do rzeźni została pomyłona z dostawą leków, czego wynikiem był komiczny i bezprecedensowy chaos, który widzą państwo na komiczny i bezprecedensowy chaos, który widzą państwo na ekranach” – i pokazują nam piszczące pielęgniarki, jak odganiają męczące krowy podkładkami.

Wyjaśnienie jest absurdalne, ale dopóki nie wspomina się o Odmieńcach, wszyscy są szczęśliwi. Nie powinniśmy nawet wiedzieć o ich istnieniu. Zresztą oni w ogóle nie powinni istnieć.

Oficjalna wersja głosi, że ludzie, którzy żyli w Głuszy, zostali unicestwieni ponad pięćdziesiąt lat temu podczas bombardowania terenów międzygranicznych, zwanego blitzem. Pięćdziesiąt lat temu rząd Stanów Zjednoczonych zamknął granice kraju i od tamtej pory strzeże ich wojsko. Nikt nie może wjechać. Nikt nie może wyjechać. Prawo nakazuje, by każda grupa społeczna była przypisana do danego terytorium, a podróże między poszczególnymi obszarami państwa wymagają oficjalnej pisemnej zgody władz miejskich z półrocznym wyprzedzeniem. To dla naszego bezpieczeństwa. Bezpieczeństwo, integralność, wspólnota – oto dewiza naszego kraju.

W większości dziedzin władze odniosły sukces. Od kiedy granice są zamknięte, nasz kraj nie zaznał wojny, a przestępczość niemal zupełnie wyeliminowano, nie licząc sporadycznych przypadków wandalizmu czy drobnych kradzieży. Nie ma już w Stanach nienawiści, przynajmniej wśród wyleczonych. Zdarzają się jedynie odosobnione przypadki zobojętnienia – ale przecież każdy zabieg medyczny wiąże się z pewnym ryzykiem. Jednak jak dotąd władzom nie udało się usunąć z kraju Odmieńców, i to jedyna klęska rządu, czy w ogóle całego systemu. A więc nie mówimy o nich. Udajemy, że ogóle całego systemu. A więc nie mówimy o nich. Udajemy, że Głusza – i ludzie, którzy w niej żyją – nie istnieją. Rzadko w ogóle używa się tego słowa, chyba że przepada jakiś domniemany sympatyk, albo dwoje młodych, zarażonych ludzi znika jednocześnie, zanim zaaplikowano im remedium. Całe to zamieszanie w laboratorium ma jeden pozytywny skutek: wszystkie wczorajsze ewaluacje zostały unieważnione. Każdemu przydzielą nowy termin, co oznacza, że dostanę drugą szansę. Tym razem na pewno tego nie spartaczę. Na samą myśl o swoim wczorajszym zachowaniu rumienię się ze wstydu. Gdy siedzę teraz przy kuchennym stole, gdzie wszystko wokół jest takie czyste, schludne i znajome – wyszczerbione niebieskie kubki z kawą, mikrofalówka, która pika nieregularnie (to jedno z niewielu urządzeń elektrycznych, poza lampami, którego Carol pozwala nam używać) – wczorajszy dzień wydaje się długim, dziwnym snem. Tak właściwie zakrawa na cud, że grupa fanatyków z Głuszy postanowiła wpuścić stado krów do laboratorium dokładnie w momencie, kiedy oblewałam najważniejszy egzamin życia. Nie mam pojęcia, co we mnie wstąpiło. Gdy myślę o okularniku szczerzącym zęby i słyszę swój głos mówiący: „szary”, aż się wzdrygam. Głupota. Czysta

głupota.

Wtem uświadamiam sobie, że Jenny coś do mnie mówi.

– Co? – Kieruję na nią wzrok i jej twarz nabiera ostrości.

Obserwuję jej ręce krojące tost na cztery równe części.

– Spytałam, co ci jest. – W tył i w przód, w tył i w przód.

Nóż dzwoni o brzeg talerza. – Wyglądasz, jakbyś się miała porzygać.

porzygać.

– Jenny – strofuje ją stojąca przy zlewie Carol. – Daruj sobie. Przecież widzisz, że wujek je śniadanie.

– Nic mi nie jest. – Odrywam kawałek tostu, smaruję go masłem i staram się zmusić do jedzenia. Ostatnią rzeczą, na którą mam teraz ochotę, jest rodzinne przesłuchanie. – Jestem tylko zmęczona.

Carol odwraca się i spogląda na mnie. Jej twarz zawsze przypominała mi twarz lalki. Nawet gdy coś mówi, nawet gdy jest zła, zadowolona lub zakłopotana, wyraz jej twarzy pozostaje dziwnie nieruchomy.

– Nie mogłaś spać?

– Spałam – odpowiadam. – Miałam tylko zły sen i tyle.

Na drugim końcu stołu wujek William podnosi głowę znad gazety.

– O rany, wiecie, co właśnie mi się przypomniało? Ja też ostatniej nocy miałem sen.

Carol unosi brwi, nawet Jenny wygląda na zaciekawioną.

Bardzo rzadko się zdarza, by ktoś po zabiegu miewał sny. Carol powiedziała mi kiedyś, że jeżeli czasami zdarza jej się śnić cokolwiek, widzi przed sobą mnóstwo naczyń, które piętrzą się aż do nieba, a ona wspina się po nich mozolnie, próbując dotrzeć na szczyt. Stos jednak ciągnie się w nieskończoność. O ile wiem, Rachel, moja siostra, już nie miewa snów.

William uśmiecha się.

– Uszczelniałem okno w łazience. Carol, pamiętasz, mówiłem kiedyś, że jest tam przeciąg. No więc nakładałem kit, ale on odpadał od razu, kiedy kończyłem, jakby był warstwą śniegu, i zaraz potem wiatr wpadał do środka, więc musiałem zacząć od nowa. I tak bez końca.

– Dziwny sen – mówi Carol, uśmiechając się, i podchodzi do stołu z talerzem jajek sadzonych – półpłynnych, bo takie lubi wujek. Spoglądam na talerz, na którym upstrzone kroplami tłuszczu żółtka trzęsą się jak brzuch tancerki hula-hoop.

Robi mi się niedobrze.

William odzywa się:

– Nic dziwnego, że już od rana jestem zmęczony. Całą noc ciężko pracowałem.

Wszyscy oprócz mnie wybuchają śmiechem. Przełykając kolejny kęs grzanki, zastanawiam się, czy po zabiegu będę jeszcze mieć sny.

Mam nadzieję, że nie.

To pierwszy rok od szóstej klasy, kiedy Hana i ja nie mamy razem ani jednej lekcji, więc widujemy się dopiero po szkole, w szatni, gdy przygotowujemy się do wspólnych biegów. Sezon na biegi przełajowe skończył się już kilka tygodni temu, jednak Hana i ja staramy się biegać razem jak najczęściej, podtrzymując tę tradycję nawet podczas wakacji.

Zresztą to właśnie dzięki członkostwu w drużynie – kiedy doszliśmy do etapu regionalnego – po raz trzeci w życiu opuściłam Portland. I chociaż nie wyjechaliśmy daleko – zaledwie sześćdziesiąt kilometrów poza miasto, do tego nie zaledwie sześćdziesiąt kilometrów poza miasto, do tego nie zbacząc ani razu z szarej, ponurej autostrady – wciąż pamiętam niepokój podchodzący mi do gardła.

Zaczęłam biegać, gdy miałam sześć lat, tuż po śmierci mamy. Pierwszym dniem, kiedy przebiegłam całe półtora kilometra, był dzień jej pogrzebu. Kazano mi zostać na górze razem z kuzynostwem, podczas gdy Carol przygotowywała dom na uroczystość pogrzebową i nakrywała do stołu. Marcia i Rachel miały mnie ubrać, ale w trakcie wkładania mi sukienki zaczęły się o coś kłócić i przestały zwracać na mnie uwagę. Zeszłam więc po schodach w niedopiętej na plecach sukience, by poprosić ciocię o pomoc. W kuchni siedziała również pani Eisner, jej ówczesna sąsiadka. Gdy wchodziłam, mówiła akurat: – Oczywiście, że to okropne. Ale i tak nie było już dla niej ratunku. Zresztą nawet lepiej, że tak się stało. Także dla Leny. Bo co za pożytek z takiej matki?

Wiem, że nie miałam tego usłyszeć. Na mój widok pani Eisner jęknęła przestraszona i zamknęła szybko usta, jakby nagle zatkało je korkiem, a Carol zamarła. W tamtej chwili cały świat i cała przyszłość zbiegły się w tym jednym punkcie i zrozumiałam, że to miejsce – kuchnia, nieskazitelne kremowe linoleum, oślepiające światło i jasnozielona masa żelków na blacie – to wszystko, co mi zostało po śmierci mamy. Nagle poczułam, że dłużej tu nie wytrzymam. Nie mogłam znieść widoku kuchni ciotki Carol, która – co właśnie do mnie dotarło – miała być od teraz moją kuchnią. Nie mogłam znieść widoku żelków. Mama ich nienawidziła. Całe ciało zaczęło mnie

świerzbic od środka, jak gdyby tysiące komarów krążyło w  
świerzbic od środka, jak gdyby tysiące komarów krążyło w  
mojej krwi, gryząc mnie od wewnątrz, i to było nie do  
wytrzymania, nie mogłam ustać w miejscu, coś mnie zmuszało do  
ruchu, krzyku, podskakiwania.

Wtedy pobiegłam przed siebie.

Gdy wchodzę do szatni, Hana trzyma nogę na ławce i  
zawiązuje but. Muszę wam coś wyznać: uwielbiam biegać z  
Haną po części dlatego, że jest to jedna, jedyna rzecz, w której  
jestem od niej lepsza, choć oczywiście nie przyznałabym się do  
tego głośno za żadne skarby świata.

Jeszcze nawet nie położyłam plecaka na podłodze, kiedy  
Hana nachyla się w moją stronę i chwyta mnie za rękę.

– Ale heca, co? – Próbuje zwalczyć uśmiech, ale jej oczy  
mienia się kolorami: niebieskim, złotym i zielonym, i błyszczą, jak  
zawsze kiedy Hana jest czymś podekscytowana. – To musieli  
być Odmieńcy. W każdym razie wszyscy tak mówią.

W szatni oprócz nas nie ma nikogo – sezon sportowy  
zakończył się już we wszystkich dyscyplinach – lecz na sam  
dźwięk tego słowa rozglądam się instynktownie.

– Ciszej!

Hana odchyła się, odrzucając włosy na jedno ramię.

– Wyluzuj. Sprawdziłam nawet kabiny toaletowe. Teren  
jest czysty.

Otwieram szafkę będącą moją własnością od dziesięciu lat,  
kiedy zaczęłam naukę w Szkole Świętej Anny. Na dnie leży  
warstwa papierków po gumach, strzępów notatek i spinaczy do  
papieru, a na niej sterta ubrań do biegania, dwie pary butów,  
bluza z logo szkolnej drużyny przełajowej, kilka zużytych do  
bluza z logo szkolnej drużyny przełajowej, kilka zużytych do  
połowy dezodorantów, odżywka do włosów i perfumy. Dociera  
do mnie, że za niecałe dwa tygodnie skończę szkołę i nigdy  
więcej nie ujrzę tej szafki, i na chwilę ogarnia mnie smutek.

Wiem, że może to zabrzmieć dziwnie, ale uwielbiam zapach sali  
gimnastycznej: środków czyszczących, dezodorantu, piłek, a  
nawet wiecznie unoszącą się tutaj woń potu. Działa na mnie  
kojąco. Niesamowite, jak paradoksalnie układa się życie:  
najpierw bardzo czegoś pragniesz i nie możesz się doczekać, a  
potem, kiedy jest już po wszystkim, marzysz tylko o tym, by  
cofnąć czas i wrócić do dni, gdy wszystko było po staremu.

– Wszyscy, czyli kto? W wiadomościach podali, że była to  
zwykła pomyłka w dostawie. – Czuję potrzebę powtórzenia  
oficjalnej wersji wydarzeń, choć wiem równie dobrze jak Hana,

że to bujda.

Hana siedzi okrakiem na ławce i śledzi mnie wzrokiem, jak zwykle nie zważając na to, że nienawidzę, gdy inni patrzą, jak się przebieram.

– No co ty. Skoro tak powiedzieli w telewizji, to musi być bzdura. Poza tym jak można pomylić krowę z pudełkiem lekarstw? Raczej nie są do siebie podobne.

Wzruszam ramionami. Wiem, że Hana ma rację. Wciąż nie odrywa ode mnie wzroku, więc odwracam się nieco bokiem. Nigdy nie czułam się dobrze ze swoim ciałem, tak jak Hana czy inne dziewczyny ze szkoły, nigdy nie udało mi się zwalczyć dziwnego uczucia, że w kilku miejscach zostałam źle złożona w całość. Jak gdyby naszkicował mnie jakiś rysownik amator: jeśli całość. Jak gdyby naszkicował mnie jakiś rysownik amator: jeśli patrzysz z daleka, wszystko wydaje się w porządku, ale jeśli przyjrzesz się z bliska, widać jak na dłoni wszystkie skazy i niedociągnięcia.

Hana wyciąga nogę i zaczyna rozgrzewkę, nie porzucając jednak tematu. Nie znam nikogo, kto byłby tak zafascynowany Głuszą jak Hana.

– Ale pomyśl, to po prostu niesamowite. Jak to wszystko zaplanowano i w ogóle. Potrzeba było co najmniej czworga lub pięciorga ludzi, jeśli nie więcej, żeby skoordynować całą akcję. Przed oczami staje mi nagle chłopak na platformie obserwacyjnej, jego lśniące włosy w kolorze jesiennych liści i sposób, w jaki odchyłał głowę do tyłu, gdy śmiał się na całego. Nikomu o nim nie wspomniałam, nawet Hanie, i teraz wiem, że to był błąd.

Hana ciągnie dalej:

– Ktoś musiał mieć kody bezpieczeństwa. Może jakiś sympatyk...

Drzwi do szatni otwierają się z hukiem, aż obie podskakujemy i przez moment wpatrujemy się w siebie szeroko otwartymi oczami. Słysząc stukot kroków po linoleum. Po chwili wahania Hana przeskakuje na bezpieczny temat: kolor tóg na rozdaniu dyplomów; w tym roku będą pomarańczowe. Właśnie w tym momencie pani Johanson, dyrektor do spraw sportowych w naszej szkole, wyłania się zza szafek, obracając gwizdek wokół palca.

– Przynajmniej nie są brązowe, jak w Fielston Prep – odpowiadam, chociaż ledwo słucham Hany. Serce wali mi jak odpowiadam, chociaż ledwo słucham Hany. Serce wali mi jak młot. Ciągle myślę o tym chłopaku, a do tego zastanawiam się,



czy pani Johanson usłyszała słowo „sympatyk”. Ona jednak tylko odpowiada na nasz ukłon i mija nas bez słowa, więc stwierdzam, że to raczej mało prawdopodobne.

Stałam się w tym wszystkim całkiem niezła – mówić jedno, podczas gdy myśli się coś innego, zachowywać się, jakbym słuchała, kiedy nie słucham, udawać, że jestem spokojna i szczęśliwa, kiedy tak naprawdę jestem na skraju rozpacz. To jedna z umiejętności, jakie doskonali się z wiekiem. Trzeba się nauczyć, że ludzie zawsze słuchają. Gdy pierwszy raz korzystałam z telefonu komórkowego ciotki i wujka, zaskoczyły mnie szумы i trzaski, które co jakiś czas przerywały mi rozmowę z Haną. Carol wyjaśniła mi, że to rządowe urządzenia podsłuchowe, które na chybił trafił kontrolują rozmowy przez komórki, nagrywając je i monitorując w poszukiwaniu takich słów jak miłość, Odmieńcy czy sympatyk. Nie podsłuchuje się konkretnych osób. Wszystko odbywa się losowo. I to wydaje mi się jeszcze gorsze. Prawie zawsze czuję się tak, jakby gigantyczne, obracające się oko mogło mnie w każdej chwili omieść spojrzeniem, wydobywając z mojego umysłu wszystkie brzydkie myśli, jak gdybym była zwierzęciem unieruchomionym za pomocą snopa światła z latarni morskiej.

Czasami mam wrażenie, że istnieją dwie Leny i jedna kryje się za drugą: ta pierwsza jest widoczna na zewnątrz, kiwa głową, kiedy tego się od niej oczekuje, i mówi to, co powinna mówić, a ta druga, dużo głębiej ukryta, zamartwia się, śni i mówi, że lubi kolor szary. Przez większość czasu poruszają się w jednym kolor szary. Przez większość czasu poruszają się w jednym rytmie i to rozdwojenie jest prawie niezauważalne, ale czasem wydaje mi się, że mieszkają we mnie dwie zupełnie różne osoby i w każdej chwili mogę rozpaść się na pół. Kiedyś wyznałam to Rachel, ale ona tylko się uśmiechnęła i powiedziała, że po zabiegu ze wszystkim będzie lepiej. „Po zabiegu – rzekła – wszystko w życiu będzie proste i łatwe jak bułka z masłem”.

– Gotowa – mówię, zamykając szafkę. Wciąż słychać panią Johanson, jak pogwizdując, krząta się w łazience. Słychać spłukiwanie wody. Później szum wody z kranu.

– Dzisiaj ja wybieram trasę – mówi Hana z błyszczącymi oczami i nawet nie udaje mi się otworzyć ust, by zaprotestować, kiedy ta jęzda nachyla się i klepie mnie w ramię. – Berek.

Gonisz! – krzyczy, po czym zwinnym ruchem przekręca ławkę i ze śmiechem rzuca się do drzwi, a ja ruszam za nią.

Kilka godzin wcześniej nad miastem przeszła burza i ochłodziła powietrze. Woda paruje z kałuż, pozostawiając nad

Portland lśniącą warstewką mgły. Niebo jest jaskrawoniebieskie, zatoka spokojna i srebrzysta, wybrzeże zaś przypomina ogromny zaciśnięty pas, który utrzymuje ją na miejscu.

Nie pytam Hany, dokąd biegniemy, lecz się nie dziwię, kiedy kieruje się w stronę starego portu i zarośniętej ścieżki, która biegnie wzdłuż Commercial Street i wiedzie do laboratorium. Staramy się trzymać mniejszych, mniej ruchliwych ulic, ale nie jest to łatwe. Jest trzecia trzydzieści, w szkołach właśnie skończyły się lekcje i ulice pełne są dzieci wracających do domu. Mija nas kilka autobusów i pojedyncze samochody, które z trudem przeciskają się przez tłum. Uważa się, że przynoszą szczęście, dlatego ludzie wyciągają ręce, by dotknąć maski i lśniących szyb, które przez to niedługo pozostaną czyste. Biegniemy z Haną równym rytmem, opowiadając sobie o wydarzeniach z całego dnia. Nie poruszamy tematu wczorajszych nieudanych ewaluacji ani plotek o Odmieńcach. Wokół jest za duży ruch. Zamiast tego Hana opowiada o swoim egzaminie z etyki, a ja o kłótni Cory Dervish z Minną Wilkinson. Rozmawiamy też o Willow Marks, która nie pojawiła się w szkole od zeszłej środy. Mówi się, że w ubiegłym tygodniu została nakryta przez porządkowych w Deering Oaks Park po godzinie policyjnej – i na dodatek z chłopakiem. Podobne plotki na temat Willow krążyły od lat. To po prostu typ osoby, która wiecznie jest na ustach wszystkich. Jest blondynką, ale maluje flamastrami na włosach kolorowe pasemka. Pamiętam też, jak kiedyś na wycieczce do muzeum w pierwszej klasie mijałyśmy grupę chłopców ze Spencer Prep i Willow powiedziała – tak głośno, że mogła to usłyszeć któraś z opiekunek – „chciałabym pocałować któregoś z nich prosto w usta”. Podobno została złapana w towarzystwie chłopaka już w drugiej klasie, ale skończyło się tylko na ostrzeżeniu, ponieważ nie wykazywała żadnych objawów delirii. Od czasu do czasu ludzie popełniają błędy. To kwestia biologii, efekt takiego samego zakłócenia równowagi hormonalnej i chemicznej w organizmie, która może prowadzić do nienaturalizmu, kiedy niewyleczonych pociągają osoby tej samej płci. Także tych skłonności można się pozbyć dzięki zabiegowi. W każdym razie, jeśli chodzi o Willow, sprawa jest poważna, bo w chwili gdy skręcamy w Center Street, Hana oznajmia sensację: państwo Marks zgodzili się na przyspieszenie zabiegu córki o całe pół roku. Nie będzie jej przez to na

rozdaniu dyplomów.

– Pół roku? – powtarzam z niedowierzaniem. Biegniemy w ostrym tempie od dwudziestu minut, więc sama już nie wiem, czy łomotanie serca w piersi to skutek wysiłku czy sensacyjnej wiadomości. Brakuje mi tchu bardziej niż zwykle przy tak szybkim biegu, jak gdyby coś siedziało mi na piersi. – Czy to nie jest niebezpieczne?

Hana ruszą głową w prawo, wskazując drogę na skróty.

– Nie pierwszy raz robi się coś takiego.

– Tak, ale skutki bywały opłakane. A efekty uboczne?

Zaburzenia psychiczne? Ślepotą? – Jest kilka powodów, dla których naukowcy odradzają przeprowadzanie zabiegu przed osiemnastym rokiem życia, ale najważniejszy jest ten, że remedium nie działa tak dobrze na bardzo młodych ludzi, a w najgorszych wypadkach prowadzi do poważnych powikłań. Naukowcy spekulują, iż powodem jest to, że wcześniej połączenia nerwowe w mózgu są nie do końca ukształtowane i wciąż zbyt plastyczne. Ogólnie im się jest starszym, tym lepiej, jednak większość ludzi poddaje się zabiegowi w okolicach osiemnastych urodzin.

– Pewnie stwierdzili, że warto zaryzykować – odpowiada

– Pewnie stwierdzili, że warto zaryzykować – odpowiada

Hana. – Lepsze to niż alternatywa, rozumiesz? Amor deliria nervosa. Najbardziej zdradliwa choroba na świecie. – To slogan, który widnieje od zawsze na wszystkich ulotkach dotyczących delirii. Hana powtarza go beznamiętnym głosem, ale mnie żołądek podchodzi do gardła. Całe szaleństwo wczorajszego dnia sprawiło, że zapomniałam o jej słowach przed wejściem do laboratorium. Teraz przypominam je sobie, przypominam sobie też jej dziwne zachowanie oraz zamglone, nieodgadnione spojrzenie.

– Ale się wleciesz. – Zaczynam czuć ból w płucach, a do tego skurcz w lewym udzie. Najlepszy sposób, by je pokonać, to pobiec jeszcze szybciej. – Gazu, ślamazaro.

– No to pokaż, co potrafisz! – Twarz Hany rozszerza się w uśmiechu i obie przyspieszamy. Ból w płucach staje się coraz silniejszy, jakby pęczniał, aż czuję, że opanował całe moje ciało, wdarł się do wszystkich komórek i mięśni jednocześnie. Skurcz w nodze rwie za każdym uderzeniem stopy o chodnik. Zawsze tak jest około trzeciego kilometra, jak gdyby cały stres, niepokój i lęk przekształcały się w miejsca dotkliwego fizycznego bólu, aż nie można oddychać i wydaje się, że nie da się zrobić ani kroku więcej, a w głowie pulsuje tylko jedna myśl: Nie dam rady. Nie

dam rady. Nie dam rady.

A potem nagle, tak po prostu, wszystko to znika. Cały ból odpływa, skurcz ustępuje, ciężar spada z piersi i znów jestem w stanie swobodnie oddychać. Zalewa mnie absolutna euforia, która musuje we mnie jak szampan: delektuję się twardym gruntem pod nogami, prostotą ruchu, siłą w nogach, przemieszczaniem się w czasie i przestrzeni, totalną wolnością i niezależnością. Spoglądam na Hanę. Widzę po jej minie, że czuje to samo. Pokonała własną słabość. Wyczuwa moje spojrzenie, odwraca się, kołysząc jasnym kucykiem, i podnosi kciuk do góry.

To dziwne. Hana i ja nigdy nie jesteśmy sobie tak bliskie jak podczas biegania. Nawet jeśli biegniemy w milczeniu, mam wrażenie, że łączy nas niewidzialna nić, dostraja tempo naszych kroków, ruchy rąk i nóg, że obie reagujemy na ten sam rytm wybijany na niewidzialnych bębnach. Coraz silniej dociera do mnie, że i to zmieni się po zabiegu. Hana nie wyściubi nosa poza West End i zaprzyjaźni się z sąsiadami, ludźmi bogatszymi i bardziej wyrafinowanymi ode mnie. Ja natomiast zamieszkam w jakiejś norze na Cumberland Avenue i nie będę za nią tęsknić ani nawet pamiętać, jak to było biegać ramię w ramię. Ostrzeżono mnie, że po zabiegu mogę już nawet nie lubić biegania. Kolejny skutek uboczny remedium: ludzie często zmieniają przyzwyczajenia, tracą zainteresowanie dawnymi hobby i rzeczami, które sprawiały im przyjemność.

Wyleczeni, niezdolni do silnych namiętności, są w ten sposób ocaleni zarówno przed przeszłym, jak i przyszłym cierpieniem (Księga SZZ, rozdział Po zabiegu, s. 132).

Świat wokół wiruje, ludzie i ulice zdają się długą, rozpostartą wstęgą kolorów i dźwięków. Mijamy Szkołę rozpostartą wstęgą kolorów i dźwięków. Mijamy Szkołę Świętego Wincentego, największą męską szkołę w Portland. Kilku chłopców gra na zewnątrz w koszykówkę, leniwie kozłując piłkę, i krzyczą coś do siebie. Trudno rozróżnić ich słowa, które docierają do mnie jako niewyraźne serie urywanych krzyków i krótkich wybuchów śmiechu – tak jak zawsze, gdy chłopcy są w grupach. Kiedy zdarza mi się słyszeć ich zza rogu, z drugiej strony ulicy czy z odległego końca plaży, zawsze mam wrażenie, że mają swój własny język. I po raz chyba tysięczny myślę, jak to dobrze, że wprowadzono zasady segregacji i że większość czasu spędzamy z dala od siebie.

Gdy mijamy szkołę, wyczuwam, że zatrzymują się na ułamek sekundy, podnoszą oczy i spoglądają w naszym

kierunku. Jestem zbyt onieśmielona, by na nich popatrzeć. Całe moje ciało płonie, jak gdyby ktoś wsadził mnie do pieca, ale zaraz potem czuję, że oni tylko przebiegają po mnie wzrokiem i zatrzymują go na Hanie, której blond włosy mienia się w słońcu jak złota moneta.

Gdy zostawiamy za sobą Szkołę Świętego Wincentego i skręcamy w Commercial Street, ból wraca do nóg, które stają się ciężkie jak z ołowiu. Mimo to zmuszam się do dalszego biegu i czuję, że Hana z trudem dotrzymuje mi kroku. Odwracam głowę i wyrzucam z siebie: ścigajmy się! Hana mobilizuje resztki sił i prawie mnie przegania, więc spuszcza głowę, rzucam się naprzód i szybko ruszam nogami, próbując zassać powietrze do płuc, nie zważając na rwanie w mięśniach. Ciemność zasnuwa mi krańce pola widzenia i widzę jedynie drucianą siatkę, która nagle wyrasta przed nami, blokując nam drogę, więc wyciągam ręce i wyrasta przed nami, blokując nam drogę, więc wyciągam ręce i uderzam o nią mocno, aż zaczyna się trząść, a potem odwracam się, krzycząc: wygrałam! Hana dopada mnie sekundę później, z trudem łapiąc oddech. Obie śmiejemy się teraz, walcząc z czkawką, i wciągając do płuc długie hausty powietrza, próbujemy rozchodzić zmęczenie. Kiedy wreszcie Hana jest w stanie normalnie oddychać, prostuje się i rzuca ze śmiechem nasz stary żart:

– Pozwoliłam ci wygrać!

Kopię żwir w jej stronę, a ona uchyla się z piskiem.

– Proszę bardzo, wmawiaj sobie! – krzyczę do niej.

Gumka zsunęła mi się z kucyka, więc zdejmuję ją zupełnie i spuszcza głowę, żeby wiatr ochłodził mi kark. Oczy pieką mnie od potu.

– Nie wypinaj się tak. – Hana popycha mnie lekko i na chwilę traci równowagę, ale zaraz potem odrzucam głowę do góry, szykując się do kontrataku.

Hana robi unik. W ogrodzeniu jest przerwa, za którą zaczyna się wąska droga dojazdowa, zablokowana niską metalową bramą. Hana przeskakuje ją i zachęca mnie ruchem ręki, żebym zrobiła to samo. Do tej pory nie zwróciłam uwagi na to, gdzie trafiłyśmy, dopiero teraz rozglądam się wokół: boczna droga wiedzie przez parking, a następnie przez gąszcz kontenerów na śmieci i metalowych magazynów, za nimi zaś widać znajomy szereg białych kwadratowych budynków przypominających gigantyczne zęby. To musi być jedno z bocznych wejść do laboratorium. Widzę teraz, że ogrodzenie jest zwieńczone drutem kolczastym i co kilka metrów znaki

jest zwieńczone drutem kolczastym i co kilka metrów znaki ostrzegają: WŁASNOŚĆ PRYWATNA. PRZEJŚCIA NIE MA. NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY.

– Raczej nie powinniśmy... – zaczynam, ale Hana nie pozwala mi dokończyć.

– Daj spokój – mówi. – Nie możesz sobie czasem pozwolić na odrobinę szaleństwa?

Szybko spoglądam na parking za bramą i drogę za nami: ani żywej duszy. Mała budka strażnicza tuż obok bramy również jest pusta. Nachylam się i zerkam do środka. Na papierze śniadaniowym leży napoczęta kanapka, a na małym stoliku obok stosu książek stoi stare radio, z którego płynie muzyka, zakłócana raz po raz szumami i trzaskami. Nie widzę też żadnych kamer, chociaż gdzieś tu muszą być. Wszystkie budynki rządowe są pod obserwacją. Waham się jeszcze sekundę, a potem przeskakuję przez bramę i doganiam Hanę. Jej oczy błyszczą z podniecenia i dałabym sobie głowę uciąć, że to wszystko sobie zaplanowała.

– Pewnie właśnie tędy dostali się tu Odmieńcy – wyrzuca z siebie jednym tchem, jak gdybyśmy ani na chwilę nie przestały rozmawiać o wczorajszych wydarzeniach w laboratorium. – Jak myślisz?

– Chyba nie było to trudne – silę się na naturalny ton, ale wszystko wokół: pusta droga dojazdowa, błyszczący w słońcu ogromny parking, niebieskie kontenery na śmieci, przecinające niebo linie wysokiego napięcia oraz lśniąca biel pochyłych laboratoryjnych dachów, budzi mój niepokój. Całe otoczenie laboratoryjnych dachów, budzi mój niepokój. Całe otoczenie wydaje się ciche i spokojne, niemal nieruchome, tak jak w snach albo tuż przed potężną burzą. Chociaż nie mówię tego głośno, wiele dałabym za to, by wrócić do starego portu, do znajomego labiryntu ulic i sklepów.

Mimo że wokół nie ma ani żywej duszy, cały czas mam wrażenie, że jestem obserwowana. To gorsze uczucie niż w szkole, na ulicy czy nawet w domu, kiedy trzeba uważać na wszystko, co się robi lub mówi, gdzie każdy się w końcu przyzwyczaja do tego przenikliwego uczucia wewnętrznej blokady.

– No raczej. – Hana kopie w ubitą drogę. Chmura pyłu podnosi się, a potem powoli opada. – W sumie dosyć marna ochrona dla centrum medycznego.

– Nawet dla minizoo byłaby marna – dodaje.

– Wypraszam sobie – dochodzi nas głos zza pleców i obie

z Haną zamieramy.

Odwracam się. I świat na moment zastyga.

Przed nami stoi chłopak z założonymi na piersiach rękami i przekrzywioną na bok głową. Ma ciemną cerę i złotobrazowe włosy, jak jesienne liście tuż przed opadnięciem.

To on. To jego widziałam wczoraj na platformie obserwacyjnej. Odmieniec.

Tyle że najwyraźniej nie jest Odmieńcem. Ma na sobie niebieski mundur strażnika z krótkimi rękawami i dzinsy, a do kołnierzyka przypięty laminowany rządowy identyfikator.

– Odchodzę na dwie sekundy, żeby nalać sobie wody – wskazuje na pełną butelkę, którą trzyma w ręku – wracam i co wskazuje na pełną butelkę, którą trzyma w ręku – wracam i co spotykam?

Dwie włamywaczki.

Z zaskoczenia nie jestem w stanie się poruszyć ani wypowiedzieć słowa. Hana pewnie myśli, że jestem przerażona, bo wtrąca szybko:

– Nie chciałyśmy się włamać. Nic takiego nie zrobiłyśmy.

Chciałyśmy tylko pobiegać i... hm, zgubiłyśmy się.

Chłopak krzyżuje ręce na piersi i kołysze się na piętach.

– Nie widziałyście znaków na bramie, he? „Przejścia nie ma”? „Wstęp wzbroniony”?

Hana odwraca wzrok. Ona też jest zdenerwowana. Czuję to. Normalnie jest tysiąc razy bardziej pewna siebie niż ja, ale żadna z nas nie jest przyzwyczajona do rozmów z chłopakiem, a już tym bardziej z chłopakiem-strażnikiem. A do tego musiało do niej dotrzeć, że istnieje mnóstwo powodów, dla których mogliby nas teraz aresztować.

– Pewnie ich nie zauważyłyśmy – mamrocze.

– Aha. – Chłopak unosi brwi. Widać, że nam nie wierzy, ale przynajmniej nie wygląda na to, żeby był zły. – Rzeczywiście, nie rzucają się w oczy. To tylko jakieś kilkadziesiąt znaków. W sumie łatwo je było przeoczyć.

Odwraca wzrok na chwilę, mrużąc oczy, i mam wrażenie, że z trudem powstrzymuje się od śmiechu. Nie jest podobny do żadnego ze strażników, których widywałam do tej pory – a przynajmniej nie tych, których spotyka się na granicy i w całym Portland: grubych, antypatycznych i podstarzałych. Przypomina mi się, jak wczoraj wewnętrzny głos podpowiadał mi, że to mi się, jak wczoraj wewnętrzny głos podpowiadał mi, że to chłopak z Głuszy, jak bardzo byłam tego pewna. Musiałam się jednak pomylić. Gdy odwraca głowę, widzę niewątpliwy znak,

że jest wyleczony: to ślad po zabiegu, blizna złożona z trzech punktów tuż za lewym uchem. To miejsce, gdzie lekarze wbijają specjalną potrójną igłę używaną do znieczulania pacjentów przed zabiegiem. Często ludzie z dumą odsłaniają swoje blizny. Rzadko widzi się wyleczonych z długimi włosami, a kobiety, które nie ścięły ich całkiem, zwykle zaczesują je do tyłu. Cały mój strach nagle ulatuje. Rozmowy z wyleczonymi nie są nielegalne. Tutaj zasady segregacji nie obowiązują. Zastanawiam się, czy mnie rozpoznał. Jeśli tak, to niczego nie okazuje. Wreszcie nie wytrzymuję:

– Hej, widziałam cię... – w ostatniej sekundzie coś mnie powstrzymuje przed dokończeniem zdania. Widziałam cię wczoraj.

Mrugnąłeś do mnie.

– Znacie się? – Hana, oszołomiona, rzuca mi piorunujące spojrzenie. Dobrze wie, że nigdy nie zamieniam ani słowa z chłopakiem, chyba że jest to „przepraszam” wybąkane na ulicy, albo „nie chciałam”, kiedy na kogoś wpadnę i nadepnę mu na nogę. Z nieleczonymi chłopcami spoza rodziny wolno nam mieć najwyżej minimalny kontakt. Nawet gdy są po zabiegu, trudno znaleźć usprawiedliwienie dla takich kontaktów, chyba że jest to lekarz, nauczyciel lub ktoś, czyja pomoc jest nam potrzebna.

Chłopak odwraca się w moją stronę. Jego twarz jest całkowicie spokojna i niewzruszona, ale mogłabym przysiąc, że całkowicie spokojna i niewzruszona, ale mogłabym przysiąc, że widzę w jego oczach jakiś błysk. Rozbawienia? Zadowolenia?

– Nie – odpowiada bez zająknięcia. – Nigdy cię nie widziałem. Z pewnością bym zapamiętał. – I znów ten błysk w oczach. Czy on się ze mnie nabija?

– Jestem Hana. A to jest Lena. – Hana trąca mnie łokciem.

Wiem, że kiedy tak stoję z ustami szeroko otwartymi jak ryba, muszę wyglądać idiotycznie, ale z oburzenia nie jestem w stanie wyduścić z siebie ani słowa. On kłamie. Jestem pewna, że to jego widziałam wczoraj, dałabym sobie głowę uciąć!

– Alex. Miło was poznać. – Ściskając dłoń Hany, Alex nie odrywa ode mnie wzroku. A potem wyciąga rękę do mnie. –

Lena – powtarza w zadumie. – Nigdy wcześniej nie spotkałem się z tym imieniem.

Uściski dłoni krępują mnie – czuję się wtedy jak małe dziecko przebierające się w ciuchy dorosłych. Poza tym nigdy tak naprawdę nie dotykałam nieznajomego, ale po chwili wahania ściskam jego rękę. Wtedy nagle przebiega mnie prąd, więc szybko cofam dłoń.



– To skrót od Magdaleny – wyjaśniam.

– Magdalena. – Alex odchyła głowę, obserwując mnie spod wpeł przymrużonych powiek. – Ładnie.

To niesamowite, jak wymawia moje imię. W jego ustach brzmi ono melodyjnie, a nie kanciasto i chropowato jak u moich nauczycieli. Jego oczy mają ciepły bursztynowy kolor i gdy tak na niego patrzę, przypomina mi się nagle mama polewająca syropem stos naleśników. Odwracam głowę, zawstydzona, jak gdyby Alex był w jakiś sposób odpowiedzialny za przywołanie tego wspomnienia, jak gdyby sięgnął po nie ręką i wyszarpnął z mego wnętrza. Własne skrępowanie budzi mój gniew, więc powtarzam uparcie:

– Naprawdę cię znam. Widziałam cię wczoraj w laboratorium. Siedziałeś na platformie i obserwowałeś... wszystko. – I znów odwaga mnie zawodzi, w ostatniej sekundzie powstrzymuję się od powiedzenia: „obserwowałeś mnie”. Czuję na sobie spojrzenie Hany – musi być wściekła, że jej o tym nie powiedziałam.

Twarz Aleksa ani drgnie. Nawet nie mrugnie, a do tego ani na chwilę nie przestaje się uśmiechać.

– Musiał to być ktoś do mnie podobny. Strażnikom nie wolno wchodzić do laboratoriów podczas ewaluacji. A już tym bardziej zatrudnionym na pół etatu.

Jeszcze przez chwilę mierzymy się wzrokiem. Teraz mam już pewność, że kłamie, a ten bezczelny, szeroki uśmiech budzi we mnie ochotę, by dać mu w twarz. Zaciskam pięści i biorę głęboki oddech, próbując się uspokoić. Nie jestem agresywną osobą. Nie mam pojęcia, co we mnie wstąpiło.

Wreszcie wtrąca się Hana, przerywając napięcie.

– A więc to wszystko? Strażnik na pół etatu i kilka znaków zakazu?

Alex jeszcze przez pół sekundy nie spuszcza ze mnie wzroku. Potem odwraca się do Hany, jak gdyby dopiero teraz zauważył jej istnienie.

– To znaczy?

– Po prostu mogłoby się wydawać, że laboratorium

– Po prostu mogłoby się wydawać, że laboratorium powinno być lepiej chronione. Nie wygląda na to, że trudno się tu włamać.

Alex unosi brwi.

– A miałaś taki zamiar?

Hana zamiera, a mnie staje serce. Obie wiemy, że posunęła

się za daleko. Jeśli Alex zgłosi nas jako potencjalne sympatyczki lub wicherzycielki, czekają nas miesiące śledztwa i ciągłego nadzoru – i możemy się pożegnać z szansą na porządny wynik ewaluacji. Staje mi przed oczami moje przyszłe życie, w którym będę musiała wiecznie oglądać Andrew Marcusa dłubiącego w nosie, i robi mi się niedobrze.

Alex musiał wyczuć nasz strach, ponieważ podnosi rękę do góry.

– Spokojnie. Tylko żartowałem. Raczej nie wyglądacie na terrorystki.

Nagle dociera do mnie, jak idiotycznie musimy wyglądać w spodniach do biegania, przepoconych koszulkach i neonowych trampkach. A przynajmniej ja. Hana, rzecz jasna, wygląda jak żywcem wyjęta z reklamy ubrań sportowych. Czuję, jak znowu oblewam się rumieńcem, a zaraz po tym ogarnia mnie irytacja. Jak dobrze, że wprowadzono segregację płci. Nie wyobrażam sobie, jaki to byłby koszmar: ciągle czuć tę złość, zawstydzenie, zmieszanie i rozdrażnienie.

– To jest tylko teren magazynów. – Alex wskazuje na metalowe kontenery. – Prawdziwa ochrona zaczyna się bliżej samego laboratorium. Pełnoetatowi strażnicy, kamery, ogrodzenie pod napięciem i takie tam.

Hana nie patrzy na mnie, ale gdy się odzywa, słyszę w jej głosie ekscytację:

– Teren magazynów? A więc to tędy przychodzą przesyłki do laboratorium?

Zaczynam się w myślach modlić: Nie palnij niczego głupiego. Nie palnij niczego głupiego. Nie wspominaj o Odmieńcach.

– Owszem.

Hana kołysze się na piętach. Próbuję przywołać ją spojrzeniem, ale unika mojego wzroku.

– A więc tędy wjeżdżają ciężarówki? Ze sprzętem medycznym, na przykład?

– Tak jest. – I znowu dostrzegam błysk w oczach Aleksa, chociaż reszta jego twarzy pozostaje całkowicie spokojna. W ogóle mu nie wierzę. Znowu zaczynam się zastanawiać, dlaczego kłamał na temat wczorajszego spotkania w laboratorium. Może tylko dlatego, że to niedozwolone, jak sam przyznał. A może dlatego, że śmiał się, zamiast nam pomóc.

A może rzeczywiście mnie nie poznał. Nasze oczy spotkały się tylko na kilka sekund i z pewnością dla niego byłam tylko niewyraźną, zwyczajną twarzą, którą trudno zapamiętać.

Niespecjalnie ładną. Chociaż też niebrzydka. Po prostu przeciętną jak tysiące innych twarzy widywanych na ulicy. Jemu natomiast, muszę przyznać, daleko do przeciętności. Wciąż nie dociera do mnie niezwykłość całej sytuacji: że oto rozmawiam z nieznanym chłopakiem, choćby i wyleczonym. rozmawiam z nieznanym chłopakiem, choćby i wyleczonym. Mimo zawrotów głowy zmysły mam tak wyostrzone, że zwracam uwagę na każdy najdrobniejszy szczegół jego postaci. Dostrzegam kosmyk włosów okalający bliznę za uchem jak ramka. Mój wzrok przykuwają też duże brązowe dłonie, biel zębów oraz doskonała symetria jego twarzy. Pasek przytrzymuje wypłowiałe dzinsy osadzone nisko na biodrach, a sznurówki trampek mają przedziwny atramentowy kolor, jak gdyby pomalował je długopisem.

Zastanawiam się, ile ma lat. Wygląda na mój wiek, ale musi być nieco starszy – dałabym mu jakieś dziewiętnaście lat. Przez głowę przelatuje mi szybko pytanie, czy został już sparowany. Na pewno tak. Nie ma innej możliwości.

Wpatruję się w niego bezwiednie, kiedy nagle odwraca się i wbija we mnie wzrok. Szybko spuszczam oczy, zdjęta nagle irracjonalnym lękiem, że chłopak czyta w moich myślach.

– Fajnie by było rozejrzeć się po okolicy – wali Hana prosto z mostu. Gdy Alex nie patrzy, podszcypuję ją i Hana wzdryga się, spoglądając na mnie z miną winowajcy. Dobrze, że chociaż nie zaczęła go wypytywać na temat wczorajszych wydarzeń – wtedy już na pewno wyładowałybyśmy w więzieniu albo na przesłuchaniu.

Alex podrzuca butelkę z wodą i łapie ją jedną ręką.

– Uwierz mi, nie ma tu nic do oglądania. No chyba że jesteś fanką odpadów przemysłowych. Tego akurat mamy tutaj pod dostatkiem. – Wskazuje głową w stronę kontenerów na śmieci. – A, i najlepszy widok na zatokę w Portland. To ogromny plus pracy w tym miejscu.

ogromny plus pracy w tym miejscu.

– Poważnie? – Hana marszczy nos, natychmiast zapominając o Odmieńcach.

Alex kiwa głową i jeszcze raz podrzuca butelkę, która zatacza łuk w powietrzu, a woda migocze w blasku słońca niczym drogocenne kamienie.

– To akurat mogę wam pokazać – mówi. – Chodźcie.

O niczym innym nie marzę, jak tylko by wydostać się stąd jak najprędzej, ale Hana mówi: „jasne”, więc wlokę się za nią, w duchu przeklinając jej ciekawość i obsesję na punkcie

wszystkiego, co jest związane z Odmieńcami, i obiecuję sobie, że już nigdy nie pozwolę jej wybrać trasy. Razem z Aleksem idzie z przodu, do mnie docierają więc zaledwie strzępy ich rozmowy: chłopak mówi, że uczy się na jakiejś wyższej uczelni, ale nie słyszę już, co studiuje. Hana z kolei oświadcza, że właśnie kończymy szkołę. Dowiaduję się, że Alex ma dziewiętnaście lat, a Hana wyznaje mu, że obie skończymy osiemnastkę za kilka miesięcy. Na szczęście oboje unikają tematu wczorajszych ewaluacji.

Droga dojazdowa łączy się z inną, mniejszą, która biegnie równoległe do Fore Street, łącząc się potem z Eastern Promenade. Dalej ciągnie się rząd długich, metalowych magazynów. Słońce wysoko na niebie praży bezlitośnie. Potwornie chce mi się pić, ale kiedy Alex odwraca się i proponuje mi wodę ze swojej butelki, odmawiam szybko i zbyt głośno. Na myśl, że moje usta miałyby dotykać tego samego co jego wargi, ciarki przechodzą mi po plecach.

Gdy zmęczeni docieramy na szczyt wzgórza, po prawej stronie rozciąga się zatoka przypominająca ogromną mapę, błyszczącą, migoczącą układankę rozmaitych odcieni błękitu i zieleni. Hana wzdycha cicho. Widok jest olśniewający. Po niebie płyną miękkie białe chmury, przywodzące na myśl puchowe poduszki, mewy nad wodą zataczają leniwe łuki, a ptaki zbierają się w klucze po to, by za chwilę znowu się rozproszyć.

Hana robi kilka kroków do przodu.

– To niesamowite. Cudowne, prawda? Mogłabym patrzeć na ten widok całe życie i nigdy by mi się nie znudził. – Odwraca się i spogląda na mnie. – Chyba najbardziej lubię ocean o tej porze dnia: środek popołudnia, wszystko zalane słońcem. Jak na fotografii. A ty, Lena?

Rozkoszuję się wiatrem szalejącym na szczycie wzgórza, który owiewa mi ręce i nogi, przynosząc orzeźwienie i radość, oraz widokiem zatoki i mrugającym wysoko okiem słońca, i prawie zapominam, że Alex jest z nami. Zwolnił podczas wspinaczki, a potem stanął kilka kroków za nami i od kiedy weszliśmy na szczyt, nie wypowiedział ani słowa. Dlatego podskakuję jak oparzona, kiedy nachyla się nade mną i wypowiada do mojego ucha jedno słowo:

– Szary.

– Co? – Odwracam się z walącym sercem. Hana stoi teraz twarzą do morza i marudzi, jak żałuje, że nie ma przy sobie aparatu, i jak to jest, że nigdy nie mamy przy sobie tego, czego

akurat potrzebujemy. Alex nachyla się bliżej mnie – tak blisko, że widzę każdą jego rzęsę z osobna, są jak idealne pociągnięcia pędzlem na portretach olejnych, a w jego oczach, płonących jak ogień, dosłownie tańczy światło.

– Co powiedziałaś? – powtarzam cicho zachrypniętym głosem.

Alex nachyla się jeszcze bliżej. Czuję się tak, jakby żar z jego oczu przeskoczył na mnie i płomienie obejmują całe moje ciało. Nigdy w życiu nie byłam tak blisko żadnego chłopaka. Wydaje mi się jednocześnie, że zaraz zemdleję i rzucę się do ucieczki. Nie mogę się jednak ruszyć.

– Powiedziałem, że ocean jest najpiękniejszy wtedy, gdy jest szary. Albo nie do końca szary. Taki blady, trudny do określenia kolor. Przypomina mi oczekiwanie na coś dobrego. A więc pamięta. Był tam. Mam wrażenie, że ziemia pod moimi stopami rozstępuje się jak w tym śnie o mamie. Nie widzę teraz nic oprócz jego oczu, kalejdoskopu światła i cieni.

– Okłamałaś mnie – udaje mi się wychrypieć. – Dlaczego mnie okłamałaś?

Nie odpowiada. Odsuwa się nieco i mówi:

– Oczywiście jeszcze piękniejszy jest o zachodzie słońca. Około ósmej trzydzieści niebo wygląda, jakby płonęło, zwłaszcza w Back Cove. Naprawdę powinnaś to zobaczyć. – Milknie na chwilę i chociaż jego głos jest spokojny i zwyczajny, mam wrażenie, że próbuje mi powiedzieć coś ważnego. – Pewnie dziś wieczorem widok będzie zdumiewający. Mój mózg pracuje na zwiększonych obrotach, próbując przetworzyć to, co powiedział, i sposób, w jaki podkreślał pewne słowa. Aż wreszcie to do mnie dociera: podał mi czas i pewne słowa. Aż wreszcie to do mnie dociera: podał mi czas i miejsce. Proponuje, żebyśmy się spotkali.

– Czy ty mnie właśnie prosisz... – zaczynam, ale w tym samym momencie przybiega Hana i łapie mnie za rękę.

– O Boże – mówi ze śmiechem. – Już jest po piątej! Nie do wiary, co? Musimy iść. – Odciąga mnie, zanim mam szansę odpowiedzieć czy zaprotestować, a gdy po chwili oglądam się przez ramię, by sprawdzić, czy Alex obserwuje mnie lub próbuje dać jakikolwiek znak, chłopak zniknął już z pola widzenia.

## 6

Mamo, powiedz, proszę, jak do domu wrócić,  
Zgubiłam się w lesie, chciałam drogę skrócić.

Spotkał mnie wilkołak i w swej okropności,  
Pokazał mi zęby i wyrwał wnętrzności.  
Mamo, powiedz, proszę, jak do domu wrócić,  
Zgubiłam się w lesie, chciałam drogę skrócić.  
Zatrzymał mnie wampir, miał krzaczastą brew,  
Pokazał mi zęby i wyssał mą krew.  
Mamo, pomóż, proszę, chciałabym iść spać.  
Jestem już półżywa, nie mam siły stać.  
Spotkałam Odmieńca, co urzekł mnie wielce,  
Pokazał mi uśmiech i skradł moje serce.

Powrót do domu, [w:] Rymowanki i opowieści ludowe,  
red. Cory Levinson

Wieczorem nie jestem w stanie na niczym się skupić. Kiedy nakrywam do kolacji, przez pomyłkę nalewam wino do kubeczka Gracie, a sok pomarańczowy do kieliszka wujka. Ścierając na tarce żółty ser, tyle razy ranię sobie palce, że wreszcie Carol wygania mnie z kuchni, mówiąc, że nie ma ochoty na ravioli z naskórkiem. Nie potrafię przestać myśleć o ostatnich słowach Aleksa, o kolorach, jakimi mienią się jego oczy, o tym dziwnym wyrazie twarzy – jak gdyby mnie zapraszał. „Okolo ósmej trzydzieści niebo wygląda, jakby płonęło, zwłaszcza w Back Cove. Naprawdę powinnaś to zobaczyć”.

Czy istnieje choć cień szansy, że chciał mi w ten sposób przekazać ukrytą wiadomość? Czy to możliwe, że prosił mnie o spotkanie?

Już sama myśl o tym przyprawia mnie o zawrót głowy. Myślę też o tym jednym słowie wypowiedzianym cichutko wprost do mego ucha: szary. Był tam, widział mnie, zapamiętał. Mam w głowie taki natłok myśli, że czuję się tak, jak gdyby znad oceanu naciągnęła słynna portlandzka mgła i spowiła mój mózg, uniemożliwiając mi normalne, racjonalne myślenie. Wreszcie Carol zauważa, że coś jest nie tak. Tuż przed kolacją jak zawsze pomagam Jenny w zadaniu domowym, odpytując ją z tabliczki mnożenia. Siedzimy na podłodze w odpytując ją z tabliczki mnożenia. Siedzimy na podłodze w salonie wciśniętym tuż obok „jadalni” (czyli wnęki, która może pomieścić ledwie stół i sześć krzeseł), trzymam na kolanach jej podręcznik, czytając zadania, ale moje myśli same odpływają o miliony kilometrów stąd. A raczej o pięć i pół kilometra, na bagnisty brzeg Back Cove. Znam dokładnie odległość od domu, bo nieraz wybierałam tę trasę do biegania. Zaczynam liczyć, jak szybko mogłabym się tam dostać na rowerze, a zaraz potem karczę się za to, że w ogóle myślę o czymś takim.

– Siedem razy osiem?

Jenny zaciska usta.

– Pięćdziesiąt sześć.

– Dziewięć razy sześć?

– Pięćdziesiąt dwa.

Z drugiej strony nie ma przepisów, które zakazują spotkań z wyleczonymi. Wyleczeni są bezpieczni. Mogą być mentorami lub przewodnikami dla nieleczonych. Chociaż Alex jest tylko o rok starszy ode mnie, dzieli nas przepaść, ogromna i nie do przebycia, którą wyznacza zabieg. Równie dobrze mógłby być moim dziadkiem.

– Siedem razy jedenaście?

– Siedemdziesiąt siedem.

– Lena. – Carol wychodzi z kuchni, mija stół w jadalni i staje przed nami. Mrugam dwa razy oczami, starając się wrócić do rzeczywistości. Twarz Carol jest ściągnięta troską. – Coś jest nie tak?

– Nie. – Szybko spuszczam wzrok. Nie znoszę, gdy patrzy na mnie w ten sposób, jak gdyby zaglądała w najciemniejsze zakamarki mojej duszy. Czuję się winna, że myślałam o jakimś chłopaku, nawet wyleczonym. Gdyby wiedziała, powiedziałaby: „Och, Lena. Uwważaj. Pamiętaj, jak skończyła twoja matka. Ta choroba może być dziedziczna”. – Czemu pytasz?

Wbijam wzrok w wytarty dywan leżący na podłodze.

Carol nachyla się, bierze podręcznik Jenny z moich kolan i mówi głośno swoim czystym, wysokim głosem:

– Dziewięć razy sześć jest pięćdziesiąt cztery. – Zamyka książkę z trzaskiem. – Nie pięćdziesiąt dwa, Leno.

Przypuszczam, że znasz tabliczkę mnożenia?

Jenny pokazuje mi język.

Przyłapaną na tak żenującej pomyłce oblewam się rumieńcem.

– Przepraszam. Chyba jestem trochę... zdekoncentrowana.

Następuje chwila ciszy. Czuję na karku wzrok Carol, jakby wypalał tam dziurę. Mam wrażenie, że jeśli dalej będzie na mnie tak patrzeć, zacznę krzyczeć albo płakać, albo nawet wyznam wszystko.

Wreszcie Carol wzdycha:

– Wciąż myślisz o ewaluacji, prawda?

Wypuszczam z policzków powietrze, czując, jak kamień spada mi z serca.

– Chyba tak. – Ośmielam się podnieść na nią wzrok. Przez

jej twarz przemyka nikły uśmiech.

– Domyślam się, jak bardzo jesteś rozczarowana, że będziesz musiała przejść to wszystko raz jeszcze, ale spróbuj na to spojrzeć od innej strony: tym razem będziesz jeszcze lepiej to spojrzeć od innej strony: tym razem będziesz jeszcze lepiej przygotowana.

Kiwam głową i staram się wykrzesać z siebie odrobinę entuzjazmu, chociaż w środku kielkuje we mnie poczucie winy. Prawda jest taka, że od rana, od kiedy dowiedziałam się, że wyniki zostaną anulowane, ani razu nie pomyślałam o ewaluacji.

– Tak, masz rację.

– Chodź teraz na kolację. – Carol wyciąga rękę i przesuwając palcem po moim czole. Jej dotyk, chłodny, uspokajający, muska mnie jak leciutkie poruszenie wiatru. Poczucie winy staje się coraz silniejsze i w tej chwili nie mogę uwierzyć, że w ogóle brałam pod uwagę wyprawę do Back Cove. Nie mam wątpliwości, że to absolutnie niewłaściwe. A gdy podnoszę się, by zasiać do kolacji, towarzyszy mi uczucie czystości, lekkości i szczęścia, jak wtedy gdy człowiek wraca do zdrowia po długiej gorączce.

Przy kolacji jednak moja ciekawość – a wraz z nią wątpliwości – powracają. Wyłączam się zupełnie z rozmowy przy stole. Mam w głowie tylko jedno pytanie: iść czy nie iść? Iść czy nie iść? Gdy wujek relacjonuje sprawę z jakimś klientem, zauważam, że wszyscy się śmieją, więc również się śmieję, lecz trochę zbyt głośno i zbyt długo. Wszystkie oczy kierują się w moją stronę, nawet Gracie, która marszczy nos i przekrzywia głowę jak pies obwąchujący coś nowego.

– Wszystko w porządku, Leno? – pyta wujek, poprawiając okulary, jak gdyby chciał mi się lepiej przyjrzeć. – Wyglądasz jakoś nieswojo.

Wyglądasz jakoś nieswojo.

– Nic mi nie jest. – Bawię się pierożkami na talerzu.

Normalnie jestem w stanie sama spałaszować pół opakowania, zwłaszcza po długim biegu, a i tak znajdę jeszcze miejsce na deser, ale teraz ledwo udało mi się przełknąć kilka kęsów. – To tylko stres.

– Zostaw ją w spokoju – mówi Carol. – Przejmuje się ewaluacją. Nie wyszło tak, jak planowała.

Podnosi oczy na wujka i wymieniają szybkie spojrzenia.

Przechodzą mnie ciarki. Ciocia z wujkiem rzadko spoglądają na siebie tak znacząco, jakby porozumiewali się bez słów. Z reguły ich interakcje ograniczają się do spraw codziennych: wujek



opowiada historie z pracy, a ciocia plotki o sąsiadach. Co jest na obiad? Dach przecieka. Bla, bla, bla. Mam nadzieję, że choć raz wspomną o Głuszy i o Odmieńcach.

Wujek tylko przez chwilę kręci głową.

– Tego typu pomyłki zdarzają się co chwila – mówi, nabijając ravioli na widelec. – Kiedyś poprosiłem Andrew, by zamówił trzy zgrzewki soku pomarańczowego. Tyle że pomylił kody i wiecie, co przywiózł? Trzy zgrzewki odżywek dla niemowląt. Mówię mu: Andrew...

Znowu się wyłączam, wdzięczna, że wujek jest takim gadułą, i szczęśliwa, że ciocia stanęła w mojej obronie.

Pozytywne w byciu nieśmiałym jest to, że nikt cię nie męczy, kiedy chcesz zostać sama. Wychylam się i zerkam ukradkiem na zegar w kuchni. Siódma trzydzieści, a my nawet nie skończyliśmy jeść. A przecież potem czeka mnie jeszcze pomoc w sprzątaniu ze stołu i zmywaniu, co zawsze trwa wieki. w sprzątaniu ze stołu i zmywaniu, co zawsze trwa wieki. Zmywarki są zbyt energochłonne, więc wszystko zmywamy ręcznie.

Słońce za oknem naznaczone jest smugami złota i różu.

Wygląda jak te cukrowe cacka z wystawy cukierni w centrum miasta – błyszczące, kolorowe pasma. Zachód z pewnością będzie dzisiaj przepiękny. W tej chwili tak mocno pragnę znaleźć się w Back Cove, że muszę przytrzymać się krzesła, by nie zerwać się nagle i nie wybiec na zewnątrz.

Wreszcie postanawiam przestać się stresować i zdać się na przypadek, albo przeznaczenie, jakkolwiek to zwać. Jeśli skończymy jeść, a ja uporam się ze zmywaniem na tyle wcześniej, żeby zdążyć do Back Cove, to pójdę. Jeśli nie, zostanę. Podjąwszy wreszcie decyzję, czuję się milion razy lepiej i nawet udaje mi się przełknąć jeszcze kilka kęsów. A potem Jenny – cud prawdziwy! – dostaje nagle przyspieszenia na finiszu i opróżnia swój talerz, ciocia zaś oznajmia mi, że skoro już skończyłam jeść, mogę zabrać się za zmywanie.

Podnoszę się i zaczynam zbierać wszystkie talerze. Jest prawie ósma. Nawet jeśli pozmywam w piętnaście minut – a to nie będzie łatwe – i tak trudno mi będzie dostać się na plażę przed ósmą trzydzieści. A już mogę całkiem zapomnieć o powrocie przed dziewiątą, kiedy zaczyna się godzina policyjna, ustanowiona przez władze miejskie dla nieleczonych.

A jeśli złapią mnie poza domem po godzinie policyjnej...

Rzecz w tym, że nie mam pojęcia, co wtedy. Nigdy dotąd nie złamałam godziny policyjnej.

I właśnie w chwili, gdy pogodziłam się z tym, że nie mam szans dotrzeć do Back Cove i wrócić na czas, Carol robi coś niewiarygodnego. Gdy sięgam po jej talerz, zatrzymuje mnie.

– Nie musisz dzisiaj zmywać, Lena. Ja to zrobię.

Mówiąc to, kładzie mi rękę ramieniu. Tak jak przedtem, jej dotyk jest chłodny i przelotny jak wiatr.

Wtedy, zanim zdążę się zastanowić nad konsekwencjami, wyrzucam z siebie:

– Tak właściwie to muszę szybko biec do Hany.

– Teraz? – Po twarzy ciotki przebiega cień niepokoju. A może raczej podejrzenia? – Jest już prawie ósma.

– Wiem. Musimy... to znaczy muszę wziąć od Hany jeden podręcznik. Właśnie sobie przypomniałam.

Podejrzenie – teraz już jestem pewna, że to podejrzenie – maluje się wyraźnie na jej twarzy, ściąga jej brwi i zaciska usta.

– Przecież nie macie teraz razem żadnych lekcji. A egzaminy już zdałyście. Co jest aż tak ważne, że nie może poczekać do jutra?

– To nie na lekcje. – Przewracam oczami, próbując naśladować nonszalancję Hany, chociaż dłonie mam całe wilgotne, a serce wali mi w piersi jak oszalałe. – To coś jak przewodnik ze wskazówkami. Na ewaluację. Hana wie, że muszę jeszcze poćwiczyć, bo wczoraj miałam niezłą blokadę. I znowu ciocia rzuca wujkowi ukradkowe spojrzenie.

– Godzina policyjna już wkrótce – mówi. – Jeśli cię wtedy złapią...

Nerwy mi puszczają.

Nerwy mi puszczają.

– Wiem, kiedy jest godzina policyjna – wybucham. – Przez całe życie nie słyszę nic innego tylko „godzina policyjna” i „godzina policyjna”.

Już kiedy wypowiadam te słowa, ogarniają mnie wyrzuty sumienia i szybko spuszczam wzrok, by uniknąć spojrzenia Carol. Nigdy nie pyskowałam, zawsze starałam się być całkowicie posłuszna i bardzo cierpliwa, a wręcz niewidzialna: ot, miła dziewczyna, która pomaga zmywać naczynia, opiekuje się dziećmi, odrabia lekcje, słucha poleceń i nie sprawia żadnych kłopotów. Wiem, że powinnam być wdzięczna Carol za to, że przygarnęła mnie i Rachel po śmierci mamy. Gdyby nie ona, prawdopodobnie skończyłabym w sierocińcu – zaniedbana, bez wykształcenia – a potem najpewniej przydzielono by mnie do pracy w rzeźni, gdzie sprzątałabym owcze wnętrzności albo

krowie odchody. A jeśli bym miała szczęście, to może – może! – udałoby mi się dostać pracę sprzątaczkę.

Nikt nie odważyłby się adoptować dziecka, którego przeszłość skalana jest chorobą.

Chciałabym teraz zajrzeć do jej głowy. Nie mam pojęcia, co myśli, ale wygląda, jakby mnie analizowała, próbowała rozszyfrować moją twarz. Powtarzam ciągle w myślach: nie robię nic złego, to nieszkodliwe, jestem w porządku, i wycieram ręce o tył spodni, pewna, że zostawiam na nich plamy potu.

– Tylko szybko – odpowiada wreszcie i już mnie nie ma.

Pędzę na górę i zmieniam sandały na trampki, a potem zbiegam na dół i wypadam przez drzwi. Carol ledwie zdążyła zanieść naczynia do kuchni. Gdy ją mijam w pędzie, krzyczy coś do naczynia do kuchni. Gdy ją mijam w pędzie, krzyczy coś do mnie, lecz jestem już w drzwiach i nie słyszę jej słów. Zegar stojący w salonie zaczyna bić w momencie, gdy zatrząskują się za mną drzwi. Jest ósma.

Odpinam rower i wyprowadzam go na ulicę. Chybotliwe pedały zgrzytają i skrzypią. Rower należał przedtem do Marcii i ma pewnie jakieś piętnaście lat, a parkowanie go przez cały rok pod gołym niebem z pewnością mu nie służy.

Wsiadam na rower i ruszam w stronę Back Cove. Trasa na szczęście wiedzie z górki. O tej porze ulice są niemal puste. Wyleczeni siedzą zwykle w domach, jedzą kolację lub po niej sprzątają albo też ścielą łóżka, szykując się do kolejnej nocy bez snów, a wszyscy nieleczeni są już w domu lub w drodze do niego, nerwowo spoglądając na wskazówki zegarka biegnące szybko ku dziewiątej, kiedy zaczyna się godzina policyjna. Nogi ciągle mnie boją po dzisiejszym biegu. Jeśli uda mi się zdążyć do Back Cove na czas i Alex tam będzie, po takiej jeździe nie będę wyglądać zbyt zachęcająco. Ale co mi tam. Teraz gdy udało mi się wydostać z domu, odsuwam od siebie wszystkie pytania i wątpliwości, a całą energię skupiam na pedałowaniu, na ile tylko pozwala mi powracający skurcz w łydkach. Kierując się w stronę zatoki, wybieram wszystkie znajome skróty, a przy okazji obserwuję słońce zmierzające nieubłaganie ku płonącej złotym blaskiem linii horyzontu. Wygląda to tak, jak gdyby jaskrawoturkusowe niebo było wodą, a światło właśnie w niej tonęło.

O tej porze byłam sama poza domem tylko kilka razy i muszę przyznać, że jest to dziwne uczucie – przerażające i muszę przyznać, że jest to dziwne uczucie – przerażające i ekscytujące zarazem, tak jak dzisiejsza rozmowa z Alekssem:

jakby to oko, które wiecznie się obraca i obserwuje wszystko wokół, zostało oślepienie na ułamek sekundy, jak gdyby ręka, której całe życie się trzymasz, nagle zniknęła i zostawiła ci swobodę ruchu.

Z okien wokół mnie sączy się słabe światło, głównie świec i latarenek. To uboga dzielnica, gdzie wszystko jest racjonowane, zwłaszcza gaz i prąd. Gdy skręcam w Preble Street, słońce zasłaniają mi kilkupiętrowe gęsto upakowane budynki: wysokie, wąskie, ciemne budowle, ściśnięte obok siebie, jakby już szykowały się na zimę. Szczerze mówiąc, nie myślałam właściwie o tym, co powiem Aleksowi, i nagle myśl, że znajdę się z nim sam na sam, przyprawia mnie o ból brzucha. Muszę natychmiast zatrzymać rower i złapać oddech. Serce wali mi w piersi jak oszalałe. Po minucie odpoczynku wznawiam pedałowanie, tym razem wolniej. Zostało mi jeszcze jakieś półtora kilometra, ale już widzę po prawej stronie migoczącą zatokę. Słońce wisi tuż nad ciemną masą drzew na horyzoncie. Mam dziesięć, góra piętnaście minut, zanim zapadnie całkowita ciemność.

Niespodziewanie inna myśl uderza mnie niczym pięść, tak że o mało nie przystaję: nie będzie go tam. Spóźnię się i już sobie pójdzie. Albo okaże się, że to żart, albo pułapka.

Kładę rękę na brzuchu, by utrzymać kolację na miejscu, i przyspieszam jeszcze bardziej.

Jestem tak skupiona na pedałowaniu – lewa, prawa, lewa, prawa – i walce z przewodem pokarmowym, że nie słyszę nadejścia porządkowych. Już mam przejechać pędem przez dawno niedziałające światła na Baxter Boulevard, kiedy znienacka oślepia mnie ściana szybko zbliżających się i podskakujących świateł: promienie kilkunastu latarek świecą mi prosto w oczy, tak że muszę się natychmiast zatrzymać i zasłonić ręką twarz. Mało brakuje, a przeleciałabym przez kierownicę – a to byłaby prawdziwa katastrofa, gdyż wybiegając z domu w pośpiechu, zapomniałam o kasku.

– Stać! – Słyszę ostry głos jednego z porządkowych, jak się domyślam, dowódcy patrolu. – Proszę o dowód.

Grupy porządkowych – zarówno ochotników, jak i pełnoetatowych strażników opłacanych przez państwo – patrolują co wieczór miasto w poszukiwaniu nieleczonych łamiących godzinę policyjną, sprawdzają ulice i – jeśli zasłony są odsłonięte – domy w poszukiwaniu podejrzanych zachowań, na przykład dwojga nieleczonych dotykających się lub spacerujących razem po zmroku, lub nawet dwojga wyleczonych przyłapanych na „czynnościach, które mogą

sygnalizować nawrót delirii po zabiegu”, jak zbyt częste przytulanie się i całowanie. Wprawdzie zdarza się to rzadko, ale jednak.

Porządkowi odpowiadają bezpośrednio przed rządem i współpracują z lekarzami z laboratorium. To przez nich odesłano moją mamę na trzeci zabieg. Przechodzący patrol zauważył pewnego wieczoru, zaraz po jej drugim zabiegu, jak płacze nad fotografią. Wpatrywała się w zdjęcie taty, zapomniawszy wcześniej dokładnie zasłonić okna. Nie minęło kilka dni, nim wcześniej dokładnie zasłonić okna. Nie minęło kilka dni, nim znowu wylądowała w laboratorium.

Zwykle uniknięcie porządkowych nie jest trudne. Można ich usłyszeć praktycznie z odległości kilometra lub nawet dwóch. Noszą z sobą krótkofalówki, za pomocą których koordynują z innymi grupami trasy patrolu i z powodu zakłóceń fal radiowych brzmią jak zbliżający się wielki brzęczący rój szerszeni. Po prostu nie uważałam. Przeklinam się w myślach za własną głupotę i wyciągam portfel z tylnej kieszonki. Dobrze, że przynajmniej o tym nie zapomniałam. Nie można się poruszać po Portland bez dowodu. Ostatnią rzeczą, o jakiej marzę, jest spędzenie nocy w więzieniu, podczas gdy władze weryfikowałyby moją tożsamość.

– Magdalena Ella Haloway. – Próbując zachować spokój w głosie, podaję dowód dowódcy patrolu. Przez światło latarki wycelowane w moje oczy nie widzę go dobrze. Jest duży, tylko tyle wiem. Wysoki, chudy, kanciasty.

– Magdalena Ella Haloway – powtarza. Obraca mój dowód w swoich długich palcach i spogląda na numer identyfikacyjny, unikatowy dla każdego obywatela USA. Pierwsze trzy cyfry oznaczają stan, kolejne trzy miasto, następne trzy rodzinę, a ostatnie cztery tożsamość człowieka. – Co tu robisz o tej porze, Magdaleno? Do godziny policyjnej zostało niecałe czterdzieści minut.

Niecałe czterdzieści minut. A więc jest prawie wpół do dziewiątej. Przeszuję z nogi na nogę, starając się ze wszystkich sił nie okazywać zniecierpliwienia. Wielu porządkowych – zwłaszcza ochotników – to kiepsko opłacani pracownicy służb miejskich: w ciągu dnia myją szyby, odczytują liczniki gazu lub pracują jako ochroniarze.

Biorę głęboki oddech i staram się odpowiedzieć najbardziej niewinnym tonem:

– Chciałam się tylko przejechać do Back Cove. – Próbuję

się uśmiechnąć i przybrać gapowaty wygląd. – Przejadłam się w czasie kolacji. – Nie ma sensu kłamać więcej. Mogłabym się tylko pograć.

Dowódca patrolu z dowodem w rękę nie spuszcza ze mnie wzroku, nadal oślepiając mnie latarką. Przez sekundę wyczuwam w jego ruchach wahanie i kiedy jestem niemal pewna, że zamierza mnie puścić, podaje mój dowód innemu porządkowemu.

– Wrzuć to do SWD, dobra? Sprawdź, czy jest prawdziwy.

Serce przestaje mi bić. SWD to System Weryfikacji Danych, sieć komputerowa, w której zgromadzone są dane wszystkich obywateli naszego kraju. Zanim komputer sprawdzi dane, minie dwadzieścia, trzydzieści minut, w zależności od tego, jak bardzo przeciążony jest system w danej chwili. Nie sądzę, by podejrzewał mnie o posiadanie fałszywego dowodu, jest po prostu nadgorliwy.

Wtedy zdarza się cud – z tyłu grupy słyszę głos:

– Jest czysta, Gerry. Znam ją. Przychodzi do mnie do sklepu. Mieszka przy Cumberland Avenue 172.

Gerry odwraca się, opuszczając wreszcie latarkę. Mrugam powiekami, by odgonić plamki skaczące mi przed oczyma. powiekami, by odgonić plamki skaczące mi przed oczyma. Mgliście rozpoznaję kilka twarzy – kobieta zatrudniona w osiedlowej pralni chemicznej, która spędza popołudnia oparta o drzwi, żując gumę i plując na ulicę. Policjant z drogówki pracujący niedaleko Franklin Street, jednego z niewielu miejsc w Portland, gdzie ruch uliczny jest na tyle duży, że obecność drogówki jest uzasadniona. I jeden śmieciarz. A z tyłu Dev Howard, właściciel Quikmarta niedaleko naszego domu. Normalnie większość artykułów spożywczych – przede wszystkim jedzenie w puszkach, makarony i porcjowane mięso – przynosi do domu wujek ze swojego sklepu, Stop-N-Save na Munjoy Hill, ale czasem gdy skończy nam się papier toaletowy lub mleko, każą mi skoczyć do Quikmarta. Pan Howard zawsze trochę mnie przerażał. Jest strasznie chudy i ma czarne, głęboko osadzone oczy, przez co przypomina szczura. Dziś jednak mam ochotę go uściskać. Nawet nie wiedziałam, że wie, jak się nazywam. Nigdy nie wyrzekł do mnie ani słowa z wyjątkiem: „czy to wszystko?”, gdy wybijał mój rachunek na kasie, spoglądając na mnie wilkiem spod tych swoich brwi. Notuję w myślach, żeby mu podziękować następnym razem, gdy go spotkam.

Gerry waha się jeszcze przez ułamek sekundy, ale widzę, że inni przestępują z nogi na nogę, zniecierpliwieni, najwyraźniej pragną ruszyć dalej i znaleźć kogoś, kogo rzeczywiście można by przyskrzytnić.

Dowódca patrolu również musiał to wyczuć, ponieważ wskazuje na mnie głową.

wskazuje na mnie głową.

– Oddajcie jej dowód.

Zalewa mnie taka fala ulgi, że aż chce mi się śmiać. Z trudem udaje mi się zachować poważny wyraz twarzy, gdy odbieram dowód i chowam go z powrotem. Ręce lekko mi się trzęsą. To dziwne, co robi z człowiekiem sama obecność porządkowych. Nawet gdy są względnie mili, trudno nie myśleć o tych wszystkich złych rzeczach, które się o nich słyszało – o obławach, pobiciach i zasadzkach.

– Tylko bądź ostrożna, Magdaleno – dodaje Gerry. –

Pilnuj się, żeby wrócić do domu przed godziną policyjną. –

Znowu świeci mi latarką w oczy. Zasłaniam je ręką, jednocześnie mrużąc powieki przed oślepiającym blaskiem. –

Pewnie nie chcesz mieć kłopotów.

Mówi to lekkim tonem, lecz przez chwilę wydaje mi się, że w jego słowach pobrzmiewa coś groźnego, jakaś nuta gniewu czy agresji. Stwierdzam, że chyba popadam w paranoję. W końcu wszystko, co robią porządkowi, jest dla naszej ochrony, dla naszego dobra.

Otoczona przez nich ze wszystkich stron, przez dłuższą chwilę czuję się przytłoczona masą szorstkich ramion i bawełnianych kurtek, dziwnym zapachem wody kolońskiej i potu. Krótkofalówki na przemian wyrzucają z siebie strumienie słów i milkną. Dochodzą mnie strzępy komunikatów: „Market Street, chłopak i dziewczyna, prawdopodobnie zarażeni, nielegalna muzyka przy Saint Lawrence, ktoś chyba tańczy...”. Mijają mnie, przepychając się łokciami, aż wreszcie zostaję sama na ulicy i kroki patrolu nikną w oddali. Czekam chwilę, aż sama na ulicy i kroki patrolu nikną w oddali. Czekam chwilę, aż szum rozmów radiowych i ciężkie dudnienie butów po chodniku zupełnie zamilkną.

Kiedy wsiadam na rower, ogarnia mnie to samo uczucie lekkości, to samo poczucie szczęścia i wolności. Aż trudno mi uwierzyć, że tak łatwo było się wydostać z domu. Nigdy nie podejrzewałam, że mogłabym okłamać ciotkę – nie, poprawka, nigdy nie podejrzewałam, że w ogóle mogę skłamać – i gdy pomyślę, jak niewiele brakowało, bym wylądowała na

wielogodzinnym przesłuchaniu, mam ochotę podskoczyć i triumfalnie wyrzucić pięść w górę. Dzisiaj cały świat mi sprzyja. Jeszcze tylko kilka minut, a będę w Back Cove. Moje serce odzyskuje normalny rytm, kiedy pomyślę o tym, że zaraz będę się ślizgać po trawiastym zboczu i ujrzę Aleksa w otoczeniu ostatnich, osłepiających promieni słońca – i gdy myślę o tym jednym słowie, które wyszeptał mi do ucha: szary.

Skręcam w Baxter Boulevard, ostatnią prostą wiodącą do Back Cove. I nagle zatrzymuję się. Domy pozostały w tyle, ustępując miejsca rozklekotanym szopom, z rzadka rozsianym po obu stronach popękanej i wyjeżdżonej drogi. Za zabudowaniami krótki pas wysokiej, zarośniętej trawy biegnie w stronę zatoki. Woda wygląda jak ogromne lustro mieniące się złotem i różem bijącymi z nieba. W tej jednej chwili słońce, tworzące nad horyzontem wielki złoty łuk, wyrzuca z siebie ostatnie migoczące promienie, które rozjaśniają ciemne lustro wody, zamieniając wszystko na ułamek sekundy w biel, a potem tonie, zasysając za sobą róż, czerwień i fiolet, a niebo w jednej chwili pozbywa się koloru, zasnuwając się ciemnością.

Alex miał rację. To było niesamowite. Jeden z najpiękniejszych widoków, jakie widziałam w życiu. Przez chwilę nie jestem w stanie się poruszyć, stoję więc tylko, oddychając ciężko, wbijając wzrok przed siebie. A wtedy do mojego serca zakrada się paraliżujący strach. Przyjechałam za późno. Porządkowi musieli podać złą godzinę. Już jest po wpół do dziewiątej. Nawet jeśli Alex postanowił poczekać na mnie gdzieś na plaży, nie mam szans go znaleźć i wrócić do domu przed godziną policyjną.

Oczy zaczynają mnie piec, świat wokół rozmazuje się, kolory i kształty zlewają się w jedno. Przez sekundę wydaje mi się, że chyba płaczę, co wprawia mnie w takie przerażenie, że zapominam o wszystkim – o swoim rozczarowaniu i frustracji, o Aleksie stojącym na plaży, o jego włosach koloru lśniącej miedzi skąpanych w blasku ostatnich promieni słońca. Nie pamiętam, kiedy ostatnio płakałam. Wiem tylko, że było to wiele lat temu. Ocieram oczy wierzchem dłoni i wzrok znowu mi się wyostrza. To tylko pot – uświadamiam sobie z ulgą. Pot z czoła spływa mi do oczu. Mimo to mdlące, ołowiane uczucie w żołądku nie ustępuje.

Stoję tak kilka minut, wsparta na siodełku, ściskając mocno kierownicę i czekając, aż się nieco uspokoję. Część mnie chciałaby powiedzieć: „chrzanić to”, i wynieść się stąd jak



najszybciej, i z nogami zdjętymi z pedałów zjechać z górki w stronę wody, poczuć wiatr we włosach; chrzanić godzinę policyjną, chrzanić patrole, chrzanić wszystkich i wszystko. Ale policyjną, chrzanić patrole, chrzanić wszystkich i wszystko. Ale nie mogę. Nie potrafię. Nie dałabym rady. Nie mam wyjścia. Muszę jechać do domu.

Nawracam ociężale i zaczynam pedałować w górę ulicy. Teraz, gdy adrenalina i ekscytacja opadły, moje nogi zdają się z kamienia i już po kilkuset metrach dyszę ciężko. Tym razem uważam, by nie natknąć się na policję ani na porządkowych. W drodze powrotnej mówię sobie, że pewnie tak będzie lepiej. Chyba oszalałam, żeby włóczyć się po okolicy w półmroku tylko po to, aby się spotkać z jakimś chłopakiem na plaży. Zresztą wszystko zostało wyjaśnione: pracuje w laboratorium, pewnie po prostu wślizgnął się do budynku w dniu ewaluacji z jakiegoś zupełnie niewinnego powodu – chciał skorzystać z toalety albo napełnić butelkę wodą. Powtarzam, że pewnie wmówiłam sobie to wszystko – zaszyfrowaną wiadomość, spotkanie. Pewnie chłopak siedzi teraz gdzieś w swoim mieszkaniu i przygotowuje się do zajęć. Niewątpliwie już zapomniał o dwóch dziewczynach, które spotkał dzisiaj na terenie laboratorium. Może po prostu starał się być miły i zabawił nas niezobowiązującą rozmową. Tak będzie lepiej. Chociaż powtarzam to sobie wiele razy, ta dziwna mdląca pustka w żołądku nie chce ustąpić. I chociaż wiem, że to absurdalne, nie mogę pozbyć się uporczywego wrażenia, że o czymś zapomniałam, coś przegapiłam albo utraciłam na zawsze.

7

7

Ze wszystkich systemów ludzkiego ciała – neurologicznego, poznawczego, odpornościowego i sensorycznego – system sercowo-naczyniowy jest najwrażliwszy i najbardziej podatny na negatywne bodźce. Rolą społeczeństwa powinno być chronienie go przed infekcjami i rozkładem, w przeciwnym razie przyszłość rodzaju ludzkiego stanie pod znakiem zapytania. Tak jak dzięki nowoczesnemu rolnictwu chronimy owoce przed insektami, uszkodzeniami i gniciem, tak podobną ochroną musimy objąć serce.

Znaczenie i obowiązki społeczeństwa, [w:] Księga SZZ

Dostałam imię po Marii Magdalenie, która o mało nie

umarła z miłości. „Oto zarazona delirią, naruszając prawa społeczne, zakochiwała się w mężczyznach, którzy nie chcieli lub nie mogli jej mieć” (Lamentacje, Księga Marii, 13, 1).

Uczyliśmy się o tym na naukach biblijnych. Najpierw był Jan, potem Mateusz, potem Jeremiasz, Piotr i Juda, a w międzyczasie wielu innych mężczyzn nieznanymi nam z imienia. Największą jej miłością, jak powiadają, był ten ostatni: mężczyzna o imieniu Józef, żyjący samotnie, który znalazł ją na ulicy, posiniaczoną, bez woli życia, bliską obłądu na skutek delirii. Nadal dyskutuje się o tym, jakim mężczyzną był Józef – czy był człowiekiem prawym czy nie, czy kiedykolwiek uległ czy był człowiekiem prawym czy nie, czy kiedykolwiek uległ chorobie – lecz w każdym razie dobrze się nią zajął. Uleczył jej ciało i starał się przywrócić jej spokój ducha. Niestety dla Marii Magdaleny było już za późno. Nie potrafiła zapomnieć o przeszłości, dręczona przez dawne miłości, wyniszczona przez całe zło, które wyrządziła innym i które wyrządzono jej. Nie mogła jeść, płakała całymi dniami, przyłgnęła do Józefa i błagała go, by nigdy jej nie opuścił, choć jego dobroć nie dawała jej ukojenia.

Gdy pewnego ranka obudziła się, Józefa już nie było – zniknął bez pożegnania, bez słowa wyjaśnienia. To porzucenie złamało ją ostatecznie. Upadła na ziemię, błagając Boga, by uwolnił ją od cierpienia. Bóg usłyszał jej błaganie i w swoim nieskończonym miłosierdziu uwolnił ją od przekleństwa delirii, które ciążyło nad całym rodzajem ludzkim jako kara za grzech pierworodny Adama i Ewy. Na swój sposób Maria Magdalena była więc pierwszą wyleczoną.

I tak oto, po latach cierpienia i bólu, chodziła odtąd w prawość i spokoju aż do końca dni swoich (Lamentacje, Księga Marii, 13, 1).

Zawsze zastanawiało mnie, dlaczego mama dała mi na imię Magdalena. Przecież nawet nie wierzyła w remedium – na tym polegał jej problem – a całe Lamentacje dotyczą właśnie niebezpieczeństw delirii. Wiele na ten temat myślałam i doszłam do wniosku, że mimo wszystko mama wiedziała, że coś było z nią nie tak i że remedium służy naszemu dobru. Myślę, że już nią nie tak i że remedium służy naszemu dobru. Myślę, że już wtedy wiedziała, co robi, wiedziała, co się stanie.

Przypuszczam, że moje imię było poniekąd ostatnim prezentem dla mnie. Było przesłaniem.

Myślę, że chciała w ten sposób powiedzieć: „wybacz mi”.

Myślę, że chciała rzec: „pewnego dnia nawet ten ból zniknie”.

Widzicie? Cokolwiek mówią inni, ja i tak wiem, że nie była taka zła.

Następne dwa tygodnie to chyba najbardziej intensywny okres w moim życiu. Lato buchnęło w Portland z całą siłą. Z początkiem czerwca było już gorąco, lecz jeszcze nie kolorowo – zieleń była wciąż blada i nieśmiała, poranki niosły z sobą przenikliwy chłód – ale ostatni tydzień szkoły stał się istną feerią barw: niesamowity, nasycony błękit nieba, fiolet burz i czarne jak atrament noce, a do tego czerwień kwiatów intensywna niczym krople krwi. Codziennie po szkole jest jakieś zebranie, uroczystość lub przyjęcie z okazji zakończenia szkoły. Hana jest zapraszana na wszystkie. Ja, ku swojemu zaskoczeniu, na większość z nich.

Harlowe Davis – która podobnie jak Hana mieszka na West Endzie i której ojciec pracuje w instytucji rządowej – zaprosiła mnie do siebie na „niezobowiązującą imprezę pożegnalną”. Nawet nie sądziłam, że wie, jak mam na imię, zawsze gdy rozmawia z Haną, jej oczy przebiegają po mnie szybko, jak gdybym nawet nie była warta tego, by zatrzymać na mnie wzrok. Ale i tak postanawiam pójść. Zawsze byłam ciekawa, jak wygląda jej dom, i okazuje się, że rzeczywiście jest tak olśniewający, jak sobie to wyobrażałam. Jej rodzina ma też samochód, a do tego w każdym kącie urządzenia elektryczne, które najwyraźniej używane są codziennie: zmywarki, suszarki i wielkie żyrandole z dziesiątkami żarówek. Harlowe zaprosiła większość klasy maturalnej – jest nas ogółem sześćdziesiąt siedem dziewczyn, z czego na imprezie pewnie pięćdziesiąt – przez co czuję się mniej wyróżniona, a jednak zabawa jest przednia. Siedzimy na podwórku na tyłach domu, ich gosposia ciągle znika w środku i wychodzi z mnóstwem talerzy pełnych jedzenia – jak chociażby surówka z kapusty czy sałatka ziemniaczana – a jej tata obraca żeberka i hamburgery na gigantycznym grillu. Jem do momentu, kiedy wydaje mi się, że zaraz pęknę. Muszę przewrócić się na plecy na kocu, który dzielimy z Haną. Siedzimy tam prawie do godziny policyjnej, kiedy gwiazdy zaczynają mrugać przez zasłonę granatowego nieba, a wtedy nagle znikąd pojawiają się chmary komarów i wszystkie ze śmiechem i piskiem wbiegamy do środka, odganiając się od nich na wszelkie sposoby. Muszę stwierdzić, że to chyba jeden z najmielszych dni, jakie mi się ostatnio zdarzyły.

Nawet dziewczyny, za którymi nie przepadam – jak Shelly Pierson, która nienawidzi mnie od szóstej klasy, kiedy wygrałam

konkurs naukowy, a ona zajęła drugie miejsce – zaczęły być dla mnie miłe. To pewnie dlatego, że już tak blisko końca.

Większość z nas nie zobaczy się po rozdaniu dyplomów, a nawet jeśli, wszystko wtedy będzie inaczej. My będziemy inne. nawet jeśli, wszystko wtedy będzie inaczej. My będziemy inne. Będziemy dorosłe, wyleczone, opisane, oznakowane, sparowane i umieszczone na naszych życiowych ścieżkach jak szklane kulki spuszczone w dół po równiutkim torze.

Teresa Grass skończyła osiemnaście lat przed końcem roku szkolnego i już jest po zabiegu, tak samo Morgan Dell. Przez kilka dni nie było ich w szkole, wróciły tuż przed rozdaniem dyplomów. Zmiana jest wstrząsająca. Wydają się teraz spokojne, dojrzałe i w jakiś sposób odległe, jak zamknięte w cienkiej warstwie lodu. Jeszcze dwa tygodnie temu Teresę przezywano Tereska-Groteska i wszyscy nabijali się z niej, ponieważ wiecznie chodziła przygarbiona, ssała końce włosów i w ogóle była kompletną oferłą. Teraz zaś trzyma się prosto, wzrok kieruje wprost przed siebie, uśmiecha się uprzejmie i wszyscy na korytarzu usuwają się jej z drogi. To samo z Morgan. Tak jakby cała jej lękliwość i niepewność zniknęły po zabiegu. Nawet nogi przestały jej drżeć. Zawsze gdy musiała coś powiedzieć na forum klasy, trzęsły się tak strasznie, że aż kołysała się ławka. Ale po zabiegu – ta-dam! – drżenie ustąpiło. Oczywiście nie są to pierwsze dziewczyny z naszej klasy, które zostały wyleczone. Eleanor

Rana i Annie Hahn zostały poddane zabiegowi ubiegłej jesieni, a kilka dziewczyn miało go w tym semestrze – lecz w tamtych dwóch przypadkach różnica jest jakoś najwyraźniejsza. Tymczasem ja dalej odliczam. Osiemdziesiąt jeden dni, osiemdziesiąt, siedemdziesiąt dziewięć.

Willow Marks nie wróciła już do szkoły. Dochodzą do nas rozmaite plotki: że miała zabieg i wszystko skończyło się dobrze; rozmaite plotki: że miała zabieg i wszystko skończyło się dobrze; że miała zabieg, ale coś w jej mózgu się przepaliło i mają ją umieścić w Kryptach, gdzie znajduje się więzienie i szpital psychiatryczny; że uciekła do Głuszy. Jedna rzecz jest pewna: cała rodzina Marksów jest teraz pod stałą obserwacją. Porządkowi obwiniają rodziców Willow – i całą jej dalszą rodzinę – za to, że nie wpoili jej odpowiednich zasad. Zaledwie kilka dni po tym jak podobno znaleziono ją w Deering Oaks Park, podsłuchałam, jak ciocia i wujek szeptali, że oboje rodzice Willow zostali zwolnieni z pracy. Tydzień później usłyszałam, że musieli się wprowadzić do jakiegoś dalekiego krewnego. Ludzie

powybijali im okna kamieniami, a na domu wypisano jedno słowo: SYMPATYCY. To absurdalne oskarżenie, ponieważ to właśnie rodzice Willow nalegali na jej wcześniejszy zabieg, mimo ryzyka, jakie z sobą niósł, ale ciocia mówi, że właśnie tak reagują ludzie, kiedy się boją. Wszyscy są przerażeni, że pewnego dnia deliria rozprzestrzeni się po mieście na większą skalę. Każdy chce zapobiec epidemii.

Żal mi rodziny Marksów, lecz takie jest życie. To tak jak z porządkowymi: można nie lubić patroli i sprawdzania dokumentów, jednak ponieważ człowiek wie, że to wszystko dla naszej ochrony, nie można z nimi nie współpracować. I może to zabrzmie okropnie, ale wkrótce zapomnę o rodzinie Willow. Czuję w sobie jakąś taką nerwową energię, a do tego oprócz masy papierkowej roboty związanej z zakończeniem szkoły muszę jeszcze opróżnić szkolne szafki, zdać egzaminy końcowe i pożegnać mnóstwo ludzi.

Hana i ja ledwo znajdujemy czas, żeby razem pobiegać.

Hana i ja ledwo znajdujemy czas, żeby razem pobiegać.

Kiedy się to zdarza, na mocy milczącego porozumienia trzymamy się naszych starych tras. Ku mojemu zaskoczeniu ani razu nie wspomniała o tamtym popołudniu w laboratorium.

Umysł Hany ma tendencję do szybkich zmian obiektów zainteresowania, teraz jej nową obsesją jest przerwanie granicy na północy, o które ludzie po cichu oskarżają Odmieńców.

Nawet przez chwilę nie biorę pod uwagę myśli, że mogłabym jeszcze raz udać się do laboratorium. Koncentruję się na wszystkim z wyjątkiem wątpliwości dotyczących Aleksa, co wcale nie jest takie trudne – teraz nie mogę uwierzyć, że wieczorem wyszłam z domu, okłamałam ciotkę i porządkowych tylko po to, żeby się z nim spotkać. Następnego dnia wydawało się to snem albo przywidzeniem. Tłumaczę sobie, że miałam po prostu chwilowe zaćmienie mózgu, który się przegrzał od biegania w upale.

Na ceremonii rozdania dyplomów Hana siedzi trzy rzędy przede mną. Gdy przechodzi obok mnie, by zająć swoje miejsce, wyciąga do mnie rękę i ściska – dwa razy szybko, dwa razy przeciągle – a usiadłszy, przechyla głowę do tyłu, dzięki czemu widzę napis markerem na górze biretu: DZIĘKI BOGU!

Tłumię śmiech, a Hana odwraca się i przybiera surową minę.

Wszystkie jesteśmy oszołomione, a ja nigdy nie czułam się tak związana z dziewczętami ze Świętej Anny jak dzisiaj – wszystkie pocimy się w słońcu, które uśmiecha się do nas zbyt promiennie, wachlujemy się ulotkami z programem uroczystości, próbując nie

ziewać ani nie przewracać oczami, gdy dyrektor McIntosh ziewać ani nie przewracać oczami, gdy dyrektor McIntosh przynudza gadką o „dorosłości” i „naszym wejściu w porządek społeczny”, szturchamy się nawzajem i rozluźniamy kołnierze szorstkich tóg, by wpuścić pod nie choć trochę powietrza. Nasze rodziny siedzą na składanych plastikowych krzesłach pod kremowym zadaszeniem, do którego przytwierdzono flagi szkoły, miasta, stanu i kraju. Uprzejmie biją brawo, gdy każda z nas wychodzi po odbiór swojego dyplomu. Kiedy przychodzi moja kolej, szukam wśród gości cioci i siostry, ale jestem tak przejęta tym, żeby się nie potknąć, że gdy stoję na scenie i odbieram dyplom z ręki pani McIntosh, nie widzę nic tylko plamy kolorów – zielony, niebieski, biały, a do tego zlepek blad różowych i brązowych twarzy. Nie potrafię też wyodrębnić żadnego dźwięku oprócz szumu klaszczących rąk. Wyjątkiem jest głos Hany, jasny i czysty jak dzwon: „brawo, Halena!”. To nasz specjalny okrzyk będący połączeniem naszych imion, którym zawsze dodajemy sobie otuchy przed zawodami czy egzaminami.

Potem stajemy wszystkie w kolejce do indywidualnych zdjęć z dyplomami. Zatrudniono do tego zawodowego fotografa, a na boisku do piłki nożnej ustawiono niebieskie tło do pozowania. Jesteśmy zbyt podekscytowane, by zachować powagę. Dziewczyny tak zwijają się ze śmiechu, że widać im na zdjęciach tylko czubek głowy.

Kiedy przychodzi moja kolej, w ostatniej sekundzie Hana wskakuje obok mnie i zarzuca mi rękę na ramiona, a zaskoczony fotograf i tak naciska migawkę. Pstryk! I oto efekt: stoję zwrócona w stronę Hany, z otwartymi ustami i zaskoczeniem zwrócona w stronę Hany, z otwartymi ustami i zaskoczeniem malującym się na twarzy – widać, że zaraz wybuchnę śmiechem. Hana, o całą głowę wyższa ode mnie, ma zamknięte oczy i otwarte usta. Naprawdę musiało być w tym dniu coś wyjątkowego, coś wspaniałego i może nawet magicznego, ponieważ mimo czerwonej od upału twarzy i włosów przyklejonych do czoła jest tak, jakby Hana przelała na mnie trochę swojej doskonałości – na tym zdjęciu, i tylko na nim, wyglądam ładnie. A może nawet więcej niż ładnie. Wyglądam pięknie.

Szkolnej kapeli na ogół udaje się nie fałszować, muzyka płynie nad boiskiem i wraca echem dzięki krążącym po niebie ptakom. I nagle jakby coś dziwnego pękło w powietrzu – zanim zdążę się zorientować, co się dzieje, wszystkie moje koleżanki

obejmują się i tworzą jedno wielkie koło, po czym podskakując w górę i w dół, krzyczą: „Udało nam się! Udało nam się! Udało!” a żaden z rodziców ani nauczycieli nie próbuje nas rozdzielić. Gdy wreszcie nasz krąg się rozpada, widzę, jak stoją wokół i patrzą na nas wyrozumiale. Łowię spojrzenie Carol i coś dziwnego ściska mnie w żołądku. Dociera do mnie, że dorośli pozwalają nam na te ostatnie wspólne wygłupy, ponieważ dobrze wiedzą, że wkrótce wszystko w naszym życiu zmieni się na zawsze.

Bo wszystko się zmieni, a raczej wszystko się zmienia, nawet w tej chwili. Gdy klasa rozdziela się na kilkusobowe grupki, a z tych potem odrywają się kolejne osoby, widzę, że Teresa Grass i Morgan Dell już zmierzają przez trawnik w stronę ulicy. Każda z nich idzie w otoczeniu rodziny, ze spuszczonej głową, żadna nie ogląda się za siebie. Uświadamiam sobie, że nie świętowały z nami i że nie widziałam Eleanor Rany, Annie Hahn ani innych wyleczonych. Musiały już pojechać do domu. Dziwny ból łapie mnie za gardło, chociaż dobrze wiem, że taka jest kolej rzeczy: wszystko się kończy, ludzie idą dalej, bez oglądania się za siebie. Tak właśnie powinno być.

W tłumie dostrzegam Rachel i biegnę w jej stronę. Nagle pragnę znaleźć się obok niej, pragnę, by zmierzwiła mi włosy, tak jak kiedy byłyśmy małe, i żeby powiedziała: „dobra robota, Świrusku” – jak mnie w dzieciństwie przezywała.

– Rachel! – Z niewiadomego powodu zapiera mi dech i z trudem przychodzi mi wydusić z siebie słowo. Jej widok napełnia mnie takim szczęściem, że mam wrażenie, jakbym zaraz miała wybuchnąć płaczem. Choć oczywiście nic takiego się nie dzieje.

– Przyszłaś.

– Oczywiście, że przyszłam. – Uśmiecha się do mnie. – W końcu jesteś moją jedyną siostrą, prawda? – Podaje mi bukiet stokrotek owinięty w brązowy papier. – Gratulacje, Lena.

Zanurzam twarz w kwiatach i wdycham ich zapach, starając się zwalczyć w sobie pragnienie, by rzucić się jej na szyję i uściskać. Przez chwilę stoimy bez ruchu i spoglądamy na siebie, a potem Rachel wyciąga rękę. Jestem pewna, że zamierza mnie objąć przez wzgląd na dawne czasy albo chce chociaż uścisnąć mi ramię. A ona tylko odgarnia mi grzywkę z czoła.

– A fe – mówi, wciąż się uśmiechając. – Cała się spociłaś.

Wiem, że to dziecinne i niedojrzałe, ale nie mogę

Wiem, że to dziecinne i niedojrzałe, ale nie mogę

powstrzymać fali rozczarowania.

– To przez toę – odpowiadam i uświadamiam sobie, że tak, to właśnie toę jest przyczyną: jest sztywna, dusi mnie, nie pozwala swobodnie oddychać.

– Chodź – mówi Rachel. – Ciocia Carol chce ci pogratulować.

Carol stoi na skraju boiska wraz wujkiem i kuzynkami, rozmawiając z panią Springer, moją nauczycielką historii. Rachel jest tylko kilka centymetrów wyższa ode mnie, idziemy więc w tym samym rytmie, ale w odległości pół metra. Rachel nic nie mówi. Jestem pewna, że myśli tylko o tym, kiedy będzie mogła wreszcie wrócić do domu i do swojego życia.

Pozwalam sobie jeden jedyny raz obejrzeć się za siebie. To silniejsze ode mnie. Patrzę na dziewczyny krążące w swoich pomarańczowych togach niczym płomienie. Wszystko wydaje się nagle oddalone. Wszystkie głosy mieszają się z sobą i stają się nie do rozróżnienia – jak stały huk spienionego oceanu słyszalny pod rytmem portlandzkich ulic, tak nieodłącznie nam towarzyszący, że właściwie nie zwraca się na niego uwagi.

Wszystko wydaje się ostre, żywe i nieruchome, jak gdyby narysowane cienką kreską i podkreślone atramentem – zastygłe uśmiechy rodziców, oślepiający błysk fleszy, otwarte usta i błyszczące białe zęby, lśniące czarne włosy, głęboki błękit nieba, bezlitosne światło i ludzie w nim skąpani – wszystko tak jasne i doskonałe, że nie mam wątpliwości, iż musi to być już wspomnienie, albo sen.

## 8

Pierwszy jest wodór, w skrócie: H.

Choć tyle go w świecie, to chadza parami

I do innych związków się pcha.

Drugi jest hel, w skrócie: He.

Szlachetny to gaz, co w dawny czas,

Sterowce unosił we mgle.

Trzeci jest lit, w skrócie: Li.

Z wodą reaguje, z powietrzem spółkuje,

Więc niech z argonem śpi.

Czwarty jest beryl, w skrócie: Be...

Modlitwa pierwiastkowa,

rozdział Modlitwa i nauka, [w:] Księga SZZ

Każdego lata trzy razy w tygodniu – w poniedziałki, środy i soboty – pomagam wujkowi w sklepie. Moja praca polega głównie na wykładaniu towaru na półki i obsłudze kasy, ale czasem też na zapleczu ulokowanym za działem zbożowym pomagam w papierkowej robocie. Odetchnęłam z ulgą, gdy pod



koniec czerwca Andrew Marcus poddał się zabiegowi i dostał stałą posadę w innym sklepie.

stałą posadę w innym sklepie.

Rankiem czwartego lipca, w Święto Niepodległości, udaję się do Hany. Co roku w ten dzień chodzimy oglądać sztuczne ognie

na Eastern Promenade. Zawsze gra przy tym jakaś kapela, na straganach można kupić szaszłyki, gotowaną kukurydzę i szarlotkę z lodami podawaną na małych papierowych łódkach zamiast talerzyków. Czwarty lipca – dzień, w którym upamiętniamy zamknięcie granic naszego kraju – jest jednym z moich ulubionych świąt. Uwielbiam muzykę, która rozbrzmiewa w całym mieście, uwielbiam gęsty dym unoszący się znad grillów, przez który ma się wrażenie, że ulicami płyną chmury, a ludzie spowici są mgłą. A najbardziej lubię jednorazowe przesunięcie godziny policyjnej – tego dnia wszyscy nieleczeni mogą zostać poza domem aż do jedenastej, czyli dwie godziny dłużej niż zwykle. W ostatnich latach Hana i ja staramy się przebywać na zewnątrz do ostatniej chwili i zrobiłyśmy z tego pewnego rodzaju grę, co roku przesuając granicę coraz dalej. Zeszłego roku weszłam do domu dokładnie o 22.58, z walącym sercem i drżąca z wyczerpania, bo musiałam biec do domu sprintem. Ale gdy wreszcie położyłam się do łóżka, uśmiech nie schodził mi z twarzy. Czułam się tak, jakbym coś przeskrobała i uszło mi to na

sucho. Wystukuję czterocyfrowy kod wejściowy do domu Hany – dała mi go w ósmej klasie, oznajmiając, że to znak zaufania oraz że „rozwali mi czerep”, jeśli go komuś zdradzę – i wślizguję się że „rozwali mi czerep”, jeśli go komuś zdradzę – i wślizguję się przez drzwi frontowe. Nigdy nie pukam. Rodzice Hany rzadko są w domu, a ona sama nigdy nie podchodzi do drzwi. Jestem pewnie jedyną osobą, która ją odwiedza. To dziwne. Hana zawsze była w szkole bardzo lubiana – dziewczyny ją podziwiały i chciały być takie jak ona – ale chociaż była naprawdę miła dla wszystkich, nigdy się z nikim nie zaprzyjaźniła, tylko ze mną. Czasem zastanawiam się, czy żałuje, że w drugiej klasie, na lekcjach u pani Jablonski, nie przydzielono jej do ławki kogoś innego – bo właśnie od tego zaczęła się nasza przyjaźń. Hana nosi nazwisko Tate i zostałyśmy razem posadzone, bo tak wypadało według alfabetu (już wtedy posługiwałam się nazwiskiem cioci Tiddle). Zastanawiam się, czy wolałaby siedzieć obok Rebeki Tralawny czy Katie Sharp, czy nawet Melissy Portofino. Czasem myślę, że Hana zasługuje na

przyjaciółkę, która jest choć trochę bardziej wyjątkowa. Raz powiedziała mi, że mnie lubi, ponieważ jestem prawdziwa, ponieważ naprawdę czuję. Ale właśnie w tym tkwi mój problem – za bardzo wszystko czuję.

– Halo, jest tam kto? – krzyczę. Hall jest ciemny i zimny jak zawsze. Na rękach wyskakuje mi gęsia skórka. Za każdym razem gdy przychodzę do domu Hany, nie mogę się nadziwić sile klimatyzacji mrużącej gdzieś głęboko w ścianach. Przez chwilę stoję nieruchomo, wdychając zapach środka do czyszczenia mebli i płynu do mycia szyb zmieszany z wonią świeżo ściętych kwiatów. Z pokoju Hany na górze dobiega muzyka. Próbuję rozpoznać piosenkę, lecz nie słyszę wyraźnie słów, jedynie basy pulsujące przez podłogę.

Na górze schodów zatrzymuję się. Drzwi do pokoju Hany są zamknięte. Zdecydowanie nie rozpoznaję piosenki, której słucha, choć określenie „niszczy sobie bębni” byłoby chyba odpowiedniejsze, muzyka jest bowiem tak głośna, że uspokajam się dopiero, przypomniawszy sobie, że dom Hany jest otoczony ze wszystkich stron drzewami i trawnikami, więc nikt nie naśle na nią porządkowych. To zupełnie inna muzyka od tej, którą znam. Jest wrzaskliwa, jazgotliwa, dzika. Nie potrafię nawet stwierdzić, czy piosenkę śpiewa mężczyzna czy kobieta. Wzdłuż kręgosłupa przebiega mi dziwny dreszcz, uczucie, które pamiętam z dzieciństwa, gdy zakradałam się do kuchni i próbowałam podkraść ciasteczko z kredensu – to samo czułam, tuż zanim usłyszałam kroki mamy w kuchni, kiedy odwracałam się, z rękami i twarzą w okruszkach, ogarnięta poczuciem winy. Odpędzam od siebie te wspomnienia i otwieram drzwi do pokoju Hany. Siedzi przed komputerem, z nogami na biurku, kiwa głową i wystukuje na udach rytm. Na mój widok pochyla się i naciska klawiaturę. Muzyka milknie natychmiast. Dziwne. Cisza, która teraz nastąpiła, wydaje się tak samo głośna. Hana przerzuca włosy na jedną stronę i odsuwa się od biurka. Przez jej twarz przelatuje cień jakiejś dziwnej emocji, ale znika zbyt szybko, bym ją mogła rozpoznać.

– Hej – odzywa się wesoło, trochę za wesoło. – Nie słyszałam, jak weszłaś.

– Pewnie nie słyszałybyś nawet, gdybym się tu włamała. – Podchodzę do jej łóżka i rzucam się na nie. Hana ma ogromne łóżko i trzy puchowe poduszki. Jest po prostu boskie. – Co to łóżko i trzy puchowe poduszki. Jest po prostu boskie. – Co to było?

– Niby co? – Podciąga kolana do piersi i obraca się na krześle, a ja podnoszę się na łokciach i wbijam w nią wzrok. Hana udaje niezbyt bystrą tylko wtedy, kiedy próbuje coś ukryć.

– Ta muzyka – mówię. Hana dalej patrzy na mnie bez wyrazu. – Ta piosenka, która ryczała, kiedy tu weszłam. Od której prawie pękły mi bębenki.

– Aaa, to. – Hana zdmuchuje grzywkę z twarzy. To kolejny z jej numerów. Zawsze gdy blefuje w pokera, nie daje grzywce spokoju. – Taka nowa kapela, którą znalazłam w sieci.

– W BAMF? – wypytuję dalej. Hana ma bzika na punkcie muzyki i gdy byłyśmy w gimnazjum, spędzała całe godziny, serfując po BAMF, Bibliotece Autoryzowanej Muzyki i Filmów. Hana odwraca wzrok.

– Niezupełnie.

– Co to znaczy „niezupełnie”? – Intranet, jak wszystko w naszym kraju, jest kontrolowany i monitorowany dla naszego bezpieczeństwa. Wszystkie strony i ich zawartość są tworzone przez agencje rządowe, włączając w to Listę Autoryzowanej Rozrywki, którą aktualizuje się co dwa lata. E-booki znajdują się w BAK, Bibliotece Autoryzowanych Książek, a filmy i muzyka w BAMF, Bibliotece Autoryzowanej Muzyki i Filmów, i za drobną opłatą można je ściągać na swój komputer. O ile się go ma, rzecz jasna. Ja nie mam.

Hana wzdycha, wciąż nie odwracając wzroku. Wreszcie spogląda na mnie.

– Umiesz dochować tajemnicy?

Teraz siadam zupełnie prosto, przysuwając się na skraj łóżka. Nie podoba mi się jej spojrzenie.

– Hana, o co chodzi?

– Umiesz dochować tajemnicy? – powtarza.

Przypomina mi się, jak w dniu ewaluacji stałam z nią w żarze słońca przed laboratorium, jak przysunęła się do mnie i wyszeptała mi wprost do ucha słowa o szczęściu i nieszczęściu. Nagle zaczynam się o nią bać, bać się jej. Lecz tylko kiwam głową i mówię:

– No jasne.

– Okej. – Hana spuszcza wzrok, bawi się przez chwilę rąbkiem szortów i bierze głęboki oddech. – No więc w zeszłym tygodniu spotkałam pewnego faceta...

– Co? – Nieomal spadam z łóżka.

– Spokojnie. – Podnosi rękę do góry. – Jest wyleczony, jasne? Pracuje dla władz miasta. Tak w ogóle to jest cenzorem.

Moje serce znowu zaczyna bić normalnie i z powrotem opadam na poduszki.

– Okej. No więc?

– No więc – mówi dalej Hana – poznałam go w poczekalni u lekarza, gdy poszłam na rehabilitację. – Jesienią Hana skręciła kostkę i od tamtej pory musi chodzić raz w tygodniu na ćwiczenia. – I zaczęliśmy rozmawiać.

Milknie. Nie mam pojęcia, dokąd zmierza ta opowieść ani jaki to ma związek z muzyką, którą puszczała, więc czekam, aż będzie mówić dalej.

będzie mówić dalej.

Po chwili znowu się odzywa.

– No więc ja mu opowiadałam o egzaminach, o tym, jak bardzo chcę się dostać na studia, a on opowiadał mi o pracy – wiesz, czym się zajmuje tak na co dzień. Tworzy kody ograniczające dostęp w sieci, żeby ludzie nie mogli pisać, co im ślina na język przyniesie, ani zamieszczać fałszywych informacji albo „podżegających opinii” – tu robi znak cudzysłowu, przewracając oczami – i tym podobne. Jest jakby strażnikiem intranetu.

– Okej – mówię znowu. Mam ochotę powiedzieć Hanie, żeby przeszła do rzeczy, przecież wiem wszystko o ograniczeniach w sieci, jak zresztą wszyscy, ale boję się, że się zniechęci i nie skończy opowieści.

Hana bierze głęboki oddech.

– Ale on zajmuje się nie tylko kodowaniem dostępu do danych. Sprawdza też luki w systemie, szuka śladów włamań dokonywanych głównie przez hakerów, którzy omijają zabezpieczenia, dzięki czemu udaje im się umieszczać w sieci własne rzeczy. Rząd nazywa takie strony efemerydami. Mogą działać przez godzinę, dzień lub dwa, zanim zostaną odkryte, a pełne są nieautoryzowanych materiałów: ludzie zamieszczają tam swoje opinie, ogłoszenia, teledyski, muzykę, dosłownie wszystko.

– I ty znalazłaś jedną z nich. – Zaczyna mnie mdlić, a w mózgu niczym migoczący neon błyskają słowa: łamanie prawa, przesłuchanie, nadzór policyjny. Hana.

Hana wydaje się nie zauważać, że znieruchomiałam. Nigdy Hana wydaje się nie zauważać, że znieruchomiałam. Nigdy nie widziałam jej tak ożywionej i pełnej energii. Klęcząc, wychyla się do przodu i mówi pośpiesznie.

– Nie tylko jedną. Dziesiątki. Można ich znaleźć mnóstwo, jeśli się wie, jak szukać. Jeśli się wie, gdzie szukać. To

niesamowite, Lena. Ci wszyscy ludzie, a muszą być rozsiani po całym kraju, wykorzystują luki w zabezpieczeniach. Powinnaś zobaczyć, co tam czasem wypisują. O... o remedium. Nie tylko Odmieńcy w to nie wierzą. Są tu ludzie, w całym kraju, którzy nie uważają... – Spoglądam na nią tak surowo, że spuszcza wzrok i zmienia temat. – I powinnaś posłuchać tej muzyki. Jest niesamowita, zdumiewająca, nigdy w życiu czegoś takiego nie słyszałam, zapomina się przy niej o całym świecie, wiesz? Sprawia, że ma się ochotę krzyczeć, skakać, płakać, niszczyć wszystko dokoła...

Pokój Hany jest duży – prawie dwa razy większy od mojego – lecz mam wrażenie, że ściany na mnie napierają. Jeśli klimatyzacja ciągle działa, już jej nie czuję. Powietrze zrobiło się teraz ciężkie i gorące jak wilgotny oddech, więc wstaję i podchodzę do okna. Hana wreszcie milknie. Próbuję je otworzyć, ale ani drgnie. Popycham więc raz jeszcze, opierając się o parapet.

– Lena – odzywa się po chwili Hana cichym głosem.

– Nie chce się otworzyć. – Pod czaszką pulsuje tylko jedna myśl: potrzebuję powietrza. Poza nią moja głowa jest kotłowaniną dźwięków i obrazów: szum krótkofalówek, fluorescencyjne światło, fartuchy laboratoryjne, metalowe stoły i chirurgiczne noże, a do tego Willow Marks ciągnięta do laboratorium, z krzykiem na ustach, i jej dom oszpecony napisami.

– Lena – powtarza Hana, tym razem głośniej. – Daj spokój.

– Zacięło się. Pewnie drewno się wypaczyło od upału. No, otwieraj się wreszcie... – Jeszcze jedno pchnięcie i okno podskakuje do góry. Słychać pyknięcie i oto zatrask, który przytrzymał okno, odłamuje się i ląduje na środku podłogi. Przez chwilę stoimy z Haną nieruchomo i wpatrujemy się w niego. Powietrze wpadające przez otwarte okno wcale nie sprawia, że czuję się lepiej. Na zewnątrz jest jeszcze gorzej.

– Przepraszam – mamroczę. Nie mam odwagi na nią spojrzeć. – Nie chciałam... nie wiedziałam, że było zablokowane. U mnie w domu okna się nie blokują.

– Nie przejmuj się oknem. Mam gdzieś głupie okno.

– Dawno temu mała Grace wygramoliła się z łóżeczka i prawie udało jej się dostać na dach. Po prostu okno gładko się otwarło i zaczęła się wspinać...

– Lena. – Hana łapie mnie za ramiona. Nie wiem, czy mam gorączkę, skoro co pięć sekund robi mi się na przemian gorąco i

zimno, ale jej dotyk wywołuje we mnie dreszcze, więc szybko się odsuwam. – Jesteś na mnie zła.

– Nie jestem zła. Po prostu martwię się o ciebie. – To tylko część prawdy. Jestem zła, a nawet wściekła. Przez cały czas żyłam w zupełnej nieświadomości, jak kretynka, myśląc o ostatnim wspólnie spędzonym lecie, stresując się kandydatami, ostatnim wspólnie spędzonym lecie, stresując się kandydatami, których dostanę po ewaluacji, egzaminami i całą resztą, a ona tylko przytakiwała z uśmiechem, mówiąc: „mhm, mam to samo” i „na pewno wszystko się ułoży”, a w tym czasie, za moimi plecami, stawała się kimś, kogo w ogóle nie znam, zaczęła mieć tajemnice, dziwne przyzwyczajenia i opinie o rzeczach, o których nie powinniśmy nawet myśleć. Teraz już wiem, dlaczego tak się przestraszyłam w dniu ewaluacji, kiedy odwróciła się z wielkimi, błyszczącymi oczami i zaczęła szeptać. Było tak, jakby zniknęła na chwilę moja najlepsza przyjaciółka – moja jedyna prawdziwa przyjaciółka – a na jej miejsce zjawił się ktoś obcy.

To właśnie działo się przez cały ten czas: Hana przemieniała się w kogoś obcego.

Odwracam się znowu w stronę okna.

Przeszywa mnie ostrze smutku, głęboko i boleśnie. To się w końcu musiało stać. Zawsze wiedziałam, że tak będzie.

Każdy, komu ufamy, na kogo, jak nam się wydaje, możemy liczyć, kiedyś nas rozczaruje. Pozostawieni samym sobie ludzie kłamią, mają tajemnice, zmieniają się i znikają, niektórzy za inną maską lub osobowością, inni w gęstej porannej mgle nad klifem. Właśnie dlatego remedium jest takie ważne. Właśnie dlatego go potrzebujemy.

– Posłuchaj, przecież nie wyląduję w więzieniu za przeglądanie jakichś stron. Albo za słuchanie muzyki.

– Skąd wiesz? Ludzie lądują w więzieniu nawet za mniejsze przewinienia – mówię, ale przecież Hana to wie. Wie o tym, tyle że się nie przejmuję.

– Tak, jasne. Mam tego dość. – Nie mogę w to uwierzyć:

– Tak, jasne. Mam tego dość. – Nie mogę w to uwierzyć: jej głos drży. Nigdy nie widziałam u Hany ani śladu słabości.

– Nawet nie powinniśmy o tym rozmawiać. Ktoś może...

– Ktoś może podsłuchiwać? – kończy za mnie. – O Boże, Lena, tego też mam już dość. A ty nie? Mam dość ciągłego oglądania się za siebie, sprawdzania, czy nikt nie słucha, uważania na to, co się mówi, myśli, robi. Nie mogę... nie mogę już oddychać, nie mogę spać, nie mogę się nawet poruszać.

Mam wrażenie, że wszędzie są mury. Gdziekolwiek się ruszę –

bach! Mur. Jeśli czegoś zapragnę – bach! Kolejny mur.  
Hana przejeżdża ręką po włosach. Chociaż raz nie emanuje od niej spokój i pewność siebie. Ma bladą twarz i nieszczęśliwą minę, która coś mi przypomina, ale nie mogę sobie przypomnieć co.

– To przecież dla naszego bezpieczeństwa – mówię, przeklinając się w duchu za brak pewności w głosie. Nigdy nie byłam dobra w kłótniach. – Wszystko będzie lepiej, gdy tylko...  
Hana znowu mi przerywa.

– Gdy tylko będziemy wyleczone? – Wydaje z siebie krótki, urywany śmiech, w którym nie ma radości, za to przynajmniej nie neguje wprost moich słów. – No tak, racja. Przynajmniej tak wszyscy mówią.

I nagle rozumiem. Hana przypomina mi zwierzęta, które widziałyśmy kiedyś podczas szkolnej wycieczki do rzeźni. Wszystkie krowy stały jedna obok drugiej w swoich przegrodach i patrzyły na nas w ciszy w ten sam sposób: ze strachem w oczach, rezygnacją i jeszcze czymś. Desperacją. Teraz naprawdę się o nią boję. Gdy znowu się odzywa, jej głos jest trochę spokojniejszy.

– Może tak właśnie będzie. Może rzeczywiście będzie lepiej, gdy już będziemy wyleczone. Jednak do tego czasu... To nasza ostatnia szansa, Lena. Nasza ostatnia szansa, żeby coś zrobić, cokolwiek. Nasza ostatnia szansa, żeby wybierać. I znowu pada to samo słowo, które wypowiedziała w dniu ewaluacji: „wybierać”, ale wolę nic nie mówić, by jej nie wytrącić z rytmu, i tylko kiwam głową.

– Więc co zamierzasz zrobić?

Hana odwraca wzrok, przygryzając wargę. Pewnie się zastanawia, czy może mi zaufać.

– Dziś wieczorem jest impreza...

– Co? – Strach znowu zaciska wokół mnie swoje zimne macki. Hana dodaje szybko:

– Dowiedziałam się o niej na efemerydzie. To będzie koncert. Kika zespołów występuje niedaleko granicy, w Stroudwater, na jednej z farm.

– Chyba nie mówisz poważnie... nie zamierzasz tam iść, prawda? Nawet mi nie mów, że w ogóle o czymś takim pomyślałaś...

– To jest bezpieczne, okej? Wierz mi. A te strony... to naprawdę niesamowite, Lena, na pewno by ci się spodobało, gdybyś tylko tam zajrzała. Są ukryte. Linki są zazwyczaj

wbudowane w zwykłe rządowe strony, ale sama nie wiem, jakoś się czuje, że coś jest z nimi nie tak, rozumiesz? Nie pasują tam. się czuje, że coś jest z nimi nie tak, rozumiesz? Nie pasują tam. Chwytam się rozpaczliwie każdego jej słowa.

– Bezpieczne? Jak to może być bezpieczne? Ten facet, którego spotkałaś, ten cenzor... przecież jego praca polega właśnie na tym, by wyłapywać ludzi na tyle głupich, że zamieszczają w sieci takie rzeczy...

– Oni nie są głupi, tak naprawdę są niesamowicie inteligentni...

– Nie wspominając o porządkowych, o patrolach, o straży młodzieżowej czy o godzinie policyjnej, ani o segregacji i o wszystkim, co czyni z tego najgorszy pomysł pod słońcem...

– Okej. – Hana podnosi rękę, a potem uderza nimi głośno o uda, aż z wrażenia podskakuję. – Okej. Niech ci będzie. To zły pomysł. Ryzykowny. Ale wiesz co? Mam to gdzieś.

Po jej słowach zapada cisza. Przez chwilę spoglądamy na siebie w milczeniu, a powietrze między nami aż iskrzy od napięcia, jak gdyby emocje miały zaraz osiągnąć masę krytyczną i eksplodować.

– A co ze mną? – wyrzucam z siebie wreszcie, ze wszystkich sił starając się opanować drżenie głosu.

– Czuj się zaproszona. Dziesiąta trzydzieści, Roaring Brook Farms, Stroudwater. Muzyka i taniec. Jednym słowem, zabawa. Coś, na co chyba zasługujemy, zanim wytną nam połowę mózgu. Ignoruję ostatnią część jej komentarza.

– No nie bardzo, Hana. Na wypadek gdybyś zapomniała, przypominam ci, że mamy na ten wieczór inne plany. Mamy plany na te wieczory od ostatnich, hm, dziesięciu lat.

– Cóż, świat się zmienia. – Hana odwraca się do mnie

– Cóż, świat się zmienia. – Hana odwraca się do mnie plecami, a ja czuję się tak, jakbym dostała z całej siły w brzuch.

– Okej. – Coś mnie ściska w gardle. Tym razem wiem, że to tak łatwo nie minie i że zaraz wybuchnę płaczem. Podchodzę do jej łóżka i zaczynam zbierać swoje rzeczy. Jak na złość plecak się przewrócił, na kołdrę wysypały się strzępy papieru, opakowania po gumie do żucia, monety i długopisy. Zaczynam wrzucać wszystko z powrotem, z trudem powstrzymując łzy. – Proszę bardzo. Rób dziś wieczorem, na co masz ochotę. Mam to gdzieś.

Może Hana poczuła się źle, ponieważ jej głos nieco mięknie.

– Mówiłam poważnie, Lena. Powinnaś to przemyśleć. Nic



nam nie grozi, obiecuję.

– Tego akurat nie możesz obiecać. – Biorę głęboki oddech, pragnąc teraz jedynie, by głos przestał mi drżeć. – Wiesz o tym. Nie możesz być pewna.

– A ty nie możesz tak ciągle wszystkiego się bać.

I to przepelnia czarę. Odwracam się, wściekła, czując, jak coś we mnie pęka i czarna masa tłumionych emocji wypływa na powierzchnię.

– Oczywiście, że się boję. I mam prawo się bać. A ty może i się nie boisz, bo masz to swoje idealne życie, idealną rodzinę i wszystko wokół siebie również idealne. Co ty w ogóle wiesz o życiu?

– Idealne? Tak właśnie myślisz? Uważasz, że moje życie jest idealne? – Jej głos jest cichy, lecz przepelniony gniewem. Mam ochotę się od niej odsunąć, jednak zmuszam się do  
Mam ochotę się od niej odsunąć, jednak zmuszam się do pozostania w miejscu.

– Tak. Właśnie tak myślę.

Hana znowu wydaje z siebie krótki, metaliczny śmiech.

– Więc właśnie tak ci się wydaje? Że niczego mi w życiu nie brakuje? – Obraca się z wyciągniętymi ramionami, jakby obejmowała nimi cały pokój, dom, wszystko wokół. Po tych słowach robi mi się nieswojo.

– A co jest nie tak?

– Wszystko, Lena. – Hana kręci głową. – Słuchaj, nie zamierzam cię przeproszać. Wiem, że masz powody, by się bać. To, co się stało z twoją mamą, było straszne...

– Nie mieszaj do tego mojej mamy – przerywam jej, wciąż najeżona.

– Ale nie możesz ciągle winić jej o wszystko. W końcu zmarła dwanaście lat temu.

Gniew zasnuwa mi umysł gęstą mgłą. Mój mózg pracuje na pełnych obrotach jak wirówka, rozbryzgując wokół pojedyncze słowa. Strach. Wina. Pamiętaj. Mama. Kocham cię. Tak, teraz widzę, że Hana rzeczywiście jest węzem – czekała tak długo, żeby mi to powiedzieć, czekała na dogodny moment, żeby mnie ukąsić głęboko i boleśnie.

– Odwal się. – Z całej tej kotłowaniny słów na zewnątrz wychodzą ostatecznie tylko te dwa.

Hana podnosi ręce do góry.

– Słuchaj, Lena, chciałam ci tylko powiedzieć, że powinnaś odpuścić. Nie jesteś taka jak ona. I nie skończysz jak ona. Nie odpuścić. Nie jesteś taka jak ona. I nie skończysz jak ona. Nie

masz tego w sobie.

– Odwał się. – Wiem, że stara się być miła, ale mój umysł jest zupełnie zablokowany, a słowa wylewają się z moich ust same, spływają kaskadami jedno za drugim, i chciałabym, żeby każde z nich było ciosem, żebym mogła walić ją nimi w twarz: bach, bach, bach, bach. – Co ty o niej nie wiesz? I co wiesz o mnie? W ogóle o niczym nie masz pojęcia.

– Lena. – Hana wyciąga rękę w moją stronę.

– Zostaw mnie. – Odsuwam się chwiejnie, łapiąc za plecak, i w drodze do drzwi uderzam o jej biurko. Wszystko rozmazuje mi się przed oczami. Z trudem rozpoznaję poręcz. Potykam się i o mało nie spadam ze schodów, a potem po omacku odnajduję frontowe drzwi. Nie wiem, być może Hana mnie woła, ale wszystkie dźwięki zlewają się w wielki huk atakujący moje zmysły. Słońce, olśniewająco białe światło, szczypanie zimnego żelaza pod palcami, to brama, a potem zapach oceanu i smród benzyny. Coraz głośniejsze wycie. Przerwany pisk: piii, piii, piii.

I nagle wszystko się przejaśnia i oto odskakuję tuż przed przejeżdżającym radiowozem – mija mnie na środku drogi, trąbiąc klaksonem, z wirującą syreną, wzbijając tony kurzu i pyłu, który wdziera mi się do płuc, i zaczynam kaszleć. Ból w gardle staje się nie do zniesienia, jak gdyby ktoś mnie zakneblował, i gdy wreszcie pozwalam sobie na płacz, ulga jest tak ogromna, jakbym zrzuciła z ramion długo dźwigane brzemie. Nie jestem w stanie powstrzymać łez i przez całą drogę do domu co chwila muszę wycierać oczy, żeby widzieć, dokąd idę. co chwila muszę wycierać oczy, żeby widzieć, dokąd idę. Pocieszam się, że za niecałe dwa miesiące to wszystko przestanie mieć dla mnie znaczenie. Zrzucę to z siebie i odrodzę się nowa, wolna jak ptak szybujący ku niebu.

Tego właśnie Hana nie rozumie, nigdy nie rozumiała. Dla niektórych z nas stawką jest coś więcej niż wolność od delirii. Niektórzy z nas, szczęśliwcy, dostaną szansę na odrodzenie, szansę, by stać się kimś nowym, poprawionym, lepszym. Uzdrawionym, pełnym i na powrót doskonałym, jak stal, która wychodzi z ognia lśniącą, twarda i zahartowana. Jedyne, czego pragnę, to obietnica remedium. Niczego więcej nie pragnę i nigdy nie pragnęłam.

## 9

O Panie,  
Osadź nasze serca na miejscu,

Jak osadziłeś planety na orbitach  
I wyłoniłeś świat z chaosu.  
Jak mocą swojej woli powstrzymujesz gwiazdy przed  
spadaniem,  
Ocean przed przemianą w pył i pył przed przemianą  
w wodę,  
Planety zaś chronisz przed zderzeniem,  
A słońca przed wybuchami –  
Tak i nasze serca utrzymuj na miejscu  
Na stałej orbicie.  
Na stałej orbicie.  
I pomóż nam nie zbaczać z drogi.

Psalm 21, rozdział Modlitwa i nauka, [w:] Księga SZZ

Tej nocy gdy kładę się do łóżka, wciąż mam w głowie  
słowa Hany. Nie skończysz jak ona. Nie masz tego w sobie.  
Powiedziała to, żeby mnie pocieszyć, wiem o tym i powinno mi  
to dodawać otuchy – ale z jakiegoś powodu tak nie jest. Z  
jakiegoś powodu rozstraja mnie to. Czuję w sercu głęboki ból,  
jak gdyby utkwilo w nim coś wielkiego, zimnego  
i ostrego.

Jest jeszcze jedna rzecz, której Hana nie rozumie: myślenie  
o chorobie, lęk, czy nie odziedziczyłam ku niej jakieś skłonności  
– to wszystko, co mi zostało po mamie. Choroba to wszystko,  
co o niej wiem. To łączące nas ogniwo.

Bez tego nie mam nic.

Nie chodzi o to, że nie mam żadnych wspomnień o niej.

Mam, i to naprawdę dużo, biorąc pod uwagę, jaka byłam mała,  
gdy zmarła. Pamiętam, że gdy padał śnieg, wysyłała mnie na  
zewnątrz z garnkami, żebym je nim nappełniła. W domu  
polewałyśmy zebrany śnieg syropem klonowym, obserwując,  
jak niemal natychmiast zastyga w bursztynowe cukierki, słodkie,  
filigranowe pętelki, niczym jadalna koronka. Pamiętam, jak  
uwielbiała mi śpiewać, gdy uczyła mnie pływać na plaży przy  
Eastern Promenade. Wtedy nie zdawałam sobie sprawy, jakie to  
dziwne. Inne matki również uczą dzieci pływać. Inne matki  
dziwne. Inne matki również uczą dzieci pływać. Inne matki  
również wrzucają je do wody, smarują im skórę kremem z  
filtrem, żeby się nie poparzyły, i robią wszystkie inne rzeczy,  
które powinny robić matki, jak zostało to określone w rozdziale  
o rodzicielstwie w Księdze SZZ.

Ale z całą pewnością nie śpiewają.

Pamiętam, że kiedy byłam chora, przynosiła mi do łóżka  
tosty z masłem, a kiedy się przewróciłam, całowała stłuczone

miejsca. Pamiętam też, jak kiedyś gdy spadłam z roweru, podniosła mnie i zaczęła kołysać w ramionach, a jakaś przechodząca obok kobieta rzuciła w jej stronę: „powinna się pani wstydzić”. Nie rozumiałam, dlaczego to powiedziała, i zaczęłam płakać jeszcze bardziej. Po tym incydencie mama pocieszała mnie już tylko na osobności. Wśród ludzi jedynie marszczyła brwi i mówiła: „Nic ci nie jest, Lena. Wstań”. Urządzałyśmy też sobie imprezy taneczne. Mama nazywała je „skarpetka-party”, ponieważ zwijałyśmy dywany w salonie, wkładałyśmy najgrubsze skarpetki i ślizgałyśmy się po wyłożonych drewnem korytarzach. Nawet Rachel do nas dołączała, chociaż twierdziła, że jest za duża na dziecinne zabawy. Mama zasuwiała zasłony, wtykała poduszki pod frontowe i tylne drzwi, po czym włączała muzykę. Śmiałyśmy się wtedy tak bardzo, że aż bolały nas brzuchy.

Aż przyszedł dzień, kiedy zrozumiałam, że w nasze skarpetkowe wieczory zasłaniała zasłony, by nie zobaczyły nas przechodzące patrole, że obkładała drzwi poduszkami, by sąsiedzi nie donieśli na nas z powodu słuchania muzyki i zbyt głośnego śmiechu, które uważane są za ostrzegawcze symptomy delirii. Zrozumiałam, że wojskową przypinkę taty – srebrny sztylecik, odziedziczony przez niego po własnym ojcu i noszony przez nią na łańcuszku na szyi – po to wtykała pod kołnierzyk koszuli, wychodząc z domu, by nikt go nie zobaczył i nie nabrał podejrzeń. Zrozumiałam, że najszcześniejsze chwile mojego dzieciństwa były kłamstwem. Były złe, niebezpieczne i niedozwolone. Były dziwaczne. Tak samo jak dziwaczna była moja mama, którą to cechę pewnie po niej odziedziczyłam. Po raz pierwszy tak naprawdę się zastanawiam, co musiała czuć i myśleć tamtej nocy, kiedy doszła do klifów i zrobiła jeszcze jeden krok. Zastanawiam się, czy się bała. Zastanawiam się, czy myślała o mnie i o Rachel. I czy było jej żal, że nas zostawia.

Zaczynam też myśleć o swoim tacie. W ogóle go nie pamiętam, chociaż w zakamarkach mojego umysłu mający mgliste wrażenie dwóch ciepłych, szorstkich rąk i wielkiej twarzy pochylającej się nade mną, ale myślę, że to z powodu oprawionego portretu przedstawiającego jego i mnie, który mama trzymała w swojej sypialni. Miałam wtedy zaledwie kilka miesięcy, a on trzymał mnie na rękach, uśmiechając się do obiektywu. Ale nie ma szans, żebym go tak naprawdę pamiętała. Nie miałam nawet roku, kiedy zmarł. Rak.

Upał jest nieznośny, gęsty, niemal czuję, jak krzepnie na

ścianach. Jenny śpi na wznak, z rękami i nogami rozrzuconymi na kołdrze i oddycha cicho przez otwarte usta. Nawet Grace usnęła szybko, mrużąc bezgłośnie do poduszki. Cały pokój wydziela szybko, mrużąc bezgłośnie do poduszki. Cały pokój wydziela zapach wilgotnych wyziewów, skóry, języka i ciepłego mleka. Wygrzebuję się z łóżka w czarnych dżinsach i podkoszulku. Nie chciało mi się nawet przebierać w piżamę. Wiedziałam, że dzisiaj nie byłabym w stanie usnąć. Wcześniej już podjęłam decyzję. Siedziałam przy kolacji z Carol, wujkiem Williamem, Jenny i Grace – wszyscy przeżywali w milczeniu, wpatrując się bez wyrazu w pozostałych. Miałam wrażenie, że powietrze mnie przygniata, utrudniając mi oddychanie, niczym dwie pięści zaciskające się na balonie z wodą. Właśnie wtedy coś sobie uświadomiłam.

Hana powiedziała, że jestem od tego wolna, ale myliła się. Serce bije mi tak głośno, że słyszę je wyraźnie i jestem pewna, że wszyscy w domu również – i że przez nie ciotka już podniosła się na łóżku i zaraz mnie złapie, oskarżając, zresztą zgodnie z prawdą, o próbę wymknięcia się z domu. Nawet nie wiedziałam, że serce może bić tak głośno. Przypomina mi się teraz opowiadanie Edgara Allana Poe'go, które czytaliśmy kiedyś na zajęciach z nauk społecznych, o facecie, który zabija drugiego, a potem oddaje się w ręce policji, ponieważ jest przekonany, że słyszy serce swojej ofiary bijące pod podłogą. Miała to być opowieść o poczuciu winy i niebezpieczeństwach wynikających z nieposłuszeństwa obywatelskiego, lecz kiedy je przeczytałam, wydawało mi się kiepskie i melodramatyczne. Teraz jednak zaczynam je rozumieć. Pewnie Poe często wymyślał się z domu, gdy był młody.

Otwieram drzwi do sypialni, wstrzymując oddech i modląc się, by nie skrzyknęły. Jenny wydaje z siebie okrzyk i serce mi się, by nie skrzyknęły. Jenny wydaje z siebie okrzyk i serce mi zamiera, ale zaraz potem przewraca się na bok, przerzucając jedną rękę na poduszkę – po prostu wystraszyła się czegoś we śnie – i oddycham z ulgą.

Na korytarzu jest zupełnie ciemno, tak jak w pokoju cioci i wujka, a jedyne dźwięki, które słyszę, to szmer liści na zewnątrz i westchnienia dochodzące ze ścian, typowe artretyczne jęki starych domów. Wreszcie znajduję w sobie tyle odwagi, by wyjść na korytarz i zamknąć za sobą drzwi od sypialni. Idę tak wolno, że mam wrażenie, jakbym wcale się nie poruszała. Wybrzuszenia tapety wyznaczają mi drogę aż do schodów, a potem, idąc na palcach, opuszczam rękę po balustradzie,

centymetr po centymetrze. Mimo to wydaje mi się, że cały dom jest przeciwko mnie, jakby krzyczał: „łapcie ją!”. Każdy schodek zdaje się skrzypieć lub jęczeć. Każda deska w podłodze trzeszczy pod moimi stopami, więc zaczynam w myślach zawierać układ z domem: jeśli uda mi się wyjść na zewnątrz bez obudzenia Carol, przysięgam, że nigdy więcej nie trzasnę żadnymi drzwiami. Nigdy już nie nazwę go starym próchnem, nawet w myślach, nigdy nie będę kłać na piwnicę, kiedy podtapiają ją deszcze, i nigdy, przenigdy nie kopnę ściany, kiedy będę zła na Jenny.

Być może dom usłyszał moją obietnicę, ponieważ jakimś cudem rzeczywiście udaje mi się dojść do frontowych drzwi. Przystaję jeszcze na sekundę, nasłuchując kroków na górze, szeptów i innych dźwięków, ale w przeciwieństwie do mojego serca, które ciągle bije jak szalone, wokół panuje niezmacona cisza. Nawet dom zdaje się właśnie brać oddech, ponieważ cisza. Nawet dom zdaje się właśnie brać oddech, ponieważ frontowe drzwi otwierają się zaledwie ze szmerem, i gdy oglądam się za siebie tuż przed wymknięciem się w noc, pokoje za mną wydają się ciemne i głuche jak grób.

Na werandzie przystaję z wahaniem. Sztuczne ognie umilkły godzinę temu – ostatni wybuch niczym odległy huk ostrzału rozległ się, gdy kładłam się do łóżka – i teraz ulice są opustoszałe i dziwnie ciche. Jest parę minut po jedenastej. Kilkoro wyleczonych pewnie przechadza się jeszcze po Eastern Promenade. Wszyscy inni są już w domach. Na ulicach nie pali się ani jedno światło. Lampy uliczne – z wyjątkiem najbogatszych dzielnic Portland – wyłączono wiele lat temu i teraz przywodzą mi na myśl oczy ślepcy. Dzięki Bogu, że księżyc świeci dziś tak jasno.

Nastawiam uszu, czy nie słyhać przechodzących patroli ani porządkowych – niemal z nadzieją, ponieważ wtedy musiałabym wrócić do środka, do bezpiecznego łóżka – i panika zaczyna ogarniać mnie na nowo. Ale wszystko wokół jest zupełnie ciche i spokojne, niemal zastygłe w bezruchu. To, co we mnie racjonalne i praworzadne, każe mi się odwrócić i wrócić na górę, lecz uparte wewnętrzne ja sprawia, że ruszam przed siebie. Pochodzę do bramy i odpinam rower.

Ponieważ na początku, gdy zaczynam pedałować, zawsze klekocze, przez pewien odcinek wolę go prowadzić. Koła tykają uspokajająco po chodniku. Nigdy w życiu nie byłam o tak późnej porze poza domem. Nigdy w życiu nie zламаłam tak późnej porze poza domem. Nigdy w życiu nie zламаłam

godziny policyjnej. Jednak oprócz strachu, który ciąży mi jak kamień, żarzy się też we mnie iskra ekscytacji, która przedziera się spod warstwy lęku i łagodzi go. Jakbym słyszała w środku: „jest okej, nic mi nie jest, uda mi się”. Jestem tylko zwykłą dziewczyną – przeciętną, niecałe metr sześćdziesiąt, nie specjalnego – ale zrobię to i żadne patrole świata ani godziny policyjne mnie przed tym nie powstrzymają. To niesamowite, jak uspokajająca jest ta myśl. To niesamowite, jak odpędza strach, niczym małe świece w środku nocy oświetlająca kształty wokół, rozpraszająca ciemność.

Wreszcie docieram do końca ulicy i wskakuję na rower.

Gdy zaczynam pedałować, czuję na sobie kojącą, chłodną bryzę. Pilnuję się, żeby za bardzo nie przyspieszyć i zachować czujność na wypadek, gdyby w okolicy byli porządkowi. Na szczęście Stroudwater i Roaring Brook Farms znajdują się dokładnie w przeciwnym kierunku do Eastern Promenade, gdzie jest centrum obchodów Dnia Niepodległości. Gdy tylko uda mi się dojechać do szerokiego pasa ziemi uprawnej, który pierścieniem otacza Portland, powinnam być bezpieczna. Farmy i rzeźnie rzadko są patrolowane. Jednak najpierw muszę przejechać przez West End, zamieszkały przez bogatych takich jak Hana, a potem przez Libbytown i przez most Congress Street nad Fore River. Na szczęście każda ulica, w którą skręcam, okazuje się pusta.

Stroudwater jest dobre pół godziny drogi od mojego domu, nawet przy szybkiej jeździe. Gdy opuszczam część miasta usytuowaną na półwyspie i zmierzam w stronę podmiejskich usytuowaną na półwyspie i zmierzam w stronę podmiejskich stref w głębi łąd, domy stają się mniejsze, jest ich coraz mniej, a podwórka, które do nich przylegają, wyglądają na zachwaszczone i brudne. Nie jest to jeszcze rolnicze Portland, ale widać już gdzieś tam elementy wiejskiego krajobrazu: rośliny wyzierają przez do połowy zbutwiałe ganki, w ciemności żalobnie pohukuje sowa, a czarne łuki nietoperzy przecinają zniebna niebo. Przed prawie każdym domem stoją samochody – podobnie jak przed bogatszymi posiadłościami na West Endzie – tyle że te zostały przywleczone ze złomowisk. Stoją na pustakach pokryte rdzą. Mijam jeden, z którego drzewo wyrasta prosto przez szyberdach, jak gdyby samochód właśnie spadł z nieba i nadział się na pień, a potem inny, z podniesioną maską, pozbawiony silnika. Gdy przejeżdżam obok jakiegoś kota, ten podrywa się, wystraszony, miauczając i łypiąc na mnie ślepiami.

Potem mijam Fore River. Domy znikają z krajobrazu i widać tylko pole za polem. Następnie kolejne farmy, o takich nazwach, jak Zielone Łąki, Owcza Zatoka, Szumiące Wierzby, które brzmią przytulnie i miło, w których ktoś mógłby właśnie piec babeczki i zbierać z mleka śmietaną na masło. Ale to tylko pozory – większość farm należy do wielkich korporacji, hoduje się tutaj bydło, a do pracy zatrudnia sieroty.

Bardzo lubię te tereny, ale teraz, w ciemności, ta otwarta, pusta przestrzeń budzi lęk i nie mogę odpędzić myśli, że gdybym rzeczywiście natknęła się tutaj na patrol, nie miałabym się gdzie ukryć, nie miałabym dokąd uciec. Za polami widzę niskie, ciemne sylwetki stodoł i silosów, niektóre nowo wybudowane, a inne stare, ledwo stojące, wystające z ziemi jak pojedyncze zęby. Powietrze przesycone jest słodkawym zapachem kiełkujących roślin i nawozu.

Roaring Brook Farms znajduje się tuż przy południowozachodniej granicy. Od lat stoi opuszczona, ponieważ połowę głównego budynku i oba silosy zbożowe strawił ogień. W odległości kilku minut od farmy wydaje mi się, że słyszę rytm tętniący niemal niezauważalnie w tle gardłowej pieśni świerszczy, ale przez chwilę nie jestem pewna, czy to aby nie moja wyobraźnia albo bicie mojego serca, które znowu zaczęło walić jak młotem. Po jakimś czasie nabieram pewności. Jeszcze zanim skręcam w wąską polną drogę, która prowadzi do stodoły – albo raczej do tego, co z niej zostało – dźwięki przybierają na sile, krystalizując się w nocnym powietrzu jak deszcz przechodzący w śnieg i dryfujący ku ziemi.

I znów atak paniki. W głowie słyszę tylko: to jest złe, złe, złe. Carol zabiłaby mnie, gdyby wiedziała, co wyprawiam. Zabiła albo kazała wtrącić do Krypt, albo też zaciągnęła do laboratorium na wcześniejszy zabieg, tak jak to zrobili z Willow Marks.

Zeskakuję z roweru na widok rozgałęzienia wiodącego do Roaring Brook i wielkiego metalowego znaku wbitego w ziemię, który głosi: WŁASNOŚĆ MIASTA PORTLAND, ZAKAZ WSTĘPU.

Prowadzę rower do lasu na skraju drogi. Sam budynek farmy i stara stodoła znajdują się jeszcze jakieś dwieście metrów dalej, stara stodoła znajdują się jeszcze jakieś dwieście metrów dalej, jednak rower postanawiam zostawić tutaj, ale go nie przypinam. Wolę nie myśleć, że mogłaby tu być obława, w każdym razie wtedy z pewnością nie chciałabym mocować się z zamkiem po



ciemku. W razie czego trzeba będzie działać naprawdę szybko. Obchodzę zakaz wstępu. Stwierdzam, że powoli staję się ekspertem w ich ignorowaniu, przypominając sobie, jak razem z Haną przeskoczyliśmy bramę laboratorium. To pierwszy raz od dłuższego czasu, kiedy myślę o tamtych wydarzeniach, i natychmiast staję mi przed oczami Alex, z tamtego popołudnia oraz z dnia ewaluacji, śmiejący się z całego serca.

Muszę się skupić na okolicy, na blasku księżyca, pełnych kwiatach na drodze. To mi pomoże zwalczyć mdłości. Nie mam pojęcia, co mnie wyгнаło z domu, dlaczego chciałam udowodnić Hanie, że się myliła, i staram się zignorować myśl – dużo bardziej niepokojącą niż wszystko inne – że moja kłótnia z Haną mogła być tylko wymówką.

Że może gdzieś głęboko w środku byłam po prostu ciekawa.

Teraz nie czuję ciekawości. Jedynie przerażenie. I wydaję się sobie bardzo, bardzo głupia.

Budynek farmy i stara stodoła położone są w niecce między dwoma wzgórzami, jak gdyby siedziały pośrodku wydutych ust. Z powodu takiego usytuowania terenu nie widzę jeszcze farmy, ale im bliżej szczytu wzgórza, tym muzyka staje się czystsza, głośniejsza. Nie przypomina niczego, co słyszałam do tej pory. Nie ma nic wspólnego z muzyką, którą można ściągnąć z BAMF – elegancką, harmonijną i uporządkowaną, ściągnąć z BAMF – elegancką, harmonijną i uporządkowaną, grywaną w muszlach koncertowych w Deering Oaks Park podczas oficjalnych letnich koncertów.

Dobiega mnie czyjś śpiew. Głos jest piękny, mocny i aksamitny jak rozgrzany miód, biegnie w górę i w dół skali tak szybko, że przyprawia o zawroty głowy. Muzyka w tle jest dziwna, pełna sprzeczności i dzika, ale niepodobna do wycia i trzasków, które słyszałam dzisiaj u Hany, choć można wychwycić kilka podobieństw w strukturze rytmu i melodii.

Tamta muzyka była metaliczna i nieprzyjemna, chaotyczna. Ta płynie miękko, oddala się i wraca, nieregularnie, smutno.

Przypomina mi to ocean podczas sztormu, smaganie wiatru i deszczu, fale i pianę morską rozbryzgujące się o nabrzeże – jest w niej ta sama moc i potęga zapierająca dech w piersiach.

To samo czuję i teraz, gdy wchodzę na ostatnie wzgórze.

Dokładnie w chwili gdy muzyka narasta, jak fala tuż przed załamaniem, przede mną pojawia się widok na zrujnowaną stodołę i rozpadający się budynek. Niespodziewanie tak bardzo oszałamia mnie i zdumiewa piękno tego, co widzę, że

wstrzymuję oddech. Przez chwilę wydaje mi się, że przede mną naprawdę rozciąga się ocean – morze ludzi, którzy tańczą i falują w świetle wylewającym się ze stodoły jak cienie wijące się wokół płomienia.

Stodoła jest w zupełnej ruinie: rozłupana i przyczerniona ogniem, wydana na pastwę żywiołów. Została jedynie jej połowa: fragmenty trzech ścian, kawałek dachu, część antresoli, na której kiedyś pewnie przechowywano siano. To właśnie na niej gra kapela. Wokół wyrastają już gdzieśgdzie młode niej gra kapela. Wokół wyrastają już gdzieśgdzie młode drzewa, cienkie i wątłe. Starsze, wypalone do białości w pożarze i całkowicie pozbawione liści, wznoszą upiorne palce ku niebu. Poniżej, kilkanaście metrów za stodołą widać ciemny pas, gdzie zaczyna się ziemia niczyja. Głusza. Z tej odległości nie widzę ogrodzenia, lecz mam wrażenie, że czuję prąd brzęczący w powietrzu. Blisko granicy byłam tylko kilka razy. Pierwszy raz wiele lat temu z mamą, która zaprowadziła mnie tam, bym posłuchała prądu płynącego pod tak dużym napięciem, że powietrze wydawało się od niego trzeszczeć. Powiedziała, że mogę zostać porażona już od samego stania w pobliżu, i kazała mi obiecać, że nigdy, przenigdy go nie dotknę. Mówiła też, że gdy zabieg stał się przymusowy, niektórzy ludzie próbowali przedostać się przez granicę. Wystarczyło, że dotknęli ogrodzenia ręką, a ich ciała smażyły się, skwiercząc jak bekon – dokładnie pamiętam to określenie, „jak bekon”. Kilka razy zdarzyło mi się z Haną biec wzdłuż ogrodzenia, ale zawsze uważałam, żeby zachować bezpieczną odległość co najmniej kilku metrów.

W stodole ustawiono głośniki i wzmacniacze, a nawet dwa ogromne reflektory, których blask dzieli widownię na dwie części – wszyscy stojący bliżej sceny wyglądają nienaturalnie biało, nierealnie, podczas gdy reszta pozostaje ciemna, rozmazana i niewyraźna. Piosenka się kończy i tłum wydaje z siebie jeden wielki ryk podobny do huku oceanu. Moja pierwsza myśl: muszą podbierać prąd z sieci energetycznej na którejś z innych farm. Druga: to głupie, w tym tłumie nigdy nie znajdę Hany. A wtedy zaczyna się następna piosenka, tak dzika i piękna, że czuję, jak muzyka sięga poprzez czarną przestrzeń i zasysa coś w samym środku mnie, szarpiąc mną jak struną.

Wreszcie ruszam w dół, w stronę stodoły. Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że to wcale nie jest moja decyzja. Stopy same mnie niosą, jakby sunęły po niewidzialnym torze.

Przez chwilę zapominam, że mam szukać Hany. Czuję się

jak we śnie, gdzie przytrafiają nam się dziwne rzeczy, ale my uważamy je za zwyczajne. Wszystko jest rozmyte, spowite mgłą, i całą mnie, od stóp do głów, przepelnia tylko jedno palące pragnienie, by zbliżyć się do tej muzyki, lepiej ją słyszeć, i aby trwała, trwała bez końca.

– Lena! O Boże, Lena!

Dźwięk mojego imienia wyrywa mnie z otępienia i dopiero wtedy zauważam, że stoję w ogromnym tłumie ludzi.

Tyle że to nie jest zwykły tłum. Tu są chłopcy. I dziewczyny. Wszyscy nieleczeni, bez śladu blizny na szyi – przynajmniej ci, których mam w zasięgu wzroku. Chłopcy i dziewczyny rozmawiają z sobą, śmieją się, piją z tych samych kubków. Chyba zaraz zemdleję.

Hana kieruje się w moją stronę, torując sobie drogę łokciami, i zanim zdołam otworzyć usta, rzuca się na mnie jak na rozdaniu dyplomów i mocno ściska. Oszołomiona, cofam się chwiejnie i o mało się nie przewracam.

– Przyszłaś! – Hana rozluźnia uścisk i wpatruje się we mnie, nie zdejmując jednak rąk z moich ramion. – Naprawdę przyszłaś. przyszłaś.

Kolejna piosenka dobiega końca i wokalistka – drobna dziewczyna z długimi, czarnymi włosami – ogłasza przerwę. Gdy mój mózg powoli wraca do siebie, przychodzi mi do głowy strasznie głupia myśl: ona jest jeszcze niższa ode mnie, a ma odwagę śpiewać przed pięciusetosobowym tłumem. A potem kolejna myśl: Pięciuset ludzi? Co ja robię w takim tłumie?

– Muszę wracać – oznajmiam szybko. Gdy wypowiadam te słowa, kamień spada mi z serca. Cokolwiek chciałam udowodnić przyjdziem tutaj, zostało udowodnione. Teraz mogę już iść. Muszę się wydostać z tego tłumu, uwolnić od kakofonii głosów, przedostać przez mur falujących ciał i ramion. Wcześniej byłam zbyt pochłonięta muzyką, by się rozejrzeć dookoła, lecz teraz uderza mnie ta feeria kolorów i zapachów, przeraża las kołyszących się rąk.

Hana otwiera usta – być może chce zaprotestować – ale w tej chwili ktoś nam przerywa. Chłopak, ciemny blondyn, któremu włosy spadają na oczy, przepycha się w naszą stronę, trzymając dwa duże plastikowe kubki. Podaje jeden Hanie, która odebrawszy go z jego rąk, z powrotem odwraca się do mnie.

– Lena, to jest Drew, mój znajomy. – Wydaje mi się, że przez chwilę widzę na jej twarzy poczucie winy, ale potem zaraz

wraca jej uśmiech, promienny jak zwykle, jak gdybyśmy po prostu stały na środku szkolnego korytarza i rozmawiały o teście z biologii.

Otwieram usta, lecz nie wydobywają się z nich żadne słowa, co może nie jest takie złe, biorąc pod uwagę, że w mojej głowie wyje teraz przeraźliwy alarm. Może to zabrzmie głupio i naiwnie, ale podczas drogi na farmę ani razu nie pomyślałam, że impreza może być koedukacyjna. W ogóle nie przyszło mi to do głowy. Łamanie godziny policyjnej to jedna sprawa. Słuchanie nielegalnej muzyki jest jeszcze gorsze. Za to łamanie zasad segregacji jest jednym z najcięższych wykroczeń. Stąd wcześniejszy zabieg Willow Marks i napisy na jej domu. To dlatego Chelsea Bronson została wyrzucona ze szkoły po tym, jak podobno przyłapano ją po godzinie policyjnej z chłopakiem ze Spencera, jej rodzice zostali zaś tajemniczo zwolnieni, a cała rodzina zmuszona do opuszczenia domu. I – przynajmniej w wypadku Bronson – nie było nawet dowodu. Wystarczyła plotka. Drew macha do mnie.

– Cześć, Lena.

Otwieram usta i zaraz potem je zamykam. Wciąż nie mogę wydać z siebie żadnego dźwięku. Przez chwilę stoimy w niezręcznej ciszy. A wtedy chłopak nagłym, nerwowym ruchem wyciąga kubek w moją stronę.

– Może whisky?

– Whisky? – powtarzam skrzekliwym głosem. Piłam alkohol tylko kilka razy w życiu. W Boże Narodzenie, kiedy Carol nalewa mi ćwierć kieliszka wina, i raz u Hany, kiedy wykradłyśmy z barku jej rodziców trochę likieru z czarnej porzeczeki i piłyśmy, aż sufit zaczął wirować. Hana ciągle chichotała, ale mnie się to wcale nie podobało: nie podobał mi się słodki, mdły smak w ustach ani sposób, w jaki moje myśli rozpadały się na strzępy, jak mgiełka w słońcu. Brak kontroli – tak nazwałabym to uczucie, i to właśnie było w nim najgorsze. Drew wzrusza ramionami.

– Już nic innego nie zostało. Wódka zawsze schodzi pierwsza. – Zawsze. A więc to nie pierwszy raz.

– Nie. – Próbuję wręczyć mu kubek z powrotem. – Dzięki. Protestuje ruchem ręki, najwyraźniej źle mnie zrozumiał.

– Spoko. Pójdę po następną.

Drew uśmiecha się do Hany i znika w tłumie. Ma miły

uśmiech, lewy kącik jego ust uroczo unosi się wyżej niż prawy – lecz gdy tylko łapię się na tej myśli, ogarnia mnie panika, która ścina mi krew w żyłach, przypominając o całym życiu pełnym szeptów i oskarżeń.

Kontrola. W tym wszystkim chodzi właśnie o kontrolę.

– Muszę iść – udaje mi się wybąkać do Hany. To już postęp.

– Chcesz iść? – Hana marszczy czoło. – Przeszłaś taki szmat drogi...

– Przejechałam. Na rowerze.

– Nieważne. Przejechałaś taki szmat drogi i zamierzasz tak sobie pójść? – Hana wyciąga do mnie rękę, ale szybko krzyżuję ramiona, by uniknąć jej dotyku. Widzę, że ją to zabolowało. Udaję więc, że trzęsę się z zimna, i zastanawiam się, dlaczego tak dziwnie mi się z nią rozmawia. To przecież moja najlepsza dziwnie mi się z nią rozmawia. To przecież moja najlepsza przyjaciółka, dziewczyna, którą znam od drugiej klasy, która dzieliła się ze mną ciasteczkami podczas lunchu i raz przywaliła Jillian Dawson w twarz, kiedy tamta oznajmiła, że moja rodzina skażona jest chorobą.

– Jestem zmęczona – odpowiadam. – I nie powinno mnie tu być. – Chcę dodać „tak samo jak i ciebie”, ale się powstrzymuję.

– Słyszałaś zespół? Są niesamowici, prawda? – Hana jest zbyt miła, kompletnie jak nie ona, i nagle czuję pod żebrami głęboki, ostry ból. Ona stara się być uprzejma. Zachowuje się tak, jakbyśmy były sobie obce. Ona również wyczuwa to dziwne napięcie między nami.

– Yyy... nie przysłuchiwałam się. – Sama nie wiem, czemu nie chcę, by Hana wiedziała, że owszem, słuchałam, i owszem, uważam, że są niesamowici, a nawet więcej. To zbyt osobiste, zbyt krępujące i wstydlive, i pomimo że przejechałam całą tę drogę do Roaring Brook Farms i złamałam godzinę policyjną tylko po to, żeby ją zobaczyć i przeprosić, uderza mnie wcześniejsza myśl: że już nie znam Hany, a i ona tak naprawdę nie zna mnie.

Przywykłam do uczucia rozdwojenia, do tego, że myślę jedno, a muszę robić drugie, do balansowania na krawędzi. Ale to Hana wstrzeliła się idealnie w to rozdwojenie, w inny świat, w świat zakazanych myśli, rzeczy i ludzi.

Czy to możliwe, że przez cały ten czas żyłam swoim życiem, uczyłam się do egzaminów, wyprawiałam się na długie biegi z Haną – i ten drugi świat po prostu istniał, biegł równolegle

biegi z Haną – i ten drugi świat po prostu istniał, biegł równolegle pod moim, tętniący życiem, gotów wypełznąć z cienia i z zakamarków, gdy tylko zajdzie słońce? Nielegalne imprezy, zakazana muzyka, ludzie dotykający się bez lęku przed chorobą, bez lęku o siebie samych.

Świat bez lęku. Niewyobrażalne.

I chociaż stoję pośrodku największego tłumu, jaki widziałam w życiu, nagle czuję się potwornie samotna.

– Zostań – mówi Hana cicho. Mimo trybu rozkazującego jest w jej głosie niepewność, jak gdyby to było pytanie. – Możesz się załapać na drugą część.

Kręcę głową. Żałuję, że tu przyszłam. Żałuję, że to widziałam. Żałuję, że wiem to, co wiem teraz. Chciałabym móc obudzić się jutro rano i pojechać do Hany, leżeć razem z nią na Eastern Promenade i narzekać na wakacyjną nudę, tak jak co roku. Chciałabym móc wierzyć, że nic się nie zmieniło.

– Idę – odpowiadam, znów przeklinając się w myślach za drżenie w głosie. – Ale nie ma sprawy. Ty możesz zostać.

I w tej samej chwili uświadamiam sobie, że przecież ona wcale nie zaproponowała, że wróci ze mną. Hana spogląda na mnie z dziwną mieszanką żalu i litości.

– Mogę wrócić razem z tobą, jeśli chcesz – mówi, ale jestem pewna, że proponuje to tylko po to, bym się poczuła lepiej.

– Nie, nie, dam sobie radę. – Moje policzki płoną i robię krok w tył, nie pragnąc niczego więcej, jak tylko się stąd wydostać. Zderzam się z kimś, z jakimś chłopakiem, który odwraca się w moją stronę i uśmiecha. Szybko odsuwam się od odwraca się w moją stronę i uśmiecha. Szybko odsuwam się od niego.

– Lena, zaczekaj. – Hana znowu próbuje mnie złapać.

Chociaż już trzyma whisky w ręce, wpycham jej do drugiej dłoni swój kubek. Manewrując z trudem, próbuje umieścić oba kubki w zgięciu łokcia, a ja korzystam z okazji i usuwam się z jej zasięgu.

– Dam sobie radę, nie martw się. Pogadamy jutro.

Po tych słowach wślizguję się w wąską przestrzeń między dwójką ludzi – oto jedyna korzyść z bycia niską, ma się przewagę tam, gdzie mało miejsca – i już po chwili Hana zostaje daleko w tyle, pochłonięta przez tłum. Ruszam ścieżką, która wiedzie do wyjścia, z oczami wbitymi w ziemię, mając nadzieję, że policzki szybko mi ochłoną.

Kątem oka rejestruję niewyraźne obrazy, przez co znowu

mam wrażenie, że śnię. Chłopak. Dziewczyna. Chłopak.  
Dziewczyna. Śmieją się, przepychają, dotykają się nawzajem.  
Nigdy, przenigdy w całym swoim życiu nie czułam się tak  
odmienna i jakby z innej bajki. Gdy rozlega się ostry,  
mechaniczny pisk i zespół wznawia grę, muzyka już na mnie nie  
działa. Nawet się nie zatrzymuję. Po prostu idę przed siebie, w  
stronę wzgórza, wyobrażając sobie kojącą ciszę pól  
oświetlonych gwiazdami, znajome ciemne ulice Portland,  
regularny rytm patroli maszerujących cicho w jednym tempie,  
szum krótkofalówek – zwyczajne, normalne, znajome, moje.  
Wreszcie tłum zaczyna się przeredzać. W tamtym ścisku  
było mi gorąco, a teraz wiatr kłuje mnie w twarz, chłodzi  
było mi gorąco, a teraz wiatr kłuje mnie w twarz, chłodzi  
policzki. Uspokoiwszy się nieco, pozwalam sobie spojrzeć  
ostatni raz na scenę za moimi plecami. Stodoła, otwarta ku  
nocnemu niebu i jaśniejąca światłem, przypomina mi zwiniętą  
dłoń trzymającą mały płomyk.

– Lena!

To niesamowite, że natychmiast rozpoznaję ten głos,  
choć słyszałam go tylko raz, i to przez dziesięć, góra  
piętnaście minut – to przez śmiech, który się pod nim kryje, tak  
jakby ktoś powierzał ci fascynujący sekret w trakcie bardzo  
nudnej lekcji. Wszystko natychmiast nieruchomieje. Krew  
zastyga mi w żyłach. Oddech zamiera. Przez chwilę nawet  
muzyka odpływa i słyszę jedynie jakiś miarowy, cichy i piękny  
dźwięk, niczym odległe bicie bębna, i myślę: to moje serce – tyle  
że to niemożliwe, bo ono również przestało bić. Wszystko  
wokół się rozmywa i widzę tylko Aleksa, jak na zbliżeniu w  
aparacie, przepychającego się przez tłum w moją stronę.

– Lena! Zaczekaj.

Ogarnia mnie paraliżujący strach – przez przerażającą  
chwilę przelatuje mi przez głowę myśl, że znalazł się tutaj jako  
część patrolu albo obławy – ale zaraz potem zauważam, że jest  
ubrany normalnie, ma na sobie dzinsy, te swoje zdarte buty z  
niebieskimi sznurówkami i sprany podkoszulek.

– Co ty tu robisz? – udaje mi się wydusić z siebie, gdy mnie  
dogania.

Alex szczerzy zęby w uśmiechu.

– Też się cieszę, że cię widzę.

Zostawił między nami jakiś metr odstępu i jestem mu za to  
Zostawił między nami jakiś metr odstępu i jestem mu za to  
wdzięczna. W tym słabym świetle nie jestem w stanie dostrzec  
koloru jego oczu i dobrze, że nic mnie teraz nie rozprasza, że nie

czuję tego co na wzgórzu przy laboratorium, kiedy się nade mną pochylił i szeptał, kiedy byłam zupełnie świadoma każdego centymetra, jaki oddzielał jego usta od mojego ucha, odczuwając jednocześnie przerażenie, winę i podniecenie.

– Pytam poważnie. – Siłę się na gniewne spojrzenie.

Jego uśmiech blednie, lecz nie znika zupełnie.

– Przyszedłem posłuchać muzyki – wzdycha. – Jak wszyscy inni.

– Ale przecież nie można... – Próbuję znaleźć odpowiednie słowa, nie do końca pewna, jak wyrazić to, co chcę powiedzieć.

– Przecież to jest...

– Nielegalne? – Alex wzrusza ramionami. Kosmyk włosów spada mu na lewe oko i gdy się odwraca, by spojrzeć na rozciągającą się poniżej scenę, na te włosy pada światło ze sceny i zaczynają migotać tym intensywnie złotobrazowym odcieniem. – Tu jest okej – dodaje ciszej, tak że muszę się ku niemu nachylić, by go słyszeć. – Nikt tu nikomu nie robi krzywdy.

Tego nie wiesz – chcę powiedzieć, lecz powstrzymuje mnie smutek wyczuwalny w jego głosie. Alex przeciąga ręką po włosach i mój wzrok pada na małą, ciemną, potrójną bliznę za lewym uchem, idealnie symetryczną. Może tylko ubolewa nad rzeczami, które stracił po zabiegu. Na przykład muzyka nie działa potem na ludzi w ten sam sposób i chociaż powinien zostać również uleczony z żalu, remedium na każdego wpływa zostać również uleczony z żalu, remedium na każdego wpływa inaczej i nie zawsze jest doskonałe. To dlatego ciocia z wujkiem ciągle miewają sny. To dlatego moja kuzynka Marcia czasem wybuchła histerycznym płaczem bez żadnego powodu ani ostrzeżenia.

– A ty? – Znowu odwraca się do mnie i uśmiecha, a w jego głosie jest coś prowokującego i zaczepnego. – Jaką ty masz wymówkę?

– Wcale nie chciałam tu przychodzić – odpowiadam szybko. – Musiałam... – urywam, uświadamiając sobie, że nie jestem pewna, dlaczego musiałam przyjść. – Musiałam dać coś komuś – dopowiadam wreszcie.

Alex unosi brwi, najwyraźniej nieprzekonany. Dodaje szybko:

– Hanie, mojej przyjaciółce. Poznałeś ją wtedy przy laboratorium.

– Pamiętam – odpowiada. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś uśmiechał się tak długo. Tak jakby jego twarz była naturalnie



uformowana w ten sposób. – A tak przy okazji, jeszcze mnie nie przeprosiłaś.

– Za co? – Tłum ciągle przeciska się bliżej sceny i wokół nas zrobiło się pusto. Czasem ktoś nas minie, wymachując butelką albo próbując śpiewać dobiegającą z dołu piosenkę, ale przez większość czasu jesteśmy sami.

– Za to, że mnie wystawiłaś. – Kącik ust wędruje wyżej i znowu mam wrażenie, że powierza mi jakiś sekret, że próbuje mi coś zdradzić. – Nie zjawiałaś się wtedy w Back Cove.

Ha! A jednak czekał na mnie wtedy! A jednak chciał się ze mną spotkać! Ale uczucie triumfu szybko zostaje wyparte przez niepokój. On czegoś ode mnie chce. Nie wiem czego, lecz czuję to i zaczynam się bać.

– No to jak? – Zakłada ręce na piersi i kołysze się na piętach, nie przestając się uśmiechać. – Przeprosisz mnie czy nie?

Jego nonszalancja znowu zaczyna mnie irytować, tak samo jak w laboratorium. To niesprawiedliwe, że on jest taki swobodny i pewny siebie, podczas gdy ja czuję się tak, jakbym miała dostać ataku serca albo zamienić się w kałużę.

– Kłamcy nie zasługują na przeprosiny – odpowiadam, zaskoczona pewnością i siłą w moim głosie.

Alex krzywi się.

– O co ci chodzi?

– Nie zgrywaj niewiniątka. – Przewracam oczami. Czuję, jak z każdą sekundą nabieram pewności siebie. – Skłamałeś, że nie widziałeś mnie podczas ewaluacji. Skłamałeś, mówiąc, że mnie nie rozpoznałeś. – Wyliczam na palcach wszystkie jego winy. – Skłamałeś, że nie było cię tamtego dnia w laboratorium.

– No dobra, dobra. – Podnosi ręce do góry. –

Przepraszam, okej? Masz rację, to ja powinienem cię przeprosić. – Wpatruje się we mnie przez chwilę, a potem wzdycha. – Mówiłem ci, strażnicy nie mają wstępu do laboratorium podczas ewaluacji. Żeby cały proces przebiegał „bez zakłóceń” czy jakoś tak, sam właściwie nie wiem. Ale naprawdę musiałem napić się kawy, a na pierwszym piętrze naprawdę musiałem napić się kawy, a na pierwszym piętrze kompleksu C jest automat z dobrą kawą, taką z prawdziwym mlekiem, więc wstukałem odpowiedni szyfr i dostałem się do środka. I tyle. Koniec historii. Potem musiałem kłamać na ten temat. Mógłbym przez to stracić pracę. A pracuję w tym głupim laboratorium tylko po to, żeby opłacić szkołę... – urywa. Po raz pierwszy jego pewność siebie gdzieś się ulatnia. Wygląda na

zmartwionego, jakby bał się, że mogę na niego donieść.

– A dlaczego byłeś na platformie? – Nie daję za wygraną.

– Dlaczego się na mnie gapiłeś?

– Nawet nie udało mi się wejść na piętro – odpowiada.

Obserwuje mnie uważnie, jak gdyby badał moją reakcję. –

Wszedłem do środka i... i po prostu usłyszałem ten dziwaczny hałas. Ten tupot i ryk. A do tego jakieś krzyki albo coś w tym rodzaju.

Zamykam na chwilę oczy, przywołując wspomnienie ostrych białych świateł, wrażenie, że ocean wdziera się do laboratorium, że dociera do mnie krzyk mamy z przestrzeni tylu lat. Gdy znowu je otwieram, Alex wciąż się we mnie wpatruje.

– W każdym razie nie miałem pojęcia, co się dzieje.

Pomyślałem, sam nie wiem czemu, to przecież głupie, ale pomyślałem, że może ktoś zaatakował laboratorium. A tu nagle widzę nacierające na mnie stado krów... – Wzrusza ramionami.

– Po lewej były schody. Spanikowałem i rzuciłem się na górę.

Stwierdziłem, że po schodach nie wejdą. – Uśmiecha się znowu, ale tym razem krótko, niepewnie. – No i wylądowałem na platformie.

Zupełnie normalne, racjonalne wyjaśnienie. Kamień spada

Zupełnie normalne, racjonalne wyjaśnienie. Kamień spada mi z serca i teraz mniej się go boję. Jednocześnie czuję w piersi coś dziwnego, jakieś tępe uczucie, jakby rozczarowanie. A do tego zaciętość, jakaś część mnie wciąż mu nie ufa. Pamiętam, jak odchyłał głowę, śmiał się. Jak do mnie mrugnął. Wyglądał na rozbawionego, pewnego siebie, szczęśliwego. A nie na przestraszonego.

Świat bez lęku.

– Więc nie masz pojęcia... co się stało? – Sama nie wierzę, że jestem taka beczelna. Zaciskam pięści z nadzieją, że nie zauważył dziwnego tonu w moim głosie.

– Chodzi ci o zamianę przesyłek? – Odpowiada od razu, bez wahania, rozpraszając tym samym moje ostatnie wątpliwości. Tak jak wszyscy wyleczeni, nie kwestionuje oficjalnej wersji. – Nie byłem tego dnia odpowiedzialny za ich przyjmowanie. Facet, który był, Sal, został zwolniony. Powinno się sprawdzać zawartość dostawy. Przypuszczam, że on pominął ten krok. – Przekrzywia głowę na bok i rozkłada ręce. – Wystarczy?

– Wystarczy – odpowiadam. Lecz ciągle czuję ucisk w piersi. Chociaż wcześniej gorąco pragnęłam znaleźć się poza domem, teraz marzę tylko o tym, by za pomocą pstryknięcia

palcem znaleźć się z powrotem w łóżku i odsunąć kołdrę z nóg, uświadamiając sobie, że to wszystko: impreza, spotkanie z Alekssem, było tylko snem.

– A więc jak...? – Wskazuje głową w stronę stodoły.

Zespół gra właśnie coś szybkiego i głośnego. Nie rozumiem już, jak ta muzyka mogła do mnie przemawiać. Teraz to dla mnie jak ta muzyka mogła do mnie przemawiać. Teraz to dla mnie zwykły łoskot, morze hałasu. – Myślisz, że uda nam się podejść bliżej i uniknąć zadeptania?

Ignoruję fakt, że właśnie użył słowa „nam”, słowa, które z jakiegoś powodu brzmi w jego ustach zdumiewająco ponętnie, wymawiane z tym melodyjnym, radosnym akcentem.

– Szczerze mówiąc, właśnie szłam do domu. – Łapię się na tym, że jestem na niego zła, sama nie wiem z jakiego powodu. Pewnie dlatego, że nie okazał się tym, za kogo go brałam, chociaż powinnam się cieszyć, że jest normalny i wyleczony.

– Do domu? – powtarza z niedowierzaniem. – Nie możesz iść do domu.

Zawsze starałam się nie okazywać złości ani irytacji. Nie mogę sobie na to pozwolić w domu Carol, zbyt wiele jej zawdzięczam. Zresztą nie znosiłam spojrzeń, które po kilku moich wybuchach w dzieciństwie przez wiele dni rzucała mi z ukosa, jak gdyby mnie analizowała, oceniała. Wiedziałam, że myśli wtedy: „jest taka jak jej matka”. Teraz jednak się poddaję, pozwalam, by gniew znalazł ujście. Mam już po dziurki w nosie ludzi, którzy zachowują się, jakby ten świat, ten drugi świat, był normalny, podczas gdy ze mną jest coś nie tak. To nie fair, to tak jakby zmieniono nagle zasady gry, ale zapomniano mnie o tym poinformować.

– Mogę i zaraz to zrobię. – Odwracam się i ruszam w kierunku wzgórza, spodziewając się, że zostawi mnie w spokoju. O dziwo, Alex nie odpuszcza.

– Zaczekaj! – Biegnie za mną.

– Zaczekaj! – Biegnie za mną.

– Co ty wyprawiasz? – Odwracam się szybko w jego stronę, znowu zaskoczona pewnością w swoim głosie, tym bardziej że serce wali mi jak młot, trzępoce jak ptak zamknięty w klatce. Może to jest właśnie sekret rozmawiania z chłopakami, może przez cały czas trzeba po prostu się wściekać.

– O co ci chodzi? – Obojgu nam brakuje tchu od wspinaczki, ale mimo zadyszki Alex dalej się uśmiecha. – Chcę tylko z tobą porozmawiać.

– Śledzisz mnie. – Krzyżuję ręce na piersi, jak gdybym

wyznaczała w ten sposób granicę między nami. – Znowu mnie śledzisz.

No, wreszcie. Alex robi krok w tył, a ja odczuwam przelotne, chore ukłucie satysfakcji, że udało mi się wytrącić go z równowagi.

– Znowu? – powtarza za mną. Cieszę się, że chociaż raz to nie ja się jąkam i to nie ja mam problemy ze znalezieniem odpowiednich słów.

– Wiesz, wydaje mi się trochę dziwne, że spędziłam całe swoje życie, w ogóle cię nie widując, a potem nagle widzę cię wszędzie. – Nie zamierzałam tego powiedzieć, co w sumie nie jest żadną nowością, ale gdy tylko wypowiedziałam te słowa, uświadomiłam sobie, że mam rację, że przecież tak właśnie jest. Przypuszczałam, że będzie na mnie zły, lecz on tylko odchyła głowę do tyłu i wybucha śmiechem, przeciągłym i donośnym, a światło księżycy podkreśla srebrnym blaskiem kształt jego policzków, podbródka i nosa. Zaskoczona jego reakcją, gapię się na niego w osłupieniu. Wreszcie Alex reakcją, gapię się na niego w osłupieniu. Wreszcie Alex przestaje się śmiać i spogląda na mnie. Chociaż wciąż nie mogę dojrzeć jego oczu – księżyc, malujący wszystko w srebrnoczarnej tonacji, uwypukla niektóre rzeczy jasnym, krystalicznym srebrem, a resztę pozostawia w ciemnościach – i tak czuję tłący się w nich żar i blask, które widziałam w laboratorium.

– Może po prostu nie przyglądałaś się uważnie – mówi cicho, kołysząc się na piętach.

Mimowolnie cofam się o krok. Przeraza mnie jego bliskość. I fakt, że chociaż dzieli nas kilka dobrych centymetrów, mam wrażenie, że się dotykamy.

– Co... co masz na myśli?

– To, że nie masz racji – urywa i przygląda mi się uważnie, a ja staram się zachować kamienną twarz, nawet gdy czuję, że lewa powieka zaczyna mi drgać. Mam nadzieję, że Alex nie dostrzeże tego w ciemnościach. – Widzieliśmy się mnóstwo razy.

– Zapamiętałabym, gdybyśmy się już kiedyś poznali.

– Nie powiedziałem, że się poznaliśmy. – Nie próbuje się do mnie zbliżyć i chociaż za to mu jestem wdzięczna. Gdy przygryza wargę, wygląda chłopięco i niewinnie. – Mogę cię o coś zapytać? Dlaczego nie biegasz już koło Gubernatora? Wydaję z siebie mimowolny jęk.

– Skąd wiesz o Gubernatorze?

– Chodzę na zajęcia na UP – wyjaśnia. UP to skrót od

University of Portland. Przypominam sobie teraz strzępy jego rozmowy z Haną z tamtego popołudnia, gdy poszliśmy oglądać zatokę. Rzeczywiście mówił wtedy, że jest studentem. – Przez zatokę. Rzeczywiście mówił wtedy, że jest studentem. – Przez ostatni semestr pracowałem w kafejce Grind, przy Monument Square. Widywałem cię cały czas.

Szeroko otwieram usta ze zdziwienia, ale nie wychodzą z nich żadne słowa. Mój mózg zawsze odmawia współpracy, kiedy go najbardziej potrzebuję. Oczywiście znam tę kafejkę. Hana i ja biegałyśmy tamtędy dwa, może trzy razy w tygodniu, obserwując wylewających się z niej studentów, jak dmuchali na parę dymiącą z kubków. Grind wychodzi na mały brukowany plac zwany Monument Square: wyznaczał on połowę jednej z dziesięciokilometrowych tras, które często wówczas pokonywałam.

Pośrodku placu stoi posąg mężczyzny, mocno zniszczony przez śnieg, deszcze i wiatry oraz pomazany przez grafficiarzy. Postać ma nogę wysuniętą do przodu, jak w marszu, a ręką przytrzymuje kapelusz na głowie, przez co wygląda, jakby brnęła w straszliwej zamieci. Drugą rękę, zwiniętą w pięść, trzyma wyciągniętą przed siebie. W zamierzchłej przeszłości Gubernator musiał w niej coś trzymać – pewnie pochodnię – ale tę część posągu odłamano lub ukradziono. Więc teraz idzie przed siebie z pustą ręką, z okrągłą dziurą w środku – idealnym miejscem do ukrywania sekretnych liścików. Hana i ja czasem sprawdzałyśmy wnętrze jego dłoni, czy aby nie ma tam czegoś ciekawego. Znalazłyśmy jedynie kilka starych gum do żucia i parę monet. Sama już nie pamiętam, kiedy i dlaczego zaczęłyśmy z Haną nazywać ten pomnik Gubernatorem. Wiatr i deszcz zatarły napis na cokole. Nikt inny tak go nie nazywa. Wszyscy mówią napis na cokole. Nikt inny tak go nie nazywa. Wszyscy mówią po prostu: „pomnik z Monument Square”. Alex musiał więc kiedyś podsłuchać naszą rozmowę.

Chłopak wciąż patrzy na mnie wyczekująco i uświadamiam sobie, że nie odpowiedziałam na jego pytanie.

– Muszę od czasu do czasu zmieniać trasy – mówię.

Pewnie nie biegałam tamtędy od marca lub kwietnia. – Na dłuższą metę każda trasa staje się nudna. – A potem, ponieważ jest to silniejsze ode mnie, pytam piskliwym głosem: – Kojarzysz mnie?

Alex wybucha śmiechem.

– Trudno cię było nie zauważyć. Biegałaś koło pomnika, a potem wykonywałaś ten śmieszny podskok i coś krzyczałaś.

Fala gorąca uderza mi do głowy. Pewnie znowu zrobiłam się czerwona jak burak – całe szczęście, że stoimy tak daleko od świateł sceny. Zupełnie zapomniałam. Mijając Gubernatora, robiłam wyskok i próbowałam przybić mu piątkę, po czym biegłyśmy z Haną z powrotem do szkoły. Czasem nawet krzyczałyśmy głośno: „Halena!”. Musiałyśmy wyglądać jak kompletne wariatki.

– Bo ja... – Zagryzam wargi, szukając jakiegoś wyjaśnienia, które nie będzie brzmiało absurdalnie. – Kiedy człowiek biega, robi czasem dziwne rzeczy. To przez endorfiny. Działają trochę jak narkotyk, wiesz? Trochę mieszają ci w głowie.

– Mnie się to podobało – stwierdza Alex. – Wyglądałaś wtedy... – milknie na chwilę. Jego twarz ściąga się nieznacznie, w ciemności niemal niezauważalnie, i wygląda teraz tak w ciemności niemal niezauważalnie, i wygląda teraz tak nieruchomo i smutno, jak gdyby on sam był posągiem, albo kimś zupełnie innym. Zaczynam się bać, że nie dokończy zdania, ale wtedy on mówi: – Wyglądałaś na szczęśliwą.

Przez chwilę stoimy w milczeniu. A potem Alex odzywa się znowu, z tym dobrze mi już znanym luzem i uśmiechem.

– Kiedyś zostawiłem dla ciebie wiadomość, wiesz? W dłoni Gubernatora.

Zostawiłem dla ciebie wiadomość. To niemożliwe, zbyt szalone, w ogóle nie do pomyślenia, więc mimowolnie powtarzam z niedowierzaniem:

– Zostawiłeś dla mnie wiadomość?

– Niczego mądrego tam nie napisałem. Po prostu „cześć”, narysowana buźka i moje imię. Ale potem przestałaś się tam pokazywać. – Wzrusza ramionami. – Pewnie dalej tam leży. To znaczy kartka. O ile nie została z niej już tylko papierowa papka. Zostawił dla mnie wiadomość. Zostawił dla mnie wiadomość. Dla mnie. Świadomość – że mnie zauważył, że zatrzymał na mnie myśli dłużej niż sekundę – jest tak niezwykła i porażająca, że ciarki przechodzą mi po plecach.

Z nagłą ogarnia mnie przerażenie. Właśnie tak to się zaczyna. Nawet jeśli on jest wyleczony, nawet jeśli on jest bezpieczny, nie mogę zapominać, że ja jeszcze nie jestem bezpieczna, a właśnie takie są objawy choroby. „Faza pierwsza: zainteresowanie; trudności z koncentracją; suchość w ustach; pocenie, wilgotne dłonie; zawroty głowy i dezorientacja”.

Oprócz paniki czuję też, jak kamień spada mi z serca – tak jak wtedy gdy człowiek dowiaduje się, że wszyscy wokół znają jego

wtedy gdy człowiek dowiaduje się, że wszyscy wokół znają jego najmroczniejszy sekret, że znali go od zawsze. Carol cały czas miała rację, mieli rację moi nauczyciele, moje kuzynki. Okazuje się, że jednak jestem taka jak moja matka. I to coś, ta choroba, jest we mnie, gotowa w każdym momencie się uaktywnić, zacząć mnie zatruwać, toczyć jak robak.

– Muszę iść. – Odwracam się i zaczynam biec, lecz on nie odpuszcza.

– Hej, nie tak szybko. – Dogania mnie na szczycie i łapie za nadgarstek. Jego dotyk pali i szybko mu się wyrrywam. – Lena, zaczekaj chwilę.

Zatrzymuję się, chociaż wiem, że nie powinnam. To przez to, że kiedy wymawia moje imię, ono brzmi w jego ustach jak muzyka.

– Nie musisz się martwić, okej? Nie musisz się bać. – Jego głos jest znowu pełen emocji. – Nie flirtuję z tobą.

Flirt. Słowo tabu. On myśli, że ja myślę, że on ze mną flirtuje. Boże, co za wstyd.

– Ja nie... wcale nie myślę, że ty... nigdy by mi do głowy nie przyszło, że ty... – słowa w moich ustach wpadają jedno na drugie i potykają się o siebie, i teraz wiem, że nie ma takiej ciemności, która mogłaby ukryć rumieniec na mojej twarzy. Alex przekrzywia głowę na bok.

– Wobec tego to ty flirtujesz ze mną?

– Co? Nie! – prychem ze złością. Mam w głowie kompletny chaos i uświadamiam sobie, że nawet nie wiem, czym jest flirtowanie. Czytałam o nim w podręcznikach. I wiem tylko, że jest złe. Czy możliwe jest flirtowanie, nawet gdy się nie wie, że się flirtuje? Czy on ze mną flirtuje? Lewa powieka zaczyna mi już drgać na całego.

– Spokojnie – mówi, podnosząc obie ręce do góry, jakby chciał powiedzieć: „nie bądź na mnie zła”. – Tylko żartowałem. – Obraca się bokiem, obserwując mnie przez cały czas. Księżyc jasno oświetla bliznę na jego szyi. Idealny biały trójkąt, znak, który przywołuje na myśl regularność i porządek. – Jestem bezpieczny, pamiętasz? Nie mogę cię skrzywdzić.

Mówi to cichym, spokojnym głosem i wierzę mu. A mimo to moje serce nie przestaje trzepotać w piersi jak szalone, wznosząc się wyżej i wyżej niczym ptak, jakby miało zaraz unieść mnie w górę. Czuję się tak, jak za każdym razem gdy wbiegam na szczyt wzgórza w centrum miasta i widzę pod sobą Congress Street i całe Portland, którego ulice lśnią zielenią i szarością – z tej perspektywy wszystko wydaje się jednocześnie

piękne i obce – a zaraz potem wyciągam ręce na boki i czując na twarzy smaganie wiatru, zbiegam w podskokach, bez żadnego wysiłku, pozwalając jedynie grawitacji ciągnąć mnie w dół.

Podeksytowana, bez tchu, w oczekiwaniu na upadek.

Nagle uświadamiam sobie, że wokół zrobiło się cicho.

Zespół przestał grać, tłum także umilkł. Jedyne dźwięki to wiatr szumiący tuż nad trawą. Z miejsca gdzie stoimy, po drugiej stronie wzgórza, nie widać już stodoły ani imprezy. Przez chwilę wyobrażam sobie, że jesteśmy jedynymi ludźmi w tej ciemności, że jesteśmy jedynymi ludźmi w całym mieście i na całym świecie. że jesteśmy jedynymi ludźmi w całym mieście i na całym świecie. A potem w przestrzeń zaczynają płynąć delikatne dźwięki, lekkie i ciche jak westchnienie, tak że z początku zdaje mi się, że to wiatr. Ta muzyka jest zupełnie inna od tej, którą słyszałam wcześniej – miękka i delikatna, jak gdyby każda nuta była cienką pętlą artystycznego szkła lub nicią jedwabiu, płynącą przez nocne powietrze. Znowu oszłamia mnie piękno tych dźwięków, niepodobnych do niczego, co w życiu słyszałam, i nagle nie wiadomo skąd ogarnia mnie jednocześnie pragnienie, by się śmiać i płakać.

– To moja ulubiona piosenka. – Mała pierzasta chmurka płynie po niebie, zasłaniając część księżyca. Cienie tańczą na twarzy Aleksa, który nie odrywa ode mnie wzroku, i dużo dałabym za to, by wiedzieć, o czym teraz myśli. – Tańczyłaś kiedyś?

– Nie – odpowiadam, zbyt pośpiesznie i zbyt głośno.

Alex śmieje się cicho.

– Nie ma sprawy. Nikomu nie powiem.

Mam przed oczami mamę: czuję miękkość jej rąk, kiedy obracała mnie na wypolerowanej drewnianej podłodze naszego domu, jak gdybyśmy tańczyły na lodzie. Jej melodyjny głos, gdy radośnie śpiewała piosenki dobiegające z głośników.

– Moja mama kiedyś tańczyła – wyrywa mi się i niemal natychmiast żałuję tych słów.

Jednak Alex nie draży tematu ani nie wybucha śmiechem, tylko cały czas bacznie mi się przygląda. Przez chwilę wydaje mi się, jakby chciał coś powiedzieć. Ale tylko wyciąga do mnie rękę w ciemności.

rękę w ciemności.

– Czy mogę prosić? – mówi. Jego głos jest ledwo słyszalny na tle wiatru, jeszcze cichszy niż szept.

– Prosić o co? – Serce wali mi jak szalone, krew nabiega



do uszu i chociaż wciąż dzieli nas niewielka odległość, przepływa między nami elektryzująca energia i z fali ciepła zalewającej moje ciało można by wnioskować, że jesteśmy przyciśnięci do siebie, ręka do ręki, policzek do policzka.

– Do tańca – odpowiada, a jednocześnie podchodzi do mnie blisko, odnajduje moją rękę i przyciąga mnie do siebie, i w chwili gdy melodia osiąga wyższe rejestry, te dwa wrażenia, dotyk jego dłoni i wznoszenie się muzyki, zlewają mi się w jedno.

I tańczymy.

Większość rzeczy, nawet najpotężniejsze żywioły, ma początek w czymś niepozornym. Trzęsienie ziemi, które obraca miasta w gruzy, zaczyna się od wstrząsu, drżenia, szmeru. Muzyka zaczyna się od wibracji. Powódź, która nawiedziła Portland dwadzieścia lat temu po prawie dwóch miesiącach nieustającego deszczu, zalała laboratoria i zniszczyła tysiące domów, porywała opony, worki ze śmieciami i stare buty i ciągnęła je środkiem ulic jak łupy, zostawiając po sobie cienką warstwę zielonego szlamu, odór zgnilizny i rozkładu unoszący się w powietrzu przez długie miesiące, zaczęła się od cienkiej strużki wody uderzającej o nabrzeże.

Bóg stworzył cały wszechświat z jednego atomu nie  
Bóg stworzył cały wszechświat z jednego atomu nie  
większego niż myśl.

Życie Grace rozpadło się na kawałki z powodu jednego słowa: „sympatyk”. Mój świat zadrżał w posadach z powodu słowa „samobójstwo”.

Poprawka: to był pierwszy raz, kiedy mój świat zadrżał w posadach.

Drugi raz również stało się to z powodu słowa. Słowa, które wydostało się z mojej krtani i zatańczyło na moich ustach, zanim byłam w stanie pomyśleć i je powstrzymać.

Pytanie brzmiało: „spotkamy się jutro?”.

A to słowo brzmiało: tak.

## 10

Objawy amor deliria nervosa

Faza pierwsza: zainteresowanie;

trudności z koncentracją;

suchość w ustach;

pocenie, wilgotne dłonie;

zawroty głowy i dezorientacja;

obniżona świadomość, gonitwa myśli, upośledzona

zdolność logicznego myślenia.

Faza druga:

okresy euforii, histeryczny śmiech i zwiększona energia;

okresy rozpacz, apatia;

zmiany apetytu, gwałtowna utrata wagi lub przybieranie na wadze;

fiksacja, utrata zainteresowań;

zaburzona zdolność logicznego myślenia,

zniekształcenie postrzegania rzeczywistości;

zaburzenia snu, bezsenność lub chroniczne zmęczenie;

obsesyjne myśli i działania;

paranoja, niepewność.

Faza trzecia (krytyczna):

trudności z oddychaniem;

bóle w klatce piersiowej, gardle lub brzuchu;

trudności z przełykaniem, odmowa przyjmowania pokarmów;

całkowite upośledzenie zdolności racjonalnego myślenia i działania, nieobliczalne zachowanie,

agresywne myśli i fantazje, halucynacje i urojenia.

Faza czwarta (śmiertelna):

emocjonalny lub fizyczny paraliż (częściowy lub całkowity);

śmierć.

śmierć.

Jeśli obawiasz się, że ty lub ktoś z twojego otoczenia mógł zachorować na delirium, zadzwoń pod bezpłatny numer 1-800-800-800, a zapewnimy ci natychmiastową pomoc i leczenie.

Nigdy nie rozumiałam, jak Hana mogła tak często kłamać i dlaczego przychodziło jej to z taką łatwością. A teraz okazuje się, że i tutaj wszystko zależy od wprawy, jak w każdej dziedzinie.

I dzięki temu kiedy nazajutrz wróciłam do domu po pracy i Carol zapytała mnie, czy nie mam nic przeciwko hot dogom czwartego dnia z rzędu (wynik nadwyżek w Stop-N-Save; kiedyś codziennie przez dwa tygodnie jedliśmy fasolkę w sosie pomidorowym), odpowiedziałam, że Sophia Hennerson ze Szkoły Świętej Anny zaprosiła mnie wraz z kilkoma innymi dziewczynami na kolację. Nie muszę tego nawet obmyślać. Kłamstwo przychodzi samo. I chociaż ciągle czuję, jak poca mi się dłonie, to głos nawet mi nie zdradził i jestem niemal pewna, że

moja twarz miała normalny kolor, ponieważ Carol rzuciła mi tylko jeden ze swoich przelotnych uśmiechów i powiedziała, że zapowiada się miło.

O szóstej trzydziści wsiadłam na rower i skierowałam się na East End Beach, gdzie umówiłam się z Alekssem.

W Portland jest mnóstwo plaż. East End jest chyba jedną z najmniej popularnych – co oczywiście sprawiło, że należała do ulubionych plaż mamy. Prąd tutaj jest silniejszy niż w Willard ulubionych plaż mamy. Prąd tutaj jest silniejszy niż w Willard Beach czy Sunset Park, właściwie nie wiem dlaczego, w każdym razie mnie to nie przeszkadza. Zawsze świetnie pływałam. Po tym pierwszym razie – kiedy mama puściła mnie w pasie i poczułam jednocześnie panikę i dreszcz podniecenia – nauczyłam się całkiem szybko i zanim ukończyłam cztery lata, byłam już w stanie dopłynąć aż do falochronu.

Są jeszcze inne przyczyny, dla których większość ludzi unika East End Beach, mimo iż to o rzut beretem od Eastern Promenade, jednego z najpopularniejszych parków. Plażę tworzy tylko krótki pas grubego, żwirowatego piasku i sąsiaduje ona z kompleksem laboratoryjnym, a dokładnie z tą jego częścią, gdzie znajduje się magazyn i składowiska odpadów, co nie tworzy szczególnie ładnego krajobrazu. A gdy się wypłynie nieco głębiej w morze, widać jak na dłoni Tukey's Bridge i pasmo ziemi niczyjej między Portland i Yarmouth. Wielu ludzi nie lubi przebywać tak blisko Głuszy. Ogarnia ich wtedy niepokój. Mnie też ta bliskość niepokoi, tyle że jest we mnie coś – drobna, niewielka, głęboko ukryta w środku część – co mnie do tego miejsca ciągnie. Przez jakiś czas po śmierci mamy wyobrażałam sobie, że tak naprawdę nie zmarła ani ona, ani tata – ale że uciekli do Głuszy, by tam być z sobą. On pięć lat przed nią, by wszystko przygotować, zbudować mały domek z żeliwnym piecykiem i wyciosanymi z drewna meblami. Kiedyś wrócą i zabiorą mnie do siebie. Wyobrażałam sobie nawet swój pokój z najdrobniejszymi szczegółami: ciemnoczerwony dywan, małą patchworkową czerwono-zieloną kołdrę, czerwone krzesło.

krzesło.

Snułam takie fantazje zaledwie kilka razy, dopóki nie zdałam sobie sprawy, jakie to niewłaściwe. Gdyby moi rodzice uciekli do Głuszy, staliby się sympatykami, wrogami systemu. Już lepiej, że nie żyli. Poza tym w miarę szybko nauczyłam się, że moje wyobrażenia dotyczące Głuszy były tylko dziecięcymi rojeniami. Odmieńcy nie mają nic, żadnych sposobności do

handlu, zdobycia czerwonych patchworkowych kółder ani krzesel, ani niczego w tym stylu. Rachel powiedziała mi kiedyś, że muszą żyć jak zwierzęta, w brudzie, głodzie, beznadziei. Mówiła, że właśnie dlatego rząd nie przejmuje się tym, by coś z nimi zrobić, nawet nie przyjmuje do wiadomości ich istnienia. Wkrótce wszyscy wyginą z zimna lub głodu albo po prostu choroba zrobi swoje, zwróci ich przeciwko sobie, sprawi, że skoczą sobie do gardeł i pozabijają się nawzajem.

Powiedziała, że o ile nam wiadomo, to już się stało – być może Głusza jest teraz pusta, czarna i martwa, nie licząc szelestów i odgłosów zwierząt.

Pewnie ma rację, jeśli chodzi o inne rzeczy – o to, że Odmieńcy żyją jak zwierzęta – ale w tej sprawie z pewnością się myli. Oni żyją i chcą, żebyśmy o tym pamiętali. To dlatego odgrywają te happeningi. I dlatego wpuścili krowy do laboratorium.

Jestem spokojna aż do momentu, gdy docieram na East End Beach. Słońce chylące się ku horyzontowi oświetla wodę na biało i zalewa wszystko migotliwym blaskiem. Osłaniam ręką oczy przed światłem i dostrzegam na dole Aleksa stojącego przy brzegu, niczym długie pociągnięcie pędzlem na błękitnym tle. Staje mi przed oczami ubiegła noc, przypominam sobie jego palce przyciśnięte do moich pleców tak delikatnie, jakby działo się to tylko w mojej wyobraźni – podczas gdy jego druga ręka trzymała moją, i była sucha i pokrzepiająca jak kawałek drewna nagrzanego od słońca. Tańczyliśmy też tak naprawdę, jak tańczą ludzie na swoich weselach, gdy ich sparowanie zostało już sformalizowane, ale jakoś lepiej, swobodniej, mniej sztywno.

Na szczęście Alex stoi plecami do mnie, twarzą do oceanu.

Wlokę się ciężko po nierównych, wypaczonych od soli schodach, które prowadzą w stronę plaży, i czuję się coraz bardziej nieswojo. Zatrzymuję się, by zdjąć trampki, i biorę je do ręki, po czym idę bosą po ciepłym piasku w jego stronę.

Jakiś starszy mężczyzna wychodzi z wody, trzymając w ręku wędkę. Rzuca mi podejrzliwe spojrzenie, potem odwraca się w stronę Aleksa, po czym znowu spogląda na mnie i marszczy brew. Otwieram usta, by powiedzieć „on jest wyleczony”, lecz mężczyzna tylko chrząka, mijając mnie. Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, by chciało mu się wzywać porządkowych, więc postanawiam darować sobie wyjaśnienia.

Nie, żebyśmy mieli naprawdę jakieś poważne kłopoty, jeśli byśmy zostali złapani – to właśnie miał na myśli Alex, gdy

mówił: „nic ci przy mnie nie grozi” – ale nie mam ochoty na tysiące pytań, na sprawdzanie dowodu w SWD ani na to całe zamieszanie. Zresztą gdyby porządkowi rzeczywiście pofatygowali się aż do East End Beach sprawdzać „podejrzone zachowanie” tylko po to, by zobaczyć, jak jakiś wyleczony lituje zachowanie” tylko po to, by zobaczyć, jak jakiś wyleczony lituje się nad zwykłą siedemnastoletnią dziewczyną, z pewnością byliby wkurzeni – i z pewnością chcieliby się na kimś wyładować.

Lituje się. Natychmiast odsuwam tę myśl, zaskoczona, jak trudno nawet pomyśleć te słowa. Przez cały dzień starałam się nie zastanawiać, dlaczego Alex jest dla mnie taki miły.

Wyobrażałam sobie nawet – przez przelotną, głupią chwilę – że może po ewaluacji zostanę sparowana właśnie z nim. Musiałam odsunąć na bok i tę myśl. Alex zapewne już otrzymał listę swoich kandydatek – musiał je dostać przed zabiegiem, zaraz po ewaluacji. Nie jest jeszcze żonaty, ponieważ ciągle chodzi do szkoły, ale ożeni się, kiedy tylko ją skończy.

Oczywiście zaraz zaczęłam się zastanawiać, jaka może być dziewczyna, z którą został sparowany. Stwierdziłam, że pewnie to ktoś podobny do Hany, z jasnymi włosami i irytującą umiejętnością, by nawet włosy w kucyk zbierać z taneczną gracją. Na plaży jest jeszcze czworo innych ludzi: jakieś trzydzieści metrów dalej kobieta siedzi na wyblakłym składanym krzeselku, wpatrując się obojętnie w horyzont, podczas gdy jej dziecko, najwyżej trzyletnie, drepcze niepewnie wśród fal, przewraca się, wydaje z siebie krzyk (ból? radości?) i z trudem brnie z powrotem w stronę matki. Oprócz nich po plaży spaceruje też para, mężczyzna i kobieta. Z pewnością są małżeństwem. Nie dotykają się, oboje trzymają dłonie splecione na brzuchu, i patrzą wprost przed siebie. Nie odzywają się do siebie ani się nie uśmiechają, lecz są spokojni, jak gdyby każde z nich nie uśmiechają, lecz są spokojni, jak gdyby każde z nich otoczone było niewidzialną bańką ochronną.

Wreszcie podchodzę do Aleksa, który odwraca się i uśmiecha na mój widok. Gdy słońce pada na jego włosy, przez chwilę wydają się białe, a potem wraca ich zwykły złocistobrązowy kolor.

– Cześć – mówi. – Fajnie, że przyszedłeś.

Nagle czuję się z tymi starymi butami w ręce jak kretyńka. Moje policzki płoną, spuszczam więc wzrok, zrzucam buty i palcem u nogi odwracam je w piasku.

– Przecież powiedziałam, że przyjdę, co nie? – Nie

chciałam, by słowa te zabrzmiały tak szorstko, i przeklinam się w myślach. Mam wrażenie, że w moim mózgu działa jakiś filtr, tyle że zamiast pomagać, odwraca moje myśli do góry nogami, tak że wszystko, co wychodzi z moich ust, jest zupełnie niewłaściwe, zupełnie inne od tego, co myślę.

Na szczęście Alex wybucha śmiechem.

– Chodziło mi tylko o to, że ostatnim razem mnie wystawiłaś – mówi. Wskazuje głową na piasek pod naszymi stopami. – Usiądziemy?

– Jasne – odpowiadam z ulgą. Czuję się dużo pewniej, gdy już oboje siedzimy na piasku. Przynajmniej nie można się potknąć, dużo mniejsze jest też ryzyko zrobienia innych głupich rzeczy. Podciągam kolana pod brodę. Alex siada w niewielkiej odległości ode mnie.

Przez kilka minut siedzimy w milczeniu. Na początku gorączkowo szukam jakiegoś tematu. Każda chwila ciszy zdaje się przeciągać w nieskończoność, Alex musiał chyba uznać, że się przeciągać w nieskończoność, Alex musiał chyba uznać, że nagle odebrało mi mowę. Gdy jednak zaraz potem wygrzebuje z piasku muszelkę i ciska ją do oceanu, uświadamiam sobie, że jego ta sytuacja wcale nie męczy. I wreszcie się rozluźniam, a nawet cieszę z tej ciszy.

Czasem mam wrażenie, że jeśli się tylko obserwuje rzeczy, siedzi się spokojnie i pozwala światu wokół nas po prostu istnieć, to wtedy na krótką chwilę czas zastyga i świat zatrzymuje się w ruchu. Tylko na krótką chwilę. I jeśli komuś uda się żyć w takiej chwili, będzie żył wiecznie.

– Mamy odpływ – odzywa się Alex. Ciska kolejną muszelkę, wysoko i daleko, aż uderza o falochron.

– Wiem. – Ocean pozostawia po sobie warstwę zielonej papki z wodorostów, gałązek i szamoczących się krabów pustelników, a powietrze przesycone jest ostrym zapachem soli i ryb. Jakaś mewa tupta po plaży, odciskając na piasku ślady łap.

– Moja mama zabierała mnie tutaj, kiedy byłam mała. Podczas odpływu wychodziłyśmy trochę głębiej w morze, daleko, jak tylko się dało. Na piasku można było znaleźć dziwne rzeczy: skrzypłocze, ogromne małże i ukwiały, które zostawiała za sobą woda. Mama uczyła mnie też pływać. – Nie jestem pewna, skąd ten potok słów, ta nagła potrzeba mówienia. – Moja siostra zwykle siedziała na brzegu i budowała zamki z piasku.

Udawałyśmy, że są to prawdziwe miasta zza oceanu, że przepłynęłyśmy aż na drugą stronę świata, do miejsc ogarniętych chorobą. Tyle że w naszych zabawach wcale nie były zakażone,

zniszczone ani straszne. Były piękne i spokojne, zbudowane ze światła i szkła.

Alex milczy, wodząc palcem po piasku. Ale wiem, że mnie słucha. Słowa płyną dalej:

– Pamiętam, jak mama zanurzała mnie w wodzie, podtrzymując na biodrze. I pewnego dnia po prostu mnie puściła. To znaczy nie tak naprawdę. Miałam te dmuchane zabawki na rękach. Mimo to byłam tak przerażona, że zaczęłam wrzeszczeć wniebogłosy. Miałam wtedy tylko kilka lat, ale pamiętam, jakby to było wczoraj. Odczułam taką ulgę, gdy wyciągnęła mnie z wody. Lecz było też... rozczarowanie. Jak gdybym straciła szansę na coś wielkiego, wiesz?

– A co się stało? – Alex spogląda na mnie, przechylając głowę. – Już tu nie przychodzisz? Twoja mama przestała lubić ocean?

Spoglądam w dal, w stronę horyzontu. Zatoka jest dzisiaj całkiem spokojna. Płaska tafla mieniąca się wszystkimi odcieniami błękitu i fioleto, która odsuwa się od plaży, cicho zasysając wodę. Nieszkodliwa.

– Nie żyje – odpowiadam, zdumiona, z jakim trudem słowa te przechodzą mi przez gardło. Alex milczy, a ja dodaję szybko:

– Zabiła się. Kiedy miałam sześć lat.

– Przykro mi – mówi cichym, ledwo dosłyszalnym głosem.

– Tata umarł, gdy miałam osiem miesięcy. W ogóle go nie pamiętam. Wydaje mi się... wydaje mi się, że to ją jakoś załamało, wiesz? To znaczy mówię o mamie. Nie została wyleczona. Remedium nie zadziałało. Nie wiem czemu.

wyleczona. Remedium nie zadziałało. Nie wiem czemu. Poddawali ją zabiegowi trzy razy, ale... nie naprawili jej. –

Urywam na chwilę i biorę oddech. Boję się spojrzeć na Aleksa, który siedzi obok mnie cicho i nieruchomo jak posąg, jak wyrzeźbiony kawałek cienia. Mimo to nie potrafię przestać mówić. Uświadamiam sobie ze zdziwieniem, że pierwszy raz opowiadam komuś historię mamy. Nigdy przedtem nie musiałam. Wszyscy wokół mnie – dziewczyny w szkole, sąsiedzi i znajomi cioci – wiedzieli już o mojej rodzinie i jej wstydlivych sekretach. Właśnie dlatego spoglądali na mnie z litością, kątem oka. To dlatego przez lata wszędzie towarzyszyły mi szepty, które nagle milkły, gdy wchodziłam do pokoju. Uderzała mnie wtedy ta cisza – cisza i poczucie winy, przestraszone twarze. Nawet Hana wiedziała, zanim zaczęłyśmy razem siedzieć w drugiej klasie. Pamiętam to, ponieważ znalazła mnie w kabinie toaletowej, chlipiącą w papier toaletowy, którym zatykałam

sobie usta, by nikt mnie nie usłyszał. Otworzyła wtedy drzwi kopniakiem i gapiła się na mnie. „To z powodu twojej mamy?” – zapytała. To były jej pierwsze wypowiedziane do mnie słowa.

– Nie wiedziałam, że coś było z nią nie tak. Nie wiedziałam, że jest chora. Byłam za mała, żeby to zrozumieć. – Wciąż wbijam wzrok w horyzont, ciągłą cienką linię, jak naprężona lina do akrobacji. Zatoka odsuwa się od nas i jak zawsze przychodzi mi do głowy ta sama myśl co w dzieciństwie: że może woda już nie wróci, cały ocean zniknie na zawsze, cofnie się z powierzchni ziemi jak usta rozchylające się nad zębami, odsłaniające zimną, twardą biel pod spodem, wyblakłe kości. – Gdybym wiedziała, może...

kości. – Gdybym wiedziała, może...

W ostatniej chwili głos mi się rwie i nie jestem w stanie nic więcej powiedzieć, nie jestem w stanie dokończyć zdania. Może mogłabym powstrzymać chorobę. To słowa, których nigdy wcześniej nie wypowiedziałam, o których nigdy nawet nie pozwoliłam sobie pomyśleć. Ale ich istnienie jest niezaprzeczalne, są one wręcz namacalne, nie do uniknięcia, jak wyrastająca przed nami stroma górską ścianą: mogłam ją powstrzymać. Powinnam była ją powstrzymać.

Siedzimy w ciszy. W którymś momencie mojej opowieści matka z dzieckiem musiała się spakować i pójść do domu. Alex i ja zostaliśmy na plaży sami. Teraz kiedy potok słów wreszcie się urwał, nie mogę uwierzyć, jak wiele powiedziałam zupełnie obcej osobie, a do tego ni mniej, ni więcej tylko chłopakowi. Nagle ogarnia mnie pałący wstyd. Rozpaczliwie szukam jakiegoś innego tematu – czegoś nieszkodliwego, o przyptywie lub pogodzie, lecz jak zwykle, kiedy umysł jest mi potrzebny, staje się kompletnie pusty. Boję się spojrzeć na Aleksa. Kiedy wreszcie znajduję w sobie odwagę, by popatrzeć na niego z ukosa, widzę, że wbija wzrok w zatokę. Jego twarz jest zupełnie nieruchoma z wyjątkiem małego mięśnia drgającego pod podbródkiem. Czuję ukłucie w sercu. Tak jak się obawiałam – jest zażenowany, zniesmaczony moją rodzinną opowieścią, chorobą, która krąży w moich żyłach. Za chwilę wstanie i powie mi, że lepiej, byśmy się już więcej nie widzieli. To dziwne. Tak naprawdę nawet go nie znam i dzieli nas przepaść nie do przebycia, lecz ta myśl i tak mnie martwi.

Jestem już bliska tego, by zerwać się na równe nogi i uciec  
Jestem już bliska tego, by zerwać się na równe nogi i uciec  
jak najdalej stąd, żeby nie kiwać głową i udawać, że rozumiem,  
kiedy odwróci się do mnie i powie: „Lena, posłuchaj, przykro



mi, ale...”, i rzuci mi to dobrze znane spojrzenie.

Przypomina mi się teraz historia z ubiegłego roku, kiedy na Hill wałęsał się wściekły pies, który warczał i rzucał się na wszystkich, a z pyska ciekła mu piana. Był to wygłodniały, zapchlony kundel, na dodatek bez jednej łapy, ale i tak trzeba było dwóch policjantów, żeby go zastrzelić. Wokół zebrał się tłum gapiów, ja też tam byłam. Wracalam akurat z biegania. Po raz pierwszy w życiu zrozumiałam wtedy, co kryło spojrzenie, które zawsze rzucano w moją stronę, to wydęcie warg, kiedy tylko padało nazwisko Haloway. Litość, owszem – ale i obrzydzenie, a do tego strach przed zarażeniem. Tak samo ludzie patrzyli na psa, kiedy krążył, gryzł i toczył pianę z pyska. A potem nastąpiło zbiorowe westchnienie ulgi, gdy trzecia kula wreszcie go powaliła i przestał drgać.

I kiedy stwierdzam, że to napięcie jest już nie do wytrzymania, Alex wyciąga rękę i muska palcem mój łokieć.  
– Ścigajmy się – mówi, podnosząc się i strzepując piasek z szortów. Podaje mi dłoń i pomaga się podnieść, a uśmiech znowu błąka się po jego twarzy. Jestem mu za to bezgranicznie wdzięczna. A zatem nie zamierza wykorzystywać przeszłości mojej rodziny przeciwko mnie. Nie uważa, że jestem brudna czy skażona. Gdy już staję dzięki jego pomocy, wydaje mi się, że rytmicznie ściska moją dłoń, co przypomina mi mój sekretny sygnał z Haną i zły nastrój pryska zupełnie.

sygnał z Haną i zły nastrój pryska zupełnie.

– Okej, o ile jesteś gotów przełknąć całkowite upokorzenie

– odpowiadam.

Alex podnosi brwi.

– A więc wydaje ci się, że możesz mnie pokonać?

– Mnie się nie wydaje. Ja to wiem.

– To się jeszcze okaże. – Przekrzywia głowę. – No to kto pierwszy przy bojach?

Ostro, muszę przyznać. Ocean w zatoce nie odchodzi zbyt daleko. Przy bojach woda ma pewnie z metr dwadzieścia głębokości.

– Chcesz się ścigać w zatoce?

– A co, boisz się? – pyta, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Nie boję się, tylko...

– To dobrze. – Wyciąga rękę i dwoma palcami dotyka mojego ramienia. – Wobec tego mniej gadania, a więcej... start! Wykrzyknąwszy ostatnie słowa, rzuca się do biegu. Mijają całe dwie sekundy, zanim ruszam za nim, krzycząc: To nie fair! Nie byłam gotowa!, i oboje ze śmiechem wpadamy w ubraniach

do wody. Biegniemy po płyciźnie, po drobnych nierównościach dna odsłoniętych podczas odpływu, a muszelki chrzęszczą mi pod stopami. W pewnym momencie palec u nogi zaplątuje mi się w gmatwaninę czerwono-fioletowych wodorostów i przewracam się, o mało nie lądując na twarzy. Odpycham się od mokrego piasku i wstaję na nogi. Już, już doganiam Aleksa, gdy ten schyla się, nabiera pełną garść mokrego piasku i rzuca w moją stronę. Uchylam się z piskiem, mimo to mała grudka dosięga policzka i ześlizguje mi się po szyi.

ześlizguje mi się po szyi.

– Ale z ciebie oszust!

– Nie można oszukiwać, jeśli nie ma zasad! – wykrzykuje Alex przez ramię.

– Nie ma zasad, powiadasz? – Jesteśmy już w wodzie po łydki, więc zaczynam go ochlapywać wodą, zostawiając mokre ślady na jego plecach i ramionach. Alex odwraca się i przeciąga ręką po powierzchni wody, rozbryzgując ją w lśniący łuk. Skręcam tułów, by zrobić unik, i poślizgnąwszy się, wpadam do wody po łokcie, mocząc szorty i dół podkoszulka, a nagle uderzenie zimna odbiera mi oddech. Alex wciąż brnie naprzód, z odwróconą głową, z radosną twarzą, a jego śmiech rozbrzmiewa tak głośno, że wyobrażam sobie, jak mija Great Diamond Island i biegnie za horyzont, aż do innych części świata. Dźwigam się do góry i ścigam go dalej. Do boi zostało jeszcze kilka metrów, woda sięga mi do kolan, potem do ud i do pasa, aż wreszcie oboje trochę biegniemy, trochę płyniemy, gorączkowo machając rękami. Nie oddycham, nie myślę, tylko śmieję się, chlapię wodą i skupiam się na czerwonych falujących bojach, na zwycięstwie – zwycięstwo, muszę wygrać! Na niecały metr od celu on ciągle prowadzi, a mnie przemoczone ubrania ciągną w dół, jakbym miała kieszenie wypchane kamieniami, więc bez zastanowienia rzucam się do przodu i łapię go, ciągnąc pod wodę. Odbijam się stopami od jego uda i uderzam w najbliższą boję. Musimy być jakieś czterysta metrów od plaży, ale wciąż jest odpływ, więc spokojnie sięgam stopami dna, podczas gdy woda uderza mnie w pierś. Alex wynurza się, parska i kręcąc głową, rozsiewa wokół drobne kropelki, a ja wznoszę ręce do góry w geście wokół drobne kropelki, a ja wznoszę ręce do góry w geście zwycięstwa.

– Wygrałam! – krzyczę zdyszana.

– Oszukiwałaś – stwierdza Alex, z trudem dochodząc do mety, i rzuca się na wodę, obejmując rękami linę rozpiętą między bojami. Wygina ciało, zwracając twarz w stronę słońca. Ma

zupełnie przemoczony podkoszulek, kropelki na rzęsach, a woda ścieka mu po policzkach.

– Nie ma zasad – odpowiadam – nie ma oszukiwania.

Alex odwraca się w moją stronę i uśmiecha szeroko.

– Wobec tego pozwoliłem ci wygrać.

– Taaa, jasne. – Ochlapuję go, a on podnosi ręce na znak, że się poddaje. – Po prostu nie umiesz się pogodzić z przegraną.

– Nie jestem przyzwyczajony do porażek. – I znowu ta pewność siebie, ta na poły irytująca swoboda, przechylenie głowy i uśmiech. Jednak dzisiaj mnie to nie wkurza. Dziś mi się to podoba, jak gdyby część tego spływała na mnie, jak gdybym przebywała w jego towarzystwie na tyle długo, żeby nie czuć się niezręcznie, niepewnie, żeby się nie bać.

– Niech ci będzie. – Przewracam oczami i opieram ramię na bojach obok niego, ciesząc się prądami szumiącymi wokół moich piersi, rozkoszując się tą osobliwą sytuacją, że oto kołyszę się na środku zatoki w ubraniu, że podkoszulek przylega mi do ciała, a ciężar mokrych spodenek ciągnie mnie w dół. Wkrótce zacznie się przypływ i woda znowu się podniesie. A wtedy czeka nas powolna, męcząca droga w stronę brzegu. Ale to mnie teraz nie obchodzi. Teraz w ogóle nic mnie nie obchodzi. Teraz w ogóle nic mnie nie obchodzi – nie martwię się, jak wyjaśnię Carol, dlaczego wracam przemoczona do suchej nitki, z wodorostami przyczepionymi do pleców i włosami pachnącymi solą, nie martwię się, ile jeszcze czasu zostało do godziny policyjnej ani dlaczego Alex jest dla mnie taki miły. Jestem po prostu szczęśliwa – tak zwyczajnie, prawdziwie. Za bojami zatoka ma ciemnofioletowy kolor, a woda pieni się w falach. Nie wolno wypływać poza boje – tam są wyspy i punkty strażnicze, a za nimi ocean, który prowadzi do dzikich miejsc choroby i strachu – jednak przez chwilę wyobrażam sobie, jak daję nura pod linę i wypływam na otwarte morze.

Po lewej stronie widać jasne białe sylwetki budynków laboratoryjnych, a w oddali za nimi stary port i doki przypominające wielkie drewniane stonogi. Po prawej znajduje się Tukey's Bridge i długi sznur budek strażniczych, biegnących najpierw wzdłuż mostu, a potem wzdłuż granicy. Alex widzi, że spoglądam w tamtą stronę.

– Piękny widok, prawda? – odzywa się.

Most jest upstrzony szarozielonymi zaciekami i glonami, a do tego robi wrażenie, że ugina się pod siłą wiatru.

– Wygląda trochę, jakby gnił, co nie? – odpowiadam,

krzywiąc się. – Moja siostra mówiła, że kiedyś po prostu się załamie i runie do oceanu.

Alex wybucha śmiechem.

– Nie mówiłem o moście. – Delikatnym ruchem podbródka wskazuje, o co mu chodziło. – Mówiłem o tym, co za mostem. – Milknie na ułamek sekundy. – Mówiłem o Głuszy.

Milknie na ułamek sekundy. – Mówiłem o Głuszy.

Za Tukey's Bridge znajduje się północna granica ciągnąca się wzdłuż odległej części Back Cove. Właśnie w tej chwili światła w budkach strażniczych zaczynają się włączać, jedno po drugim, rozbłyskując na tle ciemniejszego nieba – znak, że robi się już późno i powinnam się zbierać do domu. Mimo to nie mogę się zmusić do powrotu, chociaż woda wokół mnie zaczyna bulgotać i wirować – zaczyna się przypływ. Za mostem bujna zieleń Głuszy kołysze się z wiatrem jak nieustannie falujący mur, jak gęsty klin zieleni wcinający się w zatokę i oddzielający Portland od Yarmouth. Z tego miejsca widać jedynie jej najbardziej odsłoniętą część, puste miejsce, które odznacza się brakiem światła, brakiem łodzi, brakiem budynków: jest nieprzeniknione, czarne i obce. Wiem, że Głusza rozpościera się na wiele kilometrów przez cały kontynent, przez cały kraj, jak potwór oplatający swymi mackami cywilizowane części świata. Może to euforia wywołana odniesionym zwycięstwem albo emocje związane z samym wyścigiem, albo też fakt, że nie krytykował mnie ani mojej rodziny, gdy mówiłam mu o mamie, w każdym razie w tej chwili jestem tak oszołomiona i przepełniona szczęściem, że czuję, iż mogę powiedzieć Aleksowi o wszystkim, zapytać go o wszystko. Więc wypalam:

– Mogę ci wyznać sekret? – Nie czekam na odpowiedź.

Wiem, że nie muszę. I ta błoga świadomość wywołuje lekkość w sercu i przyprawia o zawroty głowy. – Kiedyś dużo o tym myślałam. Mówię o Głuszy i o tym, jak tam jest... i o Odmieńcach, o tym, czy naprawdę istnieją. – Obserwuję go kątem oka i wydaje mi się, że się wzdrygnął, więc dodaję kątem oka i wydaje mi się, że się wzdrygnął, więc dodaję szybko: – Czasami myślałam... Czasami wyobrażałam sobie, że może mama nie zmarła, wiesz? Tylko że uciekła do Głuszy. Nie, żeby tak było lepiej. Wydaje mi się, że po prostu nie chciałam się pogodzić z myślą, że odeszła na zawsze. Łatwiej było wyobrażać ją sobie gdzieś tam, jak śpiewa... – Milknę na chwilę i kręcę głową, zdumiona, jak swobodnie rozmawia mi się z Alekssem. Jestem mu za to wdzięczna. – A ty? – pytam.

– Co ja? – Alex spogląda na mnie z miną, której nie

potrafię rozszyfrować. Wygląda, jakby czuł się zraniony, ale to przecież nie ma sensu.

– Czy myślałeś o Głuszy, kiedy byłeś mały? No wiesz, tak dla zabawy.

Alex mruży oczy, odwraca wzrok i krzywi się.

– Tak, jasne. Mnóstwo razy. – Wyciąga rękę i uderza w boje. – Nie ma tego wszystkiego. Nie ma murów, które zagradzają ci drogę. Nie ma szpiegujących oczu. Tylko wolność i przestrzeń, miejsca, gdzie można się położyć na trawie... Cały czas myślę o Głuszy.

Wpatruję się w niego zaskoczona. Nikt już nie używa takich słów jak „wolność” i „przeźródzeń”. Dawnych słów.

– Cały czas? Nawet po tym?

Odruchowo wyciągam rękę i przesuwam palcami po potrójnej bliźnie na jego szyi.

Alex odskakuje jak oparzony, a ja natychmiast opuszczam rękę, zawstydzona.

– Lena... – zaczyna przedziwnym głosem, jak gdyby moje imię pozostawiało w jego ustach zły smak.

Wiem, że nie powinnam była dotykać go w ten sposób.

Przekroczyłam granicę, a on przypomni mi teraz, jak powinna się zachowywać osoba nieleczona. Chyba umrę ze wstydu, jeśli zaczniesz mnie pouczać, więc żeby pokryć zakłopotanie, zacznę paplać bez opamiętania:

– Większość wyleczonych nie myśli o takich rzeczach.

Carol, moja ciocia, zawsze mawia, że to strata czasu. Mówi, że nie ma tam nic oprócz zwierząt, ziemi i robaków i że całe to gadanie o Odmieńcach to bajki dla dzieci. Uważa, że wiara w nich jest tym samym co wiara w wilkołaki i wampiry. Pamiętasz, jak ludzie mówili, że w Głuszy mieszkają wampiry?

Alex uśmiecha się, lecz jest to raczej grymas niż uśmiech.

– Lena, muszę ci coś powiedzieć. – Jego głos jest teraz mocniejszy i coś w tym tonie każe mi bać się tego, co usłyszę.

Pewnie dlatego nie potrafię powstrzymać potoku słów.

– Czy to bolało? Mówię o zabiegu. Moja siostra mówiła, że to nic takiego, przynajmniej przy tych wszystkich środkach przeciwbólowych, które ci dają, ale kuzynka Marcia mówiła, że to było najgorsze doświadczenie w jej życiu, nawet gorsze niż poród, chociaż przy drugim dziecku męczyła się piętnaście godzin... – urywam, rumieniąc się i przeklinam się w myślach za to, jak absurdalny kierunek przybrała ta rozmowa. Chciałabym wrócić do wczorajszej imprezy, kiedy miałam w głowie pustkę; jest tak, jak gdyby wszystko, co wczoraj mój mózg zachował

dla siebie, teraz się ze mnie wylewało. – Ale ja się nie boję – dodaję, niemal krzyżąc, gdy widzę, że Alex znowu chce coś dodaję, niemal krzyżąc, gdy widzę, że Alex znowu chce coś powiedzieć. Desperacko pragnę powstrzymać nieuniknione. – Mój zabieg jest coraz bliżej. Zostało mi jeszcze sześćdziesiąt dni. To głupie, nie? Że liczę. Ale nie mogę się doczekać.

– Lena. – Głos Aleksa jest teraz twardy, nieznoszący sprzeciwu, więc wreszcie milknę. Odwraca się i stajemy twarzą w twarz. W tym samym momencie czuję, jak moje stopy odrywają się od piaszczystego dna, i dopiero teraz dociera do mnie, że woda podchodzi mi już do szyi. Przyływ zbliża się szybko. – Posłuchaj mnie. Nie jestem... nie jestem tym, za kogo mnie uważasz.

Muszę wyżyć wszystkie siły, żeby utrzymać stopy w kontakcie z dnem. Nagle czuję szarpnięcie prądu. Zawsze tak jest. Podczas odpływu woda oddala się powoli, a potem wraca pospiesznie.

– Co masz na myśli?

Jego oczy – mieniające się złotem i bursztynem, jak oczy zwierzęcia – szukają mojej twarzy i nagle znów, sama nie wiem czemu, ogarnia mnie przerażenie.

– Nie jestem wyleczony – odpowiada. Na chwilę zamykam powieki i wyobrażam sobie, że się przesłyszałam, że pomyliłam szum fal z jego głosem. Gdy otwieram oczy, Alex dalej wpatruje się we mnie, a w jego spojrzeniu maluje się poczucie winy i coś jeszcze, może smutek? I już wiem, że się nie przesłyszałam.

Dodaje: – Nigdy nie przeszedłem zabiegu.

– Chodzi ci o to, że remedium nie zadziałało? – pytam.

Moim ciałem wstrząsają dreszcze i dopiero gdy czuję, jak całe drętwieje, dociera do mnie, jak jest zimno. – Miałeś zabieg, ale drętwieje, dociera do mnie, jak jest zimno. – Miałeś zabieg, ale się nie powiódł? Tak jak to było z moją mamą?

– Nie, Lena. Ja... – Odwraca wzrok, mruży oczy i mruczy pod nosem: – Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć.

Mam wrażenie, że cała, od czubków palców u nóg do cebulek włosów, pokryta jestem warstwą lodu. Przez głowę przelatują mi pojedyncze obrazy, jak klatki filmu: Alex na platformie obserwacyjnej, jego włosy jak korona z liści; odwraca głowę, pokazując potrójną bliznę tuż pod lewym uchem; jego dotyk i słowa: „Jestem bezpieczny. Nie zrobię ci krzywdy”. Z moich ust znowu płynie potok słów, ale nie czuję ich, właściwie nic teraz nie czuję.

– Nie zadziałało, a ty nigdy się do tego nie przyznałeś.

Kłamałeś, żeby dalej chodzić do szkoły, dostać pracę, by zostać sparowanym i tak dalej. Ale tak naprawdę nie jesteś... ciągle jesteś... ciągle możesz być... – Nie jestem w stanie wydusić z siebie tego słowa. Chory. Niewyleczony. Zakażony. Mdli mnie, jakbym sama była chora.

– Nie. – Głos Aleksa brzmi niespodziewanie stanowczo.

Przestraszona robię krok w tył, moje stopy ślizgają się po śliskim i nierównym dnie oceanu, przez co o mało nie idę pod wodę, ale kiedy Alex rzuca się, by mnie podtrzymać, odskakuję ze strachem. Jego twarz tężeje w nagłej stanowczości.

– Mówię ci, że nigdy nie byłem leczony. Nigdy nie byłem sparowany ani nic z tych rzeczy. Nigdy nie byłem nawet przed komisją ewaluacyjną.

– To niemożliwe – udaje mi się z trudem wyszeptać. Niebo nade mną zaczyna wirować, wszystkie błękity, róże i czerwienie nade mną zaczyna wirować, wszystkie błękity, róże i czerwienie zlewają się w jedno i niebo wygląda tak, jakby krwawiło. – To niemożliwe. Masz przecież bliznę po zabiegu.

– Bliznę. Po prostu bliznę – poprawia mnie, nieco łagodniej. – Ale nie po zabiegu. – Odwraca głowę, by pokazać mi szyję. – Trzy małe blizny, odwrócony trójkąt. Łatwe do odtworzenia. Skalpelem, scyzorykiem, czymkolwiek. Znowu zamykam oczy. Fale wokół mnie podnoszą się i opadają, co potęguje mdłości. Czuję, że naprawdę zaraz zwymiotuję, tu i teraz, do wody. Próbuję stłumić to uczucie, zablokować dostęp świadomości, która uderza w mój umysł i grozi potopem – zwalczyć wrażenie, że tonę. Otwieram oczy i wyduszam z siebie chrapliwym głosem:

– Ale jak...?

– Zrozum to, Lena. Ufam ci. Czujesz to? – Wpatruje się we mnie tak intensywnie, że jego wzrok odbieram jak dotyk, więc uciekam spojrzaniem. – Nie chciałem... nie chciałem cię okłamywać.

– Ale jak? – powtarzam, tym razem głośniejszym głosem. Mój mózg zaczyna się na słowie „kłamstwo” i ciągle do niego wraca, zapętłony: nie ma sposobu, by uniknąć ewaluacji, o ile się nie kłamie. Nie ma sposobu, by uniknąć zabiegu, o ile się nie kłamie. Bez kłamstwa się nie obejdzie.

Przez chwilę Alex milczy i już wydaje mi się, że zamierza stchórzyć i nie powie nic więcej. Niemal chciałabym, by tak było. Z całego serca pragnę cofnąć czas, wrócić do niedawnej chwili, zanim dziwnym tonem wymówił moje imię, wrócić do chwili, zanim dziwnym tonem wymówił moje imię, wrócić do

uczucia triumfu i wszechogarniającej radości po zwycięstwie w wyścigu, do uczucia szczęścia i wolności. Będziemy się ścigać do brzegu. Spotkamy się jutro i spróbujemy wyłudzić od rybaków kilka świeżych krabów. Wtedy Alex odzywa się: – Nie jestem stąd – mówi. – To znaczy nie urodziłem się w Portland. Nie dokładnie tu. – Mówi tonem, jakim posługują się ludzie, gdy mają zamiar złamać ci serce. Uprzejmym, może nawet przyjaznym, jak gdyby wiadomość miała być przez to znośniejsza, że została wypowiedziana w łagodny sposób. „Przykro mi, Leno, twoja matka miała ogromne problemy”. I dzięki temu masz nie słyszeć ukrytej w tym głosie przemocy. – To skąd jesteś?

Nie muszę pytać. Już wiem. Uświadomienie sobie tego złamało mnie, zmiażdżyło, zniszczyło. Wciąż jednak gdzieś głęboko w sercu tli się we mnie wiara, że dopóki Alex nie wypowie tego na głos, to nie będzie prawda.

Nie odrywa ode mnie oczu, ale odchyła głowę do tyłu – w stronę granicy, poza most, ku tej wiecznie ruchomej plątaninie gałęzi, liści, winorośli i dzikiej roślinności.

– Stamtąd – odpowiada, a może tak mi się tylko wydaje.

Jego usta ledwo się poruszają. Ale przekaz jest jasny.

Alex pochodzi z Głuszy.

– Odmieniec – mówię. Słowo to wydaje się drapać mnie w gardle. – Jesteś Odmieńcem. – Daję mu ostatnią sposobność, żeby zaprzeczył.

Jednak Alex nie zaprzecza. Krzywi się tylko i mówi:

– Nie znoszę tego słowa.

– Nie znoszę tego słowa.

W tym momencie dociera do mnie jeszcze coś innego: że nie darmo Carol nabijała się ze mnie, że ciągle wierzę w istnienie Odmieńców, gdy kręciła głową, nawet nie podnosząc wzroku znad robótki na drutach – tik, tik, tik, błyszczące kawałki metalu złączone jak w tańcu – i mówiła: „a w wampiry i wilkołaki też wierzysz?”.

Wampiry, wilkołaki i Odmieńcy: istoty, które mogą się na ciebie rzucić i rozerwać cię na strzępy. Śmiertelnie niebezpieczne.

Nagle ogarnia mnie taka panika, że zaczynam czuć potworne ciśnienie w dole brzucha i przez chwilę, kompletnie absurdalną, mam wrażenie, że zaraz się posikam. Latarnia morska na Little Diamond Island zapala się, rzucając na wodę szerokie smugi światła niczym ogromny oskarżycielski paluch: jestem przerażona, że złapie mnie jej promień, przerażona, że



wskaże na mnie i usłyszę szum rządowych helikopterów oraz głosy porządkowych krzyczących przez megafon: „Niedozwolone zachowanie! Niedozwolone zachowanie!”. Plaża wydaje się niewyobrażalnie oddalona. Nie wiem, jak to się stało, że wypłynęliśmy tak daleko. Moje ręce zrobiły się ciężkie i bezużyteczne i na myśl przychodzi mi teraz mama oraz jej kurtka nasiąkająca powoli wodą.

Biorę kilka głębokich wdechów, starając się uspokoić wirujące myśli, próbując się skoncentrować. Nie ma szans, by ktokolwiek się dowiedział, że Alex jest Odmieńcem. Ja sama nie wiedziałam. Wygląda normalnie, ma bliznę we właściwym miejscu. Nie ma szans, aby ktokolwiek słyszał naszą rozmowę. Fala podnosi się i rozbija o moje plecy, popychając mnie do przodu. Alex wyciąga dłoń i chwyta mnie za rękę, by mnie podtrzymać, lecz wykręcam się w momencie, gdy nadciąga druga seria fal. Mam usta pełne słonej wody, oczy mnie pieką i przez chwilę nic nie widzę.

– Zabierz ręce – cedzę przez zęby. – Nie waż się mnie tknąć.–

Lena, przysięgam. Nie chciałem cię skrzywdzić. Nie chciałem cię okłamać.

– To po co to wszystko robisz? – Nie potrafię zebrać myśli, z trudem nawet oddycham. – Czego ode mnie chcesz?

– Czego chcę? – Alex kręci głową. Wygląda na szczerze zakłopotanego, i na zranionego, jak gdybym to ja zrobiła coś złego. Przez chwilę czuję przyływ współczucia. Może dojrzał to na mojej twarzy przez ten ułamek sekundy, kiedy straciłam czujność, ponieważ natychmiast jego twarz łagodnieje, oczy stają się jasne jak płomień i choć porusza się niemal niedostrzegalnie, nagle przestrzeń między nami się zamyka i Alex otacza ręką moje ramiona, a palce ma tak ciepłe i silne, że mało nie krzyknę.

– Lena, lubię cię, jasne? I tyle. Nic więcej. Lubię cię. –

Jego głos jest cichy i hipnotyczny, jak melodia. Przywodzi mi to na myśl drapieżniki spadające cicho z drzew, ogromne koty z błyszczącymi bursztynowymi oczami, jak jego oczy.

Natychmiast odwracam się i zaczynam wiosłować rękami.

Koszulkę i spodnie mam ciężkie od wody, serce wali mi w piersi Koszulkę i spodnie mam ciężkie od wody, serce wali mi w piersi boleśnie, a oddech drapie w gardle. Odbijam się od dna i macham rękami, pół biegnąc, pół płynąc, podczas gdy przyływ podnosi się i ciągnie mnie w tył – mam wrażenie, jakbym

brodziła w smole i z każdym ruchem przesuwała się tylko o centymetr. Alex woła mnie, jednak za bardzo boję się odwrócić i sprawdzić, czy mnie goni. Tak jak w tych koszmarach, gdzie coś cię ściga, lecz panicznie boisz się obejrzeć i sprawdzić, co to jest. Słyszysz jedynie jego oddech, z każdą chwilą bliżej.

Czujesz, że jego cień wylania się za tobą, ale jesteś sparaliżowana, bo wiesz, że lada chwila poczujesz na szyi uścisk lodowatych palców.

Nie uda mi się. Nigdy nie dotrę do brzegu. Coś ociera mi się o goleń i zaczynam sobie wyobrażać, że zatoka jest pełna straszliwych wodnych stworzeń, rekinów, meduz i trujących węgorzy, i chociaż wiem, że to tylko atak paniki, wydaje mi się, że zaraz przewrócę się do tyłu i się poddam. Brzeg jest ciągle zbyt daleko, a moje ręce i nogi zbyt ciężkie.

Głos Aleksa niesiony wiatrem dochodzi do mnie coraz słabiej i gdy wreszcie zdobywam się na odwagę, by się obejrzeć, widzę przy bojach jego kołysaną falami sylwetkę. Okazuje się, że dobrnęłam dalej, niż mi się wydawało, i że przynajmniej Alex za mną nie idzie. Strach opada, a ciężar na mojej piersi nieco się zmniejsza. Następna fala jest tak silna, że przesuwa mnie nad stromą podwodną krawędzią i rzuca na kolana na miękki piasek. Kiedy staram się podnieść, woda uderza mnie w pas i czołgam się do brzegu, drżąca i wykończona.

Nogi mi się trzęsą. Padam na brzeg, w ubraniu chlupocze  
Nogi mi się trzęsą. Padam na brzeg, w ubraniu chlupocze  
mi woda, sapię i kaszlę. Z kolorowych płomieni pełzających po niebie nad Back Cove – pomarańczy, czerwieni i różów – domyślam się, że już blisko do zachodu słońca, pewnie około ósmej. Jakaś częśćka mnie pragnie po prostu rzucić się na plażę, rozłożyć ramiona, wyciągnąć się i przespać tutaj całą noc. Mam wrażenie, że wypięłam tony wody morskiej. Skóra mnie szczypie, a piasek mam wszędzie – w staniku, majtkach, między palcami u nóg i za paznokciami. Cokolwiek drasnęło mnie w goleń, zostawiło ślad – długą strużkę krwi wijącą się wokół łydki. Podnoszę wzrok i przez chwilę z przerażeniem stwierdzam, że nie widzę Aleksa przy bojach. Serce przestaje mi bić, ale potem dostrzegam ciemny punkt przecinający szybko wodę. Ręce Aleksa obracają się z gracją. Jest szybki. Zrywam się momentalnie na równe nogi, łapię buty i kuśtykam w stronę roweru. Nogi mam tak słabe, że dopiero po minucie łapię równowagę i przez chwilę mój rower porusza się zygzakami, jak gdybym była dzieckiem uczącym się dopiero jeździć.

Nie oglądam się za siebie ani razu, aż do bramy domu. Do

tego czasu ulice opustoszały i ucichły, zaraz zapadnie noc i zacznie się godzina policyjna, która weźmie nas w swoje ogromne ciepłe objęcia i unieruchomi, zapewniając nam wszystkim bezpieczeństwo.

## 11

Gdy na zewnątrz jest zimno i szcękacie zębami,  
Gdy na zewnątrz jest zimno i szcękacie zębami,  
wkładacie ciepłe płaszcze, szaliki i rękawiczki, żeby  
nie złapać grypy, prawda? Pomyślcie sobie zatem, że  
granice są jak czapki, kapelusze i płaszcze dla całego  
kraju. Chronią nas przed najgorszą chorobą i  
zapewniają zdrowie.

Po ustanowieniu granic prezydent i Konsorcjum  
musieli zadbać jeszcze o jedno, by zapewnić nam  
całkowite szczęście i bezpieczeństwo. Wielkie  
Oczyszczanie\* (czasem zwane blitzem) trwało niecały  
miesiąc i po jego zakończeniu choroba została  
wypleniona na wszystkich dzikich obszarach.  
Wymiatanie śmieci wyglądało identycznie jak  
porządki w waszych domach, gdy mama bierze  
ścierkę i ściera kurze – trochę wysiłku i wszystko lśni.

\* Oczyszczanie:

1. doprowadzanie do stanu czystości,
2. uwalnianie od elementów niepożądanych.

Doktora Richarda historia dla dzieci, rozdział pierwszy

Zdradzę wam jeszcze jeden sekret mojej rodziny: kilka  
miesięcy przed swoim zabiegiem Rachel zachorowała na delirium.  
Zakochała się w chłopaku o imieniu Thomas, także nieleczonym.  
Całymi dniami leżeli na łące pełnej kwiatów, zasłaniając oczy  
przed słońcem i szepcząc sobie obietnice, których nie byli w  
przed słońcem i szepcząc sobie obietnice, których nie byli w  
stanie dotrzymać. Rachel ciągle wtedy płakała i raz wyznała mi,  
że Thomas suszył jej łzy pocałunkami. Do tej pory, gdy  
wspominam tamte dni – a miałam wtedy zaledwie osiem lat –  
mam w pamięci smak soli.

Choroba powoli toczyła ją coraz bardziej, zżerała ją od  
środką jak robak. Rachel nie mogła jeść. To, co brała do ust po  
naszych usilnych namowach, natychmiast wypluwała. Bałam się  
o jej życie.

Thomas, co było do przewidzenia, złamał jej serce. Księga  
SZZ mówi: „Amor deliria nervosa wywołuje zmiany w korze  
przedczołowej mózgu, skutkiem czego są fantazje i urojenia,  
które prowadzą do załamania nerwowego” (zob. rozdział

Efekty, s. 36). Po tym wydarzeniu Rachel całymi dniami leżała w łóżku i obserwowała pełzające po ścianach cienie, a jej żebra podnosiły się pod białą skórą jak drewno wypierane przez wodę. Jednak nawet wtedy odmówiła poddania się zabiegowi i skorzystania z ukojenia, jakie on przynosi, i kiedy nadszedł ten dzień, potrzeba było czterech porządkowych i kilku strzykawek ze środkami uspokajającymi, by się poddała, przestała drapać długimi, ostrymi paznokciami, których nie obcinała przez całe tygodnie, przestała krzyczeć, kląć i wzywać Thomasa.

Widziałam, jak po nią przyszli, żeby zabrać ją do laboratorium. Siedziałam w kącie, przerażona, patrzyłam, jak Rachel pluje, syczy i kopie, i myślałam o mamie i tacie.

Tamtego popołudnia, chociaż do ocalenia miałam jeszcze ponad dziesięć lat, zaczęłam odliczać miesiące do zabiegu.

Wreszcie moja siostra została wyleczona. Wróciła do domu spokojna i poważna, paznokcie miała krótkie i czyste, a włosy zaplecione w długi, gruby warkocz. Parę miesięcy wcześniej została sparowana z informatykiem w jej wieku i wyszła za niego kilka tygodni po zakończeniu studiów. Stali pod baldachimem i trzymali się luźno za ręce, patrząc prosto przed siebie, jak gdyby widzieli tam przyszłość wolną od trosk, niepokojów i kłótni, złożoną z podobnych do siebie dni jak serie starannie wydmuchanych baniek mydlanych.

Thomas również został wyleczony. Ożenił się z Ellą, niegdyś najlepszą przyjaciółką mojej siostry, i teraz wszyscy są szczęśliwi. Rachel powiedziała mi kilka miesięcy temu, że często widują się we czwórkę na piknikach i imprezach sąsiedzkich, ponieważ obie pary mieszkają na East Endzie, dosyć blisko siebie. Wszyscy prowadzą uprzejmą i spokojną konwersację, a przeszłość nie rzuca cienia na spokój i szczęście terażniejszości. Na tym właśnie polega piękno remedium. Nikt z nich nie wraca do tych dawnych, gorących dni spędzonych na łące, kiedy Thomas osuszał pocałunkami łzy Rachel i wymyślał światy po to tylko, by móc jej obiecać, a ona wołała umrzeć, niż żyć bez niego. Jestem pewna, że wstydzi się tamtych chwil, o ile w ogóle je pamięta. Przyznaję, rzadko ją teraz widuję – może raz na kilka miesięcy, kiedy przypomni sobie, że powinna mnie odwiedzić – i pod tym względem można by nawet powiedzieć, że przez zabieg ją straciłam. Ale nie to jest najważniejsze. Najważniejsze, że teraz jest chroniona. Najważniejsze, że jest chroniona. Najważniejsze, że jest bezpieczna.

Zdradzę wam jeszcze jeden sekret, tym razem dla waszego

dobra. Może wam się wydawać, że przeszłość ma wam coś do powiedzenia. Może wam się wydawać, że powinniście wyteżać słuch, by uchwycić jej szepty, odwracać się za siebie, pochylać się nisko, by usłyszeć jej głos niesiony z wydechem ziemi, z umarłych miejsc. Możecie myśleć, że jest w tym dla was jakiś przekaz, coś, co można zrozumieć lub nadać temu sens.

Ale ja wam powiem prawdę, którą poznałam w nocie Zimna. Wiem, że przeszłość pociągnie was ku ziemi, każe wylapywać szepty wiatru i bezsensowne opowieści drzew ocierających się o siebie. Będziecie rozszyfrowywać dziwne kody, próbować złożyć w całość to, co się rozpadło. To zupełnie bezcelowe. Przeszłość jest wyłącznie ciężarem: kulą u nogi, kamieniem

u szyi. Posłuchajcie mojej rady: jeśli usłyszycie, jak przeszłość do was przemawia, poczujecie, jak ciągnie was do tyłu i przebiega wam palcami po kręgosłupie, najlepsze, co możecie zrobić – tak właściwie jedyne, co możecie – to wziąć nogi za pas.

Przez kilka dni po wyznaniu Aleksa ciągle szukam u siebie symptomów choroby. Stojąc przy kasie w sklepie wujka, opieram się na łokciach z ręką na policzku, żeby ukradkiem sprawdzić puls na szyi i upewnić się, że jest normalny.

Codziennie rano robię głębokie, powolne oddechy, nasłuchując szmerów w płucach. Wciąż myję ręce. Wiem, że deliria nie jest jak przeziębienie – nie można jej złapać drogą kropelkową – ale mimo wszystko jest to choroba zakaźna. A kiedy obudziłam się dzień po naszym spotkaniu na East Endzie, z wciąż ciężkimi nogami, a głową lekką jak balon, do tego z uporczywym bólem gardła, moją pierwszą myślą było, że zostałam zarażona.

Teraz, po kilku dniach czuję się już lepiej. Jediną niepokojącą rzeczą jest dziwne stępienie zmysłów. Wszystko wydaje się wyblakłe jak kiepska kolorowa odbitka. Muszę sobie dosypywać tony soli do jedzenia, zanim poczuję jej smak, a gdy Carol coś do mnie mówi, wydaje mi się, że jej głos jest o kilka stopni przyciszony. Przejrzałam wszystkie znane symptomy z Księgi SZZ i nic nie pasuje, więc w końcu uznałam, że nic mi nie grozi.

Ostrożności jednak nigdy nie za wiele. Wiem, że nie mogę sobie pozwolić na choćby jeden fałszywy krok i niczego bardziej nie pragnę, jak udowodnić sobie, że nie jestem taka jak mama, że historia z Alekssem była przypadkiem, straszliwą pomyłką. Nie mogę zlekceważyć faktu, że byłam tak blisko zagrożenia. Nie chcę nawet myśleć, co by było, gdyby ktokolwiek dowiedział

się, kim jest Alex, gdyby ktokolwiek wiedział, że staliśmy razem w wodzie, że rozmawialiśmy, śmialiśmy się, dotykaliśmy. Na samą myśl o tym robi mi się słabo. Muszę ciągle powtarzać sobie, że do zabiegu zostały mi niecałe dwa miesiące. Muszę się jedynie nie wychylać i przetrwać jakoś te następne siedem tygodni, a wszystko będzie dobrze.

Co wieczór wracam do domu na całe dwie godziny przed  
Co wieczór wracam do domu na całe dwie godziny przed godziną policyjną. Zgłaszam się na ochotnika na dodatkowe dni pracy w sklepie i nawet nie proszę o swoje zwyczajowe osiem dolarów za godzinę. Hana nie dzwoni do mnie. Ja także do niej nie dzwonię. Pomagam Carol w gotowaniu, sprzątam po kolacji i zmywam naczynia, nawet nieproszona. Gracie chodzi do szkoły letniej. Jest dopiero w pierwszej klasie, a już mówią, żeby ją tam zostawić na drugi rok, więc co wieczór biorę ją na kolana i pomagam przebrnąć przez zadanie domowe, szepcząc jej do ucha błagania, aby się odezwała, skupiła, słuchała, i proszę ją dopóty, dopóki nie uda mi się jej nakłonić do napisania choćby połowy odpowiedzi w zeszycie. Po tygodniu Carol przestaje mi rzucać podejrzliwe spojrzenia, gdy wracam do domu, przestaje mnie wypytywać, gdzie byłam, i spada mi z serca kolejny ciężar – ciotka znowu mi ufa. Nie było łatwo wytłumaczyć, co strzeliło do głowy mnie i Sophii Hennerson, że zachciało nam się nagle – i do tego w ubraniach – popływać w oceanie tuż po dużej rodzinnej kolacji, a jeszcze trudniej było wyjaśnić, dlaczego wróciłam do domu blada i roztrzęsiona. Byłam pewna, że Carol tego nie kupiła. Po jakimś czasie jednak wszystko wróciło do normy i ciotka przestała spoglądać na mnie nieufnie jak na zamknięte w klatce zwierzę, które może powtórnie zdziczeć. Dni mijają, czas biegnie do przodu, sekundy mkną ku przyszłości jak przewracające się w rzędzie kostki domina. Z każdym dniem upał staje się coraz bardziej nie do zniesienia. Panoszy się na ulicach Portland, wpełza do kontenerów na śmieci, sprawia, że miasto cuchnie jak kloaka. Mury się pocą, śmieci, sprawia, że miasto cuchnie jak kloaka. Mury się pocą, trolejbusy trzęsą się i rżęzą, ludzie codziennie zbierają się przed budynkami urzędów, czekając na uderzenie zimnego powietrza przy automatycznym otwieraniu drzwi, gdy jakiś porządkowy, urzędnik czy strażnik wchodzi lub wychodzi. Muszę zrezygnować z biegania. Podczas ostatniej dłuższej trasy nogi niosą mnie na Monument Square, do Gubernatora. Słońce świeci za wysoką białą mgiełką, budynki odcinają się ostro na tle nieba jak rzędy metalowych zębów. Gdy dobiegam

do pomnika, dyszę ciężko z wyczerpania i kręci mi się w głowie. Kiedy łapię Gubernatora za rękę i podciągam się na cokół, metal pali mnie w skórę, światła kołyszają się i cały świat wiruje jak szalony. Wiem, że powinnam się schować, uciec od upału, ale mój umysł spowija mgła i nagle łapię się na tym, że badam palcami wnętrze dłoni Gubernatora. Nie wiem, czego tam szukam. Alex powiedział mi przecież, że zostawił wiadomość dla mnie kilka miesięcy temu i do tego czasu musiała zmienić się w papkę. Palce zaczynają mi się kleić, między kciukiem a palcem wskazującym rozciągają się kawałki roztopionej gumy do żucia, ale mimo to dalej grzebię. I wtedy natrafiam na coś innego, chłodnego i świeżego, zgiętego w kwadracik: liścik.

Otwieram go na pół przytomna, ale wciąż nie spodziewam się tak naprawdę, że mógłby być od niego. Ręce zaczynają mi się trząść, gdy czytam:

Lena,

przepraszam. Wybacz mi.

Alex

Alex

Nie pamiętam drogi powrotnej do domu. Carol znalazła mnie potem na pół omdlałą w hallu, mrużącą coś pod nosem. Wsadziła mnie do wanny pełnej lodu, by zbić temperaturę. Gdy wreszcie przychodzę do siebie, nigdzie nie mogę znaleźć tamtej kartki. Musiałam ją upuścić, co przyjmuję w połowie z ulgą, w połowie z rozczarowaniem. Wieczorem podają w wiadomościach, że Centrum Pomiaru Czasu i Temperatury zarejestrowało dziś trzydzieści dziewięć stopni Celsjusza – najgorętszy dzień tego roku.

Carol zabrania mi biegać przez resztę lata. Nawet nie protestuję. Nie ufam sobie, nie mogę być pewna, czy nogi nie zaprowadzą mnie znowu do Gubernatora, na plażę East Endu albo do laboratorium.

Przydzielają mi nową datę ewaluacji i całe wieczory spędzam przed lustrem, ćwicząc odpowiedzi. Carol znowu towarzyszy mi w drodze do laboratorium, lecz tym razem nie widzę tam Hany. Nie widzę nikogo znajomego. Nawet skład komisji jest zupełnie inny: rozmazane owalne twarze, różne odcienie brązowej i różowej skóry, dwuwymiarowe jak cieniowane rysunki. Tym razem się nie boję. W ogóle nic nie czuję.

Odpowiadam na wszystkie pytania tak, jak powinnam.

Przy pytaniu o ulubiony kolor tylko przez drobny ułamek sekundy w moim umyśle pojawia się barwa lśniącego na niebie

srebra i wydaje mi się, że słyszę słowo „szary” wyszeptane wprost do mego ucha.

wprost do mego ucha.

Mówię: niebieski, i wszyscy się uśmiechają. Mówię: chciałabym studiować psychologię i regulacje społeczne; lubię słuchać muzyki, ale niezbyt głośno; definicją szczęścia jest bezpieczeństwo. Uśmiechy, uśmiechy, wszędzie wokół uśmiechy, pokój wypełniają szczerzące się zęby.

Gdy już po wszystkim zmierzam w stronę wyjścia, wydaje mi się, że kątem oka widzę przesuwający się cień. Zerkam szybko na platformę obserwacyjną. Ale oczywiście nikogo tam nie ma. Dwa dni później dostaję wynik egzaminów końcowych – wszystkie zdane – i ostateczną punktację: osiem. Carol ściska mnie, pierwszy raz od lat. Wujek klepie mnie niezdarnie po ramieniu i daje przy kolacji największy kawałek kurczaka. Nawet Jenny najwyraźniej jest pod wrażeniem. Gracie kilka razy uderza czubkiem głowy w moją nogę, a ja odsuwam się, mówiąc, żeby nie robiła cyrku. Wiem, że smutno jej, bo wkrótce ją opuszczę.

Takie jest życie i im szybciej się do tego przyzwyczai, tym lepiej.

Dostałam też listę swoich kandydatów złożoną z czterech nazwisk i krótkich informacji – wiek, ostateczny wynik egzaminów i ewaluacji, zainteresowania, zalecana ścieżka kariery, prognozy przyszłych dochodów – wydrukowanych równo na białej kartce z herbem Portland u góry. Przynajmniej nie ma na niej Andrew Marcusa. Tylko jedno nazwisko brzmi znajomo: Chris McDonnell. Chłopak ma jasnorude włosy i zęby znajomo: Chris McDonnell. Chłopak ma jasnorude włosy i zęby wystające jak u królika. Kojarzę go, ponieważ w zeszłym roku, kiedy bawiłam się na zewnątrz z Gracie, zaczął śpiewać: „oto idiotka i sierotka”, a ja bez zastanowienia porwałam kamień z ziemi i rzuciłam w jego kierunku. Dostał w skroń. Na chwilę jego oczy zrobiły zeza, a potem wróciły do normalnej pozycji.

Podniósł rękę do głowy, a gdy ją odsunął, palce miał ciemne od krwi. Przez następne kilka dni bałam się, że gdy tylko wyjdę z domu, zostanę aresztowana i wrzucona do Krypt. Jego ojciec prowadzi serwis techniczny, a poza tym jest porządkowym ochotnikiem. Byłam przekonana, że przyjdzie po mnie za to, co zrobiłam jego synowi.

Chris McDonnell. Phinneas Jonston. Edward Wung. Brian Scharff. Wpatruję się w te nazwiska tak długo, że litery zlewają mi się w absurdalne wyrazy: Chris ma tunel, świniowstrząs, dwa



łany, breja z szarf.

W połowie lipca, kiedy do zabiegu zostało mi tylko siedem tygodni, nadchodzi pora na decyzję. Zaznaczam swoje typy losowo, wpisując numery obok nazwisk: Phinneas Jonston (1); Chris McDonnell (2); Brian Scharff (3); Edward Wung (4).

Chłopcy też uszeregują swoje typy. Komisja ewaluacyjna postara się dopasować je jak najlepiej.

Dwa dni później dostaję oficjalne zawiadomienie: resztę swojego życia spędzę z Brianem Scharffem, którego hobby obejmuje „oglądanie wiadomości” i „fantasy baseball”, który chciałby pracować „w zawodzie elektryka”, i który „pewnego dnia powinien zarabiać czterdzieści pięć tysięcy dolarów rocznie”, co powinno wystarczyć na „utrzymanie dwojga lub rocznie”, co powinno wystarczyć na „utrzymanie dwojga lub trojga dzieci”. Zostaniemy sobie przyrzeczeni, jeszcze zanim jesienią rozpocznę studia na Regional College of Portland. A kiedy je skończę, pobierzemy się.

Nocami nie nawiedzają mnie żadne sny. Rankami budzę się wśród mgły.

## 12

Na wiele lat przed opracowaniem remedium choroba rozprzestrzeniła się tak bardzo, że rzadko zdarzało się, by człowiek osiągnął wiek dorosły bez zarażenia się *amor deliria nervosa* w ciężkiej postaci (zob. Statystyki, rozdział Epoka Przedgraniczna) [...].

Wielu historyków twierdzi, że społeczeństwo przedremedyjne było samo w sobie odbiciem choroby, charakteryzowało się bowiem podziałami, chaosem i niestabilnością [...]. Niemal połowa małżeństw kończyła się rozpadem [...]. Narkotyki rozpowszechniły się gwałtownie, tak jak i przypadki śmierci w wyniku nadużywania alkoholu.

Ludzie tak bardzo pragnęli spokoju i ochrony przed chorobą, że zaczęli zakrojone na szeroką skalę eksperymenty z prowizorycznymi ludowymi lekami, które już same w sobie były śmiertelne, albo też spożywali mikstury stworzone ze zwykłych leków na przeziębienie, które pojedynczo nie stanowiły zagrożenia, jednak zmieszane tworzyły skrajnie uzależniające i często śmiertelne kompozycje (zob. Lekarstwa ludowe na przestrzeni

wieków) [...].

Odkrycie zabiegu będącego remedium na delirium jest na ogół przypisywane Cormacowi T. Holmesowi, neurobiologowi, który był członkiem pierwotnego Konsorcjum Nowej Nauki i jednym z pierwszych wyznawców Nowej Religii, która naucza o Świętej Trójcy Boga, Nauki i Porządku. Holmes został kanonizowany kilka lat po śmierci, a jego ciało zabalsamowano i wystawiono w Mauzoleum Wszystkich Świętych w Waszyngtonie (zob. zdjęcia na s. 210–212).

E.D. Thompson, Przed granicami,

[w:] Krótka historia Stanów Zjednoczonych Ameryki, s. 121

Pewnego gorącego wieczoru pod koniec lipca, gdy wracam do domu ze Stop-N-Save, słyszę, jak ktoś mnie woła. Obracam się i widzę Hanę biegnącą w moją stronę.

– A więc to tak? – mówi, zbliżając się do mnie, zdyszana.

– Masz zamiar po prostu minąć mnie bez słowa?

Wyraźna pretensja w jej głosie jest dla mnie zaskoczeniem.

– Nie widziałam cię – odpowiadam zgodnie z prawdą.

Jestem wykończona. Dzisiaj w sklepie była inwentaryzacja, Jestem wykończona. Dzisiaj w sklepie była inwentaryzacja, trzeba było ściągać z półek, a potem układać na nowo całe stopy pieluch, puszek z żywnością, papieru toaletowego, i wszystko przeliczać. Ręce mnie boją, a gdy tylko zamykam oczy, mam pod powiekami kody kreskowe. Nie zwracam uwagi nawet na to, że paraduję po ulicy w poplamionym farbą podkoszulku Stop-N-Save, który jest na mnie o jakieś dziesięć rozmiarów za duży.

Hana odwraca wzrok i przygryza wargę. Nie rozmawiałam z nią od tamtej imprezy i teraz rozpaczliwie szukam jakiegoś niezobowiązującego i zwykłego tematu. Nagle trudno mi uwierzyć, że to moja najlepsza przyjaciółka, z którą spędzałam całe dni i mogłam rozmawiać bez końca, a gdy wracałam od niej, brzuch mnie bolał od śmiechu. Teraz mam wrażenie, że dzieli nas szklany mur, niewidzialny, ale nie do pokonania.

Wreszcie odzywam się:

– Dostałam listę kandydatów – w tym samym momencie, kiedy Hana wyrzuca z siebie:

– Dlaczego nie oddzwoniłaś?

Obie milkniemy, zaskoczone, a potem znowu odzywamy się jednocześnie:

– Dzwoniłaś do mnie? – pytam. A ona:

– Odpowiedziałaś już?

– Ty pierwsza – mówię.

Widzę, że Hana naprawdę jest zakłopotana. Spogląda na niebo, potem na małe dziecko stojące po drugiej stronie ulicy w workowatym kostiumie kąpielowym, a potem na dwóch mężczyzn ładujących jakieś wiadra na ciężarówkę – na mężczyzn ładujących jakieś wiadra na ciężarówkę – na wszystko, tylko nie na mnie.

– Zostawiłam ci chyba ze trzy wiadomości.

– Nigdy żadnej nie dostałam – odpowiadam szybko, czując mocno bijące serce. W ostatnich tygodniach czułam wściekłość, że Hana nawet nie próbowała skontaktować się ze mną po imprezie; wściekłość i ból. Ale powtarzałam sobie, że tak będzie lepiej. Powtarzałam sobie, że Hana się zmieniła i że pewnie nie ma mi już nic do powiedzenia.

Hana patrzy na mnie, jak gdyby próbowała ocenić, czy mówię prawdę.

– Carol nie mówiła ci, że dzwoniłam?

– Nie, przysięgam. – Ulga jest tak ogromna, że mówię to ze śmiechem. W tej samej chwili dociera do mnie, jak bardzo za nią tęskniłam. Nawet jeśli jest na mnie zła, jest jedyną osobą, która troszczyła się o mnie z własnej woli, a nie z powodu więzów krwi, poczucia obowiązku czy odpowiedzialności, których wagę podkreśla Księża SZZ. Wszyscy inni w moim życiu: Carol i kuzynostwo, reszta dziewczyn ze szkoły, a nawet Rachel, spędzali ze mną czas, bo musieli. – Nie miałam o tym pojęcia.

Hana nie śmieje się. Marszczy tylko brwi.

– Nie przejmuj się. To nic takiego.

– Hana, posłuchaj...

Nie pozwala mi dokończyć.

– Powiedziałam, że to nic takiego. – Krzyżuje ręce na piersi i wzrusza ramionami. Nie wiem, czy mi wierzy czy nie, lecz nie mam wątpliwości, że jednak wszystko się zmieniło. To wcale nie mam wątpliwości, że jednak wszystko się zmieniło. To wcale nie będzie wielkie, szczęśliwe pojednanie. – A więc zostałam sparowana?

Jej ton jest teraz uprzejmy, nieco formalny, więc przybieram podobny.

– Z Brianem Scharffem. Przyjęłam. A ty?

Hana kiwa głową. Kącik jej ust drga niemal niezauważalnie.

– Z Fredem Hargrove'em.

– Hargrove? Jak burmistrz?

– To jego syn. – Kiwa głową Hana, znowu odwracając wzrok.

– O rany. Gratulacje. – Nie umiem ukryć podziwu w swoim głosie. Hana podczas ewaluacji musiała rzucić komisję na kolana. Choć to właściwie żadna niespodzianka.

– Tak, szczęściara ze mnie. – Jej głos jest zupełnie pozbawiony emocji i trudno mi stwierdzić, czy mówi z sarkazmem. W każdym razie, czy jest tego świadoma czy nie, naprawdę ma szczęście.

I oto stało się: chociaż stoimy na tej samej płycie zalanego słońcem chodnika, mogłybyśmy równie dobrze być oddalone o tysiące kilometrów.

Kto zaczął w innym miejscu, ten i skończy w innym – mówi stare powiedzenie, które Carol lubi powtarzać. Nigdy nie rozumiałam, jak bardzo jest prawdziwe, aż do teraz.

To pewnie dlatego Carol nie przekazała mi, że Hana dzwoniła. Trzy wiadomości to trochę za dużo, by zapomnieć, a dzwoniła. Trzy wiadomości to trochę za dużo, by zapomnieć, a Carol jest raczej skrupulatna, jeśli chodzi o takie rzeczy. Może chciała przyspieszyć nieuniknione, doprowadzić nas szybciej do końca, do miejsca kiedy Hana i ja przestaniemy się przyjaźnić. Carol wie, że po zabiegu – gdy tylko przeszłość i nasza wspólna historia rozluźnią swoje więzy, gdy tylko nasze wspomnienia stracą swoją moc – nie będziemy już miały z sobą nic wspólnego. Pewnie próbowała w ten sposób mnie chronić, tak jak tylko potrafiła najlepiej.

Nie ma sensu jej tego wypominać. Nawet nie będzie próbowała zaprzeczać. Rzuci mi tylko jedno z tych swoich spojrzeń bez wyrazu i zacytuje powiedzenie z Księgi SZZ: „Uczucia nie trwają wiecznie. Czas nie czeka na człowieka, ale postęp czeka, aby człowiek wprowadził go w życie”.

– Wracasz do domu? – Hana wciąż spogląda na mnie, jakbym była kimś obcym.

– Tak – odpowiadam. Pokazuję na podkoszulek. – Pewnie powinnam schować się do środka, zanim kogoś przerażę swoim widokiem.

Uśmiech przemyka przez jej twarz.

– Odprowadzę cię – oznajmia ku mojemu zaskoczeniu.

Przez chwilę żadna z nas się nie odzywa. Nie jesteśmy zbyt daleko od mojego domu i zaczynam się obawiać, że całą drogę przejdziemy w milczeniu. Nigdy nie widziałam Hany tak milczącej i trochę mnie to wytrąca z równowagi.

– Skąd wracasz? – pytam, żeby powiedzieć cokolwiek.

Hana wzdryga się, jak gdybym właśnie wyrwała ją ze snu.

– Z East Endu – odpowiada. – Mam ścisły harmonogram

– Z East Endu – odpowiada. – Mam ścisły harmonogram

opalania.

Przykłada swoją rękę do mojej. Ma skórę przynajmniej siedem razy ciemniejszą niż ja – moja jest ciągle blada, choć może nieco bardziej piegowata niż zimą.

– Ty nie, co? – Tym razem uśmiecha się naprawdę.

– Mhm, nie. Nie bywam ostatnio na plaży. – Staram się stłumić rumieniec.

Na szczęście Hana tego nie zauważa, albo przynajmniej nie komentuje.

– Wiem. Szukałam cię.

– Naprawdę? – Spoglądam na nią z ukosa.

Hana przewraca oczami. Cieszę się, że zaczyna zachowywać się normalnie.

– To znaczy nie jakoś intensywnie. Ale byłam tam kilka razy. I nie widziałam cię.

– Dużo ostatnio pracuję – odpowiadam. Nie dodaję, że tak naprawdę po to, by unikać East Endu.

– Ciągle biegasz?

– Nie, za gorąco.

– Ze mną to samo. Pewnie dam sobie spokój do jesieni. –

Idziemy jeszcze kilka kroków w milczeniu, a wtedy Hana mruży oczy, przekrzywiając głowę. – I co jeszcze?

Jej pytanie zupełnie zbija mnie z tropu.

– Co masz na myśli, mówiąc: „co jeszcze”?

– Właśnie to, co powiedziałam. Czyli: co jeszcze? No daj spokój, Lena. To w końcu ostatnie lato, pamiętasz? Ostatnie lato wolności i braku obowiązków, bla, bla, bla, czyli tego lato wolności i braku obowiązków, bla, bla, bla, czyli tego wszystkiego, co dobre. No więc co porabiasz? Gdzie bywasz?

– Nic... Nic takiego nie robię. – I właśnie o to mi chodzi: trzymać się z dala od kłopotów, robić jak najmniej się da, ale gdy wypowiadam te słowa, robi mi się jakoś smutno. To lato zdaje się gwałtownie kurczyć, zanim miałam szansę się nim nacieszyć. Już prawie sierpień. Przed nami jeszcze tylko pięć tygodni takiej pogody, a potem wiatr zacznie hulać nocami, a liście pozłocą się na krawędziach.

– A ty? – pytam. – Miło spędzasz lato?

– Jak zwykle. – Hana wzrusza ramionami. – Tak jak mówiłam, dużo chodzę na plażę. Czasem też opiekuję się dziećmi Farrelów.

– Poważnie? – Marszczę nos. Hana nigdy nie przepadała za dziećmi. Zawsze twierdziła, że są okropne i kleją się jak cukierki trzymane za długo w kieszeni.

Hana krzywi się.

– Tak, niestety. Moi rodzice stwierdzili, że potrzeba mi „praktyki z zarządzania domem”, czy temu podobne bzdury. Czy wiesz, że praktycznie odcięli mi dopływ gotówki? Jak gdyby zastanawianie się, jak wydać sześćdziesiąt dolarów tygodniowo, miało mnie nauczyć płacenia rachunków, odpowiedzialności czy czegokolwiek.

– Ale po co? Przecież nigdy nie będziesz musiała na niczym oszczędzać. – Nie chcę wyjść na rozgoryczoną, ale cóż, wizja naszej różnej przyszłości znowu wbija się między nas klinem. Po tych słowach zapada cisza. Hana odwraca wzrok, mrużąc oczy przed słońcem. Może to kwestia przygnębienia, że tak szybko mija to lato, lecz nagle z zakamarków pamięci zaczynają wypływać wyrwane z kontekstu wspomnienia: Hana otwiera drzwi od łazienki tamtego pierwszego dnia w drugiej klasie, trzyma ręce założone na piersi i wyrzuca z siebie: „to z powodu twojej mamy?”; siedzenie do późnej nocy podczas tych nielicznych razy, gdy pozwolono nam u siebie nocować, kiedy chichotałyśmy jak wariatki i wyobrażałyśmy sobie, że sparują nas z kimś znanym, na przykład z prezydentem Stanów Zjednoczonych czy którąś z gwiazd naszych ulubionych filmów; bieganie ramię w ramię, stopy uderzające o chodnik w jednym rytmie, podobnym do bicia serca; pływanie na fali i kupowanie potrójnych gałek lodów w drodze do domu, a potem odwieczne sprzeczki, które są lepsze: waniliowe czy czekoladowe. Najlepsze przyjaciółki od ponad dziesięciu lat, a potem wszystko przetnie ostrze skalpela, promień lasera i błysk chirurgicznego noża. Cała nasza historia i jej znaczenie powoli obojętnieje, odpływa jak odcięty ze sznurka balon. Za dwa lata – co ja mówię, za dwa miesiące – Hana i ja będziemy się mijać na ulicy i pozdrawiać zaledwie skinieniem głowy: obcy ludzie, obce światy, dwie gwiazdy obracające się w milczeniu, oddzielone tysiącami mil ciemnej przestrzeni.

Segregacja oparta jest na całkowicie złej zasadzie.

Powinno się nas chronić przed ludźmi, którzy nas kiedyś zostawiają, przed tymi wszystkimi, którzy znikną lub o nas zapomną.

Możliwe, że i Hanę dopada chwila nostalgii, ponieważ

Możliwe, że i Hanę dopada chwila nostalgii, ponieważ nagle mówi:

– Pamiętasz nasze plany na to lato? I te wszystkie rzeczy, które wreszcie miałyśmy zrobić?

Odpowiadam bez zastanowienia:

– Włamać się na basen Spencer Prep...

– ... i pływać w nim w samej bieliźnie – kończy Hana.

Uśmiecham się lekko.

– Przedostać się na Cherryhill Farms...

– ... i wyjadać syrop klonowy wprost z beczek.

– Przebiec całą drogę z Hill do starego lotniska.

– Zjechać rowerem do Miejsca Samobójców.

– Odnaleźć tę linę do huśtania, o której mówiła nam Sarah Miller. Tę nad Fore River.

– Wślizgnąć się do kina i obejrzeć cztery filmy pod rząd.

– Zjeść cały Monstrualny Deser Lodowy w Mae's. –

Teraz już uśmiecham się szeroko, tak samo jak Hana. Zaczynam cytować: – Ogromny deser lodowy tylko dla posiadaczy nieposkromionego apetytu, złożony z trzynastu gałek lodów, bitej śmietany i karmelu...

Hana wchodzi mi w słowo:

– I z wszystkimi dodatkami, o których zamarzą wasze małe potwory!

Obie wybuchamy śmiechem. Czytałyśmy tę reklamę chyba setki razy. Planowałyśmy powtórny atak na Monstrualny Deser Lodowy od czwartej klasy: to właśnie wtedy zrobiłyśmy pierwsze podejście. Hana zabrała mnie tam w swoje urodziny, a potem obie spędziłyśmy resztę wieczoru na podłodze jej łazienki, potem obie spędziłyśmy resztę wieczoru na podłodze jej łazienki, trzymając się za brzuch, chociaż udało nam się wcisnąć zaledwie siedem z trzynastu gałek.

Dochodzimy do mojej ulicy. Kilkoro dzieci gra na środku drogi w prowizoryczną piłkę nożną: kopia pustą puszkę, wydzierając się przy tym wniebogłosy, a ich brązowe ciała aż lśnią od potu. Widzę pomiędzy nimi Jenny. Na moich oczach jakaś dziewczynka wpada na nią, a Jenny odwraca się i popycha ją na ziemię. Tamta zanosi się płaczem, nikt jednak nie wychodzi z domu, nawet gdy głos małej się wzmaga i przechodzi w piskliwe wycie podobne do syreny. W którymś oknie porusza się zasłona albo może ścierka – poza tym ulica jest spokojna, nieruchoma.

Z całego serca pragnę, aby ten dobry nastrój trwał dalej, chcę naprawić wszystko między sobą a Haną, nawet jeśli w grę wchodzi tylko miesiąc.

– Posłuchaj, Hana. – Mam wrażenie, że przeciskam słowa

obok ogromnej guli w gardle. Jestem prawie tak samo zdenerwowana jak przed ewaluacją. – Dziś wieczorem puszczają w parku Detektywa bez perspektyw. Dwa filmy pod rząd, z Michaelem Wynnem. Jeśli chcesz, możemy iść. – Detektyw bez perspektyw jest serią, którą obie uwielbiałyśmy oglądać w dzieciństwie, o przygodach słynnego detektywa, w rzeczywistości niezbyt bystrego, oraz jego psa-asystenta, który rozwiązywał zagadki kryminalne za swojego pana. W roli głównej pojawiało się wielu aktorów, ale naszym ulubionym był Michael Wynn. Gdy byłyśmy małe, modliłyśmy się, by nas z nim sparowano.

sparowano.

– Dziś wieczorem? – Uśmiech Hany blednie, a ja czuję gwałtowny skurcz w żołądku. Boże, jaka jestem głupia.

Pocieszam się tylko, że to już bez znaczenia.

– Jeśli nie możesz, to w porządku. Nie ma problemu. Tak tylko sobie pomyślałam – dodaję szybko, odwracając wzrok, żeby nie zobaczyła rozczarowania w moich oczach.

– Nie, to znaczy, chciałabym, ale... – Hana bierze głęboki oddech. Mam dość tej dziwnej, sztucznej atmosfery, która panuje między nami. – Tak właściwie wybieram się na imprezę – i poprawia się szybko – to znaczy umówiłam się gdzieś z Angeliką Marston.

Nagle czuję w środku pustkę, jak gdyby mnie wydrążono.

To niesamowite, że słowa potrafią zrobić coś takiego, po prostu poszarpać ci wewnętrżności. „Kije i kamienie mogą obić moje ciało, ale słowa nigdy mnie nie zranią”. Co za bzdura.

– Od kiedy zadajesz się z Angeliką Marston?

Znowu nie chciałam zabrzmieć zgorzkniale, ale trochę za późno uświadamiam sobie, że zachowuję się jak marudna młodsza siostra żaląca się, że została wykluczona z gry.

Przygryzam wargę i odwracam się, wściekła na siebie.

– Wiesz, ona wcale nie jest taka zła – mówi Hana łagodnie.

Słyszę w jej głosie współczucie i to jest gorsze niż wszystko inne.

Niemal chciałabym, żebyśmy na siebie znowu krzyczały, tak jak wtedy w jej domu, nawet to byłoby lepsze niż ten ostrożny ton,

to obchodzenie się z drugą osobą jak z jajkiem. – Ona wcale nie jest nadęta. Przypuszczam, że jest po prostu nieśmiała.

jest nadęta. Przypuszczam, że jest po prostu nieśmiała.

Angelica Marston zdała teraz do czwartej klasy. Hana

nabijała się ze sposobu, w jaki nosiła mundurek – zawsze

idealnie wyprasowany i bez ani jednej plamki, do tego równiutko

ułożony kołnierzyk i spódnica dokładnie do kolan. Hana mówiła,



że Angelica Marston zadziera nosa, ponieważ jej ojciec jest naukowcem, sychą w laboratorium. Ona dosłownie w ten sposób chodziła, z głową do góry i zadartym nosem.

– Kiedyś jej nienawidziłaś – wyrywa mi się piskliwie.

Słowa najwyraźniej nie czekają na pozwolenie, zanim wyjdą z moich ust.

– Nie chodzi o to, że jej nienawidziłam – odpowiada Hana tonem, jak gdyby próbowała wyjaśnić algebrę dwulatkowi. – Po prostu jej nie znałam. Zawsze myślałam, że to suka, wiesz? Przez te ciuchy i całą resztę. Ale to sprawa jej rodziców. Są strasznie wymagający, nadopiekuńczy i w ogóle. – Hana kręci głową. – Ona wcale taka nie jest. Jest... inna.

Przez chwilę czuję, jak słowo to wibruje w powietrzu: inna.

Przez chwilę mam przed oczami obraz Hany i Angeliki, trzymających się pod ramię, tłumiących śmiech i przemykających ulicami po godzinie policyjnej: Angelica jest piękna, zabawna i pozbawiona lęku tak jak Hana. Staram się wygnać z głowy ten obraz. Na ulicy jakiś dzieciak kopie z całej siły w puszkę, która ląduje pomiędzy dwoma wgniecionymi koszami na śmieci ustawionymi w pewnej odległości: gol. Połowa dzieci zaczyna skakać do góry i wyrzucać w górę pięści. Pozostałe, w tym Jenny, gestykulują i wrzeszczą, że był spalony. Po raz pierwszy dociera do mnie, jak okropnie musi wyglądać moja ulica w oczach Hany: wszystkie domy ściśnięte jeden tuż przy drugim, w połowie brakuje szyb, ganki uginające się pośrodku jak stare, wysłużone materace. To całkowicie inny obraz niż czyste, spokojne ulice West Endu, ciche, lśniące samochody, bramy i zielone żywopłoty.

– Możesz tam dziś wpaść – mówi Hana cicho.

Zalewa mnie fala nienawiści. Nienawiści do własnego życia, do jego ograniczeń i ciasnoty. Nienawiści do Angeliki Marston, z jej tajemniczym uśmiechem i bogatymi rodzicami. Nienawiści do Hany, przede wszystkim za to, że jest tak głupia, beztroska i uparta, oraz za to, że wyrzuciła mnie z serca, zanim byłam na to gotowa. I pod tymi wszystkimi warstwami jest coś jeszcze, białe rozgrzane ostrze żalu i goryczy błyskające gdzieś głęboko w środku mnie. Nie potrafię tego nazwać ani nawet skupić się na tym wyraźnie, ale wiem, że właśnie to jest najważniejsze źródło mojej wściekłości.

– Dzięki za zaproszenie – odpowiadam, nie trując się nawet, by ukryć sarkazm w głosie. – Zapowiada się na niezłą zabawę. Chłopcy też tam będą?

Hana albo nie dostrzega mojego tonu – w co raczej wątpię – albo postanawia go ignorować.

– Głównie o to w tym wszystkim chodzi – odpowiada z kamienną twarzą. – No i o muzykę.

– Muzykę? – powtarzam, nie potrafiąc ukryć ciekawości.

– Jak ostatnim razem?

Twarz Hany rozjaśnia się.

– Tak. To znaczy nie do końca. Będzie grał inny zespół. Ci

– Tak. To znaczy nie do końca. Będzie grał inny zespół. Ci

ludzie są podobno fantastyczni, nawet lepsi niż ci co ostatnio. –  
Milknie na chwilę, po czym powtarza cicho: – Mogłabyś z nami iść.

Pomimo wszystko przez chwilę rozważam jej propozycję.

Przez kilka dni po imprezie w Roaring Brook Farms strzępy tamtej muzyki chodziły za mną wszędzie: słyszałam je lecące z wiatrem, słyszałam, jak wyśpiewywał je ocean, słyszałam je w jęku ścian domu. Czasem budziłam się w środku nocy, cała mokra od potu, z bijącym sercem, słysząc w uszach tamte nuty.

Ale za każdym razem, kiedy próbowałam świadomie przypomnieć sobie całą melodię lub zanucić kilka dźwięków, nie byłam w stanie.

Hana spogląda na mnie z nadzieją, czekając na odpowiedź.

Przez chwilę naprawdę zalewa mnie fala ciepła. Chciałabym ją uszczęśliwić, tak jak zawsze to robiłam, chciałabym zobaczyć, jak wydaje okrzyk radości, jak wyrzuca rękę w górę i posyła mi jeden ze swoich słynnych uśmiechów. Zaraz potem przypominam sobie, że teraz ma przecież Angelikę Marston i coś chwytam mnie za gardło, a świadomość, że zaraz sprawię jej zawód, dostarcza mi chorej satysfakcji.

– Myślę, że sobie daruję – odpowiadam. – W każdym razie dzięki za zaproszenie.

Hana wzrusza ramionami, chcąc pokazać, że jest jej wszystko jedno.

– Jeśli zmienisz zdanie... – Sili się na uśmiech, ale nie potrafi go utrzymać dłużej niż sekundę. – Tanglewild Lane. Deering go utrzymać dłużej niż sekundę. – Tanglewild Lane. Deering Highlands. Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Deering Highlands. No jasne. Na tych wzgórzach w głębi łądu znajduje się opuszczone osiedle. Dziesięć lat temu rząd odkrył sympatyków – i, o ile można wierzyć plotkom, nawet kilku Odmieńców – zamieszkujących wspólnie jedną z tamtejszych willi. To była wielka afera. Nalot był efektem rocznej infiltracji i w jego wyniku czterdzieści dwie osoby zostały

stracone, a kolejnych sto wtracono do Krypt. Od tamtej pory Deering Highlands jest miastem widmem – przeznaczone do rozbiórki, omijane szerokim łukiem, zapomniane przez Boga i ludzi.

– Okej. Ty też wiesz, gdzie mnie znaleźć. – Wskazuję niedbałym gestem na ulicę.

– Jasne. – Hana wbija wzrok w ziemię i przeskakuje z jednej nogi na drugą. Nie mamy sobie już nic do powiedzenia, ale nie potrafię po prostu odwrócić się na pięcie i odejść.

Ogarnia mnie okropne przeczucie, że to może ostatni raz, kiedy widzimy się z Haną przed zabiegiem. Strach łapie mnie za gardło. Chciałabym teraz cofnąć tę rozmowę, cofnąć wszystkie złośliwości, wyznać, że za nią tęsknię i chcę, byśmy nadal były najlepszymi przyjaciółkami. Gdy otwieram usta, by to powiedzieć, Hana żegna mnie szybkim ruchem i mówi:

– No to dobra. Do zobaczenia gdzieś w okolicy. – I zamyka mi usta.

– Okej, do zobaczenia.

Hana odchodzi. Pragnę chociaż odprowadzić ją wzrokiem. Pragnę zapamiętać jej chód, odcisnąć w mózgu obraz takiej Hany jak teraz. Gdy obserwuję ją w ostrym słońcu, jak idzie niepewnym krokiem, jej sylwetka zlewa się w mojej głowie z inną, z cieniem przemykającym w ciemności w stronę klifu i już nie wiem, na kogo teraz spoglądam. Krawędzie świata rozmazują się i czuję gwałtowny ścisk w gardle, więc odwracam się i ruszam szybko w stronę domu.

– Lena! – słyszę jej krzyk, gdy już prawie jestem w bramie.

Odwracam się z bijącym sercem, z nadzieją, że może ona to powie. Tęskniłam za tobą. Wróćmy do tego, co było.

Nawet z odległości kilkunastu metrów widzę, że Hana walczy z sobą. Jednak po chwili tylko macha ręką i woła:

– Nie, już nic.

Tym razem, gdy się odwraca, jej krok nie jest już niepewny. Idzie szybko przed siebie, a potem znika za rogiem.

Czego się spodziewałam?

Bo właśnie w tym rzecz: teraz już nie ma odwrotu.

## 13

Zanim remedium zostało udoskonalone, proponowano je ludziom tylko na zasadzie testu.

Ryzyko było ogromne. W owym czasie jeden na stu pacjentów umierał po zabiegu z powodu zaniku

funkcji mózgu.

Mimo to ludzie masowo zgłaszali się do szpitali, domagając się remedium. Koczowali przez wiele dni domagając się remedium. Koczowali przez wiele dni przed laboratoriami z nadzieją, że zwolni się miejsce w kolejce oczekujących na zabieg.

Te lata są również znane jako Lata Cudów z powodu liczby osób, które zostały uzdrowione, i liczby istnień ludzkich, którym nadano pełnię, oraz liczby dusz wyciągniętych z otchłani choroby.

A jeśli były osoby, które zmarły na stole operacyjnym, to oddały życie za słuszną sprawę i nikt nie powinien ich żałować.

E.D. Thompson, Lata Cudów.

Wczesne badania nad remedium,

[w:] Krótka historia Stanów Zjednoczonych Ameryki, s. 87

Gdy wchodzę do domu, w środku jest jeszcze goręcej niż zazwyczaj: uderza mnie wilgotna, duszna ściana upału. Pewnie Carol gotuje. Wszędzie czuć smażone mięso i przyprawy – ta woń zmieszana z typowymi dla lata zapachami potu i pleśni przyprawia mnie o mdłości. Przez ostatnich kilka tygodni jadaliśmy na ganku tylko lekkie kolacje: sałatki z makaronem, wędliny i kanapki ze sklepu wujka.

Gdy mijam kuchnię, Carol wystawia z niej głowę. Twarz ma czerwoną i mokrą, a pod pachami ciemne plamy potu na jasnoniebieskiej bluzce niczym granatowe półksiężycy.

– Idź się przebierz – mówi. – Rachel i David będą tu lada chwila. Na śmierć zapomniałam, że moja siostra z mężem mieli dziś  
Na śmierć zapomniałam, że moja siostra z mężem mieli dziś wpaść na kolację. Widuję Rachel maksymalnie cztery, pięć razy w roku. Kiedy byłam młodsza, zwłaszcza zaraz po jej wyprowadzce z domu, odliczałam dni do jej odwiedzin. Nie sądzę, żebym wtedy rozumiała w pełni istotę zabiegu i to, co on oznaczał dla niej, dla mnie, dla nas. Wiedziałam, że będzie bezpieczna, wolna od Thomasa i od choroby, ale nic więcej. Myślałam, że cała reszta zostanie taka jak dawniej. Myślałam, że gdy wpadnie do nas z wizytą, będzie znowu jak za starych dobrych czasów, że będziemy urządzać sobie nasze skarpetkowe potańcówki, że weźmie mnie na kolana, zacznie zaplatać warkocz i opowiadać bajki o odległych miejscach i wiedźmach, które mogły zmieniać się w zwierzęta. Tymczasem ona tylko przejechała mi ręką po głowie, gdy przekroczyła próg, i uprzejmie biła brawo, gdy Carol kazała mi recytować tabliczkę mnożenia.

– Twoja siostra jest już dorosła – powiedziała mi ciotka, gdy spytałam, dlaczego Rachel już się ze mną nie bawi. – Kiedyś sama zobaczysz, jak to jest.

Potem przestałam zwracać uwagę na dopisek, który pojawiał się co kilka miesięcy w kuchennym kalendarzu: wizyta R.

Podczas kolacji tematem numer jeden jest Brian Scharff – mąż Rachel, David, pracuje ze znajomym jego kuzyna, czuje się zatem ekspertem w kwestii całej rodziny – oraz Regional College of Portland, gdzie jesienią zaczynam studia. Pierwszy raz w życiu będę mieć zajęcia z chłopakami, ale Rachel mówi, w życiu będę mieć zajęcia z chłopakami, ale Rachel mówi, żebym się nie martwiła.

– Nawet ich nie zauważysz, tak będziesz zajęta pracą i nauką.–

Zresztą jest tam ochrona – dodaje Carol. – I wszyscy studenci są sprawdzeni. – Co ma oznaczać: wszyscy są wyleczeni.

Na myśl przychodzi mi wtedy Alex i o mało nie wypalam: „nie wszyscy”.

Kolacja przeciąga się grubo po godzinie policyjnej. Gdy Carol pomaga mi posprzątać ze stołu, jest prawie jedenasta, a Rachel i jej mąż nawet nie zbierają się do wyjścia. To kolejna rzecz, której nie mogę się doczekać – za trzydzieści sześć dni nie będę się już musiała przejmować godziną policyjną.

Po kolacji wujek i David wychodzą na ganek. David przyniósł dwa cygara – tanie, bo tanie, ale jednak – i zapach dymu, słodki, korzenny i nieco oleisty, wpływa przez okna, zlewając się z ich głosami, i wypełnia dom błękitną mgiełką. Rachel i Carol zostają w jadalni, pijąc lurowatą kawę, która ma bury kolor starych pomyj. Z góry dochodzi mnie szybki tupot. To Jenny jak zwykle dokucza Grace, dopóki jej się to nie znudzi, a potem położy się do łóżka, zła jak osa, pozwalając, by nuda i monotonia kolejnego dnia ukołysały ją do snu.

Zmywam naczynia, których jest dziś o wiele więcej niż zwykle. Carol przygotowała na ten wieczór zupę (marchewkową, gorącą, którą wszyscy przełykaliśmy złani potem), duszoną wołowinę w czosnku i przywiędłe szparagi, prawdopodobnie wygrzebane z samego dna kosza na warzywa, prawdopodobnie wygrzebane z samego dna kosza na warzywa, a do tego podała kilka czerstwych ciastek. Uczucie sytości w żołądku, ciepło wody na nadgarstkach i łokciach, znajome rytmy rozmowy, tupot stóp na górze, ciężki niebieski dym – wszystko

to działa na mnie usypiająco. Carol wreszcie przypomina sobie, by zapytać o dzieci Rachel, a ta rozwodzi się nad ich dokonania, jak gdyby recytowała listę, którą niedawno, nie bez trudu, wykuła na pamięć – Sara już czyta, a Andrew powiedział swoje pierwsze słowo, choć ma dopiero trzynaście miesięcy.

– Ogłaszam stan wyjątkowy. Trwa obława na wrogów państwa. Proszę wykonywać wszystkie polecenia i nie stawiać oporu...

Głos huczący na zewnątrz budzi mnie z odrętwienia. Rachel i Carol natychmiast przerywają rozmowę i nasłuchują. Nie słyszę też Davida ani wujka Williama. Nawet Jenny i Grace przestały szaleć na górze.

Z ulicy dochodzi przerywany szum, tupot setek ciężkich butów idących w jednym rytmie i ten okropny głos wzmocniony przez megafon:

– Ogłaszam stan wyjątkowy. Trwa obława na wrogów państwa. Proszę przygotować dokumenty...

Obława. Moje myśli natychmiast biegną ku Hanie, ku tamtej imprezie. W głowie zaczyna mi się kręcić i muszę się przytrzymać blatu.

– Dostyc wcześnie jak na obławę. – Słyszę spokojny głos Carol z jadalni. – Ostatnia była kilka miesięcy temu, o ile dobrze kojarzę.

– Osiemnastego lutego – mówi Rachel. – Pamiętam dokładnie. David i ja musieliśmy wyjść z dziećmi na zewnątrz. Były wtedy jakieś problemy z SWD. Staliśmy na śniegu przez pół godziny, zanim nas sprawdzili. Potem Andrew przez dwa tygodnie chorował na zapalenie płuc. – Opowiada tę historię, jak gdyby chodziło o jakieś drobne problemy w pralni samoobsługowej, na przykład o zgubioną skarpetkę.

– To było tak dawno temu? – Carol wzrusza ramionami i upija łyk kawy.

Głosy, tupot, szum krótkofalówek – słysząc je coraz bliżej. Oddziały kontrolne poruszają się jak jeden mąż, od domu do domu – czasem sprawdzają każdy dom na wybranej ulicy, czasem omijają całe przecznice, a czasem wchodzą do drugiego. Nie ma reguły. Albo przynajmniej nie powinno być. W każdym razie niektóre domy są sprawdzane częściej niż inne. Nawet jeśli nie jest się na liście podejrzanych, można skończyć na mrozie, tak jak Rachel i jej mąż, podczas gdy porządkowi i policja będą sprawdzali twoją tożsamość. Albo,

co gorsza, wpadną do twojego domu, zaczną rozwalać ściany i szukać śladów podejrzanej działalności. Prawa własności są na tę noc zawieszane. Właściwie większość praw nie działa w noc obławy.

Wszyscy słyszeli przerażające opowieści: o ciężarnej kobiecie rozebranej do naga i sprawdzanej na oczach wszystkich, o ludziach wtrącanych do więzienia na dwa lub trzy lata za samo spojrzenie na policjanta w niewłaściwy sposób lub za próbę zablokowania wejścia porządkowym do jakiegoś pomieszczenia.

– Ogłaszam stan wyjątkowy. Trwa obława na wrogów państwa. Jeśli poprosi się was o wyjście przed dom, upewnijcie się, że macie z sobą wszystkie dokumenty, w tym dowody dzieci powyżej sześciu miesięcy. Każdy, kto będzie stawiał opór, zostanie zatrzymany i zabrany na przesłuchanie. Każdy, kto się ociąga, będzie oskarżony o utrudnianie pracy służbom porządkowym...

Na końcu ulicy. A potem kilka domów od nas... dwa domy od nas... Nie. Dom obok. Słyszę ujadanie psa sąsiadów, a potem przepraszaający głos pana Richardsona. Znowu szczekanie, a potem ktoś (porządkowy?) mruczy coś pod nosem i słyszę jakiś łomot. Po nim zaś skowyt oraz inny głos: „Nie musiałeś zabijać bydlaka”. I odpowiedź: „Bo co? Pewnie i tak miał pchły”.

Na chwilę następuje cisza: od czasu do czasu słychać jedynie szum krótkofalówek, szmer przekładanych papierów, ktoś podaje do telefonu numery identyfikacyjne.

A potem:

– Wszystko w porządku. Jest pan w rejestrze. – I znowu tupot ciężkich butów.

Pomimo całej pewności siebie nawet Rachel i Carol sztywnieją, gdy słychać kroki obok naszych drzwi. Widzę pobielale knykcie ciotki zaciśnięte na filiżance, a mnie samej serce skacze w piersi jak konik polny.

Patrol mijają nasz dom. Rachel wydaje z siebie głośnie westchnienie ulgi, gdy słychać, jak porządkowi walą do następnych drzwi.

– Otwierać! Kontrola!

Filiżanka Carol powraca ze szczękiem na spodek.

– To głupie, prawda? – mówi z wymuszonym śmiechem. – Nawet jeśli człowiek nie ma nic na sumieniu, i tak się denerwuje.

Czuję w ręce tępy ból i uświadamiam sobie, że wciąż trzymam się kurczowo blatu jak deski ratunku. Nie potrafię się rozluźnić, nie potrafię się uspokoić, nawet gdy tupot kroków cichnie, a głos z megafonu staje się coraz bardziej niewyraźny, a wreszcie zupełnie niezrozumiały. Cały czas mam przed oczami oddziały nalotowe – czasami jednej nocy jest ich pięćdziesiąt – które kręcą się po Portland niczym rój owadów, otaczają miasto jak woda spływająca kaskadą do wiru, porywając za sobą każdego, kto stanie na ich drodze, i oskarżając o złe zachowanie lub nieposłuszeństwo nawet tych ludzi, którym nic nie można zarzucić.

Gdzieś tam daleko tańczy uśmiechnięta Hana, wiruje z rozpuszczonymi włosami, wokół niej cisną się chłopcy, a zakazana muzyka dudni z głośników. Zwalczam okropne uczucie mdłości. Nie chcę nawet myśleć, co się z nią stanie – co się stanie z nimi wszystkimi – jeśli zostaną złapani.

Pozostaje mi tylko nadzieja, że nie dotarła jeszcze na imprezę. Może za długo się przygotowywała – co jest dość prawdopodobne, bo Hana zawsze się spóźnia – i była jeszcze w domu, gdy zaczęła się obława. Nawet ona nie wyszłaby z domu podczas obławy. To samobójstwo.

podczas obławy. To samobójstwo.

Ale Angelica Marston i wszyscy inni... Ci, którzy chcieli tylko posłuchać muzyki...

Myślę o tym, co powiedział Alex tamtego wieczoru, kiedy wpadłam na niego w Roaring Brook Farms: przyszedłem posłuchać muzyki, jak wszyscy inni.

Próbuję przegnać z umysłu ten obraz i powtarzam sobie, że to nie mój problem. Powinnam się wręcz cieszyć, jeśli wszyscy zostaną nakryci i trafią za kratki. To, co robią, jest niebezpieczne nie tylko dla nich, ale i dla nas wszystkich: to właśnie tak wylęga się choroba.

Jednak coś głęboko we mnie ukryte, ta uparta część, która powiedziała „szary” podczas pierwszej ewaluacji, nie daje mi spokoju. No i co z tego? – mówi. Chcieli po prostu posłuchać muzyki. Prawdziwej muzyki – nie nijakich piosneczek, grywanych podczas koncertów Lata z Muzyką, z nudnym rytmem i pogodną, radosną melodią. Nie robią nic złego. Przypominają mi się jeszcze inne słowa Aleksa: nikt tu nikomu nie robi krzywdy.

Poza tym zawsze istnieje prawdopodobieństwo, że akurat dziś Hana się nie spóźniła i bawi się tam w błogiej nieświadomości, że obława zaciska krąg wokół niej. Muszę



mocno zamknąć oczy, aby uwolnić się od wizji, jak spadają na nią dziesiątki ciosów. Jeśli nie wrzucą jej do więzienia, to od razu zaciągną do laboratorium i poddadzą zabiegowi jeszcze przed świtem, nie zważając na związane z tym ryzyko.

Jakimś cudem mimo gonitwy myśli i szaleńczego wirowania kuchni udaje mi się umyć wszystkie naczynia. A także podjąć decyzję.

Muszę tam iść. Muszę ją ostrzec.

Muszę ostrzec ich wszystkich.

Zanim Rachel i David wyszli i wszyscy trafili do łóżek, zrobiła się północ. Każda mijająca sekunda zdaje się męczarnią. Mogę jedynie mieć nadzieję, że sprawdzanie domów na półwyspie potrwa dłużej niż zwykle i minie trochę czasu, nim patrol dotrą do Deering Highlands. Zresztą może postanowili pominąć tamten teren. Jeżeli wziąć pod uwagę to, że większość tamtejszych domów jest pusta, zawsze istnieje taka możliwość. Ponieważ jednak Deering Highlands było wylegarnią ruchu oporu, wydaje się to mało prawdopodobne.

Wymykam się z łóżka, nie zawracając sobie głowy przebieraniem spodni od piżamy ani podkoszulka, które i tak są czarne. A potem wkładam czarne buty i chociaż jest chyba ze sto stopni, wyciągam z szafy czarną czapkę. Dziś wieczorem są potrzebne wszystkie środki ostrożności.

Kiedy już mam otworzyć drzwi od sypialni, słyszę za sobą cichy jęk, coś jak miauczenie kota. Odwracam się. Grace siedzi na łóżku i patrzy na mnie.

Przez chwilę po prostu spoglądamy na siebie. Jeśli Grace wyjdzie z łóżka albo narobi hałasu, na pewno obudzi Jenny, a wtedy jestem skończona, ugotowana, załatwiona na amen.

Zastanawiam się, co mogłabym powiedzieć, żeby ją uspokoić, Zastanawiam się, co mogłabym powiedzieć, żeby ją uspokoić, próbuję wymyślić jakieś kłamstwo, ale wtedy zdarza się cud:

Grace po prostu kładzie się z powrotem do łóżka i zamyka oczy.

I chociaż jest bardzo ciemno, mogłabym przysiąc, że na jej twarzy błąka się delikatny uśmiech. Kamień spada mi z serca.

Stwierdzam teraz, że jest jakaś pozytywna strona tego, że

Gracie nie mówi – z pewnością na mnie nie doniesie.

Wymykam się na ulicę bez problemów, nawet pamiętam,

żeby ominąć trzeci od końca stopień, który ostatnim razem zaskrzypiał tak głośno, że byłam pewna, iż obudziłam Carol.

Po wrzawie oblawy ulica wydaje się teraz nienaturalnie

cicha i spokojna. Wszystkie okna są ciemne, rolety spuszczone, jakby każdy dom chciał odwrócić się od ulicy lub unieść

ramiona, by uchronić się przed wścibskimi spojrzeniami. Obok mnie przelatuje zabłąkany kawałek czerwonego papieru, niesiony wiatrem jak kępy trawy na starych westernach. Rozpoznaję w nim ogłoszenie stanu wyjątkowego, obwieszczenie pełne niemożliwych do wymówienia słów legitymizujących tymczasowe zawieszenie praw obywatelskich. Gdyby nie to, byłaby to noc jak każda inna – kolejna cicha, spokojna, zwyczajna noc.

Tyle że z wiatrem dolatuje mnie odległy stukot ciężkich butów i przeciągłe zawodzenie, jakby ktoś płakał. Dźwięki te są tak ciche, że można by je niemal pomylić z szumem oceanu i wyciem wiatru. Niemal.

Patrole przesunęły się dalej.

Kieruję się szybko w stronę Deering Highlands. Boję się wziąć rower, plakietka odblaskowa na kołach mogłaby wziąć rower, plakietka odblaskowa na kołach mogłaby przyciągnąć uwagę. Nie myślę o tym, co robię, nie myślę o konsekwencjach, jeśli zostanę złapana. Nie wiem, skąd ten przypływ śmiałości. Nigdy, przenigdy nie pomyślałabym, że znajdę w sobie tyle odwagi, by opuścić dom w noc obławy. Chyba Hana myliła się co do mnie. Chyba nie boję się przez cały czas.

Gdy mijam leżący na chodniku czarny worek na śmieci, zatrzymuje mnie ciche skomlenie. Odwracam się, zaniepokojona. Nic. I znów ten sam dźwięk: dziwny, przeciągły jęk, od którego przechodzą mnie ciarki. A wtedy worek się porusza.

Tyle że to nie worek na śmieci. To Riley, czarny kundel Richardsonów.

Robię w jego stronę kilka chwiejnych kroków. Wystarczy mi jedno spojrzenie, by stwierdzić, że pies dogorywa. Jest cały pokryty kleistą, lśniąca, czarną mazią – krwią, jak się okazuje, gdy podchodzę bliżej. To właśnie dlatego w ciemności pomyliłam jego futro ze śliskim, czarnym plastikowym workiem. Leży z rozbitą głową, z jednym okiem przyciśniętym do chodnika, drugie ma otwarte. Z nosa cieknie mu krew, czarna i lepka.

Przypomina mi się głos porządkowego: „pewnie i tak ma pchły”, i łoskot, który nastąpił zaraz potem.

Riley spogląda na mnie niemal jak człowiek, z taką żalnością i takim wyrzutem, jakby chciał rzec: „ty mi to zrobiłaś”. Czuję wzbierającą falę mdłości. Mam ochotę przyklęknąć i wziąć go w ramiona albo ścierać z niego krew własnym ubraniem. Jednak

ramiona albo ścierać z niego krew własnym ubraniem. Jednak jestem jak sparaliżowana. Nie mogę się ruszyć.

Wtedy całym jego ciałem wstrząsają drgawki, a potem pies nieruchomieje.

Paraliż ustępuje natychmiast. Cofam się chwiejnym krokiem, czując nagły przypływ goryczy i nienawiści. Zataczam się jak wtedy, kiedy upiłyśmy się z Haną, zupełnie tracąc kontrolę nad ciałem. Gniew i obrzydzenie przepełniają mnie tak bardzo, że aż chce mi się krzyczeć.

Znajduję obok kontenera zgnieciony karton na śmieci i przykrywam nim ciało Riley'a. Staram się nie myśleć o robakach, które do rana zagnieżdżą się w jego ciele. Z zaskoczeniem stwierdzam, że łzy cisną mi się do oczu. Ocieram je wierzchem dłoni. A gdy wyruszam w stronę Deering Highlands, powtarzam w myślach tylko jedno słowo: przepraszam, przepraszam, przepraszam. Jak mantrę, albo jak modlitwę.

Obławy mają jedną dobrą stronę: są głośne. Muszę tylko przystawać co jakiś czas i nasłuchiwać kroków, szumu krótkofalówek i megafonów. Staram się kluczyć, wybierać boczne uliczki, które zostały ominięte albo już były skontrolowane. Ślady przejścia patroli są wszędzie: przewrócone kosze i kontenery, śmieci wysypane na ulicę, sterty starych paragonów, podarte listy, gnijące warzywa, jakieś cuchnące obrzydlistwo – wolę nie wiedzieć, co to jest – i czerwone obwieszczenia pokrywające wszystko jak warstwa kurzu. Podeszwy mam śliskie od stąpania po tym, a w niektórych miejscach muszę wyciągać ręce na boki jak linoskoczek, żeby utrzymać równowagę. Mijam kilka domów oznaczonych wielkim znakiem „X”, czarną farbą chlapniętą po ścianach, w których okna zieją ciemnością jak rana. Serce podchodzi mi do gardła. Ich mieszkańców uznano za wichrzycieli lub wrogów państwowych. Ciepły wiatr gwizdzący na ulicach niesie płacz i jęki oraz szczekanie psów. Staram się nie myśleć o Riley'u. Trzymam się ciemnych zakamarków, przemykam od jednego kontenera na śmieci do następnego. Czuję pot gromadzący mi się na karku i pod pachami, nie tylko od upału. Wszystko wydaje się dziwne, groteskowo zniekształcone: niektóre ulice migoczą szkłem rozbitych szyb, w powietrzu unosi się zapach spalenizny.

Gdy wychodzę na Forest Avenue, w tym samym czasie z drugiej strony skręca w nią grupa porządkowych. Szybko się cofam, przywieram płasko do ściany sklepu, a potem powoli

wracam w kierunku, z którego przyszedłam. Możliwość, że którykolwiek z porządkowych mnie zauważył, jest niewielka – dzieliła nas cała długość ulicy, a do tego jest ciemno choć oko wykol – ale mimo to moje serce długo nie może wrócić do normalnego rytmu. Czuję się, jak gdybym grała w jakąś skomplikowaną grę wideo albo próbowała rozwiązać bardzo trudne zadanie matematyczne: jedna dziewczyna próbuje uniknąć czterdziestu patroli złożonych z piętnastu–dwudziestu osób, rozlokowanych w promieniu jedenastu kilometrów. Jeśli musi pokonać 3,4 kilometra przez centrum miasta, jakie jest prawdopodobieństwo, że obudzi się jutro w więziennej celi? Można zaokrąglić liczbę pi do dwóch miejsc po przecinku. Przed wykryciem gniazda ruchu oporu Deering Highlands było jednym z przyjemniejszych obszarów Portland. Domy były duże i nowe – w każdym razie jak na Maine, co oznacza, że zostały zbudowane w ciągu ostatnich stu lat – otoczone bramami i żywopłotami, przy ulicach, których nazwy kojarzą się z przyrodą. Wprawdzie niektóre domy wciąż są zamieszkiwane przez biedaków, którzy nie mogą sobie pozwolić na przeprowadzenie się gdzie indziej albo nie dostali pozwolenia na nowe osadnictwo, ale większość okolicy opustoszała całkowicie. Nikt nie chciał tu zostać. Nikt nie chciał być kojarzony z ruchem oporu. Najdziwniejszą rzeczą w Deering Highlands jest to, w jakim popłochu je opuszczono. Wciąż można tu zobaczyć rdzewiejące w trawie zabawki i samochody zaparkowane na podjazdach, chociaż większość z nich została rozebrana i ogołocona z drogocennych części i wyglądają teraz niczym szkielety wyżarte przez gigantyczne myszołowy. Domy chylą się z wolna ku zarośniętym trawnikom, a cały teren robi wrażenie samotnego zwierzęcia zostawionego na pastwę losu. Normalnie włosy stawałyby mi dęba już w samym sąsiedztwie Deering Highlands. Wiele osób mówi, że to miejsce przynosi pecha, tak samo jak niewstrzymywanie oddechu podczas przechodzenia przez cmentarz. Ale dziś, kiedy tu wreszcie docieram, mam ochotę tańczyć z radości. Wszystko wreszcie docieram, mam ochotę tańczyć z radości. Wszystko jest ciemne, ciche i spokojne: ani jednego obwieszczenia o obławie w zasięgu wzroku, ani szmeru rozmowy czy odgłosu ciężkich butów na chodniku. Patrole jeszcze tu nie dotarły. Może wcale nie dotrą. Skoro nie muszę się już trzymać ciemnych zaułków ani

poruszać się bezszelestnie, zaczynam biec. Deering Highlands to dosyć duży labirynt krętych ulic, wszystkie wyglądają dziwnie podobnie, a domy wyłaniają się nagle z ciemności jak statki osiadłe na mieliźnie. Trawniki zarosły przez lata, drzewa wyciągają powykręcane gałęzie w stronę nieba i rzucają dziwaczne cienie na oświetlony blaskiem księżyca chodnik. Zgubiłam się na Lilac Way – jakimś cudem zatoczyłam pełne koło i znalazłam się drugi raz na tym samym skrzyżowaniu – ale gdy skręcam w Tanglewild Lane, widzę przyćmione światło majaczące w oddali, za poskręcaną masą drzew, i wiem, że dotarłam do celu.

Obok podjazdu stoi stara przekrzywiona skrzynka na listy. Wciąż widnieje na niej wyblakły czarny znak „X”. Tanglewild Lane 42.

Od razu widać, dlaczego wybrali ten dom na imprezę.

Usytuowany jest raczej z dala od drogi i otoczony ze wszystkich stron drzewami tak gęstymi, że od razu przywodzą mi na myśl ciemne, szmerzące lasy na granicy. Droga od bramy ku drzwiom przyprawia mnie o żywsze bicie serca. Nie odrywam oczu od bladego światła, które powoli staje się jaśniejsze i bardziej rozległe, aż wreszcie rozdziela się na dwa okna okryte jakimś rozległym, aż wreszcie rozdziela się na dwa okna okryte jakimś materiałem, co być może ma ukrywać fakt, że w środku są ludzie. Jeśli tak, to nieskutecznie. Widzę przesuwające się w środku cienie. Muzyka jest bardzo cicha. Słyszę ją dopiero na ganku – słabe, przytłumione dźwięki, wibrowanie, które zdaje się wydobywać spod podłogi. Tu musi być piwnica.

Pędziłam na złamanie karku, żeby się tu znaleźć, ale rękę na klamce kładę powoli i z wahaniem. Dłoń mam mokłą od potu. Nie zastanawiałam się specjalnie, jak ich wszystkich wyproszę. Jeśli po prostu zacznę krzyczeć, że jest obława, wywołam panikę. Wszyscy naraz wybiegną na ulice, a wtedy możliwość powrotu do domu ukradkiem będzie równa zeru. Na pewno ktoś coś usłyszy, porządkowi się zorientują i będzie po nas. Poprawiam się w myślach: będzie po nich. Nie jestem taka jak ci po drugiej stronie drzwi. Nie jestem jedną z nich.

A potem przypomina mi się Riley wstrząsany drgawkami i jego wiotczejące ciało.

Nie jestem też jak ci, którzy to zrobili, ani ci, którzy patrzyli na to obojętnie. Nawet Richardsonowie nie trudzili się, by go uratować – swojego własnego psa. Nawet go nie przykryli, gdy dogorywał.

Ja nigdy bym tak nie postąpiła. Nigdy, przenigdy. Nawet

po milionie zabiegów. Przecież on wciąż żył. Jego serce biło, krew krążyła, a oni zostawili go jak śmiecia.

Oni. Ja. My. Oni. Słowa odbijają się echem w mojej głowie. Wycieram ręce o tył spodni i otwieram drzwi.

Hana powiedziała, że ta impreza będzie mniejsza, ale mam zupełnie inne wrażenie, być może dlatego, że pokoje są małe i zupełnie inne wrażenie, być może dlatego, że pokoje są małe i całkowicie zatłoczone. Wypełnia je dusząca zasłona papierosowego dymu, migocząca w przytłumionym świetle, przez co wszyscy wyglądają, jakby znajdowali się pod wodą. Jest tu piekielnie gorąco, przynajmniej dziesięć stopni cieplej niż na zewnątrz – ludzie poruszają się powoli, krótkie rękawy podwinęli na ramionach, a dzinsy do kolan i wszędzie widać błyszczącą skórę. Przez chwilę spoglądam na tę scenę, stojąc nieruchomo. Żałuję, że nie mam aparatu. Jeśli zignorować fakt, że jest tu mnóstwo dotykających się rąk i ciał ocierających się o inne ciała oraz tysiące innych rzeczy, które są strasznie złe, to, co widzę, jest na swój sposób piękne.

Zaraz potem przypominam sobie, że nie mam czasu do stracenia.

Tuż przede mną, stoi odwrócona tyłem dziewczyna i blokuje mi przejście. Kładę jej rękę na ramieniu. Skórę ma tak rozgrzaną, że aż parzy. Odwraca się w moją stronę, z czerwoną twarzą, wyciągając szyję, żeby mnie usłyszeć.

– Tej nocy jest obława – mówię jej, zaskoczona spokojem w swoim głosie.

Muzyka jest miękka, ale natarczywa – jestem już pewna, że dochodzi z jakiegoś podziemia – nie tak żywiołowa jak ostatnio, ale tak samo dziwna i zachwycająca. Przypomina mi o ciepłych, miękkich rzeczach, jak miód, promienie słońca czy rude liście wirujące na wietrze. Ale gwar rozmów i skrzypienie podłogi przeszkadzają w słuchaniu.

– Co? – Dziewczyna odgarnia włosy z uszu.

Otwieram usta, żeby powiedzieć: „obława”, ale zamiast Otwieram usta, żeby powiedzieć: „obława”, ale zamiast moich słów słyhać coś innego: potężny, metaliczny głos dobiegający z zewnątrz, głos, który wydaje się docierać ze wszystkich stron naraz, przebija się przez ciepło i muzykę jak zimne ostrze przez skórę. W tym samym czasie pokój zaczyna wirować, a mnóstwo czerwonych i białych świateł krąży wokół przerażonych, zaskoczonych twarzy.

– Uwaga. To jest obława. Nie próbujcie uciekać. Nie próbujcie stawiać oporu. To jest obława.

Kilka sekund później drzwi otwierają się z hukiem i reflektor jasny jak słońce zalewa wnętrze powodzią bieli, pod którą wszystko zastyga nieruchomo.

A potem wypuszczają psy.

## 14

Ludzie z natury są nieobliczalni, nieodpowiedzialni i nieszczęśliwi. Dopiero gdy poskromi się ich zwierzęce instynkty, mogą stać się odpowiedzialnymi, godnymi zaufania i zadowolonymi istotami.

*Księga SZZ*

Widziałam raz w wiadomościach relację o niedźwiedziu, który został przez przypadek dźgnięty przez swojego tresera w cyrku w Portland podczas rutynowego treningu. Byłam wtedy naprawdę mała, ale nigdy nie zapomnę tego widoku – ogromna ciemna plama, która miotła się wokół w śmiesznie opadającej czerwonej papierowej czapce i rozdzierała wszystko, co znalazło się w zasięgu jej zębów: papierowe wstążki, składane krzesła, balony, na końcu nie oszczędziła swojego tresera, z którego twarzy została jedna wielka miazga.

Najgorsze z tego wszystkiego – coś, co na zawsze utkwilo mi w pamięci – było wycie niedźwiedzia: straszliwy, przeciągły, wściekły ryk, w jakiś sposób przypominający głos człowieka.

Właśnie ten widok staje mi przed oczami, gdy oddziały nalotowe zalewają dom, wdzierają się przez roztrzaskane drzwi, rozbijają okna. To tę scenę mam w głowie, gdy muzyka urywa się nagle i powietrze przeszywa szczekanie psów, krzyki i brzęk rozbijanego szkła, gdy spocone ręce zaczynają się brutalnie rozpychać, gdy czuję czyjś łokieć pod podbródkiem, a drugi między żebrami. Widzę tamtego niedźwiedzia.

Jakimś cudem udaje mi się przedrzeć do przodu w tym ogarniętym paniką tłumie, który napiera w stronę tyłów domu. Za sobą słyszę porządkowych wymachujących ciężkimi pałkami oraz kłapanie psich zębów. Krzyk tyłu gardeł zlewa się w jeden potężny wrzask. Tuż za mną przewraca się jakaś dziewczyna. Potyka się, leci do przodu i łapie mnie, gdy pałka uderza ją w tył głowy z przyprawiającym o mdłości trzaskiem. Zaciska palce na moim podkoszulku, ale strząsam jej rękę i pcham się do przodu. Nie mam czasu na współczucie, nie mam czasu na strach. Nie mam czasu na nic, tylko na ruch, parcie naprzód i jedną, jedyną mam czasu na nic, tylko na ruch, parcie naprzód i jedną, jedyną myśl: uciekaj, uciekaj, uciekaj.

Co dziwne, przez chwilę w całym tym zgiełku i chaosie

widzę wszystko niezwykle wyraźnie, jak na filmie w zwolnionym tempie: widzę psa, którzy rzuca się na chłopaka po mojej lewej. Widzę, jak kolana się pod nim uginają, jak się przewraca, wydając z siebie cichy jęk, coś niczym oddech lub westchnienie, jak z szyi rozszarpanej przez psie kły tryska fontanna krwi. Dziewczyna z błyszczącymi jasnymi włosami przewraca się pod ciosami pałek i na jej widok serce mi staje. Przez chwilę mam wrażenie, że umarłam. Że już po wszystkim. Lecz gdy z krzykiem obraca twarz w moją stronę, atakowana przez porządkowych gazem pieprzowym, i okazuje się, że to nie Hana, czuję ulgę nie do opisania.

Kolejne ujęcia. To film, to tylko film. To się nie dzieje naprawdę, coś takiego nie mogło się wydarzyć. Chłopak i dziewczyna chcą się dostać do jednego z bocznych pokoi, może myślą, że tam jest wyjście. Drzwi są zbyt małe, żeby oboje mogli przejść przez nie jednocześnie. Chłopak jest ubrany w niebieską bluzę z napisem: SZKOŁA MORSKA W PORTLAND, a dziewczyna ma długie płomiennie rude włosy. Załedwie pięć minut temu razem śmiali się i rozmawiali, stali tak blisko siebie, że gdyby jedno z nich nachyliło się ku drugiemu, mogliby się przez przypadek pocałować. Teraz walczą z sobą, ale dziewczyna jest za mała. Zaciska zęby na jego ramieniu jak pies, jak dzikie zwierzę. Chłopak ryczy, z wściekłością chwyta ją za ramiona i rzuca nią o ścianę. Dziewczyna chwieje się, upada, ślizga, rzuca nią o ścianę. Dziewczyna chwieje się, upada, ślizga, próbuje podnieść. Jeden z porządkowych, olbrzymi mężczyzna o paskudnie czerwonej twarzy, wczepia palce w jej kucyk i podnosi ją do góry. Chłopakowi też nie udaje się umknąć. Biegnie za nim dwóch porządkowych i zaraz potem dochodzi mnie łomot pałek i zniekształcony krzyk.

Zwierzęta – myślę. Jesteśmy jak zwierzęta.

Ludzie się popychają, ciągną, używają innych jako tarcz; porządkowi szarżują dalej, napierają, atakują; psy kąsają wściekle; pałki przelatują tak blisko mojej głowy, że czuję na szyi świst powietrza. Wyobrażam sobie przeszywający ból, oczyma wyobraźni widzę czerwień. Gdy porządkowi posuwają się naprzód, tłum wokół mnie rzednie. Ludzie jeden po drugim upadają z krzykiem, otoczeni natychmiast przez trzy, cztery, pięć psów. Krzyki, krzyki. Jeden wielki wrzask.

Jakimś cudem udaje mi się uniknąć złapania i biegnę dalej.

Przez wąskie, skrzypiące korytarze, obok rozmazanych pokoi, rozmazanych uciekających i porządkowych. Mijam kolejne światła, kolejne roztrzaskane okna. Słyszę dźwięk silników.



Otoczyli cały dom. I wtedy wyrastają przede mną otwarte tylne drzwi – a za nimi ciemne drzewa z tyłu domu, szumiące spokojnie. Jeśli uda mi się wydostać na zewnątrz... jeśli uda mi się przebiec między świątłami...

Słyszę za plecami szczekanie, a potem ciężkie kroki porządkowego, coraz bliżej i bliżej, jakiś ostry głos krzyczy: „stać!”, i nagle dociera do mnie, że jestem w korytarzu sama. Jeszcze tylko piętnaście kroków, jeszcze tylko dziesięć... jeśli uda mi się uciec w ciemność...

uda mi się uciec w ciemność...

Tuż przy drzwiach nagły rozdzierający ból przeszywa mi nogę i czuję, jak na mojej łydce zaciskają się psie zęby.

Odwracam się i widzę go: porządkowego z czerwoną twarzą, błyszczącymi oczami i uśmiechem na ustach – nie do wiary, on się uśmiecha, jemu to sprawia przyjemność! – z uniesioną pałką, gotową do ciosu. Zamykam oczy, wyobrażam sobie ból ogromny jak ocean, krwawoczerwone morze. I myślę o mamie. Wtem szarpnięcie, ktoś odciąga mnie na bok, dobiegają mnie trzask i skowyt, i głos porządkowego: „cholera!”. Ogień w nodze ustaje, ciężar psa znika, czyjeś ramię chwyta mnie w pasie, a w uchu słyszę głos – w tej chwili tak bliski i znajomy, jak gdybym czekała na niego przez cały czas, jak gdybym słyszała go od zawsze w swoich snach – szepeczący: „tędy”.

Alex prowadzi mnie, podtrzymując w pasie. Jesteśmy teraz w innym korytarzu, mniejszym i zupełnie pustym. Za każdym razem gdy ciężar ciała przesuwają się na prawą nogę, palący ból przeszywa mnie znowu. Porządkowy wciąż podąża naszym śladem i słysząc, że jest wściekły – rozbił czaszkę psu, zamiast mnie, gdy w ostatniej sekundzie Alex odciągnął mnie na bok. Wiem, że opóźnię jego ucieczkę, lecz on najwyraźniej nie myśli teraz o sobie.

– Tędy – mówi i dajemy nura do innego pokoju. Ta część domu musiała być zamknięta dla gości. W pokoju panuje absolutna ciemność, mimo to Alex nie zwalnia, idzie dalej pewnym krokiem. Pozwalam, by prowadził mnie dotyk jego palców – w lewo, w prawo, w lewo, w prawo. Śmierdzi tu pleśnią i jeszcze czymś: niby świeżą farbą i dymem, jakby ktoś pleśnią i jeszcze czymś: niby świeżą farbą i dymem, jakby ktoś tutaj gotował. Ale to przecież niemożliwe. Te domy są puste od lat.

Porządkowy za nami przedziera się przez ciemność.

Uderza o coś i klnie siarczyście. W chwilę później coś spada na podłogę. Słysząc brzęk tłuczonego szkła. Kolejne przekleństwa.

Z napięcia jego głosu wnioskuję, że zostaje w tyle.

– Do góry – szepcze Alex tak cicho i tak blisko mego ucha, jak gdyby był wytworem mojej wyobraźni, a potem podsadza mnie do okna. Szorstkie drewno parapetu ociera mi się o plecy, a potem łąduję zdrową nogą na miękkiej, wilgotnej trawie. Chwilę później Alex podąża za mną bezszelestnie i wyrasta obok mnie w ciemności. Powietrze wciąż jest nagrzane, lecz zerwał się wiatr i gdy owiewa moją skórę, mam ochotę płakać z radości i ulgi. Ale jeszcze nie jesteśmy bezpieczni. Ciemność porusza się, tańczy, ożywiona smugami światła: promienie latarek przecinają lasy, w ich blasku widać uciekające postaci, oświetlone jak duchy, unieruchomione strumieniem światła. Wciąż słychać krzyki, niektóre kilka kroków od nas, a inne tak odległe i obce, że można by je pomylić z sowami, które pohukują spokojnie pośród drzew. Wtedy Alex chwytam mnie za rękę i znowu zaczynamy biec. Przy każdym kroku ból przeszywa mnie jak rozgrzane ostrze. Przygryzam wnętrze policzków, by powstrzymać się od krzyku, i czuję w ustach smak krwi.

Chaos. Dantejskie sceny: reflektory z ulicy, przewracające się cienie, trzask łamanych kości, milknące stopniowo głosy.  
– Tędy.

Wykonuję jego polecenia bez wahania. Z ciemności wyłania się mała drewniana szopa, stara, rozpadająca się, porośnięta mchem i winoroślą. Nawet z odległości kilku kroków wygląda jak płatanina liści i gałęzi. Muszę się pochylić, żeby wejść do środka i od progu odrzuca mnie silny odór zwierzęcego moczu i mokrej sierści. Alex wchodzi za mną i zamyka drzwi. Słyszę szelest i widzę, jak klęcząc, wciska koc w szparę między drzwiami a ziemią. To koc musi być źródłem tego smrodu. Cuchnie niemiłosiernie.

– O Boże – wyrywa mi się. To pierwsze słowa, które do niego wypowiedziałam, zatykając przy tym ręką usta i nos.  
– Dzięki temu psy nie wyczują naszego zapachu – wyjaśnia rzeczowo.

Nigdy w życiu nie widziałam kogoś tak opanowanego. Przez głowę przelatuje mi myśl, że może w opowieściach z dzieciństwa tkwiło ziarno prawdy – może Odmieńcy rzeczywiście są potworami, dziwolągami.

Zaraz potem robi mi się wstyd. Ten chłopak właśnie uratował mi życie.

Uratował mnie – przed porządkowymi. Przed ludźmi,

którzy powinni nas chronić i zapewniać nam bezpieczeństwo. Przed ludźmi, którzy powinni nas chronić przed takimi jak Alex. Teraz wszystko przestaje mieć sens. Zaczyna mi się kręcić w głowie. Zataczam się i gdy uderzam plecami o ścianę, Alex wyciąga do mnie rękę.

wyciąga do mnie rękę.

– Usiądź – szepcze tym samym wzbudzającym respekt głosem. Słuchanie jego cichych, stanowczych poleceń, świadomość, że mogę już odpuścić, działa na mnie jak balsam. Osuwam się na ziemię. Podłoga jest wilgotna i szorstka. Księżyc właśnie przebił się zza chmur i przez szpary w ścianach oraz dachu wpadają do środka pasma srebrzystego światła. Udaje mi się dostrzec kilka półek nad głową Aleksa, jakieś puszki – może z farbą? – stojące w kącie. Teraz, kiedy oboje siedzimy, widzę, że nie zostało zbyt wiele miejsca do manewru – cała konstrukcja jest szeroka na metr albo dwa.

– A teraz obejrzę twoją nogę, dobrze? – pyta szeptem.

Kiwam głową. Nawet gdy siedzę, ciągle kręci mi się w głowie.

Alex przykłęka i kładzie moją nogę na swoim kolanie.

Dopiero gdy zaczyna podwijać nogawkę, czuję, jak mokry jest materiał. Pewnie krwawię. Przygryzam wargę i przyciskam plecy mocno do ściany w oczekiwaniu na ból, ale dotyk jego rąk – chłodny i silny – jakoś wszystko łagodzi.

Podwinąwszy mi spodnie do kolana, przechyla mnie delikatnie, żeby obejrzeć tył łydki. Opieram łokieć o podłogę i czuję, jak wszystko wokół się kołysze. Muszę naprawdę mocno krwawić.

Spomiędzy jego ust wydobywa się szybki syk.

– Tak źle to wygląda? – pytam, bojąc się spojrzeć na ranę.

– Nie ruszaj się – mówi. Wiem, że jest naprawdę źle i że mi tego nie powie, i w tej chwili zalewa mnie taka fala wdzięczności dla niego i nienawiści do ludzi z zewnątrz – tych prymitywów, myśliwych z ostrymi zębami i ciężkimi pałkami – że aż zapiera mi myśliwych z ostrymi zębami i ciężkimi pałkami – że aż zapiera mi dech.

Alex, nie zdejmując mojej nogi z kolana, sięga do kąta.

Szpera koło jakiegoś pudełka, słysząc szczęk metalowych zatrzasków, a potem znowu pochyła się nad moją nogą z butelką w ręku.

– Teraz przez chwilę zapieczę – uprzedza. Czuję płyn rozlewający się po skórze, ostry zapach alkoholu rozszerza mi nozdrza i nagle płomienie obejmują moją nogę. O mało nie krzyknę. Alex wyciąga do mnie rękę i ściskam ją bez namysłu.

- Co to takiego? – pytam przez zaciśnięte zęby.
- Spirytus do odkażania ran. Zapobiegnie infekcji.
- Skąd wiedziałeś, że tu jest? – pytam, lecz on nie odpowiada.

Odsuwa rękę i uświadamiam sobie, jak mocno ją ścisnęłam. Ale nie mam siły na wstyd ani lęk: całe pomieszczenie zdaje się pulsować, półmrok rozmywa się jeszcze bardziej.

- Cholera – mruczy Alex. – Krwawienie jest poważne.
- Nie boli za bardzo – szepczę, choć to nieprawda. Skoro on jest taki spokojny, tak panuje nad wszystkim, to i ja próbuję wykrzesać z siebie odrobinę odwagi.

Wszystko stało się teraz dziwnie odległe – odgłosy bieganiny i krzyki na zewnątrz są zniekształcone, jak gdyby dochodziły spod wody, i mam wrażenie, że Alex jest oddalony ode mnie o całe kilometry. Zaczynam się zastanawiać, czy śnię, czy też za chwilę zemdleję.

A wtedy stwierdzam, że z całą pewnością śnię, ponieważ Alex ściąga podkoszulek.

- Co ty wyprawiasz? – pytam niemal z krzykiem. Alex zaczyna rozdzierać materiał na długie paski, rzucając w stronę drzwi nerwowe spojrzenia i nasłuchując za każdym razem, gdy tkanina pruje się z trzaskiem.

Nigdy w życiu nie widziałam chłopca bez koszulki, z wyjątkiem naprawdę małych dzieci daleko na plaży, ale nawet im bałam się przyglądać, żeby nie napytać sobie biedy. Za to teraz nie mogę oderwać oczu. Światło księżyca ledwie muska łopatki Aleksa, błyszczące delikatnie jak koniuszki anielskich skrzydeł z rysunków, które widziałam w książkach. Jest szczupły, ale muskularny: każdy jego ruch podkreśla zarys ramion i piersi, tak dziwnie i cudownie odmiennej od dziewczęcej. To ciało przywodzi na myśl bieg na wolnym powietrzu, ciepło i pot. Czuję uderzenie gorąca, wibrowanie, jak gdyby w mojej piersi wypuszczono tysiące maleńkich ptaszków. Nie wiem, czy to od upływu krwi, lecz wydaje mi się, że pokój wiruje tak szybko, że zaraz odlecimy w ciemność. Przedtem Alex wydawał się odległy. Teraz zaś wypełnia całe pomieszczenie: jest tak blisko, że nie mogę oddychać, ruszyć się, mówić, ani nawet myśleć. Przy jego najbliższym dotyku czas zdaje się drgać przez chwilę, jakby miał się rozplątać. Cały świat się rozpląta – stwierdzam. Z wyjątkiem nas. Nas.

- Hej. – Wyciąga rękę i dotyka mojego ramienia tylko na moment, ale wtedy moje ciało kurczy się tak, że całe mieści się pod jego dłonią i promienieje ciepłem. Nigdy się tak nie czułam,

tak spokojnie i błogo. Może umieram. Dziwne, ale myśl o tym tak spokojnie i błogo. Może umieram. Dziwne, ale myśl o tym wcale mnie nie przeraża. A nawet wydaje się na swój sposób zabawna. – Wszystko w porządku?

– Tak. – Zaczynam chichotać cichutko. – Tylko jesteś goły.

– Co? – Nawet mimo ciemności wiem, że dziwnie na mnie patrzy.

– Nigdy wcześniej nie widziałam chłopaka jak... jak ty teraz. Bez koszulki. Z bliska.

Alex zaczyna owijać podarty podkoszulek wokół mojej nogi, ostrożnie, ale mocno.

– Pies paskudnie cię dziabnął – mówi. – To powinno zatamować krwotok.

Zwrot „zatamować krwotok” brzmi tak medycznie i przerażająco, że pomaga mi wrócić do rzeczywistości i wziąć się w garść. Chłopak kończy wiązanie prowizorycznego bandaża i palący ból ustępuje miejsca tępemu pulsowaniu. Alex ostrożnie zdejmuję moją nogę z kolana i kładzie ją na ziemi.

– W porządku? – pyta, a ja kiwam głową. A potem siada obok mnie, opiera plecy o ścianę i siedzimy tak jedno obok drugiego, dotykając się jedynie łokciami. Od ciepła bijącego z jego nagiej skóry robi mi się gorąco. Zamykam oczy i próbuję nie myśleć o tym, jak blisko siebie jesteśmy, ani nie zastanawiać się, jak by to było przejechać ręką po jego ramionach i piersi. Na zewnątrz odgłosy obławy stają się coraz odleglejsze, krzyki rzadsze, a głosy cichsze. Patrole muszą już odchodzić. Odmawiam w myślach modlitwę, by Hanie udało się uciec. Nawet nie mam odwagi pomyśleć, że mogłoby się stać inaczej. Nawet nie mam odwagi pomyśleć, że mogłoby się stać inaczej. Mimo zapadającej ciszy żadne z nas się nie porusza. Mam wrażenie, że zaraz zasnę ze zmęczenia i że mogłabym spać w nieskończoność. Dom wydaje się niewiarygodnie daleko. Nie mam pojęcia, jak tam wrócę.

Nagle Alex odzywa się:

– Posłuchaj, Lena – mówi głosem cichym i pospiesznym. – To, co stało się na plaży... naprawdę przykro mi z tego powodu. Powinienem był ci powiedzieć wcześniej, ale nie chciałem cię odstraszyć.

– Nie musisz się tłumaczyć.

– Ale chcę. Chcę, żebyś wiedziała, że nie miałem zamiaru...

– Posłuchaj – przerywam mu. – Nikomu nie powiem, okej? Nie zamierzam wpakować cię w kłopoty ani nic takiego.

Alex milczy przez chwilę. Wyczuwam w ciemności, że odwraca się w moją stronę, ale nadal wbijam wzrok przed siebie.–

Nie obchodzi mnie to – odpowiada jeszcze ciszej. Po kolejnej chwili milczenia dodaje: – Po prostu nie chcę, żebyś mnie nienawidziła.

I znowu pokój zdaje się kurczyć, zacieśniać wokół nas. Czuję na sobie jego wzrok, pali mnie jak gorący dotyk, ale za bardzo boję się na niego spojrzeć. Boję się, że jeśli to zrobię, utonę w jego oczach, zapomnę o tych wszystkich rzeczach, które powinnam powiedzieć. W lesie na zewnątrz zapadła zupełna cisza. Patrole odeszły. Tymczasem świerszcze zaczynają swój gardłowy koncert i ich cykanie niesie się coraz głośniej.

– Dlaczego tak ci na tym zależy? – pytam cicho.

– Dlaczego tak ci na tym zależy? – pytam cicho.

– Mówiłem ci – odpowiada szeptem. Jego oddech łaskocze mnie tuż za uchem, jeżąc mi włosy na karku. – Lubię cię.

– Nie znasz mnie.

– Ale chciałbym cię poznać.

Pokój wiruje coraz prędeej. Przyciskam plecy jeszcze mocniej do ściany, próbując powstrzymać zawroty głowy. To niemożliwe: on ma odpowiedź na wszystko. To dzieje się zbyt szybko. To musi być pułapka. Przyciskam ręce do wilgotnej podłogi, szukając ukojenia w twardości szorstkiego drewna.

– Dlaczego akurat mnie? – Nie miałam zamiaru zadawać tego pytania, ale samo mi się wyrwało. – Nie jestem przecież nikim... – Chcę powiedzieć, że nie jestem nikim wyjątkowym, jednak słowa odparowują mi na ustach. Tak właśnie wyobrażam sobie wspinaczkę na szczyt góry, gdzie atmosfera jest tak rzadka, że choćby się brało nie wiadomo ile wdechów, ciągle ma się wrażenie, że nie da się zaczerpnąć powietrza.

Alex nie odpowiada. Zatem na to pytanie nie ma odpowiedzi, tak jak podejrzewałam: nie istnieje ku temu żaden powód. Wybrał mnie przypadkiem, tak dla żartu, albo wiedział, że będę zbyt przerażona, by go wydać. Po chwili zaczyna jednak snuć swoją opowieść tak szybko i płynnie, jak gdyby wiele o tym myślał, jakby powtarzał w głowie tę historię tyle razy, że wszystkie jej nierówności zostały wygładzone.

– Urodziłem się w Głuszy. Moja matka zmarła zaraz po moich narodzinach, ojciec też nie żyje. Nigdy się nawet nie moich narodzinach, ojciec też nie żyje. Nigdy się nawet nie dowiedział, że ma syna. Mieszkałem tam przez pierwszą część

swojego życia, przenosząc się z miejsca na miejsce. Wszyscy – tu zaczyna się na chwilę, a potem wymawia niechętnie – Odmieńcy zajęli się mną na zasadzie wspólnoty.

Na zewnątrz świerszcze przerywają koncert. Przez chwilę jest tak, jak gdyby nic złego się nie wydarzyło, jak gdyby w ogóle nie miało miejsca nic nadzwyczajnego – ot, kolejny gorący, leniwy letni wieczór, który za kilka godzin zostanie przegnany przez ranek. Znowu przeszywa mnie ból, ale nie ma nic wspólnego z nogą. Uderza mnie, jak znikome jest to wszystko, cały nasz świat, wszystko, co ma dla nas znaczenie – nasze sklepy, obławy, zajęcia i nawet nasze życie. Martwimy się o to, podczas gdy świat płynie naprzód, niezmienny, noc przechodzi w dzień, a dzień znowu w noc, i tak bez końca. Pory roku zmieniają się, wszystko umiera, a potem odradza się na nowo jak wąż zrzucający skórę.

Alex ciągnie dalej:

– Do Portland przybyłem, kiedy miałem dziesięć lat, żeby dołączyć do ruchu oporu. Nie powiem ci jak. W każdym razie nie było to proste. Dostałem numer dowodu. Dostałem nowe nazwisko, nowy adres. Jest nas więcej, niż ci się wydaje, Odmieńców, sympatyków; więcej, niż ktokolwiek się domyśla. Mamy ludzi w policji i w urzędach miejskich. Mamy ludzi nawet w laboratorium.

Jego słowa przyprawiają mnie o gęsią skórę.

– Chcę przez to powiedzieć, że można się dostać do miasta i się z niego wydostać. Nie jest to łatwe, ale możliwe.

i się z niego wydostać. Nie jest to łatwe, ale możliwe.

Wprowadziłem się do dwojga obcych osób, sympatyków, i nazywałem ich ciocią i wujkiem. – Czuję, że wzrusza ramionami.

– Nie miało to dla mnie znaczenia. Nie znałem rodziców, a wychowały mnie dziesiątki rozmaitych wujków i cioc. Nie robiło mi to żadnej różnicy.

Jego głos stał się bardzo cichy, jak gdyby zapomniał o mojej obecności. Nie jestem pewna, dokąd zmierza ta opowieść, ale wstrzymuję oddech, obawiając się, że najłżejszy dźwięk sprawi, że Alex umilknie.

– Nienawidziłem tego miasta. Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, jak bardzo nienawidziłem tego wszystkiego. Budynki były szare, ludzie wydawali się tacy oteńiali, a do tego te zapachy, ciasnota i zakazy; gdzie tylko się obrócisz mury i zakazy, mury i zakazy. To było dla mnie obce. Czuję się jak w klatce. Zresztą taka jest rzeczywistość, jesteśmy zamknięci w klatce: w klatce otoczonej granicą.

Jego słowa są dla mnie wstrząsem. Przez całe siedemnaście lat i jedenaście miesięcy mojego życia nigdy, przenigdy nie pomyślałam o tym w ten sposób. Tak bardzo przywykłam do myślenia, że granice nas chronią, że nigdy nawet nie przyszło mi do głowy, że również ograniczają. Teraz zaś widzę to oczami Aleksa i rozumiem już, co czuł.

– Na początku przepelniała mnie wściekłość. Ze złości wrzucałem różne rzeczy do ognia. Luźne kartki, książki, podręczniki. Dzięki temu czułem się lepiej. – Śmieje się cicho. – Spaliłem nawet swój egzemplarz Księgi SZZ.

I znów przechodzą mnie ciarki: zbezczeszczenie lub  
I znów przechodzą mnie ciarki: zbezczeszczenie lub  
zniszczenie Księgi SZZ to świętokradztwo.

– Codziennie godzinami wałęsałem się wzdłuż granicy.

Czasami płakałem. – Wzdryga się przy tych słowach i domyślam się, że jest zażenowany. To pierwszy znak od dłuższego czasu świadczący o tym, że jest świadomy mojej obecności i że mówi do mnie, i nagle ogarnia mnie przemożna chęć, by chwycić go za rękę, uścisnąć albo jakoś inaczej dodać mu otuchy. Mimo to nie odrywam dłoni od podłogi. – Ale po jakimś czasie zacząłem po prostu spacerować. Lubiłem obserwować ptaki. Podrywały się z ziemi i szybowały ponad Głuszą, lekko i swobodnie, tam i z powrotem. Mogłem obserwować je bez końca. Były wolne.

Zupełnie wolne. Przedtem myślałem, że nic i nikt nie może być wolny w Portland, a jednak się myliłem. Ptaki były wolne. Gdy milknie, zastanawiam się, czy to już koniec jego opowieści. Zastanawiam się, czy zapomniał o moim pytaniu – dlaczego ja? – Jestem jednak zbyt onieśmielona, żeby mu je przypomnieć, więc tylko siedzę bez ruchu i wyobrażam sobie, jak stoi nieruchomo przy granicy i obserwuje ptaki kołujące nad jego głową. To mnie uspokaja.

Po chwili, która zdaje się wiecznością, Alex wznawia opowieść, lecz jego głos jest już tak cichy, że muszę się przysunąć, by go dosłyszeć.

– Gdy cię po raz pierwszy ujrzałem, przy Gubernatorze, od lat już nie obserwowałem ptaków przy granicy. Ale to właśnie o nich pomyślałem na twój widok. Podskakiwałaś radośnie, aż włosy wypadły ci z kucyka, krzyczałaś coś przy tym i byłaś taka zwinna i szybka... – Kręci głową. – Jak błyskawica, i momentalnie zniknęłaś. Dokładnie tak jak ptak.

Nie wiem, jak to się stało – nie zamierzałam się ruszyć ani nawet nie zauważyłam, jak to zrobiłam – ale jakimś cudem



siedzimy teraz twarzą w twarz i dzieli nas zaledwie kilka centymetrów.

– Wszyscy tu są otępiali od lat, praktycznie martwi. A ty... wydajesz się taka żywa, prawdziwa. – Alex zamyka oczy i otwiera je z powrotem. – Mam już dość martwoty.

Wszystkie części mojego ciała unoszą się i wzbijają, jak gdyby zgodnie z jego słowami przekształcały się we fruwające ptaki: reszta mnie zdaje się odpływać z ogromnymi prądami ciepła przechodzącymi przeze mnie niczym gorący wiatr, który rozpiera mnie, zamienia w powietrze.

To niewłaściwe – słyszę w głowie głos, ale nie swój. To zbitek głosów ciotki, Rachel, wszystkich moich nauczycieli i namolnego członka komisji, który zadawał mi większość pytań podczas drugiej ewaluacji.

Wydaję z siebie cienki pisk:

– Nie – chociaż wewnątrz mnie pączkuje inne słowo, musuje jak świeża woda tryskająca z ziemi. Tak, tak, tak.

– Dlaczego? – szepcze delikatnie Alex. Jego ręce znajdują moją twarz, koniuszkami palców muska moje czoło, uszy, policzki. Każdy jego dotyk wywołuje ogień. Całe moje ciało płonie, w tej chwili oboje jesteśmy dwoma punktami tego samego jasnego płomienia. – Czego się boisz?

– Zrozum to. Po prostu chcę być szczęśliwa – udaje mi się

– Zrozum to. Po prostu chcę być szczęśliwa – udaje mi się z trudem wyszeptać. Mój umysł jest spowity mgłą, nie istnieje nic, tylko jego palce ślizgające się po mojej skórze, po włosach. Chciałabym, żeby przestał. I chciałabym, żeby to trwało wiecznie. – Chcę być normalna, jak wszyscy.

– Jesteś pewna, że takie życie cię uszczęśliwi? – Jego oddech pieści moje ucho i szyję, usta muskają moją skórę. I wtedy pojawia się myśl, że może rzeczywiście umarłam. Może ugryzł mnie pies, a potem dostałam w głowę i wszystko to jest tylko snem, a reszta świata zniknęła. Został tylko on. Tylko ja. Tylko my.

– Nie znam innego sposobu. – Nie czuję, żebym miała otwarte usta, nie czuję wychodzących z nich słów, ale jednak jakimś cudem ulatują w ciemność.

– Chodź, pokażę ci – odpowiada.

I całujemy się. Albo przynajmniej tak mi się wydaje – tylko kilka razy w życiu widziałam, jak to się robi, były to szybkie cmoknięcia z zamkniętymi ustami na weselach czy na oficjalnych uroczystościach. Jednak ten pocałunek nie przypomina niczego, co widziałam, co sobie wyobrażałam, o czym śniłam: to jest jak

muzyka albo taniec, ale o wiele lepsze. Alex ma usta lekko rozchylone, więc i ja rozchylam swoje. Jego wargi są delikatne, mają tę samą miękkość co cichy, wytrwały głos w mojej głowie, powtarzający „tak”.

Ciepło w moim ciele narasta, fale światła przybijają i odchodzą, i cała czuję, że płynę. Alex wplata mi palce we włosy, obejmuje nimi moją szyję, muska ramiona i zupełnie bezwiednie moje ręce odnajdują jego pierś, przesuwają się po jego gorącej mojej ręce odnajdują jego pierś, przesuwają się po jego gorącej skórze, łopatkach wystających niczym skrzydła, zarysie jego szczęki pokrytej kilkunastu zarostem – wszystko to dziwne, nieznajome i cudownie, rozkosznie nowe. Serce wali mi w piersi tak mocno, że aż boli, lecz to przyjemny ból, uczucie podobne jak pierwszego dnia prawdziwej jesieni, kiedy powietrze jest rześkie, brzegi liści stają się złote, a wiatr delikatnie pachnie dymem – jak koniec i jednocześnie początek czegoś nowego. Pod dłonią, mogę przysiąc, czuję jego serce bijące w odpowiedzi, jak echo mojego, jak gdyby nasze ciała rozmawiały z sobą.

I nagle staje się to absurdalnie oczywiste. Właśnie tego chcę. Niczego innego nigdy nie pragnęłam. Wszystko inne – każda sekunda każdego dnia, który zdarzył się przed tą właśnie chwilą, przed tym pocałunkiem – nie znaczy nic.

Kiedy wreszcie Alex odrywa się od moich ust, jest tak, jakby na mój umysł opadł gruby koc, gasząc pożar myśli i pytań, napełniając mnie spokojem i szczęściem głębokim i kojącym jak śnieg. Zostało tam tylko jedno słowo: tak. Tak na wszystko. Naprawdę cię lubię, Lena. Wierzysz mi już?

Tak.

Mogę cię odprowadzić do domu?

Tak.

Zobaczymy się jutro?

Tak, tak, tak.

Ulice opustoszały. Całe miasto jest ciche i nieruchome.

Zresztą mogłoby się obrócić w proch, spłonąć do cna, podczas gdy my kryliśmy się w tamtej szopie, a pewnie bym tego nie zauważyła i niewiele by mnie to obeszło. Powrót do domu zdaje się jak sen. Przez całą drogę Alex trzyma mnie za rękę, dwa razy zatrzymujemy się w ciemnych zakamarkach, by się pocałować. Za każdym razem marzę, by cienie były rzeczywiste, miały ciężar, by zamknęły się nad nami i pogrzebały nas tam, byśmy mogli tak zostać na wieki – pierś przy piersi, usta przy ustach. Za każdym razem czuję, że mój oddech się rwie, kiedy Alex

odrywa się od moich warg, bierze mnie za rękę i musimy ruszyć dalej, jak gdybym nagle była w stanie oddychać prawidłowo tylko podczas całowania.

Sama nie wiem jak – w każdym razie zbyt szybko – staję przed domem, szepczę mu „do zobaczenia” i jego usta muskają moje po raz ostatni, lekko jak wiatr.

A potem wślizguję się do domu, na górę, do sypialni, i dopiero gdy leżę w łóżku przez długi czas, nie mogąc zasnąć, gdy cała drzę z udreki, z już odczuwanej tęsknoty, uświadamiam sobie, że Carol, nauczyciele i lekarze mieli rację co do delirii.

Teraz, gdy ból przeszywa mi pierś, przepelnia mnie tępy niepokój, a pragnienie, by być z Alekssem, jest tak silne, że przypomina haczykowate ostrze, które orze moje ciało i rozdziera mnie na strzępy.

Mam w głowie tylko jedną myśl: To mnie zabije, to mnie zabije, to mnie zabije. Ale mam to gdzieś.

15

15

Na końcu Bóg stworzył Adama i Ewę, by żyli razem jako mąż i żona. Lata upływały im w szczęściu i spokoju. Mieszkali w pięknym ogrodzie pełnym dorodnych, smukłych roślin, rosnących w równych rzędach, oraz łagodnych zwierząt, które umilały im życie. Umysły ich były jasne i niezmacone jak blade, bezchmurne niebo wiszące niczym baldachim nad ich głowami. Nie znali co to choroby, ból czy pożądanie. Nie miewali snów. Nie zadawali pytań. Co rano budzili się rześcy jak nowo narodzeni. Nic wokół się nie zmieniało, ale zawsze wydawało się nowe i dobre.

dr Steven Horace, Genesis. Kompleksowa historia świata i znanej części kosmosu, Uniwersytet Harvarda

Następnego dnia, w sobotę, moje pierwsze myśli po obudzeniu się biegną ku Aleksowi. A potem próbuję wstać i ostry ból przeszywa moją nogę. Gdy podciągam do góry piżamę, okazuje się, że na podkoszulku Aleksa owiniętym wokół mojej łydki widać plamkę krwi. Wiem, że powinnam przemyć skórę albo zmienić bandaż, lecz za bardzo boję się spojrzeć, jak poważna jest rana. Zalewają mnie nagle wspomnienia z nalotu – krzyki, przepychanki, psy i świst pałek – i ogarniają mnie mdłości. Gdy wreszcie ustępują, pojawia się myśl o Hanie. Telefon mamy tylko w kuchni. Carol akurat zmywa. Telefon mamy tylko w kuchni. Carol akurat zmywa

naczynia i kiedy schodzę na dół, rzuca mi lekko zdziwione spojrzenie. W korytarzu zerkam do lustra. Wyglądam koszmarnie – włosy sterczące na wszystkie strony, do tego wielkie wory pod oczami – i nagle wydaje mi się nie do pomyślenia, że ktoś w ogóle mógł uznać mnie za piękną. A jednak ktoś uznał. Na myśl o Aleksie złoty blask rozchodzi się po moim ciele.

– Pospiesz się – mówi Carol. – Bo się spóźnisz do pracy. Właśnie miałam cię budzić.

– Zadzwoń tylko do Hany! – Rozciągam sznur telefoniczny na maksymalną długość i chowam się w spizarni, licząc na odrobinę prywatności.

Dzwonię najpierw na numer stacjonarny. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć sygnałów. Włącza się automatyczna sekretarka. „Dodzwoniłeś się do rezydencji państwa Tate. Po usłyszeniu sygnału zostaw wiadomość, nie dłuższą niż dwie minuty...” Szybko się rozłączam. Drżącymi rękami wystukuję numer telefonu komórkowego Hany. Od razu przekierowuje mnie na pocztę głosową.

Powitanie brzmi tak samo jak zwykle („Cześć, niestety nie mogłam odebrać telefonu. A może na szczęście: to zależy, kto dzwoni”), jej głos jest niewyraźny, wibruje tłumionym śmiechem. Gdy go słyszę po ostatniej nocy i gdy brzmi tak normalnie, doznaję wstrząsu jak podczas powrotu pamięcią do miejsca, o którym od dawna się nie myślało. Pamiętam dzień, kiedy to nagrywała. Było to po szkole, siedziałyśmy w jej pokoju, a Hana nagrywała. Było to po szkole, siedziałyśmy w jej pokoju, a Hana wypróbowała tysiące powitań, zanim zdecydowała się na to. Znudzona, ciągle waliłam ją poduszką, kiedy chciała spróbować „jeszcze tylko ten jeden raz”.

– Hana, musisz do mnie zadzwonić – mówię cicho do telefonu. Jestem więcej niż pewna, że ciotka podsłuchuje. – Pracuję dzisiaj. Możesz mnie złapać w sklepie.

Rozłączam się, zawiedziona, a do tego ogarnięta poczuciem winy. Kiedy ostatniej nocy całowałam się w szopie z Alekssem, ona mogła zostać ranna lub wpaść w tarapaty. Za szybko odpuściłam poszukiwanie jej.

– Lena – Carol przywołuje mnie ostrym głosem do kuchni, właśnie gdy wybierałam się na górę, by się umyć i przebrać.

– Tak?

Podchodzi kilka kroków w moją stronę. Coś w jej twarzy budzi mój niepokój.

– Utykasz? – pyta. Całym wysiłkiem woli starałam się

chodzić normalnie.

Odwracam wzrok. Łatwiej mi kłamać, kiedy nie patrzę jej w oczy.

– Nie wydaje mi się.

– Nie kłam. – Jej głos staje się zimny jak stal. – Myślisz, że nie wiem, o co chodzi, ale ja dobrze wiem. – Przez chwilę z przerażeniem myślę, że zaraz każe mi podwinąć spodnie od piżamy albo powie, że wie o imprezie. Wtedy Carol odzywa się ponownie: – Znowu biegałaś, prawda? Mimo mojego zakazu.

– Tylko raz – odpowiadam z ulgą. – Nie wiem, czy nie skręciłam kostki.  
skręciłam kostki.

Carol kręci głową, na jej twarzy maluje się rozczarowanie.

– Och, Leno, nie wiem, kiedy przestałaś mnie słuchać.

Myślałam, że kto jak kto... Zresztą, nieważne. Zostało jeszcze pięć tygodni, prawda? I wszystko samo się rozwiąże.

– Tak jest. – Zmuszam się do uśmiechu.

Przez cały ranek moje myśli biegną od Hany do Aleksa.

Dwa razy wbiłam na kasę fiskalną złą cenę i musiałam wołać Jeda, szefa mojego wujka, żeby przyszedł ją anulować. A potem przewróciłam półkę z daniami błyskawicznymi i źle ometkowałam tuzin opakowań wiejskiego twarożku. Dzięki Bogu wujek pojechał dziś po towar, więc w sklepie jestem tylko ja i Jed. A on prawie wcale nie zwraca na mnie uwagi, czasem tylko coś burknie, więc raczej nie zauważył, że nagle zmieniłam się w kompletną ofermę.

Oczywiście znam powód tego wszystkiego. Dezorientacja, problemy z koncentracją – klasyczne objawy pierwszej fazy delirii. I mam to gdzieś. Jeśli zapalenie płuc wywoływałoby tak cudowne samopoczucie, stałabym zimną na śniegu boso i bez płaszcza, albo poszła do szpitala i wycalaowała wszystkich chorych z oddziału pneumologicznego.

Powiedziałam Aleksowi, w jakich godzinach pracuję, i umówiliśmy się na spotkanie w Back Cove zaraz po mojej pracy, o szóstej. Minuty do południa wloką się niemiłosiernie. Przysięgam, że nigdy w życiu nie widziałam, żeby czas snuł się tak powoli. Tak jakby każda sekunda potrzebowała zachęty, żeby przejść w następną. Ponaglęłam w myślach zegar, ale wygląda na to, że robi mi na złość. Patrzę na klientkę, która stoi wygląda na to, że robi mi na złość. Patrzę na klientkę, która stoi w wąskim przedziale ze świeżymi (albo prawie) warzywami i dłubie w nosie. Spoglądam na zegarek. Spoglądam na klientkę. Patrzę znowu na zegarek – i druga wskazówka wciąż nawet nie

drgnęła. Ogarnia mnie paniczny lęk, że czas zupełnie się zatrzymał w momencie, gdy tamta kobieta stanęła z małym palcem w nosie przed skrzynką przywędłej sałaty.

W południe mam piętnastominutową przerwę, więc wychodzę na zewnątrz, siadam na chodniku i przegryzam kilka kęsów kanapki, chociaż nie jestem głodna. Oczekiwanie na spotkanie z Alekssem odbiera mi apetyt. Kolejny objaw delirii. Chrzanić to.

O pierwszej Jed zaczyna dokładać towar na półki, a ja ciągle tkwię za ladą. Jest potwornie gorąco. Do sklepu wpadła mucha, która bzyczy i obija się o półkę nad moją głową, gdzie trzymamy papierosy, środki na zgagę i tym podobne rzeczy. Jej brzęczenie, szum małego wentylatora za moimi plecami i upał wywołują senność. Gdybym mogła, położyłabym głowę na ladzie i śniła bez końca. Śniłabym o tym, że jestem znowu w szopie z Alekssem. O jego mocnej piersi przyciśniętej do mojej, o silnych rękach i głosie mówiącym: „chodź, pokażę ci”.

Dzwonek nad wejściem wrywa mnie z rozmyślań.

I oto on. Wchodzi do środka z rękami w kieszeniach postrzępionych szortów, a włosy sterczą mu zawadiacko, jakby naprawdę były zrobione z liści i gałązek. Alex.

O mało nie spadam ze stołka.

Rzuca mi uśmiech z ukosa, a potem zaczyna leniwie przechadzać się między półkami, wybierając zupełnie przypadkowe rzeczy – jak torebka suchych skwarek i puszka wyjątkowo obrzydliwej zupy kalafiorowej – i rzuca przy tym przesadne wyrazy zainteresowania, takie jak: „o, to wygląda wyjątkowo apetycznie”, tak że z trudem powstrzymuję się od śmiechu. W pewnym momencie musi się przecisnąć koło Jeda – przejścia między półkami są raczej wąskie, a Jed nie należy do chudzielców – i kiedy szef wujka rzuca mu przelotne spojrzenie, przechodzą mnie ciarki. On nie wie. Nie wie, że wciąż czuję na wargach smak ust Aleksa, że wciąż czuję na sobie dotyk jego dłoni.

Po raz pierwszy w życiu zrobiłam coś dla siebie i z własnej woli, a nie ponieważ ktoś mi powiedział, że to jest dobre albo złe. Teraz gdy patrzę na Aleksa przechadzającego się po sklepie, mam wrażenie, że wiąże nas niewidzialna nić, i daje mi to taką moc, jakiej nigdy wcześniej nie czułam.

Wreszcie Alex podchodzi do kasy z gumami do żucia, paczką chipsów i napojem korzennym.

– Czy to wszystko? – pytam, siląc się na obojętny ton, ale

czuję, jak moje policzki oblewają się rumieńcem. Jego oczy mają dzisiaj zdumiewający kolor niemal czystego złota.

Kiwa głową.

– Tak, to wszystko.

Drżącymi dłońmi wybijam ceny na kasie, pragnąc powiedzieć coś więcej, ale boję się, że Jed usłyszy. W tej chwili do sklepu wchodzi kolejny klient, starszy mężczyzna, który wygląda na porządkowego. Pozostaje mi tylko wydawać wygląda na porządkowego. Pozostaje mi tylko wydawać Aleksowi resztę powoli i dokładnie, by zatrzymać go w sklepie jak najdłużej.

Nie ma jednak zbyt wielu sposobów na wyliczenie reszty z pięciodolarowego banknotu. Gdy kładę mu pieniądze na rękę i nasze dłonie na moment się stykają, czuję przeszywający mnie prąd. Mam ochotę chwycić go mocno, przyciągnąć do siebie i pocałować tu i teraz.

– Miłego dnia – mówię cienkim głosem. To zaskakujące, jak ciężko mi wydusić z siebie słowa.

– Z pewnością będzie miły. – Rzuca mi swój wspaniały, zawadiacki uśmiech. – Wybieram się do Back Cove.

I wychodzi. Próbuję obserwować go przez chwilę, lecz gdy tylko znika za drzwiami, słońce oślepia mnie i Alex zamienia się w migotliwy cień o rozmytych kształtach.

Nie wytrzymam tego. Nie potrafię myśleć o tym, że idzie teraz ulicą i coraz bardziej się ode mnie oddala. A do naszego spotkania zostało jeszcze pięć niewyobrażalnie długich godzin. To ponad moje siły. Niewiele myśląc, wychodzę przed ladę i zdejmuję fartuch, który założyłam, gdy przyszło mi walczyć z wyciekami z lodówki.

– Jed, popilnuj na chwilę kasy, okej? – krzyczę.

Spogląda na mnie zdziwiony.

– Gdzie się wybierasz?

– Muszę dogonić klienta. Źle mu wydałam resztę.

– Ale... – zaczyna Jed. Wybiegam, nie słuchając nawet jego protestów. Mogę sobie zresztą wyobrazić, co chciał powiedzieć. „Przecież odliczałaś mu resztę przez pięć minut”. No powiedzieć. „Przecież odliczałaś mu resztę przez pięć minut”. No cóż, Jed będzie mnie teraz miał za totalną idiotkę. Jakoś to przeżyję.

Dostrzegam Aleksa, jak stoi na rogu i czeka, aż przejedzie ciężarówka.

– Przepraszam! – krzyczę za nim. Alex odwraca się. Jakaś kobieta pchająca wózek na drugą stronę ulicy zasłania ręką oczy

przed słońcem i wiedzie za mną wzrokiem. Staram się iść szybko, ale ból w nodze mi to utrudnia. Czuję, że wzrok kobiety przeszywa mnie niczym seria igieł.

– Źle wydałam panu resztę – krzyczę znowu, choć jestem już na tyle blisko, że mogłabym mówić normalnie. Mam nadzieję, że teraz kobieta da mi spokój, ale ona dalej nas obserwuje.

– Nie powinieneś był przychodzić – szepczę, dogoniwszy go. Udaję, że wciskam mu coś do ręki. – Mówiłam ci, że spotkamy się później.

Alex, załapując w mig, o co chodzi, wsuwa rękę do kieszeni i szepcze:

– Nie mogłem się doczekać.

Wymachuje mi palcem przed nosem i przybiera surową minę, jak gdyby mnie beształ za niewagę. Ale jego głos jest słodki i łagodny. Znowu nachodzi mnie wrażenie, że nic innego nie jest realne – ani słońce, ani budynki, ani kobieta po drugiej stronie ulicy, która wciąż nie spuszcza z nas wzroku.

– Za rogiem, w bocznej uliczce są niebieskie drzwi – mówię cicho, cofając się i podnosząc ręce w przeproszającym geście. – Spotkajmy się tam za pięć minut. Zapukaj cztery razy.

– A potem głośniej dodaję: – Naprawdę bardzo przepraszam, nie zrobiłam tego specjalnie.

To powiedziawszy, odwracam się i kuśtykam z powrotem w stronę sklepu. Nie mogę uwierzyć, co właśnie zrobiłam. Nie mogę uwierzyć, jakie podejmuję ryzyko. Ale muszę go zobaczyć. Muszę go pocałować. Niczego w życiu tak bardzo nie pragnęłam. Czuję ten sam ucisk w piersi jak na samym końcu biegów sprinterskich, kiedy po prostu konam i muszę krzyknąć, by się zatrzymać, by złapać oddech.

– Dzięki – rzucam Jedowi, zajmując z powrotem miejsce za kasą. Jed mruży coś niezrozumiałego i wraca do swojej podkładki i długopisu, które zostawił na podłodze działu z napisem: SŁODYCZE, NAPOJE, CHIPSY.

Facet, którego uznałam za porządkowego, zanurza nos w jednej z przegródek zamrażarki. Zastanawiam się, czy szuka jakichś mrożonek, czy po prostu chce się ochłodzić. I nagle jego widok przywołuje wspomnienia ubiegłej nocy, wręcz słyszę w powietrzu świst bezlitosnych pałek i zalewa mnie ogromna fala nienawiści – do niego, do nich wszystkich. Mam ochotę wepchnąć go do zamrażarki i zablokować pokrywę.

Myśl o nalocie znów wywołuje niepokój o Hanę.

Wiadomość o wczorajszej obławie jest dziś we wszystkich gazetach. Wygląda na to, że w całym mieście mnóstwo ludzi



zaciągnięto na przesłuchanie lub wrzucono do Krypt bez procesu, ale nigdzie nie natknęłam się na osobną wzmiankę o imprezie na Deering Highlands.

Mówię sobie, że jeśli Hana nie oddzwoni do wieczora,  
Mówię sobie, że jeśli Hana nie oddzwoni do wieczora,  
pójdę do niej do domu. Próbuję się uspokajać, że na razie nie ma sensu się zamartwiać, ale nie jestem w stanie zagłuszyć wyrzutów sumienia.

Starszy mężczyzna wciąż pochyla się nad zamrażarką i nie zwraca na mnie absolutnie żadnej uwagi. Świetnie. Wkładam na nowo fartuch, po czym upewniwszy się, że Jed nie patrzy, sięgam po wszystkie buteleczki ibuprofenu, których jest z kilkanaście, i wsuwam do kieszeni fartucha.

A potem wzdycham głośno:

– Jed, musisz mnie jeszcze raz zastąpić.

Na to on podnosi swoje wodniste niebieskie oczy i patrzy na mnie ze zdziwieniem.

– Wykładam towar.

– Skończyły nam się środki przeciwbólowe. Nie zauważyłeś?

Nie spuszcza ze mnie wzroku jeszcze przez kilka długich chwil. Trzymam ręce mocno zaciśnięte za plecami. Boję się, że ich drzenie mnie wyda. Wreszcie Jed kiwa głową.

– Sprawdzę, czy są jakieś w magazynie. Stań za kasą, okej? – Wychodzę zza lady powoli, żeby nie grzechotać tabletkami. Mam nadzieję, że Jed nie zauważy wybrzuszenia w fartuchu. Oto symptom delirii, o którym wszystkie książki milczą: najwyraźniej choroba zmienia człowieka w kłamcę pierwszej wody. Mijam niezbyt stabilny stos ciężkich kartonów stojący na tyłach sklepu i wchodzę do magazynu, zamykając za sobą drzwi. Niestety nie mają zamka, więc blokuję je skrzynką ze słoikami. Niestety nie mają zamka, więc blokuję je skrzynką ze słoikami musu jabłkowego, na wypadek gdyby Jed postanowił sprawdzić, dlaczego poszukiwania ibuprofenu trwają tak długo. Chwilę później z zewnątrz dochodzi mnie cichutkie pukanie. Puk, puk, puk, puk, puk.

Drzwi wydają się cięższe niż zazwyczaj. Ciągnę je z całej siły.

– Kazałam ci przecież zapukać cztery razy... – wzdycham, gdy wpadające do środka słońce oślepia mnie na chwilę. A potem słowa zamierają mi na ustach.

– Cześć – mówi Hana. Stoi przed drzwiami, przestępując z nogi na nogę. Twarz ma zmartwioną i bladą. – Miałam nadzieję,

że tu będziesz.

Przez chwilę nie jestem w stanie wydusić z siebie słowa.

Zalewa mnie ogromna ulga – bo oto widzę Hanę całą i zdrową – a jednocześnie zdejmuję lęk. Szybko lustruję uliczkę: ani śladu Aleksa. Kto wie, może zobaczył Hanę i to go odstraszyło.

– Hm. – Hana marszczy czoło. – Wpuścisz mnie czy mam tu tak stać w nieskończoność?

– A, przepraszam. Jasne, wejdz. – Mija mnie, a ja jeszcze raz rzucam okiem na uliczkę, po czym zamykam drzwi. Cieszę się, że widzę Hanę, ale nie potrafię uspokoić nerwów. Jeśli Alex zjawi się, kiedy ona tu będzie...

Na pewno się nie zjawi – pocieszam się. Widział ją. Na pewno wie, że przyście teraz byłoby ryzykowne. Nie, żeby się martwiła, że Hana na mnie doniesie, ale... Po tylu kazaniach, jakie jej prawilałam na temat bezpieczeństwa i jej nieostrożności, miałyby pełne prawo, by mnie złajać.

miałyby pełne prawo, by mnie złajać.

– Gorąco tu – stwierdza Hana, odlepiając białą obszerną koszulę od pleców. Oprócz tego ma na sobie luźne dzinsy z cienkim złotym paskiem, który współgra z kolorem jej włosów. Ale wygląda na zmartwioną, zmęczoną i wymizerowaną. Kiedy przechadza się po magazynie, zauważam małe zadrapania na ramionach. – Pamiętasz, jak kiedyś tu przychodziłam, przynosiłam gazety i to moje stare głupie radio? A ty wykradałaś...

– Chipsy i picie z lodówki – kończę. – Jasne, pamiętam. –

Tak właśnie spędzałyśmy lato w gimnazjum, od kiedy zaczęłam pracować w sklepie. Ciągle wymyślałam jakieś powody, żeby przychodzić do magazynu, a Hana wpadała wczesnym popołudniem i pukała do drzwi pięć razy, bardzo delikatnie. Pięć razy. Jak mogłam zapomnieć.

– Odśluchałam dziś rano twoją wiadomość – mówi, odwracając się w moją stronę. Jej oczy wydają się jeszcze większe niż zazwyczaj. Może to dlatego, że reszta jej twarzy wydaje się mniejsza, jakby ściągnięta. – Przechodziłam obok sklepu i nie widziałam cię za kasą, więc stwierdziłam, że przyjdę tutaj. Nie miałam nastroju na spotkanie z twoim wujkiem.

– Nie ma go dzisiaj. – Zaczynam się odprężyć. Alex już by tu był, gdyby zamierzał wpaść. – Tylko ja i Jed.

Nie jestem pewna, czy Hana mnie słucha. Ssie właśnie kciuk – nerwowy zwyczaj, którego pozbyła się przecież kilka lat temu – i wpatruje się w podłogę, jak gdyby był to najbardziej fascynujący kawałek linoleum, jaki w życiu widziała.

fascynujący kawałek linoleum, jaki w życiu widziała.

– Hana – odzywam się. – Wszystko w porządku?

Wtedy zaczyna się mocno trząść, kuli się w sobie i wybucha płaczem. Tylko dwa razy w życiu widziałam Hanę płaczącą – raz w drugiej klasie, gdy dostała prosto w brzuch podczas gry w dwa ognie, i raz w ubiegłym roku po tym, jak przed bramą laboratorium zobaczyła zarażoną dziewczynę przygwożdżoną do ziemi przez policjantów, głowa chorej uderzyła o chodnik tak mocno, że usłyszałyśmy to z odległości kilkudziesięciu metrów – i na chwilę zamieram w bezruchu, nie wiedząc zupełnie, co mam zrobić. Hana nie zakrywa twarzy ani nie próbuje otrzeć łez. Po prostu stoi, przyciskając ręce do boków, i trzęsie się tak mocno, jakby zaraz miała się przewrócić.

Wyciągam dłoń i głaszczę ją po ramieniu.

– Ciii, wszystko w porządku.

Hana odpycha mnie.

– Nic nie jest w porządku. – Bierze długi, urywany oddech i zaczyna wyrzucać z siebie potok słów:

– Miałaś rację, Lena. Miałaś rację pod każdym względem. Ostatniej nocy... to było straszne. Był nalot... imprezę rozpędzono. Boże... Wszędzie słychać było krzyki, były też psy, Lena, ile tam było krwi... Porządkowi bili ludzi, po prostu walili ich pałkami po głowach, bez opamiętania. Wszyscy biegali w popłochu i to było... och, Lena, to było straszne, straszne! – Hana chwyta się za brzuch i zwija, jak gdyby miała zaraz wymiotować.

Próbuje mówić dalej, ale słowa giną w spazmatycznym  
Próbuje mówić dalej, ale słowa giną w spazmatycznym szlochu, który wstrząsa całym jej ciałem. Podchodzę do niej i obejmuję ją. Przez chwilę jej ciało się napina – rzadko się obejmujemy, od dzieciństwa nas do tego zniechęcano – ale zaraz potem odpręża się, przyciska twarz do mojego ramienia i pozwala sobie na płacz. To trochę niewygodna pozycja, ponieważ Hana jest dużo wyższa ode mnie i musi się zgarbić. W innych okolicznościach pewnie uznałabym to za zabawne, lecz nie teraz.

– Ciii – mówię. – Ciii, wszystko będzie dobrze. – Ale gdy tylko wypowiadam te słowa, wydają mi się głupie. Przypomina mi się, jak czasem trzymam Grace w ramionach po tym, jak płacze cicho w moją poduszkę, i próbuję ukołysać ją do snu, mówiąc dokładnie to samo. Wszystko będzie dobrze. Słowa, które tak naprawdę nic nie znaczą, które są mantrą rzucaną w

przestrzeń i mrok jak rozpaczliwe próby uchwycenia się czegoś, gdy się spada.

Hana z twarzą wciśniętą w moje ramię odpowiada coś niezrozumiale.

I wtedy rozlega się pukanie. Cztery delikatne, ale wyraźne uderzenia, jedno po drugim.

Odskakujemy od siebie natychmiast. Hana szybko wyciera ręką twarz.

– Co to było? – pyta, a jej głos wyraźnie drży.

– Co? – Moja pierwsza myśl, to udawać, że nic nie słyszałam, i modlić się, żeby Alex sobie poszedł.

Puk, puk, puk. Przerwa. Puk. Znowu.

– To. – Słyszę w jej głosie irytację. Chyba powinnam się

– To. – Słyszę w jej głosie irytację. Chyba powinnam się cieszyć, że chociaż przestała płakać. – Pukanie. – Zwęża oczy, zerkając na mnie podejrzliwie. – Myślałam, że nikt tędy nie wchodzi.

– Bo nie wchodzi. To znaczy, czasami... to znaczy, dostawcy... – Płaczę się w zeznaniach, modląc się, by Alex sobie poszedł, i rozpaczliwie szukam w głowie jakiegoś kłamstwa. To by było na tyle, jeśli chodzi o moje nowo odkryte zdolności.

A wtedy Alex wysuwa głowę zza drzwi i woła:

– Lena? – Gdy jego wzrok pada na Hanę, zamiera, z jedną nogą w środku, a drugą za drzwiami.

Przez chwilę nikt się nie odzywa. Hanie dosłownie opada szczęka. Jej wzrok biega ode mnie do Aleksa tak szybko, jakby jej głowa miała zaraz odlecieć z szyi. Alex też nie wie, co robić. Po prostu stoi nieruchomo jak kamień, jakby dzięki temu mógł się stać niewidzialny.

I wtedy wyrzucam z siebie najgłupszą rzecz na świecie:

– Spóźniłeś się.

Hana i Alex odzywają się jednocześnie.

– Byliście umówieni? – mówi ona, a on:

– Patrol mnie zatrzymał. Musiałem pokazać dokumenty.

Hana momentalnie odzyskuje zimną krew. Właśnie za to ją uwielbiam: wygląda, że niby jest w zupełnej rozsypce, a już za chwilę bierze się w garść.

– Wchodź do środka – mówi. – I zamknij drzwi.

Alex posłusznie wykonuje polecenie. A potem stoi tak, nie Alex posłusznie wykonuje polecenie. A potem stoi tak, nie bardzo wiedząc, co z sobą zrobić, i tylko szura nogami. Włosy sterczą mu zabawnie i wygląda teraz tak chłopięco, słodko i

nieporadnie, że nachodzi mnie szalona ochota podejść do niego i pocałować go na oczach Hany.

Ale Hana szybko tłumi to moje pragnienie. Odwraca się do mnie, krzyżuje ręce na piersiach i rzuca mi spojrzenie, które ukradła chyba pani McIntosh, dyrektorze naszej szkoły.

– Panno Leno Ello Haloway Tiddle – mówi – chyba winna mi jest pani wyjaśnienie.

– Masz na drugie Ella? – wypala Alex.

Obie jednocześnie posyłamy mu zabójcze spojrzenie i Alex, skulony, cofa się o krok.

– Hm – wciąż nie mogę znaleźć odpowiednich słów – Hana, pewnie pamiętasz Aleksa?

Oczy Hany stają się jeszcze węższe.

– Ależ oczywiście, że pamiętam Aleksa. Tylko jakoś nie mogę sobie przypomnieć, co Alex robi tutaj.

– On, yyy... miał mi podrzucić... – Wciąż szukam przekonującego wyjaśnienia, ale jak zwykle mózg odmawia mi posłuszeństwa, kiedy jest najbardziej potrzebny. Spoglądam na Aleksa bezradnie.

Alex delikatnie wzrusza ramionami i przez chwilę wpatrujemy się w siebie. Wciąż nie przyzwyczaiałam się do jego widoku, do jego obecności i ciągle mi się wydaje, że tonę w jego oczach. Tym razem jednak nie wywołuje to zawrotów głowy. Wręcz przeciwnie – daje siłę, jakby milcząco zapewniał mnie, że jest ze mną i nic nam nie grozi.

mnie, że jest ze mną i nic nam nie grozi.

– Powiedz jej – odzywa się wreszcie.

Hana opiera się o półki z papierem toaletowym i puszkami fasolki, rozplatając ręce, dzięki czemu wiem, że nie jest na mnie wściekła, i rzuca mi spojrzenie mówiące: „no gadaj”.

No więc opowiadam. Nie jestem pewna, ile mamy czasu, zanim Jed znudzi się staniem za kasą, więc staram się streszczać. Opowiadam jej, jak wpadłam na Aleksa na Roaring Brook Farms, jak popłynęliśmy do boi przy East End Beach i co mi tam wyznał. Słowo „Odmieniec” z trudem przechodzi mi przez usta, a Hana otwiera wtedy szeroko oczy ze zdziwienia i tylko przez chwilę na jej twarzy widać cień niepokoju, ale poza tym nie daje nic po sobie poznać. Na koniec opowiadam jej o ubiegłej nocy, o tym, jak wyszłam z domu, by ją ostrzec przed obławą, o psie i o tym, że Alex mnie ocalił. Kiedy opisuję, jak ukryliśmy się w szopie, znowu czuję niepokój – nie wspominam jej o całowaniu, lecz nie potrafię o tym nie myśleć – ale Hana znów szeroko otwiera usta ze zdumienia i najwyraźniej jest w tak ogromnym

szoku, że nie zauważyła mojego zdenerwowania.

Gdy kończę swoją opowieść, mówi tylko:

– A więc byłeś tam? Byłeś tam zeszłej nocy? – Jej głos dziwnie drży i zaczynam się bać, że znowu się rozplącze. Jednocześnie zalewa mnie potężna fala ulgi. Nie zamierza panikować z powodu Aleksa ani wściekać się, że jej nie powiedziałam.

W odpowiedzi na jej pytanie potakuję bez słowa.

Hana kręci głową, spoglądając na mnie, jakby widziała mnie po raz pierwszy w życiu.

mnie po raz pierwszy w życiu.

– Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę uwierzyć, że wymknęłaś się z domu podczas obławy, a do tego dla mnie.

– No tak – odpowiadam z zakłopotaniem. Mam wrażenie, że ta rozmowa trwa wieki, a Hana i Alex przez cały ten czas nie oderwali ode mnie wzroku. Czuję, jak policzki mi płoną. I właśnie w tej chwili rozlega się gwałtowne pukanie do drzwi i słyszę głos Jeda:

– Lena? Jesteś tam?

Macham gorączkowo na Aleksa. Hana wypycha go za drzwi dokładnie w tym momencie, gdy Jed zaczyna napierać na nie od drugiej strony. Udaje mu się je otworzyć jedynie na kilka centymetrów, gdy zderzają się ze skrzynią z musem jabłkowym. Przez tę wąską szparę widzę oko Jeda mrugające na mnie z dezaprobatą.

– Co ty tu robisz?

Hana wysuwa głowę zza drzwi i macha do niego.

– Cześć, Jed – mówi radośnie, przedstawiając się bez wysiłku na swój beztroski styl bycia okazywany przy obcych. – Wpadłam na chwilę, żeby coś Lenie przekazać. I trochę się zagadałyśmy.

– Mamy klientów – oznajmia nadąsany Jed.

– Zaraz wracam – odpowiadam, starając się naśladować ton Hany. Świadomość, że Jed i Alex oddzieleni są zaledwie cienką sklejką, przyprawia mnie o palpitację serca.

Jed, burknąwszy coś pod nosem, wycofuje się i zamyka za sobą drzwi. Hana, Alex i ja spoglądamy na siebie w milczeniu. Wszyscy troje wydajemy z siebie jednocześnie westchnienie ulgi.

Po chwili Alex odzywa się szeptem:

– Przyniosłem kilka rzeczy na twoją nogę. – Zdejmuje plecak, kładzie go na podłodze i zaczyna wyciągać wodę utlenioną, bacitracin, bandaże, taśmę klejącą oraz bawełniane

waciki. Klęka przede mną. – Mogę? – pyta. Podciągam dzinsy, po czym Alex zaczyna odwijać z mojej nogi pasy podkoszulka. Trudno mi uwierzyć, że Hana stoi tu i patrzy jak chłopak, do tego Odmieniec, dotyka mojej skóry. Wiem, że nigdy, przenigdy nie spodziewałaby się tego po mnie, i odwracam wzrok, jednocześnie zawstydzona i dumna.

Gdy prowizoryczny bandaż opada mi z nogi, dobiega mnie syk Hany. Mimowolnie zaciskam mocno oczy.

– O cholera – wzdycha. – Nieźle cię urządzili.

– Wkrótce się zagoi – mówi Alex, a spokój i pewność w jego głosie wywołują w moim ciele falę ciepła. Otwieram oczy i zerkam na tył łydki. Czuję gwałtowny skurcz w żołądku.

Wygląda to tak, jakby z mojej nogi został oderwany ogromny kawał mięsa. Kilkadziesiąt centymetrów kwadratowych skóry po prostu zniknęło.

– Może powinnaś iść do szpitala – mówi Hana niepewnie.

– I co im powie? – Alex odkręca wodę utlenioną i zaczyna nasączać waciki. – Że została ranna podczas nalotu na nielegalną imprezę?

Hana nie odpowiada. Sama dobrze wie, że nie mogę iść do lekarza. Wie, że przywiązaliby mnie do metalowego łóżka w lekarza. Wie, że przywiązaliby mnie do metalowego łóżka w laboratorium albo wrzucili do Krypt, zanimbym skończyła podawać swoje nazwisko.

– Wcale tak strasznie nie boli – mówię, co jest dalekie od prawdy. Hana znowu rzuca mi to spojrzenie, jak gdyby nigdy wcześniej mnie nie widziała, i uświadamiam sobie, że – pewnie po raz pierwszy w życiu – jej imponuję. A nawet budzę rodzaj nabożnego podziwu.

Alex nakłada mi na skórę grubą warstwę kremu antybakteryjnego i zaczyna się mocować z gazą i taśmą klejącą. Nie pytam go, skąd to wszystko wziął. Domyślam się, że to kolejna korzyść z pracy w laboratorium.

Hana przyklęka.

– Nie tak – mówi i przyznaję, że to ulga słyszeć jej normalny, apodyktyczny ton. Mam ochotę się roześmiać. – Moja kuzynka jest pielęgniarką. Daj to.

Niemal odpycha go na bok. Alex odsuwa się i podnosi rękę do góry.

– Tak jest, psze pani – odpowiada i mruga do mnie.

Wtedy zaczynam chichotać. Ogarnia mnie niepowstrzymana chęć do śmiechu i muszę zasłonić usta rękami, żeby nas nie zdekonspirować. Przez chwilę Hana i Alex

wpatrują się we mnie ze zdumieniem, a potem spoglądają po sobie i zaczynają się głupio uśmiechać.

Wiem, że wszyscy myślimy teraz o tym samym.

To szaleństwo. To głupota. To niebezpieczne. I sama nie wiem, jak to się stało, lecz w tym dusznym magazynie, w otoczeniu dań błyskawicznych, słoików z buraczkami i pudru dla niemowląt, nasza trójka stała się drużyną.

My przeciwko nim, nas troje przeciwko nieprzebranym tysiącom. Ale z jakiegoś powodu i mimo że to absurd, w tej chwili wydaje mi się, że nie jesteśmy bez szans.

## 16

Nieszczęście jest niewolą, a zatem szczęście jest wolnością.

Droga ku szczęściu wiedzie przez remedium.

A zatem tylko przez remedium człowiek osiąga wolność.

Czy będzie bolało? Zabieg – najczęściej zadawane pytania i odpowiedzi, broszura Amerykańskiego Związku Naukowców, wydanie 9

Po tamtym wydarzeniu udaje mi się widywać z Alekssem codziennie, nawet w dni, kiedy pracuję w sklepie. Czasem spotyka się z nami Hana. Spędzamy mnóstwo czasu w Back Cove, głównie wieczorami, gdy jest tam pusto. Jako że oficjalnie Alex jest wyleczony, teoretycznie spędzanie z nim czasu nie jest nielegalne, ale gdyby ktoś wiedział, ile czasu spędzamy razem – albo zobaczył nas śmiejących się, jak podtapiamy się dla żartów, toczymy bitwy wodne czy ścigamy się na trasie do moczarów – z pewnością nabrałby podejrzeń. Gdy zatem idziemy przez z pewnością nabrałby podejrzeń. Gdy zatem idziemy przez miasto, rozdzielamy się, Hana i ja po jednej stronie chodnika, Alex po drugiej. Staramy się też szukać pustych ulic, zarośniętych, rzadko uczęszczanych parków i opuszczonych domów – miejsc, gdzie nikt nas nie zobaczy.

Wracamy też na Deering Highlands. Teraz już wiem, skąd w noc obławy Alex wiedział, gdzie znajduje się szopa na narzędzia, i dlaczego mimo ciemności poruszał się tak bezbłędnie po korytarzach domu. Okazuje się, że od wielu lat spędza kilka nocy w miesiącu, pomieszkując w opuszczonych budynkach. Lubi odpocząć od zgiełku Portland. Nie mówi tego, ale wiem, że to mieszkanie na dziko musi mu przypominać Głuszę.

Jeden z domów upodobaliśmy sobie szczególnie: numer 37 przy Brooks Street, starą kolonialną willę, w której mieszkała



dawniej rodzina sympatyków. Jak wiele innych domów w Deering Highlands także i ten ogrodzono po wielkim pogromie, który wyludnił całą okolicę, a okna i drzwi zabito deskami. Alex odkrył jednak, że można się dostać do środka, zdejmując poluzowaną deskę zakrywającą jedno z okien na parterze. Chociaż miejsce to ograbiono z wielu rzeczy, ocalały niektóre większe meble i książki i gdyby nie ślady dymu na ścianach i suficie, można by się spodziewać, że w każdej chwili zjawią się tu właściciele.

Gdy wchodzimy tam po raz pierwszy, Hana idzie z przodu, nawołując: „halo, jest tam kto?”. Nagła ciemność i chłód przyprawiają mnie o dreszcze. Po oślepiającym świetle na zewnątrz jest to szokująca odmiana. Alex przyciąga mnie do siebie. Wreszcie przyzwyczałam się do jego dotyku i nie krzywię się ani nie rozglądam na boki za każdym razem, gdy nachyla się, by mnie pocałować.

– Zatańczymy? – proponuje.

– No co ty. – Odsuwam się. Dziwnie się czuję, kiedy rozmawiamy głośno w tak cichym miejscu. Głos Hany dociera do nas z tak daleka, że zaczynam się zastanawiać, jak duży jest ten dom, ile ma pokoi pokrytych taką samą grubą warstwą kurzu i spowitych cieniem.

– Mówię poważnie – odpowiada Alex. Wyciąga do mnie rękę. – To miejsce wydaje się stworzone do tańca.

Pokój, pośrodku którego stoimy, musiał być kiedyś przepięknym salonem. Jest ogromny – większy niż cały parter u cici i wujka. Wysoki sufit niknie w ciemnościach, a nad naszymi głowami wisi gigantyczny żyrandol, migoczący słabo w bladych smugach światła, które wpada przez zabite deskami okna. Kiedy się wsłuchać, można usłyszeć chrobot myszy w ścianach. Ale jakoś nie wywołuje to obrzydzenia ani mnie nie przeraża. Na swój sposób wydaje mi się miłe i przywodzi na myśl lasy i odwieczny cykl wzrostu, śmierci i odradzania, jak gdybyśmy tak naprawdę słyszeli dom chylący się ku ziemi, centymetr po centymetrze.

– A co z muzyką? – pytam.

Alex wzrusza ramionami, mruga do mnie i wyciąga rękę.

– Muzyka jest stanowczo przereklamowana – stwierdza.

Pozwalam mu się przyciągnąć i stoimy tuż przy sobie. Jest dużo wyższy ode mnie, głową ledwo sięgam mu do ramienia, dużo wyższy ode mnie, głową ledwo sięgam mu do ramienia, dzięki czemu słyszę teraz bicie jego serca, które wyznacza potrzebny nam rytm.

Najlepszą częścią domu przy Brooks Street jest ogród na tyłach. Ogromny zarośnięty trawnik pokrywa przestrzeń między starymi drzewami, tak grubymi i poskręcanyymi, że ich splecione gałęzie tworzą nad naszymi głowami baldachim. Słońce prześwituje przez liście, rzucając na trawę jasne cętki. Od ogrodu bije chłodem, panuje tu cisza jak w szkolnej bibliotece. Alex przyniósł tu kiedyś koc i zostawił. Za każdym razem gdy przychodzimy na Brooks Street, rozkładamy go na trawie i leżymy tak we trójkę, czasami przez długie godziny, rozmawiając i śmiejąc się właściwie z niczego. Czasem Hana lub Alex kupują jakieś jedzenie na piknik, a raz i mnie udaje się przemycić trzy puszki z pićem i cały karton batonów ze sklepu wujka. Zupełnie nam odbija na tym cukrowym haju i nachodzi nas ochota na zabawy, w które graliśmy jako dzieci: w chowanego, berka i kozła.

Niektóre pnie są niewiarygodnie szerokie. Robię zdjęcie Hanie, jak ze śmiechem próbuje opasać jeden z nich rękoma. Alex mówi, że drzewa te muszą tu rosnąć od setek lat, co wprawia mnie i Hanę w milczącą zadumę. To oznacza, że były tutaj przedtem – zanim zamknięto granice, wzniesiono mury, zepchnięto chorobę do Głuszy. Jego słowa poruszają dziwną strunę w moim sercu. Mimowolnie zastanawiam się, jak to wtedy było.

Jednak większość czasu Alex i ja spędzamy sami, a Hana jest tylko naszym alibi. Po długich tygodniach, które minęły nam jest tylko naszym alibi. Po długich tygodniach, które minęły nam bez spotkań, nagle chodzę do Hany codziennie – a czasami nawet dwa razy dziennie (raz, gdy się spotykam z Alekssem, a drugi, gdy rzeczywiście spotykam się z Haną). Na szczęście Carol nie węszy. Pewnie uznała, że wcześniej się pokłóciłyśmy, a teraz próbujemy nadrobić stracony czas, co zresztą jest po części prawdą. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek była taka szczęśliwa. Nie pamiętam, żebym w ogóle wyobrażała sobie takie szczęście, i kiedy mówię Hanie, że nigdy, przenigdy nie uda mi się jej odwdziżyć za to, że mnie kryje, ona uśmiecha się tylko i mówi: „już mi się odwdzięczyłaś”. Nie wiem dokładnie, co ma na myśli, ale cieszę się, że znowu jest przy mnie.

Kiedy jesteśmy sami z Alekssem, nie robimy niczego specjalnego, siedzimy tylko i rozmawiamy, ale i tak czas wydaje się kurczyć w zastraszającym tempie jak papier trawiony ogniem. W jednej chwili jest trzecia po południu, a już w następnej słońce gaśnie i niemal wybija godzina policyjna. Alex opowiada mi o swoim życiu: o „cioci” i „wujku” i o ich

zajęciach, aczkolwiek wciąż niewiele mówi o tym, co jest celem działalności ruchu oporu i jak zamierzają go osiągnąć. Nie przeszkadza mi to. Sama nie wiem, czy chciałabym to wszystko wiedzieć. Kiedy wspomina o konieczności przeciwstawiania się władzy, w jego głosie słyszę zaciętość i gniew. I w takich chwilach, ale tylko na parę sekund, znów zaczynam się go bać, słyszę słowo „Odmieniec” dźwięczące mi w uszach. Najczęściej jednak Alex opowiada mi o zwyczajnych rzeczach: o chipsach zapiekanych z serem, które przyrządza jego ciocia, że za każdym razem gdy się spotykają, jego wujek trochę się upija i każdym razem gdy się spotykają, jego wujek trochę się upija i opowiada na okrągło te same historie z przeszłości. Oboje są wyleczeni i gdy pytam go, czy teraz są szczęśliwsi, wzrusza ramionami i odpowiada: „cierpienia też im brakuje”.

Widząc moje niedowierzanie, Alex spogląda na mnie kątem oka i wyjaśnia:

– Tego, kiedy naprawdę kogoś tracisz. Kiedy mija ból. Najwięcej jednak opowiada mi o Głuszy i o ludziach, którzy tam żyją, a wtedy kładę głowę na jego piersi, zamykam oczy i wyobrażam sobie to wszystko: kobietę, którą wszyscy nazywają Szaloną Caitlin, która robi ogromne wietrzne dzwonki z metalowych odpadków i zgniecionych puszek; Dziadka Jonesa, który musi mieć co najmniej dziewięćdziesiąt lat, ale wciąż codziennie wyprawia się w głąb lasu w poszukiwaniu jagód i dzikiej zwierzyny; siedzenie przy ognisku i spanie pod gołym niebem, przesiadywanie razem do późna, by śpiewać, rozmawiać i biesiadować, podczas gdy niebo staje się zamglone od dymu.

Wiem, że czasami wciąż tam wraca, i wiem, że wciąż uważa to za swój prawdziwy dom. Niemal przyznał to głośno, kiedy pewnego dnia powiedziałam mu, że niestety nie mogę pójść obejrzeć jego domu, mając na myśli kawalerkę na Forsyth Street, gdzie mieszka od początku studiów, bo gdyby któryś z jego sąsiadów zobaczył mnie wchodzącą z nim do budynku, byłoby po nas. Alex poprawił mnie wtedy szybko: „to nie jest mój dom”.

Przyznał, że Odmienicy mają swój sposób, by  
Przyznał, że Odmienicy mają swój sposób, by  
przedostawać się z Głuszy do Portland i z powrotem, ale kiedy pytam go o szczegóły, milknie.

– Może kiedyś sama zobaczysz – mówi tylko, a mnie ogarnia jednocześnie strach i podniecenie.

Pytam, czy zna mojego wujka, który uciekł przed

procesem, jednak Alex kręci głową.

– W Głuszy prawie nikt nie posługuje się prawdziwym imieniem – odpowiada, wzruszając ramionami. – W każdym razie jego opis nic mi nie mówi. – Wyjaśnia, że po całym kraju rozsiane są tysiące osad. Wujek mógł uciec gdziekolwiek: na północ, południe lub na zachód. Przynajmniej wiemy, że nie uciekł na wschód, bo tam jest ocean. Alex mówi, że w Stanach dzikie tereny mają co najmniej taką samą powierzchnię jak objęte rządową jurysdykcją miasta. Wiadomość ta jest dla mnie tak szokująca, że długo nie mogę w to uwierzyć, podobnie jak Hana, kiedy powtarzam jej te słowa.

Alex potrafi też słuchać i godzinami siedzieć w milczeniu, kiedy opowiadam mu o dorastaniu w domu Carol, o tym, jak wszyscy myślą, że Grace nie potrafi mówić, i tylko ja znam prawdę. Wybuchu śmiechem, kiedy opisuję mu Jenny, jej nieprzyjemną twarz, minę staruszki i zwyczaj patrzenia na mnie z góry, jak gdybym to ja miała dziewięć lat.

Mogę mu też bez oporu opowiadać o mamie, jak to było, gdy jeszcze żyła i mieszkaliśmy tylko we trójkę – ja, ona i Rachel. Opowiadam mu o imprezach skarpetkowych i o tym, jak mama śpiewała nam kołysanki, chociaż pamiętam już tylko ich urywki. Może to kwestia skupienia, z jakim mnie słucha, ich urywki. Może to kwestia skupienia, z jakim mnie słucha, uważnego spojrzenia jego jasnych, ciepłych oczu i tego, że nigdy mnie nie osądza. Gdy powiedziałam mu, co mama rzekła mi na pożegnanie, i poczułam, że zaraz się rozplaczę, wtedy po prostu zaczął masować mój kark i smutek minął. Ciepło jego rąk wyгнаło go ze mnie.

I, oczywiście, całujemy się. Całujemy się tak często, że dziwnie mi w chwilach, kiedy tego nie robimy, jak gdyby najlepiej oddychało mi się przez jego usta.

Z czasem gdy oswajamy się ze sobą, zaczynam też odkrywać inne części jego ciała. Delikatną konstrukcję żeber, pierś i ramiona jak wyrzeźbione w kamieniu, delikatne jasne kręcone włoski na nogach, zapach jego skóry przypominający ocean – wszystko to piękne i dziwne jednocześnie. Jeszcze bardziej szalone jest to, że i ja pozwalałam mu patrzeć na siebie. Najpierw zgodziłam się tylko, by odsunął nieco podkoszulek i pocałował mnie w obojczyk i ramiona. Potem, by zdjął ze mnie całą koszulkę przez głowę, położył mnie na ziemi w jasnym słońcu i po prostu na mnie patrzył. Za pierwszym razem cała drzę. Muszę zwalczać chęć, by zakryć się rękami. Dociera do mnie nagle, jak blado muszę wyglądać w świetle słońca, jak

wiele pieprzyków pokrywa mi ciało, i wydaje mi się, że Alex, patrząc na mnie, myśli, że jestem dziwna albo zdeformowana. Ale wtedy Alex szepcze: „jesteś piękna”, i kiedy jego wzrok krzyżuje się z moim, wiem, że naprawdę tak myśli.

Tego samego dnia wieczorem po raz pierwszy w życiu staję przed lustrem w łazience i nie widzę przeciętnej dziewczyny. Po raz pierwszy patrzę na swoje zaczesane do tyłu włosy, Po raz pierwszy patrzę na swoje zaczesane do tyłu włosy, pizamę osuwającą się z jednego ramienia i błyszczące oczy i wierzę w to, co powiedział Alex. Jestem piękna.

Dotyczy to nie tylko mnie. Wszystko wokół jest piękne. Księża SZZ mówi, że deliria zmienia postrzeganie świata, upośledza zdolność logicznego myślenia, osłabia możliwość jasnych osądów. Nie mówi wszak jednej rzeczy: że miłość przemienia cały świat w coś wspanialszego, niż na co dzień się wydaje. Nawet składowisko śmieci błyszczące w upale, ogromna góra metalowych odpadków, topiącego się plastiku i śmierdzących resztek wydaje się dziwna i niezwykła jak jakiś obcy świat przetransportowany na ziemię. W porannym świetle mewy przycupnięte na dachu ratusza wyglądają jak pokryte grubą warstwą białej farby. Gdy tak błyszczą na tle bladoniebieskiego nieba, stwierdzam, że nigdy w życiu nie widziałam niczego tak ostro, wyraźnie i pięknie. Ulewy są niesamowite jak spadające odłamki szkła, jak powietrze wypełnione diamentami. Wiatr szepcze imię Aleksa, ocean je powtarza. Widok kołyszących się drzew sprawia, że chce mi się tańczyć. Wszystko, co widzę i czego dotykam, przypomina mi jego, i dlatego wszystko, co widzę i czego dotykam, jest doskonałe.

Księża SZZ nie wspomina też o tym, jak strasznie szybko ucieka wtedy czas.

Czas biegnie. Czas przeskakuje. Przecieka niczym woda przez palce. Za każdym razem gdy schodzę do kuchni i widzę zaznaczony w kalendarzu kolejny dzień, nie dopuszczam tego do siebie. W żołądku wzbiera mi fala mdłości, jak gdyby był pełen ołowiu i z każdym dniem stawał się coraz cięższy.

Trzydzieści trzy dni do zabiegu.

Trzydzieści dwa.

Trzydzieści.

Pomiędzy nimi chwile szybkie jak mgnienie oka, jak trzask migawki. Alex rozmazujący lody czekoladowe na moim nosie, gdy zaczynam się skarżyć, że jest mi za gorąco. Ciężkie

brzęczenie pszczoł krążących nad nami w ogrodzie, równiutki rząd mrówek maszerujących spokojnie po resztkach naszego pikniku. Palce Aleksa w moich włosach. Zagłębienie w jego łokciu pod moją głowę. Jego szept: „tak bym chciał, żebyś została ze mną”, gdy na horyzoncie wykrwawia się kolejny dzień, na czerwono, różowo i złoto. Spoglądanie w niebo, odgadywanie kształtów chmur: oto żółw w kapeluszu, kret niosący cukinię, złota rybka polująca na królika.

Chwile szybkie jak mgnienie oka, jak trzask migawki: delikatne, piękne i skazane na przemijanie jak motyl trzepoczący rozpaczliwie skrzydłami podczas wzmagającego się wiatru.

## 17

W środowisku naukowym toczy się poważna dyskusja, czy pożądanie jest wytworem organizmu zakażonego *amor deliria nervosa*, czy też warunkiem wstępnym samej choroby. Jednogłośnie warunkiem wstępnym samej choroby. Jednogłośnie jednak stwierdzono, że miłość i pożądanie tworzą związek symbiotyczny, a zatem jedno nie może istnieć bez drugiego. Pożądanie jest wrogiem zadowolenia. Pożądanie jest chorobą, gorączką mózgu. Czy ten, który pragnie, może być uznany za zdrowego? Już samo słowo „pragnienie” sugeruje brak, niedostatek, wadę i tym właśnie jest pożądanie: wadą umysłu, skazą, wypaczeniem. Na szczęście jest to wada, którą możemy już korygować.

dr Phillip Berryman, Przyczyny i skutki  
*amor deliria nervosa* w ujęciu kognitywnym,  
wydanie 4

Sierpień na dobre zadomowił się w Portland, wszędzie wokół czuje się jego gorący, duszący oddech. Na ulicach w ciągu dnia nie da się wytrzymać, słońce praży bezlitośnie, ludzie ciągną więc do parków i na plaże, licząc na odrobinę wytchnienia w postaci cienia lub morskiej bryzy. Coraz trudniej jest mi widywać się z Alekssem. East End Beach – zazwyczaj mało popularna – jest teraz prawie stale zatłoczona, nawet wieczorami, gdy kończę pracę. Dwa razy przyszłam tam umówiona z Alekssem na spotkanie, ale było zbyt niebezpiecznie, by rozmawiać, albo nawet dać sobie jakiś znak, poza szybkim skinieniem głowy dopuszczalnym między nieznanymi. Położyliśmy się więc tylko na ręcznikach w odległości kilku metrów. Alex założył słuchawki, a ja udawałam, że czytam. Za metrów. Alex założył słuchawki, a ja udawałam, że czytam. Za

każdym razem gdy nasze oczy się spotykały, całe moje ciało zalewała fala ciepła, jak gdyby leżał koło mnie i masował mi ręką plecy. I chociaż minę miał cały czas poważną, widziałam po jego oczach, że się uśmiecha. Nic, czego doświadczyłam wcześniej, nie było tak bolesne i jednocześnie tak rozkoszne jak bycie blisko niego i niemożność działania: jak szybkie jedzenie lodów w gorący dzień, od którego potem straszny ból rozsadza głowę. Zaczynam rozumieć, co Alex mówił o swojej cioci i wujku – że po zabiegu brakowało im cierpienia. W jakiś dziwny sposób cierpienie dodaje smaku i intensywności, wzmacnia pragnienie. Jako że plaże odpadają, więcej czasu spędzamy przy Brooks Street. Ogród dotkliwie ucierpiał od upału. Od tygodnia nie spadła ani kropla deszczu, a słońce przeświecające przez korony drzew, w czerwcu muskające ziemię miękko i łagodnie, jakby zostawiało delikatne ślady stóp, teraz przeszywa sztyłem baldachim gałęzi i wysusza trawę na brąz. Nawet pszczoły wydają się pijane od upału – krążą powoli, objimają się siebie, uderzają o więdnące kwiaty, po czym spadają na ziemię, by zaraz potem w oszołomieniu znów wzbijać się w powietrze. Pewnego popołudnia leżymy z Alekssem na kocu. Ułożona na plecach, obserwuję beztrudnie niebo, które przypomina ruchome kłębowisko błękitu, zieleni i bieli, Alex zaś spoczywa na brzuchu i wydaje się czymś podenerwowany: ciągle zapala zapalniczki, patrzy, jak trawi je płomień, i zdmuchuje go, gdy sięga już niemal jego palców. Przypomina mi się, co powiedział w noc obławy o gniewie przepelniającym go po przeprowadzce do Portland, o tym, jak dawniej ze złości wrzucał do ognia różne przedmioty.

Jest tyle rzeczy, których o nim nie wiem, tak wiele historii schowanych w nim gdzieś głęboko. Musiał się nauczyć je ukrywać, nawet lepiej niż większość z nas. Myślę, że gdzieś tam istnieje jego rdzeń, jarzy się niczym diament powstały z węgla pod wpływem ciśnienia, przytłoczony tysiącem zewnętrznych warstw.

O tyle rzeczy nigdy go nie pytałam, o tylu nigdy nie rozmawialiśmy. Mimo to czuję, że naprawdę go znam i zawsze znałam, nawet jeśli czegoś mi o sobie nie mówi.

– W Głuszy pewnie jest teraz przyjemnie – mówię, ot tak, żeby coś powiedzieć. Alex odwraca głowę w moją stronę, więc dodaję szybko: – To znaczy... pewnie jest tam chłodniej. Tyle tam przecież drzew i cienia.

– To prawda. – Podnosi się na jednym łokciu. Zamykam

oczy i widzę kolorowe plamki światła tańczące mi pod powiekami. Przez chwilę Alex nic nie mówi, ale czuję na sobie jego wzrok. – Możemy się tam wybrać – dopowiada wreszcie. Biorę to za żart, więc zaczynam się śmiać. Alex jednak milczy i gdy otwieram oczy, widzę, że jego twarz jest zupełnie poważna.

– Chyba nie mówisz serio – odzywam się, lecz gdy tylko wypowiadam te słowa, otwiera się we mnie głęboka studnia strachu i wiem już, że owszem, mówi serio. I wiem też, że właśnie z tego powodu cały dzień tak dziwnie się zachowuje: to z tęsknoty za Głuszą.

tęsknoty za Głuszą.

– Możemy tam iść, jeśli chcesz. – Patrzy na mnie przez dłuższą chwilę, a potem przewraca się na plecy. – Chociażby jutro. Po twojej pracy.

– Tylko w jaki sposób... – zaczynam, ale mi przerywa.

– Zostaw to mnie. – Przez chwilę jego oczy sprawiają wrażenie głębszych i ciemniejszych niż kiedykolwiek, są jak tunele. – Chciałabyś?

Myślę, że o czymś takim nie powinno się rozmawiać, leżąc tak bez troski, więc siadam. Za przekroczenie granicy grozi śmierć. I chociaż wiem, że Alex wciąż to robi od czasu do czasu, dopiero teraz dociera do mnie, jakie to niebezpieczne.

– Nie ma na to sposobu – mówię niemal szeptem. – To niemożliwe. Ogrodzenie... strażnicy... i broń...

– Powiedziałem ci. Zostaw to mnie. – On również siada i obejmuje dłońmi moją twarz, uśmiechając się. – Nic nie jest niemożliwe, Lena. – To jedno z jego ulubionych powiedzeń. Strach ustępuje. Przy nim czuję się bezpieczna. Nie wierzę, żeby coś złego mogło się stać, gdy jesteśmy razem. – Tylko na kilka godzin – dodaje. – Tak, żebyś zobaczyła.

Odwracam wzrok.

– Sama nie wiem. – Odczuwam dziwną suchość w gardle.

Każde słowo zdaje się przedzierać przez nie z bólem.

Alex nachyla się, całuje mnie szybko w ramię i kładzie się z powrotem na kocu.

– Nie ma sprawy – stwierdza, zasłaniając ramieniem oczy przed słońcem. – Pomyślałem tylko, że możesz być ciekawa.

– Jestem ciekawa, ale...

– Jestem ciekawa, ale...

– Lena, jeśli nie chcesz, nie ma sprawy. Poważnie. To była tylko luźna propozycja.

Kiwam głową i przyciskam nogi do piersi, chociaż lepią się



od potu. To, co teraz czuję, to mieszanina ulgi i rozczarowania. Nagle przypomina mi się, jak w dzieciństwie Rachel wyzwała mnie, żebym skoczyła z moła na Willard Beach, i jak trzęsąc się, stałam na jego krawędzi zbyt przerażona, by rzucić się do wody. Wreszcie uwolniła mnie od zadania, nachylając się i szepcząc:

„W porządku, Lena. Po prostu nie jesteś gotowa”. Stojąc na krawędzi, marzyłam tylko o tym, by móc się cofnąć, lecz gdy wracałyśmy na plażę, pragnęłam zapaść się pod ziemię ze wstydu. Właśnie wtedy rodzi się we mnie postanowienie.

– Chcę iść – oznajmiam.

Alex zdejmuje rękę z oczu.

– Naprawdę?

Kiwam głową, bojąc się powtórzyć te słowa. Istnieje ryzyko, że jeśli otworzę usta, cofnę to, co powiedziałam. Alex podnosi się powoli. Myślałam, że będzie bardziej podekscytowany, ale on się nie uśmiecha. Przygryza tylko wargę i odwraca wzrok.

– To oznacza złamanie godziny policyjnej.

– To oznacza złamanie mnóstwa reguł.

Gdy znów na mnie spogląda, na jego twarzy maluje się taka troska, że sprawia mi to ból.

– Posłuchaj, Lena – spuszcza wzrok i poprawia ułożony przez siebie stos zapalek – może to wcale nie jest dobry pomysł. Jeśli nas złapią, to znaczy jeśli ciebie złapią... – Bierze głęboki oddech. – Jeśli nas złapią, to znaczy jeśli ciebie złapią... – Bierze głęboki oddech. – Jeśli cokolwiek by ci się stało, nigdy bym sobie tego nie darował.

– Ufam ci.

Alex wciąż nie podnosi wzroku.

– Wiem, ale... karą za przekroczenie granicy... – Bierze kolejny oddech. – Karą za przekroczenie granicy jest... – Nie może mu przejść przez gardło słowo „śmierć”.

– Hej. – Szturcham go delikatnie. To niesamowite, że można się czuć chronionym przez kogoś i jednocześnie być gotowym na wszystko, nawet oddać życie, by ochronić jego. – Znam zasady. Mieszkam tu dłużej niż ty.

Wtedy dopiero się uśmiecha. Oddaje mi kuksańca.

– Ledwo co.

– Mieszkam tu od urodzenia. Ty jesteś przeszczepem. –

Znowu go szturcham, tym razem mocniej, a Alex wybucha śmiechem i chwytą mnie za ramię. Zaczynam chichotać. Usiłuję mu się wyrwać, a on próbuje połaskotać mnie w brzuch. – Dzikus! – piszczę, kiedy ze śmiechem łapie mnie i przyciska

plecami do koca.

– Mieszczuch! – odpowiada, przewracając się na mnie, a potem mnie całuje. I wtedy wszystko się rozplywa: upał, feeria kolorów, dryfowanie.

Umówiliśmy się na następny wieczór, w środę, w Back Cove. Ponieważ aż do niedzieli mam w sklepie wolne, Carol Cove. Ponieważ aż do niedzieli mam w sklepie wolne, Carol powinna się zgodzić, żebym spędziła noc u Hany. Alex analizuje ze mną kilka głównych punktów planu. Przekroczenie granicy nie jest niemożliwe, ale mało kto ryzykuje. Domyślam się, że kara śmierci nie działa zachęcająco.

Zastanawiam się, jak przejdziemy przez podłączone do prądu ogrodzenie, a wtedy Alex wyjaśnia mi, że tylko niektóre jego odcinki rzeczywiście są pod napięciem, ponieważ dostarczanie energii do wielokilometrowego ogrodzenia z drutu jest zbyt drogie. Część ogrodzenia nie jest bardziej niebezpieczna niż płot, który otacza plac zabaw w parku Deering Oaks. Dopóki jednak wszyscy wierzą, że cała granica aż iskrzy się od kilowatów i może w ciągu sekundy usmażyć człowieka jak jajko na patelni, ogrodzenie spełnia swoją funkcję.

– Wszystko to jedna wielka ściema – mówi Alex, machając ręką. Przypuszczam, że mówi o naszym mieście, o tutejszych prawach, może nawet o całym kraju. Kiedy staje się poważny, między jego brwiami pojawia się delikatna zmarszczka, niczym mały przecinek, i muszę przyznać, że to najśłodsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam. Jednak staram się nie rozpraszać i wracam do tematu.

– Wciąż nie mogę pojąć, skąd to wszystko wiecie. Jak się tego dowiedzieliście? Kazaliście ludziom rzucać się na ogrodzenie, by sprawdzić, czy wszędzie się usmażą?

Alex uśmiecha się zagadkowo.

– Tajemnica zawodowa. Mogę ci jedynie wyznać, że przeprowadzano eksperymenty z wykorzystaniem dzikich zwierząt. – Podnosi brwi. – Jadłaś kiedyś smażonego bobra? zwierząt. – Podnosi brwi. – Jadłaś kiedyś smażonego bobra?

– A fe.

– A smażonego skunksa?

– Chcesz, żebym zwróciła jedzenie?

„Jest nas o wiele więcej, niż myślisz” – to kolejne z ulubionych powiedzeń Aleksa, nieustannie powtarzany przez niego refren. Sympatycy są wszędzie, nieleczeni i wyleczeni, wśród porządkowych, policjantów, polityków, lekarzy. Mówi, że właśnie dzięki nim miniemy budki strażnicze. Jedna z

najaktywniejszych działaczek ruchu oporu w Portland jest żoną strażnika, który pracuje na nocną zmianę przy północnym krańcu Tukey's Bridge, w miejscu gdzie przekroczymy granicę. Ona i Alex mają umówiony sygnał. Kiedy Alex chce się udać do Głuszy, zostawia jej w skrzynce na listy umówioną ulotkę, z gatunku tych prostych, kserowanych, jakie rozdają w barach na wynos i pralniach. Reklamuje ona darmowe badanie słuchu u doktora Głuchego (co jak dla mnie jest zbyt oczywiste, jednak Alex mówi, że członkowie ruchu oporu żyją w takim napięciu, że mają prawo do swoich małych prywatnych żarcików) i za każdym razem gdy kobieta znajdzie ją w swojej skrzynce, ma dosypać silną dawkę valium do kawy w termosie, którą przygotowuje dla męża do pracy.

– Biedny facet – mówi Alex, szczerząc zęby w uśmiechu. – Może pić hektolitry kawy, a i tak przysypia w pracy. – Widzę, jak wiele znaczy dla niego ruch oporu i jak dumny jest z tego, że jego działalność w Portland kwitnie. Próbuję się uśmiechać, ale moje policzki są sztywne. Wciąż nie mieści mi się w głowie, że wszystko, czego mnie uczono, jest złe, i wciąż trudno mi myśleć o sympatykach i ruchu oporu jako o sprzymierzeńcach, a nie wrogach.

A przedostanie się przez granicę bez wątpienia uczyni mnie jedną z nich. Mimo to nawet nie myślę o tym, żeby się wycofać. Naprawdę chcę iść. I jeśli mam być z sobą szczerą, już dawno temu stałam się sympatyczką, już wtedy kiedy Alex zapytał mnie, czy spotkam się z nim w Back Cove, i powiedziałam: tak. Teraz pozostało mi jedynie mgliste wspomnienie dziewczyny, którą byłam przedtem: dziewczyny, która zawsze robiła, co jej kazano, nigdy nie kłamała i z ekscytacją, a nie przerażeniem, odliczała dni do zabiegu. Dziewczyny, która bała się wszystkiego i wszystkich. Dziewczyny, która bała się własnego cienia.

Kiedy następnego dnia wracam ze sklepu, pytam Carol, czy mogę pożyczyć jej telefon komórkowy. A potem piszę do Hany: „Śpimy dziś u A?”. To nasze hasło, którego używam, kiedy chcę, żeby Hana mnie kryła. Powiedziałyśmy Carol, że spędzamy teraz mnóstwo czasu z Allison Doveney, która razem z nami skończyła szkołę. Doveneyowie są jeszcze bogatsi niż rodzice Hany, a Allison jest zarozumiałą jędzą. Hana protestowała na początku, by wykorzystać ją jako tajemniczą A, ponieważ nawet samą myśl o udawaniu, że się z nią zadajemy, uważała za wstrętą, ale w końcu ją przekonałam. Carol nigdy by nie zadzwoniła do Doveneyów, żeby mnie sprawdzić. Byłaby

zbyt onieśmielona – moja rodzina jest nieczysta, skażona zdradą męża Marcii i oczywiście samobójstwem mojej mamy, pan Doveney zaś jest przewodniczącym i założycielem portlandzkiej sekcji organizacji AWD, Ameryka Wolna od Delirii. Allison Doveney ledwo mogła na mnie patrzeć w szkole, a w podstawówce po śmierci mojej mamy poprosiła o zmianę ławki, żeby siedzieć dalej ode mnie, mówiąc nauczycielce, że czuje ode mnie zapach śmierci.

Odpowiedź od Hany przychodzi niemal natychmiast:

„Jasne. Do zobaczenia wieczorem”.

Zastanawiam się, co by pomyślała Allison, gdyby wiedziała, że używamy jej jako przykrywki dla spotkań z moim chłopakiem. Chyba dostałaby zawału. Na samą myśl o tym uśmiech rozjaśnia mi twarz.

Tuż przed ósmą schodzę na dół z plecakiem zawieszonym ostentacyjnie na ramieniu. Postarałam się nawet, żeby wystawał z niego kawałek piżamy. Spakowałam wszystko dokładnie tak, jakbym naprawdę szła do Hany. Kiedy Carol rzuca mi swój przelotny uśmiech i życzy dobrej zabawy, ogarniają mnie na chwilę wyrzuty sumienia. Kłamię teraz tak często i tak łatwo. To jednak za mało, by mnie powstrzymać. Po wyjściu z bramy kieruję się w stronę West Endu, na wypadek gdyby Jenny lub Carol obserwowały mnie przez okno. Dopiero gdy dochodzę do Spring Street, zawracam w stronę Deering Avenue i kieruję się na Brooks Street. Droga jest długa, docieram więc do Deering Highlands dokładnie w chwili, gdy ostatnie promienie słońca znikają za horyzontem. Ulice jak zwykle są puste. Przechodzę przez zardzewiałą metalową bramę, odsuwam poluzowaną deskę zakrywającą okno na parterze i podciągam się do środka. Nagła ciemność unieruchamia mnie na chwilę. Stoję tak, Nagła ciemność unieruchamia mnie na chwilę. Stoję tak, mrugając oczami, dopóki nie przystosują się do słabego światła. Powietrze wydaje się zatęchłe i lepkie, a dom zalatuje pleśnią. Gdy wreszcie przedmioty nabierają kształtów, kieruję się do salonu, na poplamioną sofę. Mimo że sprężyny są zepsute, a połowa wypełnienia wyrwana – zapewne przez myszy – nosi jeszcze ślady dawnej świetności.

Wyciągam z torby zegarek i nastawiam budzik na jedenastą trzydzieści. To będzie długa noc. A potem wyciągam się na nierównej sofie, zwinąwszy plecak pod głowę. Nie jest to może najwygodniejsza poduszka na świecie, lecz ujdzie. Wreszcie zamykam oczy i pozwalam, by chrobot myszy oraz tajemnicze jęki w ścianach ukołysały mnie do snu.

Budzę się z koszmaru o mamie. Podnoszę się w ciemności na sofie i przez chwilę zastanawiam się w panice, gdzie jestem. Dopiero skrzyknięcie zepsutych sprężyn przypomina mi: Brooks Street 37. Szukam po omacku budzika i okazuje się, że jest już 23.20. Wiem, że powinnam wstawać, ale wciąż na wpół nieprzytomna od snu i upału jeszcze dłuższą chwilę siedzę bez ruchu i biorę kilka głębokich oddechów. Włosy kleją mi się do karku, zresztą cała jestem mokra od potu.

Sen ten przypominał moje wcześniejsze sny, ale tym razem role się odwróciły: teraz to ja unosiłam się na falach oceanu i obserwowałam mamę przykucniętą wysoko nade mną na kruszejącej półce skalnej, choć na początku nie widziałam jej twarzy, jedynie niewyraźną sylwetkę na tle słońca. Próbowałam twarzy, jedynie niewyraźną sylwetkę na tle słońca. Próbowałam krzyczeć, by ją ostrzec, starałam się pokazać jej rękami, żeby się cofnęła znad krawędzi, ale im bardziej się wysilałam, tym silniej woda wydawała się mnie wciągać i powstrzymywać, niczym kleista maź, która krępuje ręce i sączy się do gardła, żeby uwięzić w nim wszystkie słowa. Przez cały ten czas piasek wirował wokół mnie jak śnieg i wiedziałam, że w każdej chwili mama może spaść i roztrzaskać głowę o skały sterczące ponad wodą jak ostre paznokcie.

Potem zaczęła spadać, machając rękami: ciemna plama na tle błyszczącego słońca, powiększająca się z każdą chwilą. Tymczasem ja dalej próbowałam krzyczeć, ale na próżno, a gdy postać była już blisko, zorientowałam się, że to nie mama leciała na skały.

To był Alex.

I wtedy się obudziłam.

Wreszcie mimo zawrotów głowy podnoszę się z sofy i staram się zagłuszyć narastający się we mnie strach. Idę po omacku w stronę okna i gdy wreszcie wychodzę na zewnątrz, ulga jest ogromna, mimo że obiektywnie tu jestem mniej bezpieczna. Może to przez ten wiatr, w środku było okropnie duszno. W Back Cove Alex już na mnie czeka, przykucnięty w cieniu kilku drzew przy starym parkingu, ukryty tak doskonale, że o mało się o niego nie potykam. Wyciąga rękę i przyciąga mnie do siebie. W świetle księżyca jego oczy błyszczą jak u kota.

W milczeniu wskazuje ręką na drugą stronę zatoki, w milczeniu wskazuje ręką na drugą stronę zatoki, w kierunku migoczących tuż przed granicą świateł w jednej linii: to budki strażników. Z tej odległości wyglądają jak rząd jasnych

białych lampionów zawieszonych na nocny piknik, niemal radośnie. Kilka metrów za punktami granicznymi znajduje się ogrodenie, a za nim – Głusza. Nigdy jeszcze nie wyglądała dla mnie tak niesamowicie jak teraz, gdy tańczy i kołysze się na wietrze. Dobrze, że ustaliliśmy wcześniej, że nie będziemy się do siebie odzywać, dopóki nie przedostaniemy się na drugą stronę. Gula w gardle nie pozwala mi nawet oddychać, a co dopiero mówić. Mamy przekroczyć granicę na końcu Tukey's Bridge, na północno-wschodnim krańcu zatoki: gdyby ją pokonać wpław, byłoby to po przekątnej od miejsca naszego spotkania. Alex trzy razy ściska moją dłoń. To nasz umówiony sygnał do drogi. Idzie przodem. Okrążamy teraz zatokę, ostrożnie, by nie natrafić na zdradzieckie bagna. Wyglądają jak trawa, zwłaszcza w ciemności, i człowiek uświadamia sobie różnicę dopiero wtedy, gdy wpada po kolana. Alex bezszelestnie przemyka od cienia do cienia. Miejscami znika mi z oczu zupełnie, jakby się rozpląwał w ciemnościach.

Bliżej północnego brzegu zatoki punkty graniczne zaczynają się rysować wyraźniej – teraz już nie przypominają lampionów, wyglądają jak prawdziwe budynki z betonu i kuloodpornego szkła.

Ręce mam mokre od potu. Gula w gardle powiększyła się chyba czterokrotnie i wydaje mi się, że zaraz zacznę się dusić. chyba czterokrotnie i wydaje mi się, że zaraz zacznę się dusić. Nagle dociera do mnie, jak głupi jest nasz plan. Sto – tysiąc! – rzeczy mogło pójść nie tak. Strażnik z budki numer dwadzieścia jeden mógł się jeszcze nie napić kawy albo mógł wypić za mało, by go to uspiło, albo też valium mogło nie zadziałać. A nawet jeśli śpi, Alex mógł się pomylić co do lokalizacji tych odcinków ogrodu, które nie są pod napięciem. A może miasto wyprodukowało więcej energii tylko na tę noc.

Ze strachu jestem bliska omdlenia. Chciałabym jakoś przyciągnąć uwagę Aleksa, krzyknąć, że powinniśmy zawrócić, odwołać wszystko, ale on idzie za szybko, a krzyk, zresztą jakikolwiek dźwięk, z pewnością sprowadzi nam na głowę strażników. Przy nich porządkowi to małe dzieci bawiące się w policjantów i złodziei. Porządkowi mają do dyspozycji pałki i psy. Strażnicy – karabiny i gaz łzawiący.

Wreszcie docieramy do północnego krańca zatoki. Alex pada na ziemię za jednym z większych drzew i czeka, aż go dogonię. Przykucam obok niego. To moja ostatnia szansa, by mu powiedzieć, że chcę wrócić, lecz nie jestem w stanie wydusić z siebie słowa. Próbuję chociaż pokręcić głową, również bez

rezultatu, i czuję się jak w swoim śnie, wchłonięta przez ciemność, miotająca się jak robak w słoiku z miodem. Może Alex domyśla się, że jestem przerażona, bo nachyla się w moją stronę i przez chwilę szuka palcami mojego ucha. Uderza ustami o moją szyję, ociera się lekko o policzek – co mimo lęku przyprawia mnie o przyjemny dreszcz – a potem muska nimi płatek ucha.

– Wszystko będzie dobrze – szepcze i robi mi się nieco

– Wszystko będzie dobrze – szepcze i robi mi się nieco lepiej. Nic złego się nie stanie, kiedy jestem z nim.

Po chwili ruszamy dalej. Przemykamy szybko i cicho od drzewa do drzewa, przy każdym przystajemy, a Alex nasłuchuje, czy nic się nie zmieniło, czy nie słychać krzyków albo kroków. Im bliżej granicy, tym drzewa stają się rzadsze, a chwile gdy biegniemy bez żadnej osłony – dłuższe. Tuż przy granicy wszelka roślinność zanika zupełnie, a więc trzeba będzie biec po otwartej przestrzeni. Odległość między ostatnim krzakiem a ogrodzeniem to zaledwie kilkanaście metrów, ale dla mnie równie dobrze mogłoby to być morze ognia.

Za pozostałościami drogi, która istniała, zanim Portland otoczono granicą, znajduje się samo ogrodzenie, srebrzące się w świetle księżyca niczym ogromna pajęczyna. Miejsce, na które można się nadziać, zostać złapanym i zjedzonym. Alex powiedział mi wcześniej, żeby się nie spieszyć, żeby się skoncentrować, kiedy będę przechodzić przez drut kolczasty, ale nie potrafię odgonić wizji siebie nadzianej na te ostre, wystające kolce.

I nagle opuszczamy to nędzne schronienie, jakiego udzielają nam drzewa, i ruszamy biegiem po żwirze i gruzach pozostałych po starej drodze. Alex z przodu, zgięty niemal wpół, ja również maksymalnie pochylona, ale wcale nie czuję się przez to mniej widoczna. Strach krzyczy, uderza we mnie nagle ze wszystkich stron naraz. Nigdy nie zaznałam czegoś podobnego. Nie wiem, czy to wiatr się w tej chwili zerwał, czy to po prostu przerażenie, ale czuję, jak całe moje ciało lodowacieje.

Ciemność zdaje się ożywać, wypełniają ją ruchome cienie i Ciemność zdaje się ożywać, wypełniają ją ruchome cienie i złośliwe, niewyraźne kształty, gotowe w każdej chwili zmienić się w strażnika, i nagle w wyobraźni słyszę, jak tę ciszę przerywają krzyki, jęki, megafony, świst kul. Wyobrażam sobie rosnący ból, jasne światła. Świat zdaje się przekształcać w serie chaotycznych obrazów: jasny biały krąg otaczający budkę strażniczą numer dwadzieścia jeden coraz bardziej się rozszerza,

jest jak wygłodniała bestia gotowa nas pochłonać; w środku strażnik, zwieszona głowa, otwarte usta, śpi; Alex odwraca się do mnie, uśmiecha – czy to możliwe, żeby się uśmiechał? – a kamienie tańczą pod jego stopami. Wszystko wydaje się oddalone, a przy tym nierealne i niematerialne niczym cienie rzucane przez ogień. Nawet ja sama nie czuję się realna, nie czuję, jak się poruszam czy oddycham, choć pewnie robię to i to.

I wtedy tuż przed nami wyrasta ogrodzenie. Alex wyskakuje w górę i na chwilę zawisa w powietrzu. Chcę krzyknąć: „Stój! Stój!”, wyobrażam sobie trzask i skwierczenie, gdy jego ciało styka się z pięćdziesięcioma tysiącami woltów, ale wtedy Alex ląduje na siatce, która kołysze się w ciszy: zimna i martwa, tak jak mówił.

Powinłam się wspiać zaraz za nim, ale nie mogę. Nie od razu. Ogarnia mnie zdumienie powoli wypierające strach. Granica przerażała mnie od samego dzieciństwa. Nigdy nie podeszłam do niej bliżej niż na kilka kroków. Ostrzegano nas przed tym, wpojono nam to. Mówiono nam, że się usmażymy. Mówiono, że nasze serca natychmiast przestaną bić, że zginiemy. Mówiono, że nasze serca natychmiast przestaną bić, że zginiemy na miejscu. A teraz wyciągam rękę i wkładam palce między metalową siatkę, przeciągam po niej dłonią. Martwa, zimna i nieszkodliwa, taka sama jak ogrodzenie placów zabaw i szkolnych boisk. I w tej chwili dociera do mnie, jak głębokie i złożone są kłamstwa, którymi się nas karmi, że biegną one przez Portland niczym sieć kanałów, wciskając się wszędzie, napełniając miasto smrodem: całe miasto jest oplecione siecią kłamstw.

Alex wspina się szybko, jest już w połowie drogi. Gdy spogląda przez ramię i widzi, że stoję nieruchomo jak kamień, zaczyna gwałtownie poruszać głową, jak gdyby pytał: „co ty wyprawiasz?”.

Jeszcze raz kładę rękę na siatce i natychmiast ją cofam. Poczułam prąd, ale nie ma on nic wspólnego z napięciem, które powinno tutaj płynąć. Coś sobie właśnie uświadomiłam. Kłamali na temat wszystkiego – na temat ogrodzenia, istnienia Odmieńców, milionów innych rzeczy. Wmawiali nam, że obławy przeprowadzają dla naszej ochrony. Że porządkowi są po to, by utrzymywać ład.

Wmawiali nam, że miłość jest chorobą. Że prowadzi do śmierci.

Po raz pierwszy dociera do mnie, że i to może być



kłamstwem.

Alex kołysze delikatnie ogrodzeniem. Gdy podnoszę wzrok, znowu mnie przywołuje. Nie jesteśmy bezpieczni. Czas się ruszyć. Podciągam się więc i zaczynam wspinaczkę. To jest poniekąd jeszcze gorsze niż bieg po otwartej przestrzeni. Tam poniekąd jeszcze gorsze niż bieg po otwartej przestrzeni. Tam przynajmniej mieliśmy większą kontrolę nad sytuacją, mieliśmy szansę dostrzec patrolującego strażnika i ruszyć pędem w stronę zatoki z nadzieją, że go zgubimy w ciemności, między drzewami. Z nadzieją niewielką, ale jednak. Tu, zwrócona plecami do budki strażniczej, czuję się jak ogromna ruchoma tarcza strzelnicza z wielkim napisem na plecach: ZASTRZEL MNIE. Alex dociera na samą górę i obserwuję, jak powoli, uważnie przechodzi na drugą stronę drutu kolczastego. Potem obniża się ostrożnie i zatrzymuje w połowie siatki, by na mnie poczekać. Podążam w jego ślady. Choć trzęsę się ze strachu i wysiłku, udaje mi się przejść nad ogrodzeniem i zejść po drugiej stronie. Wreszcie moje stopy dotykają ziemi. Alex bierze mnie za rękę i ciągnie szybko w las, byle dalej od granicy. W nieznane.

## 18

Mary, Mary, weź parasol,  
Niech nie zmylą cię żywioły.  
Choć deszcz z nieba dziś nie spadnie,  
Będą lecieć wciąż popioły.  
Mary, Mary, wiosłuj szybko,  
Takie dziwne przyszły dni,  
Morze burzy się bez sztormu  
I ma przy tym kolor krwi.  
I ma przy tym kolor krwi.

Panna Mary (popularna wyliczanka do klaskania pochodząca z czasów blitzu),  
[w:] Wyliczanki i nie tylko. Historia gier i zabaw

Światła z budki strażniczej znikają nagle, jak gdyby zatrzasnęły się za nami drzwi od skarbcza. Drzewa cisną się wokół nas, liście i krzaki napierają na mnie ze wszystkich stron, ocierają twarz, nogi i ramiona jak tysiące ciemnych rąk i nagle zewsząd rozbrzmiewa dziwna kakofonia dźwięków: trzepotania, pohukiwania sów i chrobotu małych żyjatek w podszyciu. Powietrze jest gęste od zapachu kwiatów i życia, niemal namacalne, jak spowijająca nas kotara. Jest ciemno choć oko wykol. Nie jestem w stanie dojrzeć nawet Aleksa, jedynie czuję jego dłoń w swojej, jak ciągnie mnie do przodu.

Jestem chyba jeszcze bardziej przerażona, niż kiedy przekraczaliśmy granicę, więc szarpnię jego rękę z nadzieją, że się zatrzyma.

– Jeszcze trochę – dobiega mnie jego głos. Ciągnie mnie dalej. Idziemy powoli. Po trzasku łamanych gałązek i szeleście gałęzi domyślam się, że Alex idzie po omacku, torując nam drogę. Wydaje się, że posuwamy się do przodu zaledwie o centymetry, ale niesamowicie szybko tracimy z oczu granicę i wszystko po drugiej stronie, jak gdyby tamten świat nigdy tak naprawdę nie istniał. Za mną jest ciemność, jakbyśmy byli pod ziemią.

– Alex... – zaczynam dziwnie zduszonym głosem.

– Alex... – zaczynam dziwnie zduszonym głosem.

– Zaczekaj. – Wypuszcza moją rękę i mimowolnie wydaję z siebie cichy pisk. Wówczas dotyka po omacku moich ramion, a jego usta zderzają się z moim nosem, gdy chce mnie pocałować.

– W porządku – mówi już prawie normalnym tonem, więc domyślam się, że jesteśmy bezpieczni. – Nigdzie się nie wybieram. Muszę tylko znaleźć latarkę, okej?

– Okej. – Staram się przywrócić normalny oddech, zawstydzona. Pewnie Alex żałuje, że mnie z sobą zabrał. Nie zachowuję się jak wcielenie odwagi.

Jak gdyby czytał w moich myślach, Alex całuje mnie raz jeszcze, delikatnie, tuż obok ust. Domyślam się, że jego oczy również nie przystosowały się do ciemności.

– Świetnie ci idzie – mówi.

A potem słyszę, jak szeleści gałęziami, przeklinając niezrozumiale pod nosem. Chwilę później wydaję z siebie krótki okrzyk radości i szeroki promień latarki wystrzela w górę, oświetlając gęsto ściśnięte drzewa i całą roślinność wokół nas.

– No, znalazłem – oznajmia, uśmiechając się szeroko, i prezentuje mi latarkę. – Zostawiamy ją tutaj dla tych, co przekraczają granicę – wyjaśnia. – Gotowa?

Kiwam głową. Czuję się dużo lepiej teraz, kiedy widać, dokąd idziemy. Gałęzie nad nami tworzą baldachim, który przypomina mi sklepienie katedry Świętego Pawła, gdzie chodziłam do szkoły niedzielnej i słuchałam o atomach, prawdopodobieństwie i o Bożym porządku. Liście szeleszczą i drżą, jak ruchoma patchworkowa zasłona z czerni i zieleni, wprawione w ruch przez niezliczone niewidzialne małe stworzenia, które skaczą z gałęzi na gałąź. Czasami światło

latarki odbija się na chwilę w parze błyszczących dzikich oczu, obserwujących nas spokojnie spomiędzy listowia i znikających zaraz potem w ciemności. To niesamowite. Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś podobnego – zdumiewa mnie to bujne życie, które rozpięta się, pęcznieje w każdej sekundzie. W dziwny sposób czuję się w tym miejscu taka mała i głupia, jak gdybym stała przed obliczem kogoś dużo starszego i mądrzejszego ode mnie.

Alex idzie teraz pewniejszym krokiem, od czasu do czasu odgina tylko gałąź, żeby móc pod nią przejść, albo rozsuwa krzaki blokujące nam drogę, w każdym razie nie wędrujemy żadną widoczną dla mnie ścieżką i po kwadransie zaczynam się obawiać, że kręcimy się w kółko lub brniemy coraz głębiej w las bez konkretnego celu. Już mam go zapytać, skąd wie, czy dobrze idziemy, kiedy zauważam, że co jakiś czas przystaje i omiata latarką pnienie drzew, których upiorne, strzeliste kształty otaczają nas ze wszystkich stron. Na niektórych z nich widnieją ślady niebieskiej farby.

– Ta farba... – zaczynam pytającym głosem.

Alex spogląda na mnie przez ramię.

– To nasze drogowskazy – odpowiada, a potem dodaje: – Wierz mi, lepiej się tu nie zgubić.

Potem nagle drzewa po prostu znikają. Jeszcze przed chwilą byliśmy w środku lasu, otoczeni zewsząd drzewami, a chwilą byliśmy w środku lasu, otoczeni zewsząd drzewami, a teraz wychodzimy na asfaltową drogę, wstęgę betonu srebrzącą się w świetle księżyca jak chropowaty jęczor.

Jest pełna dziur, popękana i wyboista, więc idziemy zygzakiem, omijając ogromne sterty asfaltowego gruzu. Droga wije się w górę płaskiego wzgórza, a potem znika za jego szczytem, gdzie majaczy kolejne czarne skupisko drzew.

– Podaj mi rękę – odzywa się Alex. Znowu mówi szeptem i nie wiem czemu, ale to mi odpowiada. Czuję się tak jak na cmentarzu. Po obu stronach drogi rozpościerają się ogromne polany, porośnięte sięgającą do pasa trawą, której muskane wiatrem źdźbła szepczą i śpiewają, oraz cienkimi, młodymi drzewami, które pośrodku tej otwartej przestrzeni sprawiają wrażenie kruchych i bezbronnych. Leżą tu też, jedno na drugim, ogromne drewniane belki i jakieś kawałki metalu połyskujące w trawie.

– Co to jest? – pytam szeptem Aleksa, ale w tym samym momencie w moim gardle rodzi się krzyk, i już rozumiem, już wiem.

Pośrodku pola szumiącej trawy stoi wielka niebieska ciężarówka w nienaruszonym stanie, jak gdyby ktoś przyjechał tutaj na piknik.

– To była ulica – odpowiada Alex. Jego głos twardnieje. – Zniszczona w czasie blitzu. W całym kraju są ich tysiące. Wszystkie zostały zbombardowane, zamienione w gruz. Przeszywa mnie dreszcz. Nic dziwnego, iż miałam wrażenie, że idę przez cmentarz. Poniekąd tak jest. Blitz był roczną kampanią wojenną na długo przed moimi narodzinami, roczną kampanią wojenną na długo przed moimi narodzinami, kiedy moja mama była jeszcze mała. Jej celem było pozbycie się Odmieńców i wszystkich buntowników, którzy nie chcieli zostawić swoich domów i przenieść się do miast. Mama powiedziała mi kiedyś, że z dzieciństwa pamięta głównie huk bomb i zapach dymu. Mówiła też, że jeszcze przez wiele lat swąd spalenizny unosił się po mieście, a każdy podmuch wiatru niósł z sobą warstwę popiołu.

Idziemy dalej, a mnie zbiera się na płacz. To miejsce, które mam przed oczami, nie ma nic wspólnego z tym, czego uczono mnie na lekcjach historii. Pokazywano nam uśmiechniętych pilotów wznoszących kciuk do góry, ludzi z terenów przygranicznych, radosnych, ponieważ wreszcie mieli być bezpieczni, domy tak schludnie spopielone, jakby zostały po prostu usunięte z komputerowego ekranu. W podręcznikach historii nie było ludzi, którzy mieszkali w tych domach: byli cieniami, zjawami, byli nierzeczywiści. Dopiero gdy trzymając Aleksa za rękę, wędruję tą zbombardowaną drogą, dociera do mnie, że to wcale nie było tak. Były krew, chaos i odór palonego mięsa. Byli ludzie tacy jak my: gdy zaskoczyły ich bomby, może właśnie jedli, rozmawiali przez telefon, gotowali obiad albo śpiewali pod prysznicem. Przepelnia mnie żal za wszystkim, co zostało utracone, i gniew wobec tych, którzy to zniszczyli. Wobec ludzi z mojego świata – czy może raczej z mojego starego świata. Nie wiem już, kim jestem ani gdzie przynależę. Choć to nie do końca prawda.

Alex. Wiem, że należę do niego.

Nieco bliżej szczytu wzgórza natykamy się na zadbany biały dom pośrodku pola. Jakimś cudem wyszedł z blitzu bez szwanku i gdyby nie oderwana okiennica, która zwisa teraz pod dziwnym kątem, stukając delikatnie na wietrze, mógłby to być dom, jakich w Portland wiele. Wygląda tak niezwykle pośrodku tej pustki, wśród ruin dawnego świata. Niepozornie, jak samotna owca zagubiona na obcym pastwisku.

– Czy ktoś tu teraz mieszka? – pytam Aleksa.  
– Czasami ktoś się tu schroni, kiedy pada albo jest zimno. Ale tylko włóczędzy, Odmieńcy, którzy wybrali życie poza osadami. – Znów chwila wahania przed słowem „Odmieńcy”, grymas, jak gdyby zostawiało ono nieprzyjemny smak w ustach.  
– My raczej trzymamy się od tego miejsca z daleka. Mówi się, że bombowce mogą wrócić, by dokończyć dzieła. Choć może to raczej kwestia przesądów. Ludzie uważają, że ten dom przynosi pecha. – Rzuca mi wymuszony uśmiech. – Jest jednak dokładnie wysprzątnany. Są tu łóżka, koce, ubrania – wszystko. Ja też przyniosłem tu swoje naczynia.  
Alex wspomniał mi kiedyś, że ma swoje własne miejsce w Głuszy, lecz gdy zaczęłam go wypytywać o szczegóły, powiedział tylko, że sama muszę je zobaczyć. Wciąż mnie dziwi to, że tutaj, pośrodku tego pustkowia, żyją ludzie, którzy potrzebują naczyń, koców i tych wszystkich zwyczajnych rzeczy.  
– Tędy.  
Alex schodzi z drogi i ciągnie mnie znowu w stronę lasu. Nawet się cieszę, że znów wchodzimy między drzewa. Ta dziwna otwarta przestrzeń z samotnym domem, rdzewiejącą ciężarówką i zniszczonymi budynkami budzi niepokój. Wygląda jak ziejąca rana na powierzchni świata.  
Tym razem idziemy w miarę wydeptaną ścieżką. Tu również drzewa oznaczone są co jakiś czas niebieską farbą, ale wygląda na to, że znaki nie są już Aleksowi potrzebne. Posuwamy się szybko, jedno za drugim. Na tym odcinku drzewa wycięto, a podszycie usunięto, dzięki czemu wędrówka jest dużo łatwiejsza. Ziemia pod moimi stopami została wydeptana przez dziesiątki stóp, które szły tędy przed nami. Jestem pewna, że to już niedaleko. Serce zaczyna mi mocniej walić w piersi. Nagle Alex odwraca się w moją stronę tak niespodziewanie, że prawie na niego wpadam. Gasi latarkę i w ciemności znów wyrastają dziwne tańczące kształty.  
– Zamknij oczy – mówi i wiem, że się uśmiecha.  
– Po co? I tak niczego nie widzę.  
Niemal słyszę, jak przewraca oczami.  
– Lena, proszę.  
– Dobrze już, dobrze. – Zamykam oczy, a on bierze mnie za rękę. A potem prowadzi kilka metrów, mrużąc: „noga do góry, uważaj na kamień” albo „trochę w lewo”. Przez cały ten czas rośnie we mnie jakiś nerwowy niepokój. Wreszcie zatrzymujemy się i Alex mnie puszcza.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmia z ekscytacją w głosie. –  
Możesz otworzyć oczy.

Zatem otwieram je i na chwilę odbiera mi mowę. Kilka  
razy próbuję wydobyć z siebie jakieś słowa, ale w końcu z  
moich ust wydostaje się jedynie cienki pisk.

moich ust wydostaje się jedynie cienki pisk.

– No i...? – pyta zniecierpliwiony. – Jak ci się podoba?

Wreszcie udaje mi się wyjąkać:

– To... to jest prawdziwe.

Alex prycha.

– Jasne, że jest prawdziwe.

– To znaczy... jest niesamowite.

Robię kilka kroków naprzód. Teraz już nie jestem pewna,  
jak dokładnie wyobrażałam sobie Głuszę, ale cokolwiek to było,  
było na pewno inne niż to. Las przecina długa, szeroka polana,  
porośnięta gdzieśgdzie kępami młodych drzew, które  
wyciągają smukłe gałązki ku niebu rozpiętemu nad naszymi  
głowami niczym rozległy i błyszczący baldachim, z jasnym,  
ogromnym, okrągłym księżycem pośrodku. Dzikie róże oplatają  
pognieciony znak, tak wyblakły, że niemal nieczytelny. Udaje mi  
się jedynie odczytać słowa: CREST VILLAGE MOBILE  
PARK. Polanę zapełniają dziesiątki przyczep oraz innych  
bardziej pomysłowych schronień: brezent rozciągnięty między  
drzewami, w którym koce i zasłonki pod prysznic służą za drzwi  
wejściowe; rdzewiejące ciężarówki z namiotami rozbitymi na  
tyłach przyczep; stare furgonetki z oknami zasłoniętymi  
materiałem dla zachowania prywatności. Polanę pokrywają też  
wgłębienia, gdzie w ciągu dnia palą się ogniska – teraz, dobrze  
po północy, wciąż się tlą, uwalniając smużki dymu i woń  
zwęglonego drewna.

– Widzisz? – Alex uśmiecha się szeroko i zatacza koło  
rękami. – Blitz nie zniszczył wszystkiego.

– Nie mówiłeś... – Ruszam w głąb osady, omijając polana

– Nie mówiłeś... – Ruszam w głąb osady, omijając polana  
ułożone w okrąg, jak salon pod otwartym niebem. – Nie  
mówiłeś mi, że to tak wygląda.

Alex wzrusza ramionami, truchtając obok mnie jak radosny  
psiak.

– To coś, co trzeba zobaczyć na własne oczy. – Dotyka  
czubkiem buta ziemi, którą przysypano dogasające ognisko. –  
Wygląda na to, że spóźniliśmy się na imprezę.

Gdy mijamy poszczególne „domy”, Alex opowiada mi  
nieco o ich mieszkańcach, ciągle mówiąc szeptem, żeby nikogo

nie obudzić. Kilka historii znałam już wcześniej z jego opowieści, kilka zaś jest zupełnie nowych. Szczerze mówiąc, nie słucham go zbyt uważnie, ale cieszy mnie sam dźwięk jego głosu, cichy i spokojny, znajomy i kojący. Chociaż osada nie jest duża – ma może jakieś dwieście metrów długości – mam wrażenie, że świat nagle się rozstał, odkrywając przede mną warstwy i głębie, których istnienia nigdy nie podejrzewałam.

Żadnych murów. Nigdzie. Portland w porównaniu z tym miejscem wydaje się maleńkie niczym plamka światła.

Alex zatrzymuje się przed ciemnoszarą ciężarówką. Nie ma w niej okien, zastąpiono je kolorowymi kawałkami naciągniętego materiału.

– A to, hm, należy do mnie – oświadcza zakłopotany.

Pierwszy raz tej nocy zdradza oznaki zdenerwowania, które i mnie się teraz udziela. Tłumię w sobie nagłą i zupełnie niestosowną w tej chwili chęć, żeby wybuchnąć śmiechem.

– Jej. To jest... to jest...

– Jej. To jest... to jest...

– Z zewnątrz nie wygląda za ciekawie – przerywa mi Alex.

Odwraca wzrok, przygryzając wargę. – Chcesz wejść do środka?

Kiwam głową, pewna, że jeśli spróbuję się odezwać, znowu pisnę. Byłam z nim sam na sam niezliczoną ilość razy, ale ten wydaje się inny. Tutaj nie ma oczu, które nas śledzą, nie ma głosów, które mogą na nas krzyknąć, nie ma rąk gotowych nas rozdzielić – jedynie kilometry przestrzeni. To podniecające i przerażające jednocześnie. Tutaj może zdarzyć się wszystko i kiedy Alex pochyła się, by mnie pocałować, czuję, jak gdyby ciężar aksamitnej ciemności, miękkie kołysanie drzew i tupot niewidzialnych stworzeń uderzyły o moją pierś i sprawiły, że rozpuszczam się w nocy. Gdy się ode mnie odsuwa, mija kilka chwil, nim odzyskuję oddech.

– Chodź – mówi Alex, napierając ramieniem na drzwi przyczepy.

W środku jest bardzo ciemno. Dostrzegam jedynie kilka niewyraźnych kształtów, a kiedy Alex zamyka drzwi, znikają nawet one, wessane w ciemność.

– Nie ma tu prądu – wyjaśnia. Rusza przed siebie, objijając się o różne przedmioty i klnąc pod nosem.

– Masz świece? – pytam. W przyczepie unosi się dziwny, ale bardzo miły zapach, jakby jesiennych liści spadłych z drzew.

Wyczuwam też inne: ostry cytrynowy zapach płynu do czyszczenia oraz bardzo słabą woń benzyny.

– Mam coś lepszego. – Słyszę szmer i z góry spada na mnie mgiełka wody. Wydaję z siebie cichy okrzyk i Alex mówi mi mgiełka wody. Wydaję z siebie cichy okrzyk i Alex mówi szybko:

– Przepraszam, przepraszam. Jakiś czas mnie tu nie było.

Uważaj. – Znowu szelest. A potem, powoli, sufit nad moją głową zaczyna się składać i oto nagle moim oczom ukazuje się niebo w swoim majestacie. Księżyc wisi niemal bezpośrednio nad nami, oświetlając wnętrza przyczepy i powlekając wszystko srebrnym blaskiem. Teraz widzę, że sufit to tak naprawdę ogromny kawałek brezentu, większa wersja tego, jakim osłania się grilla. Alex stoi na krześle i go zwija. Z każdym centymetrem odsłania się nade mną coraz większy skrawek nieba i wszystko w środku błyszczy jeszcze jaśniej.

Oddech więźnie mi w gardle.

– To jest przepiękne.

Alex spogląda na mnie przez ramię i uśmiecha się szeroko.

Co kilka chwil przerywa zwijanie, by przesunąć krzesło, i zaczyna od nowa.

– Kiedyś wichura zerwała połowę dachu. Na szczęście wtedy mnie tu nie było. – Jego ciało również spowite jest srebrnym blaskiem. Tak samo jak w noc oblawy, przywodzi mi to na myśl obrazy aniołów z wyrastającymi skrzydłami. – Stwierdziłem więc, że równie dobrze mogę pozbyć się całości. – Skończywszy zwijanie, zeskakuje z krzesła, odwraca się twarzą do mnie i uśmiecha. – Oto mój dom-kabriolet.

– Jest niesamowity – wzdycham. Niebo wydaje się tak blisko. Mam wrażenie, że jeśli tylko wyciągnę rękę, dotknę księżyca.

– Teraz mogę przynieść świece. – Alex mija mnie w drodze

– Teraz mogę przynieść świece. – Alex mija mnie w drodze do kuchni i zaczyna grzebać w szafkach. Rozpoznaję już większe przedmioty, chociaż detale wciąż kryją się w ciemności. W jednym kącie stoi mały żeliwny piecyk, w przeciwległym – podwójne łóżko. Żołądek kurczy mi się na jego widok, w jednej chwili zalewają mnie tysiące wspomnień: oto Carol siedzi na moim łóżku i opowiada swoim wyważonym głosem o obowiązkach męża i żony; Jenny z ręką na biodrze mówi, że gdy przyjdzie co do czego, nie będę wiedziała, co robić; Hana zastanawia się na głos w szatni, jak to jest uprawiać seks, a ja uciszam ją sykiem i oglądam się przez ramię, by upewnić się, że nikt nas nie słyszał; a do tego szeptane opowieści o Willow Marks. Alex znajduje kilka świec, zapala je jedną po drugiej i



ustawia ostrożnie w pokoju, dzięki czemu moim oczom ukazują się odleglejsze zakamarki. Tym, co uderza mnie najbardziej, są książki: wypukłości, które w półmroku wydawały się stanowić część mebli, okazują się ułożonymi w rzędy książkami – poza biblioteką nigdy nie widziałam ich w takiej ilości. Pod ścianą stoją trzy półki. Nawet stara lodówka, z której zdjęto drzwi, wypełniona jest książkami.

Biorę do ręki świecę i przeglądam tytuły. Nie znam żadnego z nich.

– Co to za książki? – Niektóre wyglądają na bardzo stare, są popękane i zniszczone i boję się, że gdy ich dotknę, rozpadną się w pył. Spoglądam na nazwiska na grzbietach, przynajmniej te, które udaje mi się odczytać: Emily Dickinson, Walt Whitman, te, które udaje mi się odczytać: Emily Dickinson, Walt Whitman, William Wordsworth.

Alex odwraca się w moją stronę.

– To poezja – odpowiada.

– Co to takiego poezja? – Nigdy przedtem nie słyszałam tego słowa, ale podoba mi się jego brzmienie – eleganckie i miłe, przywodzące na myśl piękną kobietę w długiej sukni.

Alex zapala ostatnią świecę. Teraz całą przyczepę wypełnia ciepłe, migotliwe światło. Podchodzi do mnie i przykuca, szukając czegoś między książkami. Wreszcie wyciąga jedną z nich i podaje mi.

Słynna poezja miłosna. Ogarnia mnie dziwny niepokój, gdy widzę słowo „miłosny” tak bezwstydnie wydrukowane na okładce. Alex przygląda mi się uważnie, więc by ukryć zakłopotanie, otwieram książkę i przeglądam listę autorów na pierwszej stronie.

– Szekspir? – To nazwisko znam ze szkoły. – Ten, który napisał Romea i Julię? Tę opowieść z morałem?

Alex prycha.

– To nie jest opowieść z morałem. To cudowna historia miłosna.

Przypomina mi się moja pierwsza ewaluacja – kiedy po raz pierwszy ujrzałam Aleksa. Mam wrażenie, że to było wieki temu. Pamiętam, jak mój umysł wyrzucił z siebie słowo „piękna”. I pamiętam, że myślałam wtedy o poświęceniu.

– Zakazali poezji wiele lat temu, zaraz po odkryciu remedium. – Bierze ode mnie książkę i otwiera ją. – Chciałabyś usłyszeć wiersz?

usłyszeć wiersz?

Kiwam głową.

Alex odkasłuje, chrząka, a potem prostuje plecy i odchyła głowę, jakby był piłkarzem mającym zaraz wbiec na boisko.

– No dalej – mówię ze śmiechem. – Nie przedłużaj.

Alex jeszcze raz chrząka i zaczyna czytać:

– Czy mam przyrównać cię do dnia letniego?<sup>1</sup>

Zamykam oczy i słucham. Zaznane niedawno uczucie otulającego mnie ciepła wzbiera we mnie jak fala. Poezja nie przypomina żadnych znanych mi utworów. Nie rozumiem z niej wszystkiego, docierają do mnie jedynie strzępy obrazów; zdania wydają się niedokończone, unoszą się w powietrzu jak jasne wstążki na wietrze. Przypomina mi to muzykę, która oszołomiła mnie prawie dwa miesiące temu, wtedy, na farmie. Działa na mnie tak samo, napełniając mnie smutkiem i szczęściem jednocześnie.

Alex kończy czytanie. Kiedy podnoszę powieki, widzę jego oczy wpatrzone we mnie.

– Co? – pytam. Intensywność jego spojrzenia niemal odbiera mi dech, tak jakby spoglądał prosto w moją duszę.

Nie odpowiada. Przewraca kilka kartek, ale nie zagląda do książki. Cały czas wpatruje się we mnie.

– Chcesz usłyszeć inny wiersz? – Nawet nie czeka na odpowiedź, tylko zaczyna mówić: – Jak cię kocham? Poczekaj

– wszystko ci wyłożę<sup>2</sup>.

I znów zakazane słowo: „kocham”. Kiedy słyszę je w ustach Aleksa, serce mi staje, a potem zaczyna szaleńczo bić.

– Kocham do dna, po brzegi, do samego szczytu...

– Kocham do dna, po brzegi, do samego szczytu...

Jestem świadoma, że tylko recytuje czyjeś słowa, lecz i tak wiem, że płyną prosto z serca. W jego oczach tańczy światło. W każdej źrenicy widzę jasne punkty odbijających się płomieni świec. Podchodzi do mnie i delikatnie całuje w czoło.

– Kocham cię tak przyziemnie, jak tylko zejść może głód... Mam wrażenie, że podłoga się kołysze, że zaraz upadnę.

– Alex... – zaczynam, ale słowa więzną mi w gardle.

A on całuje mój policzek, potem drugi – rozkoszny, delikatny pocałunek, ledwie muskający skórę.

– Tak śmiało i tak czysto...

– Alex – powtarzam, tym razem nieco głośniejsze. Serce bije mi tak szybko, że chyba zaraz wyrwie się z piersi.

Alex cofa się o krok i rzuca mi delikatny, szelmowski uśmiech.

– Elizabeth Barrett Browning – mówi, a potem przejeżdża palcem po moim nosie. – Nie podoba ci się?

Zadaje to pytanie głośno i z taką powagą, do tego wciąż patrząc mi w oczy, że wydaje mi się, jakby tak naprawdę pytał mnie o coś zupełnie innego.

– Nie. To znaczy tak. To znaczy podoba mi się, ale... –

Tak naprawdę nie wiem, co chcę powiedzieć. Nie jestem w stanie jasno myśleć ani mówić. W moim wnętrzu kotłuje się tylko jedno słowo, niczym sztorm, niczym huragan, i muszę mocno zaciskać usta, by nie przedarło się przez krtań i nie wydostało na zewnątrz. Kocham, kocham, kocham. Słowo, którego nigdy w życiu nie wyrzekłam, do nikogo, słowo, którego nawet nie ośmieliłam się pomyśleć.

– Nie musisz niczego tłumaczyć. – Alex cofa się jeszcze o krok. I znów mam wrażenie, że rozmawiamy o czymś innym. Wiem, że w jakiś sposób go rozczarowałam. To, co właśnie zaszło między nami, a coś na pewno zaszło, nawet jeśli nie jestem pewna co, jak ani dlaczego, wprowadziło go w smutek. Widzę to w jego oczach, nawet jeśli wciąż się uśmiecha, i pragnę go przeprosić, zarzucić mu ręce na szyję i powiedzieć, by mnie pocałował. Ale wciąż boję się otworzyć usta, boję się, że to słowo mi się wymknie, i ze strachem myślę, co mogłoby nastąpić potem.

– Chodź tutaj. – Alex odkłada książkę i podaje mi rękę. – Chcę ci coś pokazać.

Prowadzi mnie do łóżka, a mnie znów ogarnia onieśmienie. Nie wiem, czego ode mnie oczekuje, i kiedy siada, ociągając się, zakłopotana.

– W porządku, Lena. – Jak zawsze brzmienie mojego imienia w jego ustach uspokoja mnie. Wspina się tyłem na łóżko i kładzie się na plecach, a ja robię to samo, i leżymy tak jedno obok drugiego. Łóżko jest wąskie, ale miejsca w nim w sam raz dla nas dwojga.

– Widzisz? – mówi Alex, wskazując do góry podbródkiem.

Nad naszymi głowami migoczą gwiazdy. Są ich tysiące, takie nieprzebrane mnóstwo, że wyglądają jak płatki śniegu wirujące na tle atramentowego nieba. Z mojej piersi wyrывa się westchnienie. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek w swoim życiu widziała tyle gwiazd. Niebo wydaje się tak bliskie, zawieszony tak nisko nad otwartą przyczepą, nad naszymi głowami, że mam wrażenie, jakbyśmy na nie spadali; że moglibyśmy zeskoczyć z łóżka, a niebo by nas złapało, przytrzymało, odbiło jak

trampolina.

– O czym teraz myślisz? – pyta Alex.

– Kocham ten widok – wymyka mi się i nagle ciężar spada mi z piersi. – Kocham – powtarzam, smakując to słowo. Łatwe do wypowiedzenia, jeśli już raz się to zrobi. Krótkie. Pełne znaczeń. Jak delikatne westchnienie. To nie do wiary, że nigdy wcześniej go nie wyrzekłam.

Czuję, że Alex jest zadowolony. Uśmiech w jego głosie staje się bardziej promienny.

– Brak kanalizacji trochę daje w kość. Ale widok, musisz przyznać, jest obłędny.

– Chciałabym tu z tobą zostać – wyrywa mi się, ale poprawiam się szybko: – To znaczy nie tak naprawdę. Nie na zawsze, ale... pewnie wiesz, co mam na myśli.

Alex wsuwa mi ramię pod kark, podciągam się do góry i kładę głowę tuż nad jego obojczykiem, w miejsce, które wydaje się stworzone idealnie dla niej.

– Cieszę się, że to zobaczyłaś – mówi.

Przez chwilę leżymy w milczeniu. Jego pierś unosi się miarowo i po chwili ten ruch zaczyna kołysać mnie do snu. Ręce i nogi mam niewiarygodnie ciężkie, a gwiazdy zdają się układać i nogi mam niewiarygodnie ciężkie, a gwiazdy zdają się układać w słowa. Chcę na nie patrzeć, odczytać ich znaczenie, lecz powieki również mi ciążą: nie jestem w stanie, choćby nie wiem co, utrzymać otwartych oczu.

– Alex?

– Tak?

– Powiesz mi jeszcze raz ten wiersz? – Mój głos wcale nie brzmi jak mój. Słowa wydają się dochodzić z oddali.

– Który? – szepcze Alex.

– Ten, który znasz na pamięć. – Odpływam.

– Wiele wierszy znam na pamięć.

– No to którykolwiek.

Alex bierze głęboki oddech i zaczyna:

– Noszę twe serce z sobą. Noszę je w moim sercu.

Nigdy się z nim nie rozstaję3...

Mówi dalej, słowa spływają przeze mnie, podobnie jak słońce przenika powierzchnię wody i sączy się w głębinę, rozjaśniając jej mroki. Oczy mam zamknięte. Co niesamowite, wciąż widzę gwiazdy: całe galaktyki kwitnące z niczego – różowe i fioletowe słońca, ogromne srebrzyste oceany, tysiące białych księżyców.

Kiedy Alex delikatnie mnie budzi, mam wrażenie, że zdrzemnęłam się na jakieś pięć minut. Niebo jest wciąż atramentowoczarne, księżyc wysoki i jasny, ale po kałużach atramentowoczarne, księżyc wysoki i jasny, ale po kałużach wosku wokół świec poznaję, że musiałam odpłynąć na godzinę albo nawet dłużej.

– Czas na nas – oznajmia, odsuwając mi włosy z czoła.

– Która godzina? – Mój głos jest gęsty od snu.

– Dochodzi trzecia. – Alex siada i wyskakuje z łóżka, a potem wyciąga rękę i pomaga mi się podnieść. – Musimy przekroczyć granicę, zanim obudzi się Śpiąca Królowa.

– Śpiąca Królowa?

Alex śmieje się cicho.

– Po poezji – mówi, pochylając się, by mnie pocałować – przierzucamy się na baśnie.

Wracamy tą samą trasą. Najpierw idziemy przez las, potem zniszczoną drogą obok zbombardowanych domów i znowu przez las. Przez cały czas czuję, jak gdybym nie do końca się obudziła. Nie jestem nawet przerażona ani zdenerwowana, kiedy wspinamy się na ogrodzenie. Za drugim razem przedostanie się przez drut kolczasty jest o wiele prostsze. Mam wrażenie, że cienie są materialne i osłaniają nas niczym peleryna. Strażnik w budce numer dwadzieścia jeden wciąż siedzi w tej samej pozycji – przechylona głowa, nogi na biurku, otwarte usta. Przemykamy w stronę zatoki, a potem przekradamy się cicho ulicami w stronę Deering Highlands i wtedy właśnie nachodzi mnie przedziwna myśl, na pół lęk, na pół pragnienie: że może to wszystko jest snem i gdy się obudzę, znajdę się w Głuszy. Może się obudzę i okaże się, że zawsze tam mieszkałam, że całe Portland – laboratorium, godzina policyjna i zabieg – było długim, chorym koszmarem.

koszmarem.

Gdy wchodzimy przez okno do domu przy Brooks Street 37, uderza nas upał i zapach pleśni. Spędziłam w Głuszy zaledwie kilka godzin i już za nią tęsknię – za wiatrem między drzewami szumiącym jak ocean, niesamowitym zapachem kwitnących roślin, chrobotem niewidzialnych stworzeń – za tym rozbuchanym życiem, rozpierającym się we wszystkich kierunkach, bez końca.

A do tego brak murów...

Alex prowadzi mnie do sofy, przykrywa kocem, całuje i życzy dobrej nocy. Ma poranną zmianę w laboratorium i ledwo starczy mu czasu, by wrócić do domu, wziąć prysznic i zdążyć

do pracy. Słyszę jeszcze jego kroki niknące w ciemności.

A potem zasypiam.

Miłość – jedno słowo, niby nic, nieznaczące jak ostrze noża.

Właśnie tym jest: ostrzem, krawędzią. Przechodzi przez środek twojego życia, dzieląc wszystko na pół. Przed i po. Cały świat spada na którąś ze stron.

Przed i po. I w trakcie – moment na krawędzi.

## 19

Wolność albo śmierć.

Starożytne powiedzenie nieznanego pochodzenia,  
wymienione w Szczegółowym wykazie  
niebezpiecznych słów i idei, [www.swnsi.gov.org](http://www.swnsi.gov.org)  
niebezpiecznych słów i idei, [www.swnsi.gov.org](http://www.swnsi.gov.org)

Jedną z najdziwniejszych rzeczy w życiu jest to, że będzie ono parło do przodu, ślepe i nieświadome, nawet gdy nasz prywatny świat – nasza mała wykrojona przestrzeń – jest niszczone przez kataklizmy, a nawet się rozpada. Jednego dnia masz rodziców, następnego jesteś sierotą. Dzisiaj znasz swoje miejsce i wiesz, dokąd zmierzasz, jutro błądasz się po pustkowiu. A słońce nadal wschodzi, chmury płyną po niebie, ludzie chodzą na zakupy, woda szumi w rurach, żaluzje w oknach wędrują w górę i w dół. To właśnie wtedy uświadamiasz sobie, że w tym wszystkim – w życiu, w tym nieubłaganym mechanizmie istnienia – nie chodzi wcale o ciebie. Ono wcale się z tobą nie liczy. Życie będzie się toczyło dalej, nawet kiedy przejdiesz na drugą stronę. Nawet po twojej śmierci.

Kiedy wracam rankiem do miasta, najbardziej zaskakuje mnie normalność wszystkiego. Nie wiem, czego oczekiwałam. Nie myślałam przecież, że domy zawałą się w ciągu nocy albo że ulice zmienią się w rumowiska, ale i tak szokujący jest dla mnie widok rzeki ludzi z aktówkami, właścicieli otwierających sklepy czy pojedynczego samochodu, którego kierowca toruje sobie drogę przez ulicę.

Wydaje mi się absurdalne, że oni nie wiedzą, że nie wyczuli żadnej zmiany ani wstrząsu, chociaż moje życie przewróciło się do góry nogami. W drodze do domu ogarnia mnie paranoja, że ktoś może poczuć ode mnie zapach Głuszy, poznać po mojej minie, że przekroczyłam granicę. Kark mnie swędzi, jakby minie, że przekroczyłam granicę. Kark mnie swędzi, jakby drapały mnie gałęzie, i ciągle przejeżdżam po nim ręką, by się upewnić, że żaden liść ani gałązka się do mnie nie przyczepiły – choć przecież Portland nie jest pozbawione drzew, więc nie byłoby w tym nic podejrzanego. Jednak nikt nawet nie zerka w moją stronę. Dochodzi dziewiąta i większość ludzi spieszy się do

pracy. Nieprzebrana fala zwyczajnych osób robiących zwyczajne rzeczy, patrzących prosto przed siebie, niezwracających uwagi na niską, przeciętną dziewczynę z wypchanym plecakiem.

Na niską, przeciętną dziewczynę z sekretem, który płonie w jej sercu jak ogień.

Wydaje mi się, że ta noc w Głuszy wyostrzyła moje zmysły. Chociaż na pozór wszystko wygląda tak samo, to w jakiś sposób wydaje się inne, prowizoryczne, jak gdybym była w stanie przeniknąć przez budynki, niebo, a nawet ludzi. Pamiętam, jak byłam mała i obserwowałam Rachel budującą na plaży zamek z piasku. Pracowała nad nim godzinami, używając różnych foremek, by ukształtować wieżyczki. Kiedy skończyła, wyglądał idealnie, niemal jak wykuty z kamienia. Ale kiedy przyszedł przyływ, wystarczyły dwie albo trzy fale, by rozmyć jego kształt. Pamiętam, jak bardzo wtedy płakałam, a mama kupiła mi lody w wafelku i kazała podzielić się nimi z Rachel. Właśnie tak wygląda Portland tego ranka: jak konstrukcja, która zaraz może się rozpląnąć.

Myślę o tym, co ciągle powtarza Alex: „jest nas więcej, niż możesz sobie wyobrazić”. Rzucam ukradkowe spojrzenia na każdego, kto mnie mija, z nadzieją, że uda mi się odczytać na jego twarzy jakieś sekretne znaki, ślad przynależności do ruchu oporu, ale wszyscy wyglądają tak jak zwykle: zmęczeni, rozdrażnieni, zabiegani, pogrążeni w swoich myślach.

Kiedy wchodzę do domu, Carol zmywa w kuchni naczynia. Próbuję szybko przemknąć na górę, ale ciotka mnie woła, więc zatrzymuję się z jedną nogą na schodach. Carol wychodzi na korytarz, wycierając ręce w ścierkę.

– Jak było u Hany? – pyta. Bada wzrokiem moją twarz, jakby szukała jakichś śladów. Próbuję zwalczyć następny atak paranoi. Nie ma szans wiedzieć, gdzie byłam.

– W porządku – mówię, wzruszając ramionami i siląc się na naturalność. – Chociaż niezbyt się wyspałam.

– Mhm. – Carol dalej spogląda na mnie badawczo. – A co porabialiście?

Nigdy nie pyta o to, co robię u Hany, nie pytała o to od lat. Coś jest nie tak.

– No wiesz, to co zwykle. Oglądałyśmy telewizję. Hana odbiera chyba z siedem kanałów. – Nie jestem w stanie stwierdzić, czy mój głos brzmi nienaturalnie, czy tylko tak mi się wydaje.

Carol odwraca wzrok, wykrzywiając usta, jak gdyby przez przypadek napiła się kwaśnego mleka. Jestem pewna, że zaraz powie mi coś strasznego. Zawsze robi taką skwaszoną minę, gdy musi oznajmić złe wieści. Wie o Aleksie, wie o nim, wie. Ściany napierają na mnie, a upał dławi niemiłosiernie.

A wtedy, ku mojemu zaskoczeniu, jej usta układają się w  
A wtedy, ku mojemu zaskoczeniu, jej usta układają się w uśmiech, wyciąga rękę i kładzie ją na moim ramieniu.

– Wiesz, Leno... wkrótce wszystko się zmieni.

Przez ostatnią dobę udawało mi się nie myśleć o zabiegu, ale teraz ta okropna liczba na nowo wyrasta w mojej głowie, rzucając złowróżbny cień na wszystko. Siedemnaście dni.

– Wiem – odpowiadam cienkim głosem. Teraz z pewnością brzmi on nienaturalnie.

Carol kiwa głową z dziwnym półuśmiechem przyklejonym do twarzy.

– Pewnie trudno ci uwierzyć, ale gdy będzie po wszystkim, nie będziesz za nią tęsknić.

– Wiem – powtarzam. Czuję ogromną gulę w gardle.

Ciotka dalej energicznie kiwa głową. Wygląda, jakby była przywiązana do jo-jo. Mam wrażenie, że chce powiedzieć coś więcej, coś pocieszającego, ale najwyraźniej nic nie może wymyślić, ponieważ przez chwilę stoimy w milczeniu.

Wreszcie odzywam się:

– Idę na górę. Pod prysznic. – Muszę zmobilizować wszystkie siły, żeby wydusić z siebie te słowa. „Siedemnaście dni” rozbrzmiewa mi pod czaszką jak alarm.

Carol najwyraźniej z ulgą przyjmuje przerwanie milczenia.

– Dobrze – mówi tylko. – Dobrze.

Wchodzę po schodach po dwa stopnie naraz. Nie mogę się doczekać, aż zamknę się w łazience. Choć w domu jest pewnie ze trzydzieści stopni, marzę, by stanąć pod strumieniem gorącej wody i zamienić się w parę.

– Ach, Lena, jeszcze jedno! – krzyczy za mną Carol, jakby

– Ach, Lena, jeszcze jedno! – krzyczy za mną Carol, jakby coś sobie przypomniała. Odwracam się. Nie patrzy na mnie, wbiła wzrok w rąbek postrzępionej ścierki. – Przebierz się w coś ładnego. W jakąś sukienkę. Albo te śliczne białe spodnie, które dostałaś w tamtym roku. I uczesz się. Nie czekaj, aż włosy same ci wyschną.

– Ale po co? – Nie podoba mi się sposób, w jaki na mnie patrzy, tym bardziej że jej usta znowu się dziwnie wykrzywiają.

– Zaprosiłam dziś Briana Scharffa – mówi niby od



niechcenia, jakby to była najnormalniejsza rzecz w świecie.

– Briana Scharffa? – powtarzam z niedowierzaniem. Jego nazwisko brzmi dziwnie w moich ustach i zostawia na języku smak metalu.

Carol natychmiast podnosi głowę i spogląda na mnie.

– Nie samego – dodaje szybko. – Oczywiście, że nie samego. Przyjdzie z matką. I ja też tu będę, rzecz jasna. Poza tym Brian miał zabieg w zeszłym miesiącu. – Jak gdyby to było całym moim zmartwieniem.

– Przychodzi tu? Dzisiaj? – Muszę się przytrzymać ręką ściany. Jakimś cudem udało mi się zupełnie wymazać z umysłu nazwisko Briana Scharffa wydrukowane równo na białej kartce. Carol myśli pewnie, że jestem zdenerwowana perspektywą spotkania z nim, ponieważ uśmiecha się do mnie.

– Nie martw się, Leno. Będzie dobrze. My zajmiemy się rozmową. Pomyślałam tylko, że powinniście się spotkać, skoro... – Nie kończy zdania. Nie musi.

Skoro jesteśmy sparowani. Skoro się pobierzemy. Skoro mam z nim spać, budzić się koło niego przez resztę życia, pozwolić mu się dotykać, siedzieć naprzeciwko niego przy stole, jedząc szparagi z puszki i słuchając jego trajkotania na temat kanalizacji, stolarki czy innego zajęcia, do którego zostanie przydzielony.

– Nie!

Carol wygląda na zaskoczoną. Nieczęsto słyszy to słowo, a już na pewno nie z moich ust.

– Co to znaczy „nie”?

Oblizuję nerwowo wargi. Wiem, że odmawianie jej jest ryzykowne, i wiem, że nie powinnam tego robić. Ale nie mogę się spotkać z Brianem Scharffem. Nie dam rady. Nie jestem w stanie siedzieć i udawać, że go lubię, ani słuchać Carol rozprawiającej o tym, gdzie będziemy mieszkać za kilka lat, podczas gdy Alex jest gdzieś daleko i czeka na spotkanie ze mną, bębni palcami w stół podczas słuchania muzyki albo robi cokolwiek innego.

– Chodzi mi o to... – szukam jakiejś wymówki. – Chodzi mi o to... czy nie możemy się spotkać kiedy indziej? Nie czuję się najlepiej. – Przynajmniej to jest prawdą.

Carol marszczy brwi.

– To tylko godzina, Leno. Jeśli czułaś się na tyle dobrze, by spędzić noc u Hany, równie dobrze poradzisz sobie z tym.

– Ale... ale... – Zwijam rękę w pięść, wbijając paznokcie w dłoń, aż zaczyna w niej pulsować ból, na którym skupiam się

rozpaczliwie. – Chciałam, żeby to była niespodzianka.

Głos Carol staje się nieprzyjemny.

Głos Carol staje się nieprzyjemny.

– W tym nie ma nic z niespodzianki, Lena. Taka jest kolej rzeczy. To jest twoje życie. To jest twój partner. Spotkasz się z nim i polubisz go, i tyle. A teraz idź na górę i weź prysznic. Będą tu o pierwszej.

Alex kończy dziś pracę w południe. Miałam się z nim spotkać. Byliśmy umówieni na piknik przy Brooks Street, jak zawsze, gdy wracał z porannej zmiany, by rozkoszować się całym wspólnym popołudniem.

– Ale... – próbuję protestować, nie wiedząc, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

– Żadnych „ale”. – Carol krzyżuje ramiona i spogląda na mnie surowo. – Na górę.

Nie mam pojęcia, jakim cudem udaje mi się wejść po schodach. Wściekłość zasnuwa mi mgłą oczy. Jenny stoi na półpiętrze i żuje gumę, ubrana w stary kostium kąpielowy Rachel, który jest na nią zdecydowanie za duży.

– Co ci jest? – pyta, gdy ją mijam.

Nie odpowiadam. Lecę prosto do łazienki i odkręcam kurek, ustawiając wodę na największą temperaturę. Carol nie znosi żadnego marnotrawstwa, więc zwykle biorę bardzo szybki prysznic, ale dzisiaj mam to gdzieś. Siadam na sedesie i przygryzam palce w ustach, by zdławić krzyk. To wszystko moja wina. Ignorowałam datę zabiegu i nie dopuszczałam do siebie nawet myśli o Brianie Scharffie. A Carol ma rację: to jest właśnie moje życie i taka jest kolej rzeczy. Nie zmienię tego. Biorę głęboki oddech i powtarzam sobie, że nie mogę się zachowywać jak dziecko. Każdy musi kiedyś dorosnąć. Na zachowywać jak dziecko. Każdy musi kiedyś dorosnąć. Na mnie przyjdzie pora trzeciego września.

Już mam wstać, kiedy obraz Aleksa z ostatniej nocy – stojącego tuż obok mnie, mówiącego te dziwne, cudowne słowa: Kocham do dna, po brzegi, do samego szczytu – znowu podcina mi nogi i opadam ciężko z powrotem.

Alex się śmieje, oddycha, żyje – z dala ode mnie, dla mnie nieznanym. Zalewają mnie fale mdłości i znów zginam się w pół, z głową między kolanami.

To choroba panoszy się we mnie. Polepszy mi się po zabiegu – tłumaczę sobie.

Ale to wszystko na nic. Kiedy wreszcie udaje mi się wejść pod prysznic, próbuję zatracić się w rytmie wody bijącej o

kafelki, lecz przed oczyma ciągle mam Aleksa, jak mnie całuje, głaszcze po włosach, delikatnie muska moją skórę, a jego palce tańczą i migoczą niczym światło świecy, które zaraz zostanie zdmuchnięte.

Najgorsze w tym wszystkim jest to, że nawet nie mogę poinformować Aleksa, że nie dam rady się z nim dzisiaj spotkać. Dzwonienie do niego byłoby zbyt niebezpieczne. Chciałam pójść do laboratorium i powiedzieć mu o tym osobiście, lecz kiedy umyta i przebrana schodzę na dół i zmierzam w stronę drzwi, Carol zatrzymuje mnie.

– A ty gdzie się wybierasz? – mówi ostro. Najwyraźniej wciąż jest na mnie zła za wcześniejszą kłótnię, ba, może nawet obrażona. Na pewno myśli, że powinnam skakać z radości, obrażona. Na pewno myśli, że powinnam skakać z radości, ponieważ wreszcie zostałam sparowana. Ma prawo tak myśleć – w końcu kilka miesięcy temu na pewno skakałabym z radości. Spuszczam wzrok, siląc się na słodki i łagodny ton.

– Pomyślałam, że przejdę się na spacer, zanim Brian przyjdzie. – Staram się wywołać na twarzy rumieniec. – Jestem trochę zdenerwowana.

– Już i tak dużo czasu spędzasz poza domem – odpowiada warkliwie Carol. – Tylko się spocisz i ubrudzisz. Jeśli nie masz co robić, możesz mi pomóc przy porządkach w bieliźniarce. Nie mogę się jej sprzeciwić, więc wracam razem z nią na górę. Carol podaje mi po kolei przetarte ręczniki, a ja szukam w nich dziur i plam, rozkładam i składam, liczę serwetki. Z bezsilnej złości cała się trzęsę. Alex będzie się zastanawiał, co się ze mną stało. Będzie się martwił. Albo jeszcze gorzej – pomyśli, że go specjalnie unikam. Może pomyśli, że pobyt w Głuszy mnie odstraszył.

Z przerażeniem czuję, ile we mnie teraz agresji – jak gdybym była opętana, zdolna do wszystkiego. Mam ochotę rzucić się na ściany, spalić dom, byle tylko nie stać beczynnym. Kilka razy wyobrażam sobie, jak biorę jedną z tych głupich ścierek Carol i duszę moją opiekunkę. Właśnie przed tym ostrzegały mnie wszystkie podręczniki, Księga SZZ, rodzina i nauczyciele. Nie wiem już, czy to oni mają rację, czy Alex. Nie wiem, czy te uczucia – to coś, co we mnie wzbiera – jest czymś straszliwym i chorym, czy też najlepszą rzeczą, jaka mi się w życiu przytrafiła.

życiu przytrafiła.

W każdym razie nie jestem już w stanie tego powstrzymać. Straciłam kontrolę. I naprawdę chore jest to, że mimo wszystko

nie żałuję.

O wpół do pierwszej Carol każe mi zejść na dół do salonu, który sprzątnęła na błysk. Zamówienia ze sklepu, zazwyczaj leżące gdzie popadnie, ułożyła w równy stos, nie widać też żadnego ze starych podręczników czy zepsutych zabawek, które zwykle walają się po podłodze. Sadza mnie na sofie i zaczyna czesać. Czuję się jak klacz wystawowa, ale wiem, że lepiej zachować tę myśl dla siebie. Jeśli będę robić wszystko, co mi każe – jeśli wszystko pójdzie gładko – może uda mi się jeszcze pobiec na Brooks Street po wyjściu Briana.

– No – mówi Carol, cofając się i przyglądając mi się krytycznym wzrokiem. – Już nic lepszego nie da się z tobą zrobić. Przygryzam wargę i odwracam głowę. Nie chcę, by zauważyła, jak bardzo zraniły mnie jej słowa. Niesamowicie, ale właściwie zapomniałam, że jestem uważana za przeciętną. Tak bardzo przywykłam słyszeć od Aleksa, jaka jestem piękna. Tak przywykłam do tego, że czuję się piękna w jego towarzystwie. W mojej piersi otwiera się czarna ziejąca jama. Właśnie tak będzie wyglądało życie bez niego: wszystko na powrót stanie się zwyczajne. Ja znowu będę zwyczajna.

Kilka minut po pierwszej słyszę skrzypnięcie bramy i kroki na ścieżce wiodącej do drzwi. Byłam tak pochłonięta myślami o Aleksie, że nie miałam czasu, aby denerwować się przybyciem Briana. Teraz dopada mnie dzika chęć, by wybiec przez Briana. Teraz dopada mnie dzika chęć, by wybiec przez kuchenne drzwi albo wyskoczyć przez otwarte okno. Wizja tego, co zrobiłaby Carol, gdybym przebiła kopniakiem moskitierę, wywołuje mój niekontrolowany atak śmiechu.

– Lena – syczy na mnie Carol w momencie, gdy Brian i jego matka pukają do drzwi. – Zachowuj się.

Po co? – ciśnię mi się na usta. Przecież i tak nic z tym nie może zrobić, nawet jeśli mnie znienawidzi. Jest na mnie skazany, tak jak ja na niego. Oboje jesteśmy skazani.

Przypuszczam, że właśnie na tym polega dorosłość.

W mojej wyobraźni Brian Scharff był wysokim, grubym, zwalistym chłopakiem. W rzeczywistości jest niewiele wyższy ode mnie – jak na faceta jest więc wyjątkowo niski – i tak chudy, że podczas powitalnego uścisku ręki boję się, że złamię mu nadgarstek. Dłoń ma całą wilgotną od potu i ledwie ściska moją. Mam wrażenie, że trzymam mokrą chusteczkę. Potem, gdy wszyscy zasiadamy do stołu, ukradkiem wycieram ręce o spodnie.

– Bardzo wam dziękuję za przybycie – mówi Carol i

następuje długa, niezręczna cisza, w której słyszę, jak Brian świszczy przez nos. Brzmi to tak, jak gdyby w jego kanale nosowym utkwiło konające zwierzę.

Pewnie gapię się na niego, ponieważ pani Scharff spieszy z wyjaśnieniem:

– Brian ma astmę.

– Aha – bąkam.

– Alergia jeszcze pogarsza sprawę.

– Mhm. A na co ma alergię? – pytam, ponieważ wygląda,

– Mhm. A na co ma alergię? – pytam, ponieważ wygląda, jakby czekała na to pytanie.

– Na kurz – mówi pani Scharff z emfazą, jak gdyby pragnęła wypowiedzieć te słowa od chwili, gdy przekroczyła próg naszego domu. Toczy krytycznym wzrokiem po pokoju, który bynajmniej nie jest zakurzony, i Carol oblewa się rumieńcem. – I na pyłki kwiatów. Na sierść psów i kotów, rzecz jasna, na orzeszki ziemne, owoce morza, produkty pszenne, nabiał i czosnek.

– Nie wiedziałam, że można mieć alergię na czosnek – wrywa mi się mimo woli.

– Jego twarz puchnie jak balon. – Pani Scharff spogląda na mnie z wyrzutem, jak gdybym w jakiś sposób była za to odpowiedzialna.

– Aha – bąkam znów, a potem na nowo zapada niewygodna cisza. Brian nic nie mówi, ale rzeźi jeszcze głośniejszym przedtem.

Tym razem Carol przychodzi na ratunek.

– Leno – odzywa się. – Brian i pani Scharff pewnie napiliby się wody.

Nigdy w życiu nie byłam tak wdzięczna za pretekst do opuszczenia pokoju. Podskakuję z krzesła, prawie przewracając lampę kolanem.

– Oczywiście. Już przynoszę.

– Tylko żeby była filtrowana! – krzyczy za mną pani Scharff. – I nie za dużo lodu!

W kuchni powoli nalewam wodę do szklanek – z kranu, W kuchni powoli nalewam wodę do szklanek – z kranu, oczywiście – i delektuję się uderzeniem zimnego powietrza z lodówki. Z salonu dobiega mnie cichy pomruk konwersacji, ale nie słyszę, kto mówi ani o czym. Może to pani Scharff postanowiła powtórzyć listę alergii Briana.

Wiem, że muszę tam wrócić, lecz nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Kiedy wreszcie zmuszam je do wyjścia, czuję,

jakby były z ołowiu. Choć i tak niosą mnie zbyt szybko. Ciągłe mam przed oczami bezkresny ciąg nijakich dni, dni w kolorze bladożółtym i białym jak pigułki, dni o gorzkim posmaku leków. Ranki i wieczory wypełnione cichym szmerem nawilżacza, miarowym rżeniem Briana i ciągłym kap, kap, kap z ciekącego kranu.

Przed tym nie ma ucieczki. Korytarz niestety nie ciągnie się bez końca i wreszcie docieram do salonu. Wchodzę do niego dokładnie w momencie, gdy Brian oświadcza:

– Wcale nie jest taka ładna jak na zdjęciach.

On i jego matka siedzą plecami do mnie, ale gdy Carol na mój widok otwiera usta, oboje odwracają głowy. Przynajmniej mają tyle przyzwoitości, by wyglądać za zakłopotanych.

Chłopak szybko spuszcza wzrok, a matka się rumieni.

Nigdy nie czułam się tak upokorzona, taka obnażona. To jeszcze gorsze niż stanie w przezroczystym szpitalnym uniformie podczas ewaluacji pod jarzącym światłem fluorescencyjnych lamp. Ręce trzęsą mi się tak potwornie, że woda wylewa się ze szklanek.

– Przyniosłam wodę. – Nie wiem, skąd biorę siłę, by obejść sofę i postawić szklanki na ławie. – Nie dałam za dużo obejść sofę i postawić szklanki na ławie. – Nie dałam za dużo lodu.

– Leno... – Carol chce coś powiedzieć, ale przerywam jej.

– Przepraszam. – Jakimś cudem udaje mi się nawet przywołać na twarz uśmiech, ale utrzymuję go tylko przez ułamek sekundy. Moja szczęka również drży i wiem, że lada chwila wybuchnę płaczem. – Nie czuję się najlepiej. Chyba powinnam wyjść na powietrze.

Nie czekam na pozwolenie. Odwracam się i wybiegam przez frontowe drzwi. Gdy je popycham, słyszę, jak Carol przeprasza za moje zachowanie.

– Ma jeszcze kilka tygodni do zabiegu – wyjaśnia. – Więc musicie jej wybaczyć to przewrażliwienie. Jestem pewna, że to minie... Gdy tylko znajduję się na zewnątrz, palące łzy napływają mi do oczu. Świat zaczyna się rozpląwać, kolory i kształty zlewają się w jedno. Powietrze jest zupełnie nieruchome. Słońce, które niedawno minęło zenit, wygląda jak płaski biały dysk, jak koło rozgrzanego metalu. Między gałęzie drzew zaplątał się czerwony balonik i teraz, sflaczały do połowy, podskakuje niemrawo na sznurku.

Nie mam pojęcia, jak spojrzeć w oczy Brianowi Scharffowi, kiedy wrócę do środka. Nie mam pojęcia, jak

kiedykolwiek spojrzę mu w oczy. Tysiące okropnych myśli przelatują mi przez głowę, tysiące zniewag, które mogłabym mu rzucić w twarz: przynajmniej nie przypominam tasiemca. Albo: czy nie przyszło ci nigdy do głowy, że może masz alergię na życie? Jednak wiem, że żadnej z tych rzeczy nie powiem – nie życie? Jednak wiem, że żadnej z tych rzeczy nie powiem – nie mogę. Poza tym tak naprawdę nie w tym rzecz, że on rzezi ani że ma alergię na wszystko. Nieważne jest nawet to, że nie uważa mnie za ładną.

Problem w tym, że to nie Alex.

Za moimi plecami skrzypią drzwi.

– Lena? – słyszę głos Briana.

Szybko ocieram łzy. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, jest to, by Brian dowiedział się, że jego głupia uwaga dotknęła mnie do żywego.

– Już mi lepiej – odpowiadam, nie odwracając się, ponieważ wiem, że muszę wyglądać jak sto nieszczęść. – Zaraz wracam do środka.

Brian musi być albo głupi, albo uparty, ponieważ zamiast zostawić mnie w spokoju, zamyka za sobą drzwi i schodzi po schodkach. Słyszę jego rzeżenie kilka kroków za plecami.

– Twoja mama powiedziała, że mogę do ciebie wyjść – mówi.–

To nie jest moja mama – poprawiam go szybko. Nie wiem, dlaczego poinformowanie go o tym jest dla mnie takie ważne. Kiedyś lubiłam, gdy ludzie brali Carol za moją mamę. Znaczyło to, że nie znali prawdy. Zresztą dawniej lubiłam wiele rzeczy, które teraz wydają mi się absurdalne.

– Ach, rzeczywiście. – Brian musi coś wiedzieć o mojej prawdziwej mamie. Wszystko jest w kartotece, którą pewnie widział. – Przepraszam, zapomniałem.

Jasne, że zapomniałeś – myślę, ale na głos nic nie mówię.

Przynajmniej to, że tak nade mną stoi, wkurzyło mnie na tyle, że wyparło smutek. Łzy przestały płynąć. Krzyżuję ręce na piersi i czekam, aż wreszcie dotrze do niego, że nie jest mile widziany, albo chociaż zmęczy go wpatrywanie się w moje plecy i wejdzie do środka. Jednak wciąż słyszę za sobą miarowe rzeżenie.

Znam go niecałe pół godziny, a już mam ochotę go zabić.

Wreszcie sama mam dość stania w ciszy, więc odwracam się i mijam go szybko.

– Już czuję się lepiej – mówię. Zmierzam w stronę domu, nie obdarzając go nawet przelotnym spojrzeniem. – Powinniśmy wejść do środka.

– Zaczekaj, Lena. – Brian łapie mnie za nadgarstek. Chociaż „łapie” nie jest chyba najtrafniejszym określeniem. Może raczej: wyciera o mnie pot. Ale i tak się zatrzymuję, choć wciąż nie mogę się zmusić, aby mu spojrzeć w oczy. Zamiast tego wpatruję się we frontowe drzwi, zauważając po raz pierwszy, że w siatce ochronnej są trzy duże dziury, tuż przy prawym górnym rogu. Nic dziwnego, że nasz dom przeżywa tego lata inwazję owadów. Przypomina mi się, jak Grace znalazła niedawno w naszej sypialni biedronkę i przyniosła mi ją w swoich drobnych rączkach, a ja pomogłam jej znieść ją na dół i wypuściłam na wolność.

Nagle zalewa mnie ogromna fala smutku, która nie ma związku z Alekssem, Brianem ani z całą tą sytuacją. Po prostu uderzyła mnie świadomość, jak szybko przemija czas. Pewnego dnia obudzę się i całe moje życie będzie już za mną, a ja będę mieć wrażenie, że minęło szybko jak sen.

mieć wrażenie, że minęło szybko jak sen.

– Nie chciałem, żebyś usłyszała to, co powiedziałem – mówi. Zastanawiam się, czy to matka kazała mu to rzec. Wydaje się, że te słowa przychodzą mu z ogromnym trudem. – To było niegrzeczne.

Tak jakbym nie została już dostatecznie upokorzona – teraz jeszcze przeprasza za nazwanie mnie brzydulą. Wydaje mi się, że moje policzki roztopią się z gorąca.

– Nie przejmuj się – mówię, próbując wyswobodzić się z jego uścisku. Ku mojemu zaskoczeniu nie wypuszcza mnie, chociaż technicznie wcale nie powinien mnie dotykać.

– Chciałem przez to powiedzieć... – Jego usta przez chwilę poruszają się bezgłośnie. Unika mojego wzroku. Wpatruje się w ulicę za moimi plecami, jego oczy biegają w jedną i drugą stronę jak u kota czyhającego na ofiarę. – Chciałem przez to powiedzieć, że na zdjęciach wyglądałaś na szczęśliwszą.

Z zaskoczenia przez chwilę nie wiem, co odpowiedzieć.

– A teraz nie wyglądam na szczęśliwą? – wypalam bez namysłu, a zaraz potem ogarnia mnie jeszcze większe zażenowanie. To dziwne rozmawiać w ten sposób z nieznajomym, tym bardziej wiedząc, że już wkrótce nie będzie nieznajomym.

Nie wydaje się wystraszony tym pytaniem. Kręci tylko głową.–

Wiem, że nie jesteś – odpowiada. Puszczą moją rękę, ale już tak bardzo nie pragnę wejść do środka. Brian wciąż wpatruje się w ulicę za moimi plecami i udaje mi się ukradkiem



spojrzeć z bliska na jego twarz. Wydaje mi się, że można by go spojrzeć z bliska na jego twarz. Wydaje mi się, że można by go nazwać w miarę przystojnym. Oczywiście nawet w części nie jest tak cudowny jak Alex – jest straszliwie blady, a pełne, okrągłe usta i mały, spiczasty nosek nadają mu zniewieściały wygląd – ale jego oczy mają czysty, bladoniebieski kolor, jak niebo o poranku, a do tego ma przyjemną, mocno zarysowaną szczękę. Ogarniają mnie nagle wyrzuty sumienia. Musi wiedzieć, że jestem nieszczęśliwa, ponieważ zostałam z nim sparowana. To nie jego wina, że się zmieniłam: ujrzałam światło delirii albo na nią zapadłam – w zależności od punktu widzenia. A może obie te rzeczy naraz.

– Przepraszam – mówię. – Tu nie chodzi o ciebie. To po prostu... to po prostu strach przed zabiegiem i tyle. – Przypominam sobie wszystkie te noce, kiedy wyobrażałam sobie, jak kładę się na stole operacyjnym i czekam, aż środki usypiające sprawią, że świat rozplynie się we mgle, jak czekam na przebudzenie nowej siebie. Teraz przebudzę się do świata bez Aleksa. Przebudzę się w świecie pogrążonym we mgle, gdzie wszystko będzie szare, rozmazane i nie do odróżnienia. Brian wreszcie spogląda na mnie z wyrazem twarzy, którego z początku nie jestem w stanie zidentyfikować. Aż wreszcie wiem: to litość. Jemu jest mnie żal. Zaczyna mówić w pośpiechu:

– Wiesz, pewnie nie powinienem ci tego mówić, ale przed zabiegiem byłem taki jak ty. – Jego oczy z powrotem biegną ku ulicy. Rzęzenie ustało. Mówi wyraźnie, ale cicho, tak że Carol ani jego matka nie są w stanie go dosłyszeć przez otwarte okno. – Nie chciałem... nie byłem gotowy. – Oblizuje wargi, jego głos – Nie chciałem... nie byłem gotowy. – Oblizuje wargi, jego głos zniża się do szeptu. – Czasem spotykałem się w parku z taką jedną dziewczyną. Opiekowała się dziećmi swoich kuzynów, przyprowadzała je tam na plac zabaw. Ja byłem kapitanem szkolnej drużyny szermierki i tam właśnie chodziliśmy ćwiczyć. Byłeś kapitanem drużyny szermierki? – powtarzam w myślach z niedowierzaniem. Ale nie mówię tego na głos. Widzę, że stara się być miły.

– W każdym razie zdarzało nam się porozmawiać. Do niczego między nami nie doszło – dodaje szybko. – Po prostu kilka rozmów od czasu do czasu. Miała bardzo ładny uśmiech. I czułem... – Nie kończy zdania.

Ogarniają mnie jednocześnie zdumienie i strach. Brian próbuje mi powiedzieć, że jesteśmy do siebie podobni. W jakiś

sposób domyślił się istnienia Aleksa – nie jego samego, ale kogoś.

– Zaraz, zaraz... – W moim mózgu się kotłuje. – Chcesz mi powiedzieć, że przed zabiegiem byłeś... chory?

– Mówię tylko, że cię rozumiem. – Jego oczy spotykają się z moimi na ułamek sekundy, ale to mi wystarcza. Teraz już jestem pewna. On wie, że jestem zarażona. Zalewa mnie jednocześnie fala ulgi, ale i przerażenia, jeśli on to widzi, inni też zobaczą. – Chcę tylko powiedzieć, że remedium działa. – Ostatnie słowo wymawia z naciskiem. Wiem już na pewno, że stara się być miły. – Teraz jestem dużo szczęśliwszy. Ty też będziesz, wierz mi.

Kiedy to mówi, coś we mnie pęka i znowu jestem bliska  
Kiedy to mówi, coś we mnie pęka i znowu jestem bliska  
łez. Jego głos jest taki uspokajający. W tej chwili niczego nie pragnę bardziej, jak mu uwierzyć. Bezpieczeństwo, szczęście, stabilizacja – tego właśnie pragnęłam przez całe swoje życie. I przez moment myślę, że może rzeczywiście ostatnie tygodnie były jakimś długim, dziwnym delirium. Może po zabiegu obudzę się jak po wysokiej gorączce, z mglistym zaledwie wspomnieniem swoich snów i uczuciem wszechogarniającej ulgi.

– To co, będziemy przyjaciółmi? – mówi Brian, podając mi rękę, i tym razem nie wzdrygam się, kiedy mnie dotyka.

Pozwalam mu nawet przytrzymać swoją dłoń przez dłuższą chwilę. Wciąż stoi twarzą do ulicy i na chwilę marszczy brwi.

– Czego on chce? – mruczy pod nosem, a potem krzyczy:

– Wszystko w porządku! Jesteśmy sparowani.

Odwracam się w samą porę, by ujrzeć mignięcie włosów koloru jesiennych liści, niknących za rogiem. Alex. Wyszarpuję rękę z uścisku Briana, ale jest już za późno. Alex zniknął.

– To musiał być porządkowy – mówi Brian. – Po prostu stał i gapił się na nas.

Uczucie spokoju, w którym zanurzyłam się chwilę wcześniej, rozplywa się momentalnie. Alex widział mnie – widział nas, jak trzymaliśmy się za ręce, słyszał, jak Brian mówił, że jesteśmy sparowani. A miałam się z nim spotkać godzinę temu. Nie wie, że nie mogłam wyjść z domu, że nie miałam jak go powiadomić. Nie wyobrażam sobie, co teraz o mnie myśli. A raczej doskonale sobie wyobrażam.

– Wszystko w porządku? – Oczy Briana są tak blade, że

– Wszystko w porządku? – Oczy Briana są tak blade, że niemal szare. Niezdrowy kolor, wcale nie jak niebo, raczej jak pleśń albo zgnilizna. Nie mogę uwierzyć, że choć przez chwilę

mogłam go uznać za atrakcyjnego. – Nie wyglądasz za dobrze.  
– Nic mi nie jest. – Próbuję zrobić krok w stronę domu i  
potykam się. Brian wyciąga rękę, aby mnie podtrzymać, ale mu  
się wykręcam. – Nic mi nie jest – powtarzam, chociaż wszystko  
wokół rozpada się na kawałki.  
– Strasznie tu gorąco – stwierdza. Nie mogę się zmusić,  
żeby na niego spojrzeć. – Wejźmy do środka.  
Kładzie rękę na moim łokciu i prowadzi mnie po schodach,  
przez korytarz i do salonu, gdzie Carol i pani Scharff czekają na  
nas z uśmiechem.

## 20

Ex rememdiū salus.

Przez remedium ocalenie.

Słowa widniejące na amerykańskiej walucie

Mimo że przez resztę ich wizyty niewiele się odzywałam – a  
może właśnie dlatego – wywarłam na tyle dobre wrażenie na  
Brianie i pani Scharff, że Carol jest ze mnie zadowolona. Goście  
wychodzą po trzeciej i chociaż ciotka każe mi pomóc w kilku  
pracach domowych i zostać na kolację, obiecuje mi, że mogę się  
pracach domowych i zostać na kolację, obiecuje mi, że mogę się  
przejść po jedzeniu, o ile oczywiście zdążę wrócić przed godziną  
policyjną. Tymczasem każda minuta, kiedy muszę tu tkwić,  
zamiast biec do Aleksa, to sześćdziesiąt sekund czystej tortury.  
Pochłaniam błyskawicznie fasolkę w sosie i mrożone paluszki  
rybne i siedzę jak na szpilkach, dopóki Carol nie pozwoli mi  
odejść. Nawet zwalnia mnie z obowiązku zmywania, lecz jestem  
zbyt wścicka za wcześniejsze uwięzienie, żeby czuć teraz  
wdzięczność.

Biegnę najpierw na Brooks Street. Nie sądzę, żeby Alex  
wciąż tam był i na mnie czekał, ale gdzieś głęboko w środku tli  
się płomyk nadziei. Niestety w domu nikogo nie ma, to samo w  
ogrodzie. Muszę być w jakimś amoku, ponieważ sprawdzam  
nawet za drzewami i krzakami, jakby Alex miał nagle zza nich  
wyskoczyć jak podczas naszej wspólnej z Haną zabawy w  
chowanego kilka tygodni temu. Już sama myśl o tym wywołuje  
ostry ból w mojej piersi. Jeszcze niedawno mieliśmy przed sobą  
cały sierpień – długi, złoty i kojący jak niekończące się chwile  
rozkosznego snu.

Cóż, pora na przebudzenie.

Wracam z ogrodu przez dom. Widok naszych rzeczy  
porzucanych w salonie – koców, kilku czasopism i książek,  
opakowania krakersów i puszek z napojami, starych gier  
planszowych, w tym niedokończonej partii scrabble, porzuconej,

gdy Alex zaczął wymyślać takie wyrazy, jak „quozz” i „yregg” – napełnia mnie bezbrzeżnym smutkiem i przypomina mi o tym jednym domu, który przetrwał blitz, i o poszarpanej bombami drodze, o miejscu, gdzie ludzie beztrosko zajmowali się swymi drogami, o miejscu, gdzie ludzie beztrosko zajmowali się swymi codziennymi sprawami aż do momentu katastrofy, a potem każdy mówił: „jak oni mogli nie dostrzec, że to się zbliżało?”. Głupia, głupia, głupia! Jak mogłam tak lekkomyślnie traktować czas i wierzyć, że jeszcze tyle go nam zostało... Wybiegam na ulicę jak w gorączce, lecz nie mam pojęcia, co teraz robić. Alex kiedyś wspomniał, że mieszka przy Forsyth Street – to długi rząd szarych, betonowych budynków należących do uniwersytetu – więc kieruję się w tamtą stronę. Wszystkie bloki wyglądają tak samo. W każdym są pewnie dziesiątki, setki mieszkań. Mam ochotę pukać do każdych drzwi, dopóki go nie znajdę, ale to byłoby samobójstwo. Po tym jak kilkoro studentów rzuca mi podejrzliwe spojrzenia – jestem pewna, że wyglądam koszmarnie z czerwoną twarzą i obłędem w oczach – zaszywam się w bocznej uliczce. Żeby się uspokoić, zaczynam recytować modlitwę pierwiastkową. Pierwszy jest wodór, w skrócie: H...

Podczas powrotu do domu z roztargnienia gubię się w labiryncie ulic. Łąduję w wąskiej, ślepej uliczce, którą widzę pierwszy raz w życiu, i muszę wrócić do Monument Square. Gubernator stoi tam jak zawsze, z wyciągniętą pustą ręką, smutny i samotny w gasnącym świetle wieczoru, jak żebrak skazany na wieki proszenia o jałmużnę.

Jego widok nasuwa mi pewien pomysł. Wygrzebuję z plecaka kawałek papieru oraz długopis i piszę: „Pozwól mi wyjaśnić. W domu o północy. 17.08.” A potem, upewniwszy się, że z okien wychodzących na plac nikt mnie nie obserwuje, wskakuję na cokół i wsuwam wiadomość do małego wgłębienia w rękę Gubernatora. Szansa, że Alex wpadnie na to, by tu sprawdzić, jest jedna na milion. Ale jednak jest.

Tej nocy gdy wymykam się z sypialni, słyszę za sobą jakiś chrobot. Kiedy się odwracam, Gracie podnosi się na łóżku, mrugając błyszczącymi jak u kota oczami. Przykładam palec do ust, a ona powtarza mój gest, po czym wymykam się przez drzwi. Kiedy już jestem na ulicy, spoglądam w stronę okna. Przez chwilę wydaje mi się, że widzę spoglądającą na mnie Gracie z twarzą bladą jak księżyc. A może to tylko gra cieni przemykających cicho po murach. Gdy spoglądam w okno raz

jeszcze, po małej nie ma ani śladu.

Dom przy Brooks Street 37 jest pogrążony w ciemności i zupełnej ciszy. Nie ma go – myślę. Nie przyszedł. Ale jakaś część mnie nie przyjmuje tego do wiadomości. Musiał przyjść. Przyniosłam latarkę i zaczynam omiatać nią dom, już po raz drugi tego dnia. Boję się go zawołać. To mnie przerasta. Jeśliby nie odpowiedział, musiałabym wreszcie pogodzić się z faktem, że nie dostał mojej wiadomości albo, co gorsza, dostał ją i postanowił nie przychodzić.

W salonie stoję jak wryta.

Wszystkie nasze rzeczy – koce, gry, książki – zniknęły.

Wypaczona drewniana podłoga, oświetlona promieniem latarki, jest goła. Zimne meble stoją w milczeniu, odarte ze wszystkich jest goła. Zimne meble stoją w milczeniu, odarte ze wszystkich naszych osobistych akcentów, starych bluz od dresu i do połowy zużytych kremów przeciwsłonecznych. Już dawno temu przestałam się bać tego domu i chodzenia po nim w ciemności, ale teraz powraca wrażenie głuchej pustki – to przez pokoje pełne starych, gnijących przedmiotów i gryzonie łypiące ślepiami z ciemnych zakamarków – i przeszywa mnie przejmujący dreszcz. A jednak Alex tu był, aby posprzątać nasze rzeczy.

Ten przekaz jest dla mnie bardziej czytelny niż tysiące wiadomości. Skończył ze mną.

Przez chwilę zapominam nawet oddychać. A potem przychodzi Zimno, uderza mnie w pierś z mocą niemal tak ogromną jak fizyczna siła, jakbym szła wprost na przybijającą do brzegu falę. Kolana się pode mną uginają i muszę przykucnąć, bo nie mogę opanować drżenia.

Odszedł. Z mojej krtani wydobywa się zduszony dźwięk, przerywając panującą w domu ciszę. Zaczynam głośno szlochać, latarka wypada mi z rąk i światło gaśnie. Oczyma wyobraźni widzę, jak cały dom wypełnia się moimi łzami, jak w nich tonę, jak ich rzeka unosi moje ciało gdzieś w odległe miejsce.

Wtem czuję na karku dotyk czyjejś ciepłej ręki przedzierającej się przez gęstwinę włosów.

– Lena.

Odwracam się. Alex pochyla się nade mną. Nie widzę dokładnie jego twarzy, lecz w słabym świetle wydaje mi się surowa – surowa i nieruchoma, jak wykuta z kamienia. Przez chwilę boję się, że tylko go sobie wymyśliłam, a wtedy dotyka mnie znowu i jego dłoń jest ciepła, szorstka i jak najbardziej mnie znowu i jego dłoń jest ciepła, szorstka i jak najbardziej prawdziwa.

– Lena – mówi znowu, ale tak, jakby nie wiedział, co ma powiedzieć dalej. Podnoszę się, ocierając twarz przedramieniem.

– Dostałeś moją wiadomość. – Staram się przełknąć łzy, ale tylko parę razy wstrząsa mną czkawka.

– Wiadomość? – powtarza Alex.

Chciałabym mieć w ręce latarkę, by ujrzeć jego twarz wyraźniej. A jednocześnie boję się tego, boję się chłodu, jaki mogę w niej odnaleźć.

– Zostawiłam ci wiadomość u Gubernatora. Prosiłam, żebyśmy się tu spotkali.

– Nie dostałem jej – odpowiada. Ton jego głosu wydaje się chłodny. – Przyszedłem tylko, żeby...

– Nie kończ – przerywam mu. Nie mogę mu pozwolić, by powiedział, że przyszedł się spakować, że nie chce mnie już więcej widzieć. To by mnie zabiło. Miłość, najbardziej zdradliwa choroba na świecie. – Posłuchaj – ciągnę w przerwie między atakami czkawki. – Posłuchaj, jeśli chodzi o dzisiaj... to nie był mój pomysł. Carol kazała mi się z nim spotkać, a ja nie miałam jak cię powiadomić. A potem staliśmy tam i myślałam o tobie, o Głuszy, o tym, jak wszystko się zmieniło, że nasz czas się kończy i przez chwilę, przez jedną, jedyną chwilę, zapragnęłam wrócić do tego, co było wcześniej. – Wiem, że to, co mówię, nie ma najmniejszego sensu. Wyjaśnienie, które ćwiczyłam tyle razy w głowie jest do niczego, słowa płaczą mi się bezładnie. Wymówki wydają się bez znaczenia: właśnie teraz uświadamiam sobie, że tylko jedna rzecz ma teraz znaczenie. Alex i ja nie mamy czasu. – Ale przysięgam, że wcale tak nie myślałam. Nigdy bym nie mogła... Gdybym cię nie spotkała, nigdy bym... Przed tobą nie wiedziałam, co tak naprawdę to wszystko znaczy, nie tak prawdziwie...

Alex przyciąga mnie do siebie i przytula. Chowam twarz w jego piersi. Wydaje się pasować tam idealnie, tak dokładnie, jak gdyby nasze ciała zostały dla siebie stworzone.

– Ciii – szepcze mi do ucha. Przyciska mnie tak mocno, że aż trochę boli, ale nie mam nic przeciwko temu. Dobrze mi z tym, tak pewnie, czuję, że gdybym chciała oderwać nogi od ziemi, on wciąż by mnie trzymał w górze. – Nie jestem na ciebie zły, Lena.

Odsuwam głowę. Wiem, że nawet w ciemności muszę wyglądać okropnie. Powieki mam opuchnięte, do tego włosy wchodzą mi do oczu. Na szczęście Alex wciąż trzyma mnie w objęciach.

– Ale przecież... – Z trudem przełykam ślinę i biorę kilka głębokich oddechów. – Zabrałeś wszystko. Wszystkie nasze rzeczy. Alex na chwilę odwraca wzrok. Jego twarz pogrążona jest w ciemności. Kiedy się odzywa, mówi mocnym głosem, jak gdyby na siłę wypychał z siebie słowa.

– Zawsze wiedzieliśmy, że to kiedyś nastąpi. Wiedzieliśmy, że nie mamy wiele czasu.

– Ale... ale... – Nie muszę tego mówić. Oboje wiemy, że

– Ale... ale... – Nie muszę tego mówić. Oboje wiemy, że mimo to udawaliśmy. Zachowywaliśmy się tak, jak gdyby nic nigdy nie miało się zmienić.

Alex obejmuje moją twarz rękami i kciukami ociera mi łzy.

– Nie płacz, dobrze? No, nie płacz już. – Delikatnie całuje mnie w czubek nosa, a potem bierze mnie za rękę. – Chcę ci coś pokazać – mówi lekko łamiącym się głosem.

Prowadzi mnie do schodów skąpanych w świetle księżyca, które wpada do środka przez dziury w dachu. Schody musiały być kiedyś imponujące: pną się w górę majestatycznie i rozpadają na pół, prowadząc na półpiętra po obu stronach. Nie byłam na górze od dnia, gdy Alex po raz pierwszy przyprowadził mnie tu z Haną, kiedy to poznawałyśmy każdy pokój. Gdy byłam tu dziś po południu, nawet nie pomyślałam o tym, by sprawdzić piętro. Tutaj jest jeszcze ciemniej niż na dole, o ile to w ogóle możliwe, i goręcej – wszystko wydaje się czarną, płynną mgłą.

Alex idzie, szurając nogami, i mija rząd identycznych drewnianych drzwi.

– Tędy.

Słysząc, jak coś fruwa nad nami w popłochu: to nietoperze wystraszone jego głosem. Z piersi wyrywa mi się cichy pisk. Myszy? Nie ma problemu. Latające myszy? To już inna sprawa. To kolejny powód, dla którego wolałam się trzymać parteru. Odkrywając dom podczas pierwszej wizyty, natknęliśmy się na główną sypialnię – ogromny pokój z wielkim drewnianym łóżem pośrodku, pozbawionym już baldachimu, z zapadniętymi belkami. Gdy podnieśliśmy wzrok, ujrzeliśmy dziesiątki belkami. Gdy podnieśliśmy wzrok, ujrzeliśmy dziesiątki czarnych, milczących kształtów skupionych wokół drewnianych belek jak zwisające z łądygi okropne czarne pąki, mogące opaść w każdej chwili. Gdy się poruszyliśmy, kilka z nich otwarło oczy i zdawało się łypać na mnie złowrogo. Do tego podłoga naznaczona była nietoperzowymi odchodami, które wydzielają mdły zapach.

– Tutaj – mówi i choć nie jestem na sto procent pewna, wydaje mi się, że zatrzymał się w drzwiach tamtej sypialni. Wzdrygam się. Nie mam ochoty znowu oglądać nietoperzego pokoju. Jednak Alex najwyraźniej bardzo tego chce, więc pozwalam mu otworzyć drzwi i wchodzę do środka. Przekroczywszy próg, wzdycham i staję jak wryta. Pokój, zmieniony nie do poznania, wygląda niesamowicie.

– No i jak? – W głosie Aleksa pobrzmiwa nuta niepokoju. – Co o tym myślisz?

Nie umiem odpowiedzieć od razu, po prostu brak mi słów. Alex przesunął stare łóżko w kąt i idealnie wyczyścił podłogę. Okna – te, które pozostały – są otwarte na oścież, więc powietrze przesycone jest zapachem gardenii i jaśminu. Nasz koc i książki ułożył pośrodku pokoju, rozwinął też śpiwór, otaczając to miejsce dziesiątkami świeczek powstawianych do prowizorycznych świeczników, takich jak stare filiżanki albo puszki po coca-coli, podobnie jak w jego domu w Głuszy. Ale najlepszy w tym wszystkim jest sufit – a raczej jego brak. Alex zdał z dachu przegniłe drewno i teraz nad naszymi głowami rozciąga się ogromna połać nieba. Wprawdzie w Portland widać mniej gwiazd niż po drugiej stronie granicy, lecz i Portland widać mniej gwiazd niż po drugiej stronie granicy, lecz i tak widok zapiera dech w piersiach. A do tego zniknęły nietoperze przegnane ze swojego schronienia. Wysoko nad nami, poza domem, widzę kilka ciemnych sylwetek zataczających pętle na tle księżycy, ale jak długo pozostają w otwartej przestrzeni, nie przeszkadzają mi.

I z całą mocą uświadamiam sobie, że zrobił to dla mnie. Nawet po tym, co zdarzyło się dzisiaj, przyszedł tutaj i zrobił to dla mnie. Zalewa mnie fala wdzięczności, a zaraz potem przychodzi inne uczucie, przynosząc z sobą ból. Nie zasługuję na to. Nie zasługuję na niego. Odwracam się w jego stronę i nie jestem w stanie mówić. Alex ma twarz oświetloną płomieniem świecy i sam zdaje się płonąć ogniem. Nie widziałam w życiu niczego piękniejszego niż on.

– Alex... – zaczynam, ale nie mogę skończyć. Nagle on mnie przeraża, przeraża mnie jego absolutna i nieskończona doskonałość.

Alex nachyla się i całuje mnie. Teraz, kiedy jest tak blisko, kiedy jego podkoszulek ociera się o moją twarz, a z jego skóry bije zapach kremu do opalania i trawy, wydaje mi się trochę mniej przerażający.

– Zbyt niebezpiecznie jest wrócić do Głuszy. – Głos ma



ochrypiły, jak gdyby od przeciągłego krzyku, a jego szczeka wyraźnie drga. – Więc sprowadziłem Głuszę tutaj. Pomyślałem, że ci się spodoba.

– I podoba mi się. Bardzo. – Przyciskam ręce mocno do piersi, pragnąc znaleźć się jeszcze bliżej niego. Nienawidzę piersi, pragnąc znaleźć się jeszcze bliżej niego. Nienawidzę skóry. Nienawidzę kości i ciała. Chcę zwinąć się w kłębek w środku niego i pozostać tam na zawsze.

– Lena. – Jego twarz zmienia się tak szybko, że ledwo mogę rozpoznać przepływające przez nią emocje, a jego szczeka nie przestaje drżeć. – Wiem, że nie mamy za dużo czasu, tak jak powiedziałaś. Prawie w ogóle nie mamy już czasu...

– Nie! – Chowam twarz na jego piersi, otulam go ramionami i przyciskam. Niewyobrażalne, nie do pojęcia: spędzić życie bez niego. Ta myśl mnie dobija: fakt, że Alex jest bliski płaczu, mnie dobija, a to, że zrobił to dla mnie, że wierzy, iż jestem tego warta, zabija mnie. On jest moim światem i mój świat jest nim i bez niego nie ma świata. – Nie zrobię tego. Nie przejdę tego. Nie mogę. Chcę być z tobą. Muszę być z tobą. Alex obejmuje moją twarz i spogląda mi w oczy. Jego twarz błyszczy teraz nadzieją.

– Nie musisz przez to przechodzić. – Słowa wylewają się z niego niepohamowanym strumieniem. Najwyraźniej myślał o tym długo, tylko zachowywał to dla siebie. – Lena, nic nie musisz robić. Możemy razem uciec. Do Głuszy. Po prostu pójść tam i już nie wrócić. Tylko że... Lena, wtedy już nigdy nie moglibyśmy wrócić. Wiesz o tym, prawda? Zabiliby nas oboje albo zamknęli w więzieniu na zawsze... Ale, Lena, to jest możliwe. Zabiliby nas oboje. Oczywiście, Alex ma rację. Życie jako ciągła ucieczka. Chyba właśnie powiedziałam, że tego chcę. Cofam się o krok i nagle kręci mi się w głowie.

– Zaczekaj – mówię. – Zaczekaj chwilę.

– Zaczekaj – mówię. – Zaczekaj chwilę.

Alex mnie puszcza. Nadzieja na jego twarzy gaśnie nagle i przez chwilę stoimy nieruchomo, spoglądając na siebie w milczeniu.

– Nie mówiłaś poważnie – odzywa się wreszcie. – Wcale nie o to ci chodziło.

– Nie, naprawdę o to mi chodziło, tylko...

– Tylko jesteś przerażona – kończy za mnie. Podchodzi do okna i wpatruje się w ciemność. Teraz znowu napawa mnie lękiem, jego sylwetka robi wrażenie twardej i niedostępnej jak

kamienny mur.

– Nie jestem przerażona. Tylko... – Nie wiem, co chcę powiedzieć. Nie wiem, czego tak w ogóle chcę. Pragnę Aleksa i jednocześnie pragnę dawnego życia, chcę spokoju i szczęścia i jednocześnie wiem, że nie potrafię żyć bez niego.

– W porządku – mówi matowym głosem. – Nie musisz niczego wyjaśniać.

– Chodzi o moją mamę! – wybucham wreszcie. Alex odwraca się, zaskoczony. Jestem tak samo zdziwiona jak on. Nie wiedziałam, że wypowiem te słowa, dopóki nie wyszły z moich ust. – Nie chcę skończyć jak ona, rozumiesz? Widziałam, co to z nią zrobiło, widziałam, jaka się stała... To ją zabiło, Alex. Zostawiła mnie, zostawiła moją siostrę, zostawiła wszystko. Wszystko dla tego czegoś, co w niej tkwiło. Nie będę taka jak ona. – Nigdy tak naprawdę o tym nie mówiłam i zdumiewa mnie, jakie to trudne. Teraz to ja muszę się odwrócić, czując jednocześnie mdłości i wstyd, że łzy znów napływają mi do oczu.

– Ponieważ nie była wyleczona? – pyta Alex miękko.

– Ponieważ nie była wyleczona? – pyta Alex miękko.

Przez chwilę nie mogę wydobyć z siebie słowa i po prostu pozwalam sobie na cichy płacz, mając nadzieję, że Alex się nie zorientuje. Kiedy wreszcie odzyskuję kontrolę nad głosem, odpowiadam:

– Nie chodzi tylko o to.

I wtedy wylewają się ze mnie wszystkie myśli i słowa, którymi nigdy z nikim nie ośmieliłam się podzielić:

– Była zupełnie inna niż wszyscy. Wiedziałam, że ona była inna, że my byliśmy inne, ale na początku nie bałam się tego. Był to nasz mały, słodki sekret. Mój i jej, a także Rachel, jakbyśmy były otoczone kokonem. To było... to było niesamowite. Zasuwałyśmy zasłony, żeby nikt nas nie widział. Bawiłyśmy się w ten sposób, że ona kryła się w korytarzu, my biegłyśmy jego środkiem, a ona wyskakiwała i łapała nas; nazywała to zabawą w goblina. Kończyło się to zawsze wojną na łaskotki. Dużo się śmiała. Wszystkie dużo się śmiałyśmy. Czasami, kiedy zachowywałyśmy się zbyt głośno, zakrywała usta rękami i zastygała na chwilę, nastawiając uszu. Przypuszczam, że nasłuchiwała, czy nie sprowadziło nam to na głowę żadnego z sąsiadów. Ale nigdy nikt nie przyszedł. Czasami robiła dla nas na obiad naleśniki z jagodami. Sama je zbierała. I często śpiewała. Miała piękny głos, po prostu cudowny, słodki jak miód... Głos mi się łamie, ale nie mogę przestać. Słowa wylewają się ze mnie strumieniem.

– Lubiła też tańczyć. Opowiadałam ci już kiedyś o tym. Kiedy byłam mała, stawiałam stopy na jej stopach, a ona otaczała mnie ramionami i sunęliśmy tak powoli po pokoju, podczas gdy ona wyliczała takt, próbując nauczyć mnie rytmu. Byłam w tym okropna, niezdarna, ale ona zawsze powtarzała mi, że jestem piękna. – Podłoga pod moimi stopami rozmazuje się od łez. – Nie wszystko było cudowne, nie przez cały czas. Czasami wstawałam w środku nocy, by pójść do łazienki, i słyszałam, jak płacze. Zawsze płakała w poduszkę, by stłumić ten dźwięk, ale ja i tak wiedziałam. Byłam wtedy przerażona. Nigdy przedtem nie widziałam płaczącego dorosłego, wiesz? I sposób, w jaki to robiła, to zawroźnienie... jak jakieś zwierzę. I były dni, kiedy w ogóle nie wychodziła z łóżka. Nazywała je czarnymi dniami.

Alex przysuwa się bliżej. Trzęsę się tak potwornie, że ledwo mogę ustać. Mam wrażenie, że całe moje ciało próbuje coś wydalić, wypluć z głębi piersi.

– Modliłam się wtedy, żeby Bóg uleczył ją z tych czarnych dni. Żeby ją ocalił, żeby ją ochronił dla mnie. Chciałam, żebyśmy zostały razem. Czasami wydawało się, że modlitwy odnoszą skutek. Przez większość czasu było dobrze. Było więcej niż dobrze. – Ledwo mogę się zmusić do powiedzenia tych słów. Muszę je wydusić z siebie cichym szeptem. – Nie pojmujesz tego? Zostawiła to wszystko. Porzuciła, dla tego czegoś. Dla miłości. Dla amor deliria nervosa, jakkolwiek to nazwiesz. Porzuciła mnie.

– Tak mi przykro, Lena – szepcze Alex za moimi plecami i tym razem ośmiela się mnie dotknąć. Zaczyna powoli rysować mi na plecach szerokie koła. Opieram się o niego. mi na plecach szerokie koła. Opieram się o niego. Jeszcze nie skończyłam. Ocieram wściekle łzy i biorę głęboki oddech.

– Wszyscy myślą, że się zabiła, ponieważ nie mogła znieść kolejnego zabiegu. Wciąż starali się ją uleczyć, o tym też ci mówiłam. To miał być jej czwarty raz. Po drugim zabiegu odmówili jej... uznali, że znieczulenie kolidowało z remedium. Wbili się do jej mózgu, Alex, na żywo.

Czuję, jak jego ręka sztywnieje na chwilę, i wiem, że gniew przepełnia go tak samo jak mnie. A potem znów zaczyna wodzić palcem po moich plecach.

– Ale wiem, że to nie był prawdziwy powód. Mama była dzielna. Nie bała się bólu. Właśnie na tym tak naprawdę polegał

jej problem. Nie bała się. Nie chciała być wyleczona. Nie chciała przestać kochać taty. Pamiętam, jak powiedziała mi to raz, tuż przed śmiercią. „Próbują mi go odebrać” – rzekła. Uśmiechała się wtedy tak smutno. „Próbują mi go odebrać, ale nie uda im się”. Nosiła na szyi jedną z jego zapinek, na łańcuszku. Przez większość czasu chowała ją pod ubraniami, ale tamtego wieczoru wyłożyła ją na zewnątrz i wpatrywała się w nią. Pamiętam ją dokładnie. Była to taka dziwna, podłużna zapinka przypominająca sztylet, z dwoma jasnymi klejnotami na rękojeści, które wyglądały jak oczy. Mój tata przypinał ją do mankietu. Po jego śmierci mama nosiła ją ciągle, nie ściągała nawet do kąpieli...

Nagle Alex cofa rękę i robi dwa kroki w tył. Odwracam się i widzę jego bladą twarz wpatrzoną we mnie tak, jakby się i widzę jego bladą twarz wpatrzoną we mnie tak, jakby właśnie ujrzał ducha.

– Co się stało? – Zastanawiam się, czy mogłam go w jakiś sposób urazić. Coś w jego wzroku sprawia, że serce zaczyna szaleńczo trzepotać mi w piersi ze strachu. – Powiedziałam coś nie tak?

Alex kręci głową, niemal niedostrzegalnym ruchem. Reszta jego ciała pozostaje sztywna i napięta jak sznur rozciągnięty między dwoma słupkami.

– Jak duża była? To znaczy ta zapinka. – Jego głos jest dziwnie piskliwy.

– Tu nie chodzi o zapinkę, Alex, chodzi o...

– Jak duża była? – powtarza pytanie, ale tym razem głośniejszym, bardziej stanowczym.

– Nie wiem. Może wielkości kciuka. – Jego zachowanie i zboląły wyraz twarzy zupełnie zbijają mnie z tropu. – Wcześniej należała do mojego dziadka, została wykonana specjalnie dla niego, jako nagroda za zasługi dla kraju. Unikatowa. Tak przynajmniej mówił mój tata.

Alex przez chwilę milczy. Odwraca się, w świetle księżyca jego profil jest tak surowy, jak gdyby został wykuty z kamienia.

Cieszę się, że na mnie nie patrzy. Zaczynał mnie przerażać.

– Co porabiasz jutro? – odzywa się wreszcie. Mówi powoli, jak gdyby każde słowo przychodziło mu z wysiłkiem. To pytanie wydaje mi się teraz tak nie na miejscu, że wpadam w złość.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Lena, proszę. – I znowu ten głuchy ton. – Po prostu

odpowiedz. Pracujesz jutro?

– Nie, dopiero w niedzielę. – Pocieram ramiona. Wiatr wpadający do środka podszyty jest przenikliwym zimnem i przyprawia mnie o gęsią skórkę. Czuć już w powietrzu jesień. – A co?

– Musimy się spotkać. Muszę... muszę ci coś pokazać. – Alex znowu odwraca się w moją stronę. Jego oczy są czarne i dzikie, a twarz tak obca, że cofam się o krok.

– Będziesz się musiał postarać. – Próbuję się roześmiać, ale z mojej krtani wydobywa się tylko dziwne bulgotanie. Boję się, mam ochotę mu powiedzieć, że mnie przeraża. – Może chociaż jakaś podpowiedź?

Alex bierze głęboki oddech i przez chwilę wydaje mi się, że nie odpowie.

Jednak myliłam się.

– Lena – mówi wreszcie. – Sądzę, że twoja mama żyje.

## 21

WOLNOŚĆ W AKCEPTACJI

SPOKÓJ W ZAMKNIĘCIU

SZCZĘŚCIE W WYRZECZENIU

Słowa wyryte nad bramą wiodącą do Krypt

Kiedy byłam w czwartej klasie, udaliśmy się na wycieczkę do Krypt. Jest ona obowiązkowa – każde dziecko w podstawówce musi tam pojechać choć raz w ramach edukacji antyprzestępczej i wychowania obywatelskiego. Niewiele pamiętam z tamtej wizyty poza uczuciem kompletnego przerażenia i nieokreślonego wrażenia zimna, poza obrazem poczernionych betonowych korytarzy, śliskich od pleśni i wilgoci, oraz ciężkich elektronicznych drzwi. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że skutecznie wyparłam większość z tamtych wspomnień. Celem wycieczki było wywołanie w nas urazu i utrzymanie na słusznej drodze, i jeśli chodzi o wywołanie traumy, to z pewnością im się udało.

Dobrze też pamiętam, że potem wyszłam na jasne słońce w tamten piękny wiosenny dzień z uczuciem wszechogarniającej ulgi. Pamiętam zdziwienie, gdy uświadomiłam sobie, że aby wyjść z Krypt, musieliśmy tak naprawdę zejść kilka pięter w dół, na parter. Przez cały czas w środku, nawet gdy wchodziliśmy wyżej, miałam wrażenie, że jestem pogrzebana pod ziemią, uwięziona kilka poziomów pod jej powierzchnią. To przez ciemność, klaustrofobiczną atmosferę i smród Krypt: jak gdyby zamknięto nas w trumnie z rozkładającymi się ciałami. Pamiętam także, że gdy tylko wyszliśmy na zewnątrz, Liz

Billmun po tym, jak motyl zatrzepotał wokół jej ramienia, zaczęła płakać, po prostu szlochać bez opamiętania i wszystkie byłyśmy w szoku, ponieważ ona zawsze była twarda i nie płakała nawet wtedy, kiedy skręciła nogę w kostce na lekcji wuefu.

wtedy, kiedy skręciła nogę w kostce na lekcji wuefu.

Tamtego dnia przysięgłam sobie, że nigdy, przenigdy nie wrócę do Krypt z żadnego powodu. Ale następnego ranka po rozmowie z Alekssem pojawiłam się przed bramą i oto chodzę teraz nerwowo tam i z powrotem, trzymając się za brzuch. Nie byłam w stanie niczego w sobie wmusić tego ranka z wyjątkiem gęstej czarnej cieczy, którą mój wujek nazywa kawą, i bardzo tego żałuję, bo teraz czuję, jak kwas zżera mi wnętrzności.

Alex się spóźnia.

Na niebie kotłują się czarne ciężkie chmury. Zapowiadali na później burzę z piorunami i wygląda na to, że prognoza się sprawdzi. Za bramą, na końcu krótkiej asfaltowej drogi, widnieją czarne, przytłaczające mury Krypt, a ich kontury na tle czarnego nieba wyglądają jak wyjęte prosto z koszmaru.

Kilkanaście małych okienek rozsianych na kamiennej fasadzie budynku przypomina oczy pająka. Z tej strony Krypt, za bramą, znajduje się krótki pas startowy. W dzieciństwie wydawał mi się łąką, ale teraz widzę, że to zwykły trawnik, krótko przystrzyżony i miejscami wydeptany. Ale i tak przedzierająca się spod ziemi żywa zieleń trawy wydaje się tu niestosowna. Mam wrażenie, że w miejscu takim jak to nic nie powinno rosnąć, że słońce nie powinno tu świecić: to miejsce na krawędzi, na granicy, miejsce wyjęte poza nawias czasu, szczęścia i życia.

Zresztą nawet geograficznie jest to miejsce graniczne:

Krypty usytuowane są na wschodniej granicy, strzeżone od tyłu przez Presumpscot River i Głuszę. Podłączone do prądu (albo i niekoniecznie) ogrodzenie wchodzi w mur Krypt z jednej strony i wychodzi z drugiej.

wychodzi z drugiej.

– Cześć.

Oto nadchodzi Alex, a wiatr, dziś zdecydowanie zimny, rozwiewa mu włosy na wszystkie strony. Powinnam założyć cieplejszą bluzę. Alex również wygląda na przemarzniętego. Ubrany jest w ciekawą płócienną koszulę i oficjalny uniform strażnika, który nosi w laboratorium, na jego szyi wisi identyfikator. Nie widziałam go w tym stroju od naszej pierwszej rozmowy. Ma na sobie nawet jakieś porządne dzinsy, ciemne, wyprasowane, a nie tamte stare z wystrzępionymi i zdeptanymi nogawkami. To wszystko jest częścią naszego planu: żeby udało

się nam obojgu wejść do środka, musi przekonać administrację więzienia, że przyszedł tu w sprawach służbowych. Na szczęście ma na sobie te stare trampki ze sznurówkami pomalowanymi długopisem. Ten znajomy szczegół dodaje mi siłę, w jakiś sposób sprawia, że moja obecność tu, z nim, i zrobienie tego wydają mi się możliwe. Dzięki temu mam się czego uczyć, to jak mały błysk normalności w świecie, który nagle stał się nierozpoznawalny.

– Przepraszam za spóźnienie – mówi. Zatrzymuje się kilka kroków ode mnie. Widzę w jego oczach troskę, mimo że twarz nie zdradza żadnych uczuć. Na dziedzińcu i tuż za bramą widać przechadzających się strażników. Nie jest to miejsce, w którym moglibyśmy się dotykać ani okazywać jakkolwiek wzajemną zażyłość.

– Nie ma sprawy – odpowiadam łamiącym się głosem. Czuję, jak gdybym miała gorączkę. Od nocnej rozmowy z Alekssem ciągle kręci mi się w głowie, a moje ciało chwilę płonie, Alekssem ciągle kręci mi się w głowie, a moje ciało chwilę płonie, by zaraz potem zamieniać się w lód. Ledwo jestem w stanie myśleć. To cud, że w ogóle udało mi się wyjść dzisiaj z domu. To cud, że założyłam ubranie, a jeszcze większy, że nie zapomniałam o butach.

Być może mama żyje. Być może mama żyje. To jedyna myśl w mojej głowie, która wyparła wszystkie inne.

– Gotowa? – pyta Alex głosem cichym i bez wyrazu, na wypadek gdyby dosłyszał nas strażnik, ale i tak wyczuwam w nim troskę.

– Tak mi się wydaje – odpowiadam. Siłę się na uśmiech, ale usta mam popękane i wyschłe na wiór. – To może nie być ona, prawda? Mogłeś się pomylić.

Alex kiwa głową, lecz widzę na jego twarzy pewność, że się nie myli. Pewność, że moja mama tu jest, w tym miejscu, pogrzebana żywcem w grobowcu na powierzchni ziemi, że była tu cały czas. Sama myśl o tym mnie paraliżuje. Muszę się przestać nad tym zastanawiać. Muszę się skoncentrować na tu i teraz, skupić całą energię, by utrzymać się na nogach.

– Chodź – mówi.

Rusza przodem, jakby prowadził mnie w oficjalnej sprawie, a ja za nim, z oczyma wbitymi w ziemię. Niemal się cieszę, że obecność strażników wymaga, by Alex nie zwracał na mnie uwagi. Nie jestem pewna, czy byłabym w stanie prowadzić teraz normalną rozmowę. Tysiące uczuć kotłuje się we mnie, tysiące pytań przebiega mi przez głowę, tysiące stłumionych nadziei i

pragnień, pogrzebanych dawno temu – a mimo to nie mogę się pragnień, pogrzebanych dawno temu – a mimo to nie mogę się ucześcić niczego, ani jednej teorii czy wyjaśnienia, które miałyby jakikolwiek sens.

Alex nie powiedział mi nic więcej po swoim wczorajszym oświadczeniu.

– Musisz zobaczyć – powtarzał ciągle oszołomiony, jak gdyby zapomniał wszystkich innych słów. – Nie chcę, żebyś sobie robiła nadzieję. – A potem zaproponował, żebyśmy się spotkali przy Kryptach. To był dla mnie wstrząs. Sama się sobie dziwiłam, że nie spanikowałam, nie krzyczałam ani nie domagałam się wyjaśnień, tyle że gdy później wróciłam do domu, uświadomiłam sobie, że nie pamiętam w ogóle drogi powrotnej i wcale nie uważałam na patrole. Musiałam po prostu maszerować jak w amoku, ślepa na wszystko.

Teraz jednak dopada mnie szok, odrętwienie. Pewnie bez tego nie byłabym w stanie wyjść z łóżka ani się ubrać. Nie mogłabym iść ani stanąć teraz kilka kroków za Alekssem, który właśnie pokazuje swój identyfikator strażnikowi w bramie i przywołuje mnie gestem.

Zaczyna przygotowane wcześniej wyjaśnienia.

– Podczas jej ewaluacji miał miejsce pewien... incydent – mówi lodowatym tonem. Obaj spoglądają na mnie. Strażnik podejrzliwie, Alex zaś z taką obojętnością, na jaką go stać. Jego oczy są zimne jak stal, ulotniło się z nich całe ciepło i o dreszcz przyprawia mnie świadomość, że może to robić tak skutecznie: stać się kimś innym, kimś, komu jestem zupełnie obojętna. – Nic poważnego. Ale jej rodzice, a moi zwierzchnicy pomyśleli, że dobrze by jej zrobiło krótkie przypomnienie, jakie skutki dobrze by jej zrobiło krótkie przypomnienie, jakie skutki przynosi nieposłuszeństwo.

Strażnik omiata mnie wzrokiem. Twarz ma grubą i czerwoną, a skórę wokół oczu napuchniętą i nabrzmiałą niby rosnąca góra ciasta. Wyobrażam sobie, że wkrótce jego oczy całkiem utoną w fałdach skóry.

– Co za incydent? – pyta, strzelając gumą balonową.

Przekłada ogromny karabin maszynowy na drugie ramię.

Alex pochyla się w jego stronę i ścisza głos.

– Stwierdziła, że jej ulubiony kolor to kolor wschodu słońca – odpowiada.

Strażnik wpatruje się we mnie o ułamek sekundy dłużej, a potem macha ręką, żebyśmy przeszli.

– Cofnijcie się, zaraz otwieram bramę – mówi.



Znika w budce strażniczej, podobnej do tej, w której stacjonuje Alex koło laboratorium, i po kilku sekundach elektroniczna brama otwiera się do środka. Minąwszy ją, zmierzamy z Aleksem przez dziedziniec w stronę wejścia do budynku. Z każdym krokiem masywna sylwetka Krypt przytłacza mnie coraz bardziej. Wiatr wzmaga się, zawiewając drobinki kurzu po ponurym dziedzińcu i miotając po trawie samotną plastikową torebką, a powietrze jest takie jak tuż przed burzą – pełne złowrogiego napięcia, oszalałej, drgającej energii, i ma się wrażenie, że za chwilę zdarzy się coś wielkiego, że cały świat rozpadnie się na kawałki. Dałabym wszystko, by Alex się odwrócił, uśmiechnął do mnie i podał mi rękę. Wiem jednak, że nie może tego zrobić. Idzie przede mną szybkim krokiem, prosty jak struna, patrząc prosto przed siebie.

jak struna, patrząc prosto przed siebie.

Nie jestem pewna, ile osób siedzi w Kryptach. Alex twierdzi, że jakieś trzy tysiące. W Portland rzadko popełnia się jakieś przestępstwa – to wszystko dzięki remedium – czasami jednak ludzie coś kradną albo niszczą, albo nie poddają się policyjnym procedurom. Oprócz nich do więzienia trafiają wrogowie systemu. Ci, którzy nie zostają natychmiast straceni, gniją w Kryptach.

Krypty służą też za miejski szpital psychiatryczny i podczas gdy przestępstw popełnia się u nas niewiele, to – mimo remedium – wariatów mamy mniej więcej tyle samo co wszędzie. Alex powiedziałby, że to właśnie z powodu remedium, i prawdą jest, że zbyt wczesne albo nieudane zabiegi czasem wywołują problemy psychiczne albo załamanie nerwowe. Do tego niektórzy ludzie zupełnie zmieniają się po zabiegu. Wpadają w katatonię, wpatrują się tępo przed siebie, ślinią się i jeśli rodziny nie stać na zapewnienie im opieki, również lądują w Kryptach, skazani na gnicie i powolną śmierć.

Do Krypt wiodą ogromne dwuskrzydłowe drzwi. Przez małe szklane szybki, zapewne kuloodporne, pokryte kurzem oraz resztkami rozgniecionych owadów widzę niewyraźnie długi, czarny korytarz i kilka migoczących lamp. Na drzwiach wisi napis, wyblakły od deszczu i wiatru, głoszący: **WSZYSCY ODWIEDZAJĄCY MAJĄ SIĘ UDAĆ BEZPOŚREDNIO DO REJESTRACJI I KONTROLI BEZPIECZEŃSTWA.**

Alex zatrzymuje się tylko na ułamek sekundy.

– Gotowa? – pyta, nie oglądając się za siebie.

– Tak – udaje mi się wykrztusić.

Zapach, który nas wita po wejściu do środka, niemal

odrzuca mnie do tyłu – przez drzwi, poprzez czas, z powrotem do czwartej klasy. To odór tysięcy niemytych ciał upakowanych w ciasnej przestrzeni, a w tle ostra woń chemicznego wybielacza i środków czyszczących. Nakłada się na to wszystko zapach wilgoci – od wiecznie mokrych korytarzy, przeciekających rur, pleśni na ścianach i w tych wszystkich zakamarkach, gdzie odwiedzający nie mają wstępu. Rejestracja jest po lewej stronie. Kobieta siedząca przy okienku z kuloodpornego szkła ma na twarzy maskę chirurgiczną. Nie dziwię się jej.

Ku mojemu zdumieniu, gdy podchodzimy do niej, zwraca się do Aleksa po imieniu.

– Cześć, Alex. – Wita go szybkim kiwnięciem głowy. Jej oczy biegną ku mnie. – Kto to taki?

Alex opowiada historię o incydencie podczas ewaluacji.

Najwyraźniej jest w zażyłych stosunkach ze strażniczką, ponieważ kilka razy używa jej imienia, a nie widzę przy jej ubraniu identyfikatora z nazwiskiem. Zapisuje nasze dane w starym komputerze stojącym na biurku i kieruje nas w stronę kontroli bezpieczeństwa. Alex wita się też z tamtejszym personelem, a ja podziwiam go za opanowanie. Sama mam problemy nawet z odpięciem paska przed wykrywaczem metalu, tak strasznie trzęsą mi się ręce. Strażnicy w Kryptach wydają się o połowę więksi niż normalni ludzie, mają ręce wielkie jak rakiety tenisowe i szerokie barki. I wszyscy noszą broń. Ogromną broń. Robię, co mogę, by ukryć skrajne przerażenie, ogromną broń. Robię, co mogę, by ukryć skrajne przerażenie, ale ciężko jest zachować spokój, gdy się stoi praktycznie w bieliźnie przed olbrzymami wyposażonymi w karabiny maszynowe.

Wreszcie kontrolę mamy za sobą. Ubieramy się w ciszy i jestem zdumiona, że udaje mi się zawiązać sznurówki.

– Tylko oddziały od jeden do pięć! – krzyczy za nami jeden ze strażników, kiedy Alex rusza korytarzem i macha na mnie ręką, bym podążała za nim.

Ściany są pomalowane na odrażający żółty kolor. W domu, w jasno oświetlonym pokoju dziecięcym lub w biurze mógłby pewnie uchodzić za pogodny. Ale w świetle rzadko rozmieszczonych lamp fluorescencyjnych migoczących z brzękiem, a do tego oszpecony powstałymi przez lata zaciekami, śladami brudnych palców, zgniecionych insektów i plamami po wolę nie wiedzieć czym jeszcze, wydaje się koszmarny – jak szeroki uśmiech osoby z czarnymi, zepsutymi zębami.

– Jasne! – odpowiada Alex. Domyślam się, że pewne

obszary nie są dostępne dla odwiedzających.

Idę za nim wąskim korytarzem, potem skręcamy w następny. Wszystkie są puste i jak dotąd nie minęliśmy żadnej celi, choć po pewnym czasie zaczynają nas dobiegać jęki i krzyki oraz dziwne dźwięki, jakieś beczenie, muczenie i krakanie, jak gdyby kilka osób naśladowało odgłosy zwierząt. Musimy być blisko oddziału psychiatrycznego. Mimo to nie mijamy żadnych ludzi, nie ma pielęgniarek, strażników ani pacjentów. Wszystko jest tak nieruchome, że niemal przerażające. I ciche, z wyjątkiem tych straszliwych dźwięków, przerażające. I ciche, z wyjątkiem tych straszliwych dźwięków, które zdają się emanować ze ścian.

Mam wrażenie, że tutaj można bezpiecznie porozmawiać, więc pytam Aleksa:

– Skąd wszyscy cię tu znają?

– Często tu wpadam – stwierdza, jak gdyby to miało mi wystarczyć za odpowiedź. Ludzie nie „wpadają” do Krypt. Nie po drodze tu na plażę. Ani nawet do publicznej toalety. Dochodzę do wniosku, że sam więcej mi nie powie i już mam go przycisnąć, by udzielił mi bardziej szczegółowej odpowiedzi, kiedy wzdycha ciężko i mówi:

– Mój ojciec tu jest. Dlatego przychodzę.

Nie wiedziałam, że istnieje jeszcze coś, co mogłoby mnie teraz zaskoczyć.

– Myślałam, że twój ojciec nie żyje.

Dawno temu Alex powiedział mi, że jego ojciec nie żyje, ale nie chciał wyjaśnić nic więcej. „Nigdy się nie dowiedział, że ma syna” – tylko tyle usłyszałam i zrozumiałam z tego, że zmarł przed jego narodzinami.

Ramiona idącego przede mną Aleksa poruszają się lekkim westchnieniem.

– Bo nie żyje – odpowiada i nagle skręca w prawo w krótki korytarz, który kończy się ciężkimi żelaznymi drzwiami. Na nich również wisi napis drukowanymi literami. Głosi on: SKAZANI NA DOŻYWOCIE. Poniżej ktoś przekreślił długopisem „dożywocie” i dopisał: DOGNICIE.

– To o czym... – Mam zupełny zamęt w głowie, ale nie jest mi dane dokończyć pytania. Alex popycha drzwi i zapach, który mi dane dokończyć pytania. Alex popycha drzwi i zapach, który nas uderza: wiatru, trawy i świeżości, jest tak nieoczekiwany i upragniony, że milknę, by z ulgą zaczerpnąć duży haust powietrza. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że do tej pory oddychałam ustami.

Znajdujemy się na małym dziedzińcu otoczonym ze wszystkich stron brudnymi murami Krypt. Trawa jest tutaj niesamowicie bujna, sięga mi prawie do kolan. Pojedyncze drzewo wznosi ku górze powykręcane konary, a w jego gałęziach świergocze ptak. Jest tu zaskakująco miło, spokojnie i ładnie – to dziwne uczucie stać pośrodku małego ogrodu otoczonego masywnymi kamiennymi murami więzienia, to jakby znaleźć ciszę i spokój w oku cyklonu, podczas gdy wszystko wokół rozpada się w pył.

Alex zrobił kilka kroków w głąb dziedzińca. Stoi teraz z pochyloną głową, z oczyma wbitymi w ziemię. Musiał również wyczuć ten nastrój ukojenia, ten bezruch, który zdaje się wisieć w powietrzu jak welon, spowijając wszystko miękkością i spokojem. Niebo pociemniało jeszcze bardziej: na tle jego złowróznej szarości zieleń wydaje się żywa i elektryzująca, jak gdyby podświetlona od środka. Lada chwila lunie deszcz. Musi. Mam wrażenie, że świat wstrzymuje w płucach powietrze przed ogromnym wydechem, jakby zmagał się z samym sobą resztkami sił, by zaraz potem odpuścić.

– Tutaj – słyszę głos Aleksa, zaskakująco mocny. – W tym miejscu. – I wskazuje na kamień wystający krzywo z ziemi. – Właśnie tu leży mój ojciec.

Właśnie tu leży mój ojciec.

Spśród trawy wystają dziesiątki kamieni, które na pierwszy rzut oka wydają się porozrzucane przypadkowo i w naturalny sposób. Teraz dopiero dociera do mnie, że ktoś je powbijał w ziemię. Niektóre z nich pokryte są blaknącymi czarnymi znakami, w większości nieczytelnymi, choć na jednym kamieniu rozpoznaję słowa RICHARD oraz ZMARŁY.

Nagrobki. Uświadamiam sobie, że stoimy właśnie pośrodku cmentarza.

Alex spogląda na wciśnięty w ziemię u swoich stóp kawałek betonu, płaski jak tablica pamiątkowa. Tu widać cały napis, a drukowane litery, wypisane równo czymś, co wygląda na czarny marker, mają lekko rozmazane krawędzie, jak gdyby ktoś wielokrotnie je poprawiał. Inskrypcja głosi: WARREN SHEATHES, NIECH SPOCZYWA W POKOJU.

– Warren Sheathes – powtarzam na głos. Chciałabym ująć rękę Aleksa, ale nie sądzę, żeby było to bezpieczne. Dziedziniec otacza kilka okien i chociaż są pokryte grubą warstwą brudu, zawsze istnieje ryzyko, że ktoś będzie tędy przechodził i nas zobaczy. – To twój ojciec?

Alex kiwa głową, a potem szybko wstrząsa ramionami, jak

gdyby próbował wyrwać się ze snu.

– Tak.

– Trzymano go tutaj?

Jedna strona jego ust wykrzywia się w uśmiech, ale reszta twarzy pozostaje kamienna.

– Czternaście lat. – Powoli rysuje na ziemi kółko czubkiem buta, pierwsza fizyczna oznaka dyskomfortu i wewnętrznego napięcia, od kiedy tu przyszliśmy. W tej chwili ogarnia mnie podziw dla niego: od kiedy się poznaliśmy ciągle mnie wspierał, pocieszał i wysłuchiwał moich żalów, a przez cały ten czas dźwigał brzemień własnych sekretów.

– Co się wydarzyło? – pytam cicho. – To znaczy, czy on...

– nie kończę. Nie chcę go popędzać.

Alex spogląda na mnie przelotnie i szybko odwraca wzrok.

– Co zrobił? – odzywa się. W jego głosie znów słychać zaciętość. – Nie wiem. Nie wiem, co zrobili ci wszyscy ludzie, którzy skończyli na Oddziale Szóstym. Myślał samodzielnie. Dawał świadectwo tego, w co wierzył. Nie chciał się poddać.

– Oddział Szósty?

Alex dalej unika mojego wzroku.

– Oddział śmierci – mówi cicho. – Głównie dla więźniów politycznych. Trzymani są w karcerach. I nikt nigdy nie wychodzi na wolność. – Wskazuje ręką wokół, na inne kamienie wystające z trawy, dziesiątki prowizorycznych grobów. – Nigdy – powtarza, a mnie przypomina się znak na drzwiach:

SKAZANI NA DOGNICIE.

– Alex, tak mi przykro. – Oddałabym wszystko, by móc go dotknąć, ale jedyne, co mogę zrobić, to przysunąć się bliżej niego, by zmniejszyć dystans między nami.

Wtedy spogląda na mnie i posyła mi smutny uśmiech.

– On i moja mama mieli szesnaście lat, kiedy się poznali.

Nie do wiary, co? Miała zaledwie osiemnaście lat, kiedy mnie urodziła. – Przykuca i kciukiem obrysowuje litery na grobie.

Pojmuję już, że przychodzi tutaj tak często, by poprawiać

Pojmuję już, że przychodzi tutaj tak często, by poprawiać

blaknące znaki, by zachować pamięć o swoim ojcu. – Chcieli

razem uciec, ale ojciec został złapany, zanim zrealizowali swój plan. Nie wiedziałem, że go aresztowano. Myślałem, że nie żyje.

Mama uznała, że tak będzie dla mnie lepiej, a nikt w Głuszy nie miał wystarczających informacji, by to sprostować. Myślę, że mama wołała wierzyć w jego śmierć. Nie chciała myśleć, że gnije w tym miejscu. – Mówiąc to, cały czas przejeżdża palcem po

literach, w tę i z powrotem. – Ciocia i wujek wyznali mi prawdę, gdy skończyłem piętnaście lat. Chcieli, żebym wiedział.

Przyszedłem tu, żeby się z nim spotkać, ale... – Wydaje mi się, że się wzdryga. – W każdym razie było już za późno. Nie żył, zmarł kilka miesięcy wcześniej i został pogrzebany tutaj, gdzie jego szczątki niczego nie mogły już skazać.

Niedobrze mi. Ściany zdają się zacieśniać wokół nas, jednocześnie rosnąc i zwężając się, tak że niebo wydaje się coraz mniejsze i bardziej odległe. Utkniemy tu na zawsze – w panice przechodzi mi przez myśl i muszę wziąć głęboki oddech, żeby się uspokoić.

Alex podnosi się.

– Gotowa? – pyta mnie raz jeszcze. Kiwam głową, chociaż wcale nie jestem tego pewna. Alex pozwala sobie na przelotny uśmiech i przez chwilę widzę ciepłą iskrę w jego oczach. A potem znów przybiera pozę zimnego strażnika.

Ostatni raz przed wejściem do środka spoglądam na grób.

Szukam w myślach jakiejś modlitwy albo stosownych słów, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Nauka nie wypowiada się jasno nic nie przychodzi mi do głowy. Nauka nie wypowiada się jasno na temat tego, co się dzieje, kiedy człowiek umiera:

najprawdopodobniej rozpuszcza się w niebiańską materię, która jest Bogiem, i zostaje przez nią wchłonięty, aczkolwiek mówią nam też, że wyleczeni idą do nieba i żyją wiecznie w idealnej harmonii i porządku.

– Twoje nazwisko. – Odwracam się twarzą do Aleksa, który już ruszył w stronę drzwi. – Alex Warren.

Alex nieznacznie kiwa głową.

– Zostało mi przypisane.

– Naprawdę nazywasz się Alex Sheathes – mówię, a on znowu potakuje. Ukrywa swoje prawdziwe nazwisko, tak jak i ja. Stoimy przez chwilę bez ruchu, spoglądając tylko na siebie i nagle czuję więź między nami tak silną, że niemal fizyczną i namacalną jak ręka, która oboje nas obejmuje, która nas strzeże. Właśnie to mają na myśli ludzie, gdy mówią o Bogu: to odczucie bycia w czyichś objęciach, bycia rozumianym i chronionym. To wrażenie wydaje mi się ogromnie bliskie odmawianiu modlitwy, więc ze spokojnym sumieniem wchodzę za Alekssem do środka. Tam znów uderza nas potworny smród i wstrzymuję oddech.

Przechodzimy przez kilka krętych korytarzy. Uczucie spokoju, które miałam jeszcze przed chwilą, zostaje niemal natychmiast wyparte przez strach tak przejmujący, jakby jego

ostrze przechodziło przez sam mój rdzeń i sięgało do głębi, paraliżując mnie i utrudniając oddychanie. Miejscami wycie staje się głośniejsze, niemal nieludzkie, aż zatykam uszy. A potem znowu cichnie. Mijamy mężczyznę w białym długim kitlu znowu cichnie. Mijamy mężczyznę w białym długim kitlu poplamionym czymś, co wygląda na krew. Prowadzi pacjenta na smyczy. Żaden z nich nie rzuca nam nawet przelotnego spojrzenia.

Skręcamy tyle razy, że zaczynam się zastanawiać, czy Alex się nie zgubił, tym bardziej że korytarze stają się coraz brudniejsze, a światła nad naszymi głowami rzadsze, aż w końcu idziemy w półmroku, a pocernione kamienne mury oświetla zaledwie jedna żarówka na kilka metrów. Co jakiś czas w ciemności świecą neonowe znaki, jakby wisiały w powietrzu: ODDZIAŁ PIERWSZY, ODDZIAŁ DRUGI, ODDZIAŁ TRZECI, ODDZIAŁ CZWARTY. Mimo to Alex się nie zatrzymuje i gdy mijamy wejście do korytarza, który wiedzie do Oddziału Piątego, wołam za nim, przekonana, że się pomylił albo zgubił drogę.

– Alex! – Jednak już w momencie gdy wymawiam jego imię, dławi mnie ono, ponieważ właśnie dochodzimy do ciężkich dwuskrzydłowych drzwi oznaczonych małym znakiem, słabo oświetlonym i tak wyblakłym, że ledwie czytelny. A mimo to wydaje się jarzyć mocno jak tysiąc słońc.

Alex odwraca się i z przerażeniem stwierdzam, że spokój wyparował z jego twarzy zupełnie. Szczęka mu drży, jego oczy są pełne bólu i widzę, że nienawidzi siebie samego za to, że tu jest, za to, że to on musi to powiedzieć, że to on musi mi to pokazać.

– Tak mi przykro, Lena – szepcze. A ponad nim w ciemności żarzy się napis: ODDZIAŁ SZÓSTY.

## 22

Ludzie nienaprostowani są okrutni i kapryśni, brutalni i samolubni, nieszczęśliwi i kłótniwi. Dopiero gdy ich instynkty i pierwotne emocje zostaną poddane kontroli, mają szansę stać się szczęśliwi, wspaniałomyślni i dobrzy.

Księga SZZ

Nagle ogarnia mnie przeraźliwy strach przed pójściem dalej. W głębi brzucha zaciska się niewidzialna pięść, utrudniając mi oddychanie. Nie mogę iść dalej. Nie chcę wiedzieć.

– Może nie powinniśmy... Strażnik powiedział, że tam nie wolno. Alex wyciąga dłoń, jakby miał zamiar mnie dotknąć, a

potem przypomina sobie, gdzie jesteśmy, i przyciska ręce do ciała.

– Nie martw się. Mam tu znajomych.

– To pewnie nawet nie jest ona. – Mój głos staje się coraz bardziej piskliwy i boję się, że zaraz się rozkleję. Oblizuję usta, starając się wziąć w garść. – To był błąd. Nie powinniśmy byli tu przychodzić. Chcę do domu. – Wiem, że zachowuję się jak rozkapryszone dziecko, ale nic na to nie poradzę. Przejście przez te drzwi wydaje mi się absolutnie niemożliwe.

przez te drzwi wydaje mi się absolutnie niemożliwe.

– Lena, daj spokój. Musisz mi zaufać. – Tym razem pozwala sobie na dotyk, przelotny, muska jednym palcem moje przedramię. – Okej? Zaufaj mi.

– Ufam ci, tylko... – To powietrze, smród, ciemność i to wrażenie gnicia: wszystko to budzi we mnie pragnienie ucieczki.

– Jeśli jej tu nie ma... trudno. Ale jeśli tu jest... wydaje mi się... wydaje mi się, że to by było jeszcze gorsze.

Alex przez moment przygląda mi się bacznie.

– Musisz to sprawdzić, Lena – mówi po chwili stanowczo i wiem, że ma rację. Kiwam głową. Alex uśmiecha się blado i otwiera drzwi Oddziału Szóstego.

Wchodzimy do przedsionka wyglądającego dokładnie tak, jak wyobrażałam sobie cele w Kryptach: betonowe ściany i podłogi, które – niezależnie od farby, jaką je kiedyś pomalowano – mają teraz brudny szary kolor, przypominający mech. Wysoko na suficie pali się pojedyncza żarówka, która ledwo oświetla to małe pomieszczenie. W kącie na taborecie siedzi strażnik. Ten akurat jest normalnych rozmiarów – nawet chudy, ze śladami po trądziku i włosami, które przypominają rozgotowane spaghetti. Gdy przechodzimy przez drzwi, strażnik odruchowo dotyka broni, przysuwając ją bliżej ciała i nieznacznie przekręca lufę w naszym kierunku.

Alex sztywnieje. W głowie włącza mi się alarm.

– Nie można tu wchodzić – mówi strażnik. – To teren o ograniczonym dostępie.

Po raz pierwszy od kiedy weszliśmy do Krypt, Alex wydaje się zbity z tropu. Nerwowo bawi się identyfikatorem.

– Myślałem... myślałem, że zastanę tu Thomasa.

Strażnik podnosi się. Okazuje się, że jest niewiele wyższy ode mnie, a dużo niższy od Aleksa, ale ze wszystkich strażników, których dzisiaj widziałam, ten mnie najbardziej przeraża. Jest coś dziwnego w jego oczach, zimno i pustka, przypomina mi węża. Nigdy przedtem nikt nie kierował w moją



stronę broni i spojrzenie w długi czarny tunel lufy niemal podcina mi nogi.

– Ależ jest tu, jak najbardziej. Teraz jest tu już cały czas. –

Strażnik uśmiecha się ponuro, a jego palce spoczywają na spuście. Kiedy mówi, jego wargi odsłaniają dziąsła pełne krzywych żółtych zębów. – A co wiesz na temat Thomasa?

W powietrzu czuć ten sam bezruch i napięcie co na zewnątrz, jak tuż przed uderzeniem pioruna. Alex przejawia małą oznakę zdenerwowania: zgina i prostuje palce na udzie. Niemal widzę, jak intensywnie myśli, co odpowiedzieć. Wzmianka o Thomasie musiała być złym posunięciem – nawet ja słyszę pogardę i podejrzliwość w głosie strażnika, gdy wymawia jego imię.

Po czasie, który zdaje się wiecznością – choć pewnie trwało to kilka sekund – twarz Aleksa znów staje się nieprzeniknioną, oficjalną maską.

– Chodzą słuchy, że były jakieś problemy, i tyle. –

Wyjaśnienie jest wystarczająco ogólnikowe, a założenie zapewne słuszne. Alex leniwie obraca identyfikator między dwoma palcami. Strażnik rzuca na niego okiem i widzę, że się dwoma palcami. Strażnik rzuca na niego okiem i widzę, że się rozluźnia. Na szczęście nie próbuje przyjrzeć mu się bliżej. Alex ma certyfikat bezpieczeństwa na poziomie pierwszym, co oznacza, że ledwo ma prawo do odwiedzania magazynu, ale raczej nie powinien paradować po terenach zamkniętych, tu czy gdzie indziej w Portland, jakby były jego własnością.

– To w porę się obudziłeś – stwierdza strażnik bezbarwnym głosem. – Thomas nie pracuje tu już od kilku miesięcy. Choć pewnie WKI byłoby zadowolone. To nie jest coś, czym chcielibyśmy się chwalić. – WKI to Wydział Kontroli Informacji (albo, według prześmiewców takich jak Hana, Wydział Kompletnych Idiotów lub Wydział Karygodnej Indoktrynacji) i na dźwięk tego skrótu przechodzą mnie ciarki. Coś dziwnego musiało się wydarzyć na Oddziale Szóstym, skoro wmieszało się w to WKI.

– Wiesz, jak to jest – wzdycha Alex. Już wrócił do siebie po początkowym szoku. W jego głosie znów słychać pewność siebie i luz. – Nie da się tutaj usłyszeć od nikogo normalnej odpowiedzi. – Kolejne ogólnikowe stwierdzenie, ale strażnik tylko kiwa głową.

– Mnie nie musisz tego mówić. – A potem wskazuje na mnie brodą. – A to kto?

Czuję, jak wpatruje się w moją szyję, zauważając brak

blizny po zabiegu. Jak wielu ludzi, odruchowo się cofa – nieznacznie, ale to wystarcza, by ogarnęło mnie to dawne uczucie upokorzenia, uczucie, że coś jest ze mną nie tak. Spuszczam wzrok.

– Nikt – mówi Alex i chociaż wiem, że musiał tak rzec,

– Nikt – mówi Alex i chociaż wiem, że musiał tak rzec, odczuwam w piersi tępy ból. – Miałem jej pokazać Krypty i tyle. W celach reedukacyjnych, jeśli wiesz, o czym mówię.

Wstrzymuję oddech, przekonana, że w każdej chwili strażnik wyrzuci nas stąd, niemal tego pragnę. Ale z drugiej strony... Tuż za jego taboretami znajdują się jednoskrzydłowe drzwi z ciężkiego, grubego metalu, chronione kodem elektronicznym. Przypomina mi to skarbiec w banku. Spoza nich dochodzą mnie przytłumione dźwięki – ludzkie, jak mi się wydaje, ale trudno mi to stwierdzić z całą pewnością.

Moja matka może być za tymi drzwiami. Może być w środku. Alex miał rację: muszę się dowiedzieć.

Po raz pierwszy zaczynam w pełni pojmować znaczenie tego, co mi powiedział ubiegłej nocy: być może przez cały ten czas moja mama żyła. Kiedy ja oddychałam, oddychała i ona. Kiedy ja spałam, ona gdzie indziej też spała. Kiedy o niej myślałam, ona również mogła myśleć o mnie. Ta świadomość jest oszałamiająca, jednocześnie cudowna i na wskroś bolesna.

Alex i strażnik przez chwilę spoglądają na siebie w milczeniu. Alex dalej obraca wokół palca łańcuszek z identyfikatorem. To najwyraźniej uspokoja strażnika.

– Nie mogę was tu wpuścić – mówi znowu, ale tym razem przeprasającym tonem. Obniża broń i siada na stołku. Wypuszczam szybko powietrze z płuc, znów mimowolnie wstrzymywałam oddech.

– W porządku, po prostu robisz, co do ciebie należy – odpowiada Alex głosem pozbawionym emocji. – Więc przyszedłeś na miejsce Thomasa?  
przyszedłeś na miejsce Thomasa?

– Tak jest. – Strażnik jeszcze raz rzuca na mnie okiem i znowu czuję, jak jego wzrok zatrzymuje się na mojej pozbawionej blizny szyi. Muszę powstrzymywać się od zakrywania jej ręką. Chyba musiał uznać, że nie będziemy sprawiać kłopotów, ponieważ znowu spogląda na Aleksa i mówi: – Frank Dorset. Przeniesiony z Trójki w lutym, po tym incydencie.

Sposób, w jaki wymawia słowo „incydent”, sprawia, że znów przechodzą mnie ciarki.

– Chyba trochę bolało, nie? – Alex opiera się o ścianę, niczym wcielenie luzu i swobody. Jedynie ja wyczuwam zdenerwowanie w jego głosie. Gra na zwłokę. Nie wie, co ma teraz zrobić, ani jak załatwić nam wejście do środka.

Frank wzrusza ramionami.

– Czy ja wiem? Tutaj na pewno jest spokojniej. Nikt nie wchodzi ani nie wychodzi. Albo prawie nikt. – Znowu się uśmiecha, prezentując swoje koszarne uzębienie, ale jego oczy pozostają dalej dziwnie bez wyrazu, jakby zasnuwała je jakaś zasłona. Zastanawiam się, czy w jego wypadku był to właśnie efekt uboczny remedium czy też zawsze taki był.

Odchyła głowę do tyłu, przyglądając się badawczo Aleksowi spod półprzymkniętych powiek, czym jeszcze bardziej przypomina mi węża.

– No więc skąd się dowiedziałeś o Thomasie?

Alex dalej gra obojętnego, uśmiecha się i kręci identyfikatorem.

identyfikatorem.

– Słyszysz się to i owo – mówi, wzruszając ramionami. – Wiesz, jak to jest.

– Wiem, jak to jest – potwierdza Frank. – Ale WKI nie było tym zachwycone. Byliśmy pod obserwacją przez kilka miesięcy. A dokładnie to co słyszałeś?

Domyślałam się, że od odpowiedzi na to pytanie zależy wszystko, że to jakiś rodzaj testu. Uważaj – mówię w myślach do Aleksa.

Alex waha się tylko przez sekundę, a potem odpowiada:

– Słyszałem, że sympatyzował z drugą stroną.

Nagle wszystko zaczyna się układać w całość: słowa Aleksa, że ma tu przyjaciół, fakt, że najwyraźniej miał w przeszłości dostęp do Oddziału Szóstego. Jeden ze strażników musiał być sympatykiem, może aktywnym członkiem ruchu oporu. Znow wracają do mnie powtarzane przez Aleksa jak refren słowa: „jest nas więcej, niż ci się wydaje”.

Frank w widoczny sposób się odpręża. Najwyraźniej była to dobra odpowiedź. Musiał stwierdzić, że Alex jest jednak godny zaufania. Głaszcze lufę swojej broni, która spoczywa niedbale między jego kolanami, jak gdyby to był kot albo pies.

– To prawda. Dla mnie to był kompletny szok. Oczywiście mało go znałem, widywałem go czasami w kantine, raz albo dwa w kiblu, i tyle. Raczej typ milczka. To by nawet pasowało. Musiał się robić gadatliwy przy Odmieńcach.

To pierwszy raz, kiedy słyszę kogoś na oficjalnym

stanowisku potwierdzającego istnienie ludzi w Głuszy, i szybko wciągają powietrze do płuc. Wiem, że dla Aleksa musi to być wciągają powietrze do płuc. Wiem, że dla Aleksa musi to być bolesne: stać tu i mówić lekceważąco o swoim przyjacielu, który został złapany za sprzyjanie takim jak on. Karę z pewnością wymierzono szybko i musiała być surowa, tym bardziej że strażnik był na rządowej pensji. Najprawdopodobniej został powieszony, zastrzelony albo porażony prądem, lub też wrzucony do jednej z tych cel, by zgnić – jeśli sąd był łaskawy i nie skazał go na śmierć na torturach. O ile w ogóle miał jakiś proces.

Niesamowicie, że głos Aleksa ani drgnie.

– Z czym się sypnął?

Frank dalej głaszcze swoją broń i jest coś w tym ruchu – niemal delikatnym, jak gdyby chciał ją obudzić i powołać do życia – od czego robi mi się niedobrze.

– Nie chodziło o to. – Odgarnia włosy z twarzy, odsłaniając brudne czerwone czoło, lśniące od potu. Tu jest dużo goręcej niż na innych oddziałach. Powietrze uwięzione pośród tych ścian psuje się i gnije jak wszystko w tym miejscu. – Musiał wiedzieć coś o ucieczce. Był odpowiedzialny za inspekcje cel. A tunel nie pojawił się nagle w ciągu jednej nocy.

– O ucieczce? – wyrywa mi się. Serce zaczyna się boleśnie szarpać w mojej piersi. Nikt nigdy, przenigdy nie uciekł z Krypt. Przez chwilę ręka Franka zatrzymuje się na broni, a jego palce znów zaczynają tańczyć na spuście.

– Tak – odpowiada, wbijając wzrok w Aleksa, jakby mnie tam w ogóle nie było. – Musiałeś o tym słyszeć.

Alex wzrusza ramionami.

– Coś tam obito mi się o uszy. Ale nic potwierdzonego.

– Coś tam obito mi się o uszy. Ale nic potwierdzonego.

Frank wybucha śmiechem. To przerażający dźwięk.

Przypomina mi odgłosy wydawane przez dwie mewy, które widziałam kiedyś, jak walczyły w powietrzu o resztki jedzenia i z piskiem pikowały w stronę oceanu.

– O, to jest potwierdzone – mówi. – Zdarzyło się to w lutym. To właśnie Thomas nas zaalarmował. Oczywiście jeśli był zamieszany w całą sprawę, mogła zyskać dzięki niemu jakieś sześć, siedem godzin przewagi.

Kiedy mówi „mogła”, mam wrażenie, że mury wokół mnie się walą. Robię szybki krok w tył, zderzając się ze ścianą. To mogła być ona – przechodzi mi przez myśl i przez sekundę, po której zaraz przychodzą wyrzuty sumienia, czuję rozczarowanie.

A potem przypominam sobie, że może jej tu wcale nie było i zresztą uciec mógł ktokolwiek, w końcu pewnie nie ma tu kobiet. Mimo to zawroty głowy nie ustają. Przepelniają mnie jednocześnie niepokój i lęk oraz desperackie pragnienie.

– Co jej jest? – pyta Frank. Jego głos wydaje się dobiegać z daleka.

– To powietrze – udaje mi się wydusić. – Ciężko się tu oddycha.

Frank znowu wybuchą śmiechem, tym okropnym ni to rechotem, ni to gdakaniem.

– Myślisz, że tu jest źle. Ale to raj w porównaniu z celami.

– Wydaje się czerpać z tego faktu przyjemność i przypomina mi to rozmowę między mną a Alekssem sprzed kilku tygodni, kiedy podważał użyteczność remedium. Mówiłam, że bez miłości nie podważał użyteczność remedium. Mówiłam, że bez miłości nie byłoby też nienawiści, a bez nienawiści nie ma przemocy. To nie nienawiść jest najbardziej niebezpieczna – odpowiedział wtedy – ale obojętność.

Gdy Alex znowu się odzywa, jego głos jest cichy i wciąż swobodny, ale słyszę, że musi się przemóc: to ton, jakim mówią sprzedawcy, kiedy próbują ci wcisnąć koszyk nadgniętych owoców albo wybrakowaną zabawkę.

– Słuchaj, stary, wpuść nas na minutę. Dosłownie na minutę, to dłużej nie potrwa. Widzisz przecież, że ona i tak robi w majtki ze strachu. Musiałem przejść tutaj szmat drogi, wziąć wolne i w ogóle, a planowałem iść na molo, może trochę powędkować. Rzecz w tym, że jeśli przyprowadzę ją do domu, a ona nie będzie naprostowana... wiesz, pewnie będę musiał wlec się tutaj znowu. Mam tylko kilka dni wolnych do dyspozycji, a lato prawie się kończy...

– I o co tyle zachodu? – pyta Frank, wskazując głową w moją stronę. – Jeśli robi problemy, jest jeden łatwy sposób, by ją naprostować.

Alex uśmiecha się krzywo.

– Jest córka Stevena Jonesa, kierownika laboratorium. On nie chce wcześniejszego zabiegu, użycia siły ani żadnych komplikacji. Rozumiesz, sprawa jest delikatna.

To zuchwałe kłamstwo. Frank mógłby poprosić o mój dowód, a wtedy byłoby po nas. Nie mam pojęcia, jaka kara grozi za próbę dostania się do Krypt pod fałszywym pretekstem, ale na pewno nie jest to przyjemne.

Frank po raz pierwszy przejawia zainteresowanie moją

Frank po raz pierwszy przejawia zainteresowanie moją

osobą. Lustruje mnie z góry na dół, jak gdybym była grejpfrutem w supermarkecie, i przez chwilę nic nie mówi.

Wreszcie podnosi się i wkłada broń do kabury.

– Chodźcie – mówi. – Na pięć minut.

Gdy strażnik zajęty jest wystukiwaniem kodu na drzwiach, a potem dodatkowo przejeżdża ręką po ekranie skanującym odciski palców, Alex chwyta mnie za łokieć.

– Idziemy – mówi opryskliwym głosem, jak gdyby mój atak paniki wytrącił go z równowagi. Ale jego dotyk jest delikatny i kojący, a dłoń ciepła. Chciałabym, by trzymał ją tam cały czas, jednak Alex szybko mnie puszcza. Widzę błaganie w jego oczach: bądź dzielna. Jesteśmy prawie na miejscu.

Wytrzymaj jeszcze przez chwilę.

Ciche kliknięcie oznajmia, że zamek został odblokowany.

Frank opiera się o drzwi barkiem i popycha z całej siły, ale i tak otwierają się tylko na tyle, byśmy się przecisnęli do następnego korytarza. Alex idzie z przodu, za nim ja, a potem Frank.

Przejście jest tak wąskie, że musimy iść gęsiego, a przy tym jest tu jeszcze ciemniej niż w pozostałych częściach Krypt. Ale najbardziej uderza mnie smród: okropny odór gnicia i rozkładu jak w wyjątkowo upalny dzień na śmietniskach w porcie, gdzie wyrzuca się rybie wnętrzności. Nawet Alex klnie i kaszle, zasłaniając ręką nos. Wyobrażam sobie, jak Frank za moimi plecami szczyrzy zęby w uśmiechu.

– Oddział Szósty ma swój specjalny aromat.

Podczas marszu jego broń uderza o udo. Mam wrażenie, że zaraz zemdleję, i pewnie przytrzymałabym się ręką ściany, że zaraz zemdleję, i pewnie przytrzymałabym się ręką ściany, gdyby nie była pokryta grzybem i wilgocią. Po obu stronach widać zaryglowane metalowe drzwi do cel, wyposażone w jedno brudne okno wielkości talerza. Przez ściany dobiega mnie cichy, stały, wibrujący jęk. Jest to nawet gorsze od krzyków i wrzasków, które słyszałam wcześniej: to odgłos, jaki wydają ludzie, którzy już dawno stracili nadzieję, że ktoś ich słucha, mimowolny jęk mający jedynie wypełnić czas, przestrzeń i ciemność.

Niedobrze mi. Jeśli Alex ma rację, to moja mama jest gdzieś tu, za którymiś z tych straszliwych drzwi, tak blisko, że gdybym była w stanie zmienić układ cząsteczek i rozpuścić mury, mogłabym wyciągnąć rękę i jej dotknąć. Być może jestem bliżej niej, niż kiedykolwiek mogłabym się spodziewać. Kotłują się we mnie sprzeczne myśli i pragnienia: moja mama nie może tu być, wołałabym raczej, żeby nie żyła; a jednocześnie chciałabym

zobaczyć ją żywą. Pod czaszką pulsuje mi tamto słowo wypływające na powierzchnię spośród innych myśli: ucieczka, ucieczka, ucieczka. Myśl zbyt nieprawdopodobna, by brać ją pod uwagę. Jeśliby moja mama się stąd wydostała, wiedziałabym o tym. Przyszłaby po mnie.

Oddział Szósty składa się tylko z jednego długiego korytarza. Jeśli dobrze liczę, jest tu jakieś czterdzieścioro drzwi, czterdzieści oddzielnych cel.

– A oto gość specjalny – mówi Frank. Wali pięścią w jedno z pierwszych drzwi. – Tu siedzi nasz kolega Thomas, jeśli chcesz mu powiedzieć „cześć”. – Po czym znów wybucha tym swoim okropnym rechotem.

Przypominają mi się słowa, które wypowiedział, kiedy weszliśmy do przedsionka. „Teraz jest tu przez cały czas”.

Idący z przodu Alex nie odpowiada, ale wydaje mi się, że się wzdryga.

Frank szturcha mnie łufą w plecy.

– No i co o tym myślisz?

– Okropne – udaje mi się wychrypieć. Czuję, jakby moje gardło owinięte było drutem kolczastym. Frank wydaje się usatysfakcjonowany.

– Lepiej więc słuchać i robić, co ci każą – radzi mi. – Żeby nie skończyć jak ten facet.

Przystajemy przed drzwiami jednej z cel. Frank wskazuje głową na małe okienko, a ja z wahaniem robię krok naprzód i przyciskam twarz do szyby. Jest tak brudna, że niewiele przez nią widać, ale kiedy mrużę oczy, w panującym w celi mroku udaje mi się wyodrębnić kilka kształtów: łóżko z cienkim, brudnym materacem, ubikacja i wiadro, w którym pewnie dają im wodę do picia. Na początku wydaje mi się, że w kącie leży stos zwiniętych łachmanów, ale po chwili dociera do mnie, że to coś to człowiek, o którym mówił Frank: skulona masa skóry, kości i potarganych włosów, tak brudna, że zlewa się z szarością kamiennych ścian. Siedzi nieruchomo. Gdyby nie oczy, które wodzą tam i z powrotem, jak gdyby śledziły latające w powietrzu owady, trudno by było stwierdzić, że to żywe stworzenie. Trudno by było stwierdzić, że to w ogóle człowiek. I znów przychodzi ta myśl: wołałabym, żeby nie żyła. Nie w I znów przychodzi ta myśl: wołałabym, żeby nie żyła. Nie w tym miejscu. Wszędzie, byle nie tu.

Tymczasem Alex idzie dalej i nagle słyszę, jak szybko wciąga powietrze do płuc. Podnoszę wzrok. Stoi zupełnie nieruchomo, a jego twarz z profilu budzi we mnie lęk.

– O co chodzi? – pytam.

Przez chwilę nie odpowiada. Wpatruje się w coś w głębi korytarza, czego nie widzę – w jakieś drzwi, jak się domyślam. A potem odwraca się gwałtownie w moją stronę, szybkim, konwulsyjnym ruchem.

– Stój – mówi ochryplym głosem, który przyprawia mnie o dreszcz.

– O co chodzi? – powtarzam pytanie. Ruszam w jego stronę. Mam dziwne wrażenie, że jest bardzo daleko, a gdy Frank za moimi plecami odzywa się, jego głos również wydaje się odległy.

– Właśnie tutaj siedziała – mówi. – Numer sto osiemnaście. Administracja nie wybuliła jeszcze kasy na naprawę muru, więc na razie jest jak jest. Nie ma za bardzo forsy na remonty... Alex nie spuszcza ze mnie wzroku. Całe jego opanowanie i pewność siebie ulotniły się zupełnie. Jego oczy błyszczą od gniewu, a może od bólu, a usta wykrzywia mu grymas. Czuję się tak, jakby moja głowa pękała od hałasu.

Zaraz potem Alex wyciąga rękę, jak gdyby chciał zagrozić mi drogę. Nasze oczy spotykają się zaledwie na sekundę i błyska w nich coś dziwnego, ostrzeżenie, a może przeprosiny, i zaraz potem przeciskam się obok niego do celi sto osiemnaście.

osiemnaście.

Wygląda niemal identycznie jak te, które oglądałam przez okienka w drzwiach: betonowa podłoga, zardzewiała ubikacja i wiadro z wodą, w której pływa kilka karaluchów, małe żelazne łóżko z cienkim materacem wyciągnięte na sam środek celi.

Ale ściany...

Ściany wyglądają porażająco. Od podłogi do sufitu pokryte są napisami. Nie, nie napisami – tylko jednym słowem, wypisanym wszędzie, na każdej możliwej powierzchni.

Kocham.

Nakreślone wielkimi pętlami i wyskrobane po kątach.

Wypisane pismem pełnym gracji i solidnymi, drukowanymi literami. Wydrążone, wydrapane, wydłubane, jak gdyby ściany powoli zamieniały się w poezję.

Na ziemi, tuż przy ścianie, leży zmatowiały srebrny łańcuszek z wisiorkiem: wysadzany klejnotami sztyletem, którego ostrze zostało starte niemal zupełnie. Wisiorzek mojego ojca. Naszyjnik mojej mamy.

Mojej mamy.

Przez cały ten czas, przez każdą długą sekundę mojego



życia, kiedy myślałam, że nie żyje, była tutaj: drążyła, dhubała, skrobała, zamknięta pośród kamiennych ścian jak długo skrywany sekret.

Czuję nagle, że jestem z powrotem w swoim śnie, stoję na krawędzi klifu, a ziemia pode mną rozpada się w pył, przemienia w piasek w klepsydrze, ulatujący spod moich stóp. Zdaje mi się, że cała ziemia pode mną zniknęła, że mam pod sobą tylko powietrze i zaraz runę w dół.  
powietrze i zaraz runę w dół.

– Widzisz, jakie to straszne? Zobacz, co zrobiła z nią choroba. Kto wie, ile godzin tu spędziła, skrobiąc w tych ścianach jak szczur.

Frank i Alex stoją za moimi plecami. Słowa strażnika dochodzą do mnie jak spoza grubej warstwy tkanin. Robię krok w stronę celi, nagle skupiając wzrok na snopie światła wyciągającym się jak długi złoty palec z otworu w murze. Chmury na zewnątrz musiały się rozstać: przez dziurę, po drugiej stronie kamiennej fortecy, widzę migoczący błękit Presumpscot River i wirujące liście, kotłowaną zieleni, słońca i zapachu dziko rosnących roślin. Głusza.

Tyle godzin, tyle dni, kreślenie tych samych liter na okrągło: tego dziwnego i przerażającego słowa, słowa, które skazało ją na zamknięcie w tym miejscu na dwanaście lat. Słowa, które w końcu pomogło jej uciec. W niższej części muru tyle razy poprawiała je ogromnymi literami rozmiaru dziecka – KOCHAM – iż wyłobila je w kamieniu tak głęboko, że litera „O” utworzyła tunel, przez który przedostała się na wolność.

## 23

Strawy dla ciała, mleka dla kości,  
lodu na krwawiącą ranę i ziół dla wnętrzości.

Ludowe błogosławieństwo

Nawet kiedy żelazne bramy zatrzaskują się za nami ze szczękiem i Krypty znikają w oddali, klaustrofobiczny lęk nie ustępuje. Wciąż odczuwam w piersi straszliwy, przytłaczający ucisk i z trudem oddycham.

Stary więzienny autobus z rzeżącym silnikiem odwozi nas z dala od granicy, do Deering. Stąd wracamy z Alekssem na piechotę do centrum Portland, trzymając się przeciwnych stron chodnika. Co kilka kroków odwraca głowę w moją stronę i porusza ustami, jak gdyby wymawiał kilka niesłyszalnych słów. Wiem, że się o mnie martwi i pewnie spodziewa się, że zaraz wybuchnę płaczem, ale nie potrafię się zmusić, by spojrzeć mu w oczy albo się do niego odezwać. Idę, wbijając wzrok przed

siebie, a nogi same mnie prowadzą. Z wyjątkiem potwornego bólu w piersi i brzuchu nie czuję nic, całe moje ciało zdrętwiało. Nie czuję ziemi pod stopami ani wiatru świszczącego między drzewami, który owiewa mi twarz. Nie czuję słońca, które wbrew wszystkiemu przedarło się przez ołowiane czarne chmury, oświetlając świat dziwnym zielonkawym blaskiem, jak gdyby wszystko było zanurzone pod wodą.

Kiedy byłam mała i mama zmarła – kiedy myślałam, że zmarła – pamiętam, jak podczas swojego pierwszego biegu zgubiłam się przy końcu Congress Street, ulicy, na której bawiłam się przez całe życie. Skręciłam za róg i znalazłam się przed pralnią Bańka Mydlana i nagle nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie jestem i czy do domu muszę pójść w lewo, przypomnieć, gdzie jestem i czy do domu muszę pójść w lewo, czy w prawo. Wszystko wydawało się inne. Każda rzecz wyglądała jak namalowana replika siebie samej, krucha i zniekształcona, jakbym znalazła się w gabinecie krzywych luster pokazujących mi mój odmieniony nagle świat.

Właśnie tak czuję się teraz. Zagubiona i odnaleziona, i znów zagubiona, wszystko naraz. I teraz wiem, że gdzieś na świecie, w tym dzikim lesie po drugiej stronie granicy, moja mama żyje, porusza się i oddycha. Zastanawiam się, czy ona również o mnie myśli, i ból sięga głębiej, zupełnie odbiera mi oddech, i muszę się zatrzymać i przykucnąć, zgięta w pół, z ręką na brzuchu.

Jesteśmy wciąż poza półwyspem, niedaleko Brooks Street, w okolicy gdzie domy oddzielone są wielkimi połaciami połamanej trawy i zniszczonych, zaśmieconych ogrodów. Mimo to ulice nie są puste. Dostrzegam mężczyznę, który z pewnością jest porządkowym: nawet teraz, przed południem, ma megafon zawieszony na szyi i drewnianą pałkę przypiętą do pasa. Alex również musiał go zauważyć. Zatrzymuje się w odległości kilku kroków ode mnie, obserwując niby mimochodem ulicę, ale mruczy w moim kierunku:

– Możesz iść?

Staram się pokonać ból. Promieniuje teraz na całe ciało, docierając aż do głowy.

– Chyba tak – odpowiadam z jękiem.

– Zaulek po prawej. Idź.

Próbuję się wyprostować choć na tyle, by dokuśtykać do wąskiego zaułka między dwoma dużymi budynkami. W głębi jest wąskiego zaułka między dwoma dużymi budynkami. W głębi jest kilka metalowych kontenerów ustawionych równoległe do

siebie, obleganych przez rój much. Smród jest odrzucający, jak gdybym z powrotem znalazła się w Kryptach, ale i tak zaszywam się między nimi i czuję ulgę – przynajmniej mam gdzie usiąść, a do tego wreszcie jestem poza zasięgiem ludzkich oczu. Gdy tylko spoczywam na ziemi, pulsowanie w głowie ustępuje. Opieram ją o mur, czuję, że świat kołysze się jak statek uwolniony z cumy.

Alex dołącza do mnie chwilę później, przykuca przede mną i odsuwa mi włosy z twarzy. To pierwszy raz w ciągu całego dnia, kiedy może mnie dotknąć.

– Przykro mi, Lena – odzywa się i wiem, że mówi to z głębi serca. – Pomyślałem tylko, że może chciałabyś wiedzieć.

– Dwanaście lat – wyrzucam z siebie głuchym głosem. – Przez dwanaście lat myślałam, że ona nie żyje.

Przez chwilę siedzimy tak w ciszy. Alex rysuje palcem kółka na moich ramionach, rękach, kolanach – gdzie tylko może sięgnąć, jakby rozpaczliwie pragnął utrzymać ze mną fizyczny kontakt. Chciałabym zamknąć oczy i zostać uniesiona przez wiatr, w pył, w nicość, poczuć, jak wszystkie moje myśli ulatują daleko niczym lotki dmuchawca. Ale jego ręce mnie przed tym hamują: zatrzymują w tym zaułku, w tym mieście i w świecie, który nagle przestał mieć sens.

Ona gdzieś tam jest, porusza się, oddycha, je, pije. Teraz wydaje mi się nie do pomyślenia żyć dalej swoim życiem, nie umiem sobie wyobrazić spania, wiązania sznurówek, pomagania Carol w zbieraniu talerzy ze stołu, nawet leżenia z Alekssem w naszym domu, kiedy wiem, że ona żyje – że gdzieś tam jest, że krąży daleko ode mnie jak odległa galaktyka.

Dlaczego po mnie nie przyszła? Myśl ta przenika mnie jak prąd, wzbudzając na nowo palący ból. Zaciskam powieki i opuszczam głowę, modląc się, żeby minął. Ale nie wiem, do kogo się modlić. Nagle nie potrafię sobie przypomnieć żadnych słów, nie potrafię myśleć o niczym innym jak tylko o tym, gdy jako mała dziewczynka byłam w kościele i patrzyłam na słońce gasnące za witrażami, na niknące światło, po którym zostawały tylko wyblakłe szyby kolorowego szkła, cynowe i nierzeczywiste.

– Hej, popatrz na mnie.

Otwarcie oczu jest dla mnie ogromnym wysiłkiem. Nie widzę Aleksa wyraźnie, chociaż przykucnął tuż przy mnie.

– Pewnie jesteś głodna – mówi delikatnie. – Zaprowadzę cię do domu, okej? Dasz radę iść? – Odsuwa się, bym mogła

wstać.–

Nie. – Brzmi to dużo bardziej stanowczo, niż zamierzałam, i Alex wygląda na zaskoczonego.

– Nie dasz rady iść? – Między jego brwiami pojawia się mała zmarszczka.

– Nie. – Ciężko mi mówić normalnym tonem. – To znaczy nie mogę iść do domu. W ogóle.

Alex wzdycha i pociera czoło.

– Moglibyśmy wpaść na moment na Brooks Street, posiedzieć tam chwilę. A gdy poczujesz się lepiej...

Przerywam mu.

– Nie rozumiesz. – Wzbiera we mnie krzyk, jak czarny owad szamocze mi się w gardle. Mam w głowie tylko jedną myśl: oni wiedzieli. Oni wszyscy wiedzieli: Carol, wujek William i może nawet Rachel, i pozwolili mi wierzyć przez cały czas, że ona nie żyje. Pozwolili mi wierzyć, że mnie zostawiła. Nagle wypełnia mnie gniew gorący jak lawa: jeśli ich zobaczę, nie będę w stanie się powstrzymać. Spalę dom, rozwalę go deska po desce. – Chcę z tobą uciec. Do Głuszy. Tak jak mówiliśmy.

Myślałam, że Alex się ucieszy, jednak na jego twarzy widzę tylko zmęczenie. Odwraca wzrok, mrużąc oczy.

– Posłuchaj, Lena, to był naprawdę długi dzień. Jesteś wyczerpana. Jesteś głodna. Nie myślisz jasno...

– Właśnie, że myślę jasno. – Podnoszę się z ziemi, by nie wyglądać tak bezradnie. Na Aleksa też jestem wściekła, chociaż wiem, że to nie jego wina. Ślepa furia przybiera na sile. – Nie zostanę tu, Alex. Ani chwili dłużej. Nie po... nie po tym. – Czuję skurcz w gardle, gdy znowu próbuję zdławić krzyk. – Oni wiedzieli, Alex. Wiedzieli i nic mi nie powiedzieli.

On też się podnosi – powoli, jakby sprawiało mu to ból.

– Tego nie wiesz na pewno.

– Wiem – powtarzam z uporem. Bo tak naprawdę wiem, gdzieś głęboko w środku. Myślę o mamie pochylonej nade mną, o trupiej bladości jej twarzy wdzierającej się w mój sen, o jej głosie: „Kocham cię. Pamiętaj. Tego nie mogą nam odebrać”, dźwięczącym delikatnie w moim uchu, o smutnym uśmiechu błakającym się na jej ustach. Ona też wiedziała. Musiała błakającym się na jej ustach. Ona też wiedziała. Musiała wiedzieć, że po nią przyjdą, że ją zabiorą do tego okropnego miejsca. I zaledwie tydzień później siedziałam w szorstkiej czarnej sukience przed pustą trumną, ze stosem skórek z pomarańczy na kolanach, starając się powstrzymać łzy, podczas gdy wszyscy, którym wierzyłam, wznosili wokół mnie twarde i

gładki mur kłamstw („była chora”, „właśnie to czyni z ludźmi choroba”, „popełniła samobójstwo”). To mnie tak naprawdę pogrzebano tego dnia.

– Nie mogę iść do domu i nie pójdę. Pójdę z tobą.

Stworzymy nasz własny dom w Głuszy. Inni tak robią, prawda?

Inni tak zrobili. Moja mama... – Chciałam powiedzieć: „moja mama tak robi”, lecz mój głos się łamie.

Alex wpatruje się we mnie uważnie.

– Lena, jeśli wyjedziesz, jeśli naprawdę wyjedziesz, będziesz w zupełnie innej sytuacji niż ja teraz. Jesteś tego świadoma, prawda? Nie będziesz mogła przekraczać granicy w tę i z powrotem. Nie będziesz mogła nigdy wrócić. Twój numer zostanie unieważniony. Każdy będzie wiedział, że przeszłaś na drugą stronę. Wszyscy będą cię szukać. Jeśli ktoś cię kiedyś złapie... – Alex nie kończy zdania.

– Nie obchodzi mnie to – warczę. Nie panuję już nad sobą.

– Ty to zaproponowałaś, prawda? No i co? Teraz gdy jestem gotowa, wycofujesz się?

– Próbuję tylko...

Znowu mu przerywam, wyrzucając z siebie ostre słowa, napędzana gniewem, pragnieniem, by drzeć na strzępy, ranić i niszczyć.

niszczyć.

– Jesteś taki jak wszyscy. Jesteś tak samo nic nie wart jak cała reszta. Słowa, słowa, słowa; to ci łatwo przychodzi. Ale kiedy przychodzi pora na działanie, kiedy przychodzi pora, by mi pomóc...

– Staram się ci pomóc – odpowiada Alex ostro. – Jednak to poważna sprawa. Nie rozumiesz? To zbyt poważna decyzja, a ty jesteś teraz zdenerwowana i sama nie wiesz, co mówisz. – On też jest teraz zły. Ton jego głosu wywołuje ból, ale nie potrafię się uciszyć. Niszczyć, niszczyć, niszczyć; mam ochotę rozwalić wszystko: jego, siebie, nas, całe miasto, cały świat.

– Nie traktuj mnie jak dziecko – cedzę przez zęby.

– To przestań zachowywać się jak dziecko – odparowuje.

Czuję, że już gdy wypowiada te słowa, żałuje ich. Odwraca głowę, bierze głęboki oddech, po czym odzywa się normalnym tonem: – Posłuchaj, Lena. Naprawdę przepraszam. Wiem, że... to znaczy po tym wszystkim, co się dzisiaj wydarzyło... Potrafię sobie wyobrazić, jak się czujesz.

Ale jest już za późno. Łzy zamazują mi widok. Odwracam się plecami do niego i zaczynam dłubać paznokciem w murze. Odpada z niego malutki odłamek cegły. Gdy patrzę, jak spada

na ziemię, przypomina mi się mama oraz tamte przerażające mury i łązy płyną szybciej.

– Gdyby ci na mnie zależało, zabrałbyś mnie stąd. Gdyby ci choć trochę na mnie zależało, zrobiłbyś to już teraz.

– Zależy mi na tobie.

– Nieprawda. – Teraz sama wiem, że zachowuję się jak dziecko, ale nic na to nie poradzę. – Jej też nie zależało. Wcale a dziecko, ale nic na to nie poradzę. – Jej też nie zależało. Wcale a wcale.–

To nie tak.

– To dlaczego po mnie nie przyszła? – Wciąż odwrócona do niego tyłem przyciskam dłoń do muru, mocno, mając wrażenie, że i on może w każdej chwili się zawalić. – Gdzie teraz jest? Dlaczego mnie nie odnalazła?

– Dobrze wiesz dlaczego. Wiesz, co by się stało, gdyby ją znowu złapali... gdyby ją złapali z tobą. To byłby wyrok śmierci dla was obu.

Wiem, że ma rację, jednak wcale nie czuję się lepiej. Dalej powtarzam uparcie:

– To nie tak. Nie zależy jej na mnie, tobie też nie. Nikomu na mnie nie zależy. – Przeciągam ręką po twarzy, wycierając nos.

– Lena. – Alex kładzie ręce na moich łokciach i odwraca mnie twarzą do siebie. Kiedy uciekam wzrokiem, podnosi mi podbródek, zmuszając, bym na niego spojrzała. – Magdaleno – powtarza, używając po raz pierwszy od naszego spotkania przy laboratorium mojego pełnego imienia – twoja mama cię kochała. Rozumiesz? Kochała cię. Wciąż cię kocha. Chciała tylko, żebyś była bezpieczna.

Przepływa przeze mnie fala gorąca. Po raz pierwszy w życiu nie boję się tego słowa. Coś w środku mnie zdaje się otwierać, rozciągać, jak kot wygrzewający się w słońcu, i z całego serca pragnę, by Alex wypowiedział je znowu. Jego głos jest niewiarygodnie miękki, a oczy ciepłe i Jego głos jest niewiarygodnie miękki, a oczy ciepłe i nakrapiane światłem, kolorem słońca sączącego się poprzez gałęzie drzew w ciepły jesienny wieczór.

– I ja też cię kocham – dodaje. Jego palce przebiegają po mojej twarzy, tańczą na moich ustach. – Powinnaś to wiedzieć. Musisz to wiedzieć.

I wtedy to się dzieje.

Tam, w tym zatęchłym zaułku, pomiędzy dwoma cuchnącymi kontenerami, wśród gruzów mojego walącego się

świata, gdy słyszę, jak Alex wymawia te słowa, cały strach, który nosiłam w sobie, od kiedy nauczyłam się siedzieć, chodzić, oddychać, od kiedy powiedziano mi, że gdzieś głęboko we mnie jest coś złego, zepsutego i skażonego, coś, co trzeba stłumić, od kiedy powiedziano mi, że zawsze byłam o krok od zepsucia, znika w okamgnieniu. To coś – głębia mojej głębi, rdzeń mojego rdzenia – rozciąga się i rozwija coraz szerzej, łopocząc jak flaga na wietrze. I czyni mnie silniejszą, niż byłam kiedykolwiek.

Otwieram usta i mówię:

– Ja też cię kocham.

To dziwne, ale po tamtej scenie nagle dociera do mnie znaczenie mojego pełnego imienia, powód, dla którego mama dała mi na imię Magdalena, oraz sens starej biblijnej opowieści o Józefie i opuszczeniu przez niego Marii Magdaleny. Dociera do mnie, że zostawił ją nie bez powodu. Zostawił ją, żeby mogła ocaleć, choć odejście od niej go zabiło.

Zostawił ją z miłości.

Zostawił ją z miłości.

Myślę, że mama już w chwili moich narodzin miała przeczucie, że pewnego dnia będzie musiała zrobić coś podobnego. Przypuszczam, że jest to część miłości do drugiego człowieka: trzeba z czegoś rezygnować. Czasem trzeba nawet rezygnować z niego samego.

Alex i ja rozmawiamy o rzeczach, które będę musiała zostawić, gdy ucieknę z nim do Głuszy. Chce być absolutnie pewien, że wiem, w co się pakuję. Nie będę już zatrzymywać się w piekarni Pod Grubymi Kotami po zamknięciu, by kupić bajgle z porannego wypieku i bułki serowe za dolara. Nie będę siedzieć na moło i oglądać skrzeczących mew krążących po niebie. Nie pobiegnę do farm, kiedy rosa migocze na każdym źdźble trawy, jak gdyby były pokryte szkłem. Nie będzie tam stałego rytmu oceanu, w Portland wyczuwalnego jak bicie serca. Nie będzie wąskich brukowanych uliczek starego portu ani sklepów pełnych jasnych, ładnych ubrań, na które nigdy nie było mnie stać.

Żal mi będzie jedynie zostawić Hanę i Grace. Reszta Portland może, jak dla mnie, obrócić się w proch: jego cienkie ozdobne wieżyczki, witryny sklepowe, bezwolni ludzie z pustym spojrzeniem, zginający karki po to tylko, by usłyszeć więcej kłamstw, jak zwierzęta dobrowolnie idące na rzeź.

– Jeśli uciekniemy razem, będziemy tylko ty i ja – powtarza ciągle Alex, jak gdyby musiał się upewnić, że go rozumiem, i chciał być pewien, że ja jestem pewna. – Nie będzie odwrotu.

Nigdy. Wtedy odpowiadam:

Wtedy odpowiadam:

– Tylko tego pragnę. Ty i ja. Na zawsze.

I tak właśnie czuję. W ogóle się nie boję. Teraz gdy wiem, że będę go mieć – że mamy siebie nawzajem – czuję, że już nigdy niczego nie muszę się bać.

Postanawiamy opuścić Portland za tydzień, dokładnie na dziewięć dni przed moim planowanym zabiegiem. Nie podoba mi się, że musimy tak bardzo opóźnić nasz wyjazd, kusi mnie, by pobiec od razu do granicy i próbować się przez nią przedostać w biały dzień, jednak Alex studzi moje zapędy i wyjaśnia, jak bardzo potrzebna jest nam ta zwłoka.

W ciągu ostatnich kilku lat przekraczał granicę tylko parę razy. Niebezpiecznie jest przedzierać się przez nią zbyt często. Mimo to przed naszą ucieczką zrobi to dwa razy – to niemal samobójcze ryzyko, przekonuje mnie jednak, że konieczne. Gdy tylko ucieknie ze mną i przestanie się pojawiać w pracy i na studiach, jego dane też zostaną unieważnione – nawet jeśli, praktycznie, jego tożsamość nigdy tak naprawdę nie była ważna, gdyż została stworzona przez ruch oporu.

Dane nas obojga zostaną wtedy anulowane, usunięte z systemu. Piii! Nie ma. Jak gdybyśmy nigdy nie istnieli. Przynajmniej wiemy, że w Głuszy nikt nas nie będzie ścigał. Nie będzie żadnych obław. Nikt nas nie będzie szukał. Gdyby chcieli nas dopaść, musieliby przyznać, że udało nam się uciec z Portland, że było to w ogóle możliwe, że Odmieńcy istnieją. Będziemy już tylko duchami, śladami, wspomnieniami – a wkrótce, jako że wyleczeni będą wpatrywać się tylko w wkrótce, jako że wyleczeni będą wpatrywać się tylko w przyszłość i w długi szereg dni, które mają przed sobą – nie będziemy już nawet tym. Ponieważ Alex nie będzie mógł więcej przekraczać granicy, musimy zabrać z sobą jak najwięcej jedzenia, a do tego ubrania na zimę i wszystko co niezbędne. Odmieńcy w osadach dzielą się prowiantem. Mimo to jesień i zima w Głuszy są zawsze ciężkie, a po latach spędzonych w Portland Alex nie jest mistrzem w polowaniu i zbieractwie. Umówiliśmy się o północy w naszej kryjówce na układanie dalszych planów. Przyniosę mu pierwszą część rzeczy, które chcę z sobą zabrać: album ze zdjęciami, notatki, które wymienialiśmy z Haną na lekcjach matematyki w drugiej klasie, i jedzenie w takiej ilości, jaką uda mi się przemycić z magazynu w sklepie wujka.

Jest niemal trzecia po południu, kiedy Alex i ja rozdzielamy



się i ruszam w stronę domu. Chmury rozstały się niemal zupełnie, a bladobłękitne niebo między nimi przypomina wyblakły i postrzępiony jedwab. Powietrze jest ciepłe, ale wiatr niesie już jesienny zapach chłodu i dymu. Wkrótce bujną zieleń traw i liści pochłoną ostre czerwienie i pomarańcze. A potem i je zniszczy surowa, czarna oschłość zimy. I mnie tu nie będzie – będę gdzieś pośród nagich, drżących drzew pokrytych śniegiem. Tyle że Alex będzie ze mną, więc będę bezpieczna. Będziemy spacerować, trzymając się za ręce, całować się w biały dzień i kochać ze wszystkich sił, i nikt nigdy nie będzie próbował nas rozdzielić.

Pomimo wszystkiego, co się dzisiaj wydarzyło, czuję się spokojniejsza niż kiedykolwiek, jak gdyby słowa, które powiedzieliśmy sobie z Alekssem, otoczyły mnie ochronną mgiełką.

Nie biegałam systematycznie od miesiąca. Było zbyt gorąco i do niedawna miałam zakaz. Teraz jednak, zaraz po przyjeździe do domu dzwonię do Hany i pytam, czy nie ma ochoty się spotkać na bieżni, naszym zwyczajowym punkcie startowym, a ona wybucha śmiechem.

– Właśnie miałam do ciebie dzwonić i pytać o to samo.

– Telepatia – stwierdzam, a jej śmiech ginie na moment w szumie, który rozlega się w słuchawce, gdy jakiś cenzor gdzieś głęboko w Portland włącza się do naszej rozmowy. Stare obracające się oko, zawsze w ruchu, zawsze czujne. Na chwilę znowu budzi się we mnie gniew, ale szybko wyparowuje. Wkrótce zniknę stąd, całkowicie i na zawsze.

Miałam nadzieję, że uda mi się wymknąć z domu bez natknięcia się na Carol, lecz niestety wpada na mnie, gdy zmierzam w stronę drzwi. Jak zwykle była w kuchni, powtarzając swój odwieczny rytuał gotowania i sprzątanania.

– Gdzie byłaś cały dzień? – pyta.

– Z Haną – odpowiadam automatycznie.

– I znowu wychodzisz?

– Tylko pobiegać. – Wcześniej myślałam, że jeśli ją jeszcze zobaczę, wydrapię jej oczy albo nawet zabiję. Ale gdy na nią patrzę, czuję zupełną obojętność, jak gdyby była kobietą z billboardu albo nieznaną w przejeżdżającym autobusie.

– Kolacja jest o wpół do ósmej. Chciałabym, byś była na czas, żeby nakryć do stołu.

czas, żeby nakryć do stołu.

– I będę – odpowiadam. Przychodzi mi do głowy, że ta

obojętność, to uczucie oddzielenia musi być tym, czego ona i wszyscy wyleczeni doświadczają przez cały czas: jakby między tobą a innymi była gruba, tłumiąca wszystko szyba. Prawie nic się przez nią nie przedostaje. Prawie nic nie ma znaczenia. Mówią, że remedium ma zapewnić szczęście, lecz teraz rozumiem, że wcale tak nie jest i nigdy nie było. Pozostaje jedynie strach: strach przed bólem, przed cierpieniem, strach, strach, strach, egzystencja ślepego zwierzęcia, które się miota, obija o ściany, wędruje w labiryncie, przerażone, otępiełe i głupie. Po raz pierwszy w życiu żal mi Carol. Mam zaledwie osiemnaście lat, a już wiem coś, czego ona nie wie: życie nie jest życiem, jeśli się przez nie tylko prześlizgniesz. Wiem, że jego istota polega na tym, by znaleźć rzeczy, które mają znaczenie, i trzymać się ich, walczyć o nie i nie odpuścić.

– Okej – mówi Carol nieco niezręcznie, jak zwykle kiedy chce powiedzieć coś ważnego, ale nie potrafi sobie przypomnieć, jak to zrobić. – Za dwa tygodnie będziesz wyleczona – dodaje wreszcie.

– Za szesnaście dni – dopowiadam, ale w głowie odliczam: siedem dni. Siedem dni do wolności, do ucieczki od wszystkich tych ludzi i ich powierzchownego życia, ocierania się jeden o drugiego i prześlizgiwania się od życia do śmierci. Dla nich różnica między jednym a drugim jest niewielka.

– Masz prawo być zdenerwowana – dodaje. To jest ta trudna rzecz, którą próbowała powiedzieć, kosztowało ją wiele wysiłku, żeby przypomnieć sobie słowa pocieszenia. Biedna ciotka Carol: życie pełne brudnych naczyń, pogniecionych puszek fasolki szparagowej oraz dni płynących w nieskończoność i zlewających się w jedno. Dociera do mnie nagle, jak staro Carol wygląda. Jej twarz poznaczona jest głębokimi bruzdami, a włosy przyprószone siwizną. Tylko oczy przekonują mnie, że jest wieczna: te puste, przezroczyste oczy, które mają wszyscy wyleczeni, jakby zawsze spoglądali w odległą przestrzeń. Musiała być ładna, kiedy była młoda, przed zabiegiem, przynajmniej tak wysoka jak moja mama i pewnie tak samo szczupła, i staje mi przed oczami obraz dwóch nastolatek, dwa smukłe czarne nawiasy oddzielone rozpiętością srebrnego oceanu, ze śmiechem ochlapujące się wodą. Takie rzeczy są wieczne.

– Och, wcale nie jestem zdenerwowana – odpowiadam. – Wierz mi. Nie mogę się doczekać. Jeszcze tylko siedem dni.

Czym jest piękno? Piękno jest niczym więcej niż trikiem, złudzeniem. Wynikiem pobudzenia cząstek i elektronów zderzających się w gałkach ocznych, ich przepychanką w twoim mózgu, gdzie zachowują się jak gromada podekscytowanych uczniów mających zaraz wybiec na przerwę. Czy pozwolisz, by tak cię mamiono? Czy pozwolisz się oszukiwać?

Ellen Dorpshire, O pięknie i fałszerstwie, „Nowa Filozofia”

Gdy przybywam na miejsce, Hana już stoi oparta o drucianą siatkę otaczającą bieżnię. Ma odchyloną głowę i zamknięte oczy. Rozpuszczone włosy rozlewają się na jej plecach, są niemal tak białe jak słońce. Zatrzymuję się kilka metrów od niej, pragnąc zapamiętać ją dokładnie taką jak teraz, zachować w umyśle ten obraz na zawsze. Wtedy Hana otwiera oczy i dostrzega mnie.

– Jeszcze nie zaczęliśmy biegać – mówi, odpychając się od ogrodzenia i ostentacyjnie spoglądając na zegarek – a już jesteś druga.

– Mam to traktować jako wyzwanie? – pytam, pokonując ostatnie dzielące nas metry.

– To po prostu stwierdzenie faktu. – Hana rzuca mi promienny uśmiech, który blednie, gdy podchodzę bliżej. – Jakoś inaczej dziś wyglądasz.

– Jestem zmęczona – odpowiadam. Dziwnie się tak witać bez uścisku czy innych oznak bliskości, mimo że zawsze tak to wyglądało między nami, zawsze tak musiało to wyglądać. Trudno mi uwierzyć, że nigdy jej nie powiedziałam, jak wiele dla mnie znaczy. – To był długi dzień.

– Chcesz o tym porozmawiać? – Spogląda na mnie z

– Chcesz o tym porozmawiać? – Spogląda na mnie z ukosa. Opaliła się tego lata. Piegi na jej nosie wyglądają jak konstelacja spadających gwiazd. Naprawdę myślę, że Hana może być najpiękniejszą dziewczyną w Portland, a może i na całym świecie, dlatego czuję ostry ból między żebrami, myśląc o tym, że dorośnie i o mnie zapomni. Rzadko będzie wspominać czas, który spędziłyśmy razem, a kiedy już wspomni, będzie się jej wydawał odległy i nieco absurdalny, jak wspomnienie snu, którego szczegóły zaczęły się już zamazywać.

– Jak skończymy bieg, to kto wie. – To jedyne, co przychodzi mi do głowy. Musisz iść naprzód: nie ma innej drogi. Musisz iść naprzód niezależnie od tego, co się dzieje. To

uniwersalne prawo.

– Chyba chciałaś powiedzieć: jak już będziesz gryźć glebę

– odpowiada Hana, pochylając się, by rozciągnąć mięśnie.

– Trochę za dużo pyskujesz jak na kogoś, kto całe lato przesiedział na czterech literach.

– I kto to mówi. – Odwraca głowę i puszcza do mnie oko.

– Nie sądzę, żeby to, co wyprawiacie z Alekssem, można uznać za ćwiczenia.

– Ciii.

– Spokojnie, spokojnie. Nikogo nie ma w pobliżu.

Sprawdziłam.

Wszystko wydaje się takie normalne – rozkosznie, cudownie normalne – że od stóp do głów moje ciało wibruje radością, od której kręci mi się w głowie. Ulice są poprzeplatane pasami złotego słońca i cienia, a powietrze przesycone zapachem soli, czegoś smażonego oraz wodorostów wyrzuconych na plażę. Pragnę zatrzymać w sobie tę chwilę na zawsze, zachować ją na dnie serca: moje dawne życie, mój sekret.

– Berek – mówię do Hany, klepiąc ją w ramię. – Gonisz!

I zrywam się do biegu, a ona z krzykiem rzuca się za mną.

Okružamy bieżnię i bez zastanowienia czy uzgodnienia trasy kierujemy się w stronę molo. Moje nogi są silne, pewne. Rana po ugryzieniu psa zagoiła się już zupełnie, został jedynie cienki czerwony ślad na łydce, jak uśmiech. Chłodne powietrze wchodzi i wychodzi z moich płuc boleśnie, ale to dobry rodzaj bólu: ból, który przypomina, jak cudownie jest oddychać, czuć swoje ciało, w ogóle czuć cokolwiek. Oczy mnie pieką od soli i mrugam szybko powiekami, nie wiedząc, czy to pot, czy łzy.

To bynajmniej nie jest nasz najszybszy bieg, ale myślę, że można by go uznać za jeden z najlepszych. Utrzymujemy dokładnie to samo tempo, biegnąc niemal ramię w ramię, zataczając pętlę od starego portu aż do Eastern Promenade.

Jesteśmy wolniejsze niż na początku lata, to nie ulega wątpliwości. W okolicach znaku wyznaczającego piąty kilometr zaczynamy zwalniać i na mocy milczącego porozumienia obie przecinamy trawnik wiodący ku plaży, po czym padamy na piasek i zaczynamy się śmiać.

– Dwie minuty – dyszy ciężko Hana. – Daj mi tylko dwie minuty.

– Jesteś żalosna – stwierdzam, chociaż jestem jej wdzięczna za tę przerwę.

– Sama jesteś żalosna – odpowiada, rzucając we mnie

garścią piasku. Obie opadamy na plecy, z rękami i nogami rozrzuconymi na boki, jakbyśmy miały robić anioły na śniegu. Piasek jest chłodny, lekko wilgotny. Musiało jednak wcześniej padać, może kiedy byliśmy z Alekssem w Kryptach. Ponowna myśl o tamtej ciasnej celi i słowach wydrążonych w murze, słońcu wpadającym przez literę „O”, jak gdyby świeciło przez teleskop, sprawia, że coś znowu ściska mnie w piersi. Moja mama gdzieś tam jest, porusza się, oddycha, żyje.

Cóż, wkrótce i ja tam będę.

Na plaży jest tylko kilka osób, w większości rodziny na spacerze i starszy mężczyzna, który posuwa się powoli brzegiem morza, wbijając laskę w piasek. Słońce tonie za chmurami, a zatoka ma jasnoszary kolor, ledwo zabarwiony zielenią.

– Nie mogę uwierzyć, że za kilka tygodni nie będziemy się już musiały martwić godziną policyjną – mówi Hana, a potem odwraca głowę w moją stronę. – Dla ciebie to niecałe trzy tygodnie. Szesnaście dni, tak?

– Tak. – Nie lubię okłamywać Hany, więc zakłopotana podnoszę się i siadam, obejmując kolana ramionami.

– Myślę, że całą pierwszą noc po zabiegu spędzę poza domem. Tylko dlatego, że będzie mi wolno. – Hana podnosi się na łokciach. – Możemy się umówić, że zrobimy to razem, ty i ja.

– W jej głosie jest błagalna nuta. Wiem, że powinnam powiedzieć po prostu: „tak, jasne” albo „brzmi super”. Wiem, że poczułaby się dzięki temu lepiej, i ja również, gdybyśmy udawały, że życie się nie zmieni.

Mimo to nie potrafię wydusić z siebie tych słów. Zamiast tego zaczynam usuwać kciukiem ziarenka piasku ze swoich ud.

– Posłuchaj, Hana, muszę ci o czymś powiedzieć. Na temat zabiegu...

– O co chodzi? – Hana patrzy na mnie podejrzliwie, zaniepokojona powagą w moim głosie.

– Obiecuję, że nie będziesz zła, dobrze? Nie będę w stanie... – Powstrzymuję się tuż przed powiedzeniem: „nie będę w stanie uciec, jeśli będziesz na mnie zła”. Uprzedzam samą siebie. Hana również siada, podnosi rękę i śmieje się wymuszenie.

– Niech zgadnę. Zostawiasz mnie, uciekasz z Alekssem i dołączasz do Odmieńców – mówi to niby żartem, ale w jej głosie znów słychać błaganie. Chce, bym zaprzeczyła.

Nic nie mówię. Przez chwilę spoglądamy na siebie, cały blask i energia natychmiast odpływają z jej twarzy.

– Chyba żartujesz – odzywa się wreszcie. – To nie może być prawda.

– Nie mam wyjścia, Hana – odpowiadam cicho.

– Kiedy? – Przygryza wargę i odwraca wzrok.

– Postanowiliśmy dzisiaj. Tego ranka.

– Nie o to pytam. Kiedy. Kiedy uciekacie?

Waham się tylko przez chwilę. Po tym dniu mam wrażenie, że niewiele wiem o świecie. Jednak tego mogę być pewna. Hana nigdy, przenigdy by mnie nie zdradziła – w każdym razie nie teraz, nie przed tym, zanim wetkną igły w jej mózg i ją zniszczą, zdeintegrują. Uświadamiam sobie, że właśnie w ten sposób działa remedium: rozbija ludzi, odcina ich od nich samych. działa remedium: rozbija ludzi, odcina ich od nich samych.

Kiedy się już do niej zabiorą – będzie za późno.

– W piątek – odpowiadam. – Za tydzień.

Hana ze świstem wciąga powietrze do płuc.

– Chyba żartujesz – powtarza.

– Nic mnie tu nie trzyma.

Wtedy znowu na mnie spogląda. Oczy ma okrągłe i pełne bólu i widzę, że ją zraniłam.

– Ja tu jestem.

Nagle wpada mi do głowy pomysł – tak absurdalnie oczywisty, że niemal wybucham śmiechem.

– Chodź z nami – mówię. Hana z niepokojem rozgląda się po plaży, lecz wszyscy zniknęli: staruszek podreptał dalej, jest już w połowie plaży, więc nie może nas słyszeć. – Mówię poważnie, Hana. Możesz iść z nami. Pokochasz Głuszę. Tam jest niesamowicie. Są tam całe osady...

– Byłaś tam? – przerywa mi ostro.

Oblewam się rumieńcem, uświadomiwszy sobie, że nie powiedziałam jej o nocy spędzonej z Alekssem w Głuszy. Wiem, że to również uzna za zdradę. Dawniej mówiłam jej o wszystkim.

– Tylko raz. I tylko przez kilka godzin. Tam jest niesamowicie, Hana. W ogóle nie tak, jak sobie wyobrażałyśmy. A granica... to, że w ogóle możesz ją przekroczyć... Tyle rzeczy jest zupełnie innych niż to, co nam mówiono. Okłamywali nas, Hana.

Przez chwilę emocje nie pozwalają mi mówić. Hana spuszcza głowę, bawiąc się nitką w szwie swoich spodenek.

– Moglibyśmy uciec razem – powtarzam delikatnie. – We

– Moglibyśmy uciec razem – powtarzam delikatnie. – We trójkę. Przez długi czas Hana nic nie odpowiada, spogląda tylko na ocean, mrużąc oczy. Wreszcie kręci głową niemal

niedostrzegalnym ruchem, rzucając mi smutny uśmiech.

– Będę za tobą tęsknić, Lena – odzywa się, a mnie coś łapie za serce.

– Hana... – zaczynam, ale ona mi przerywa.

– A może i nie będę. – Podnosi się na nogi, otrzepując piasek z szortów. – To w końcu jedna z obietnic remedium, nieprawdaż? Zero bólu. W każdym razie bólu tego rodzaju.

– Nie musisz przez to przechodzić. – Gramolę się do góry.

– Chodź z nami do Głuszy.

Hana wybucha głuchym śmiechem.

– I zostawić to wszystko? – Wskazuje ręką wokół siebie.

Wiem, że trochę żartuje, ale tylko trochę. Mimo całej swojej gadaniny, zamiłowania do nielegalnych imprez i zakazanej muzyki, Hana nie chce porzucić tego życia, tego miejsca: jedyne domu, jaki zna. Jasne, ona ma tutaj wszystko: rodzinę, przyszłość, dobrą parę. Ja nie mam nic.

Kąci jej ust drżą. Spuszcza głowę i zaczyna grzebać nogą w piasku. Chciałabym sprawić, by poczuła się lepiej, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Za to czuję w piersi nieznośny ból. Mam wrażenie, że na moich oczach znika całe moje życie z Haną, cała nasza przyjaźń: imprezy połączone z nocowaniem u siebie, zakazane miski popcornu o północy; wszystkie te dni, kiedy ćwiczyłyśmy do ewaluacji, a Hana podkradała stare kiedy ćwiczyłyśmy do ewaluacji, a Hana podkradała stare okulary swojego taty i waliła w biurko linijką za każdy razem, gdy udzielałam złej odpowiedzi, i zawsze w połowie zaczynałyśmy się dusić ze śmiechu; dzień, kiedy uderzyła pięścią w twarz Jillian Dawson, ponieważ Jillian stwierdziła, że moja krew jest skażona; jedzenie lodów na molo i marzenia o tym, żebyśmy po sparowaniu mieszkały w identycznych domach, tuż obok siebie. Wszystko to zostaje wessane w nicość jak piasek porwany przez prąd.

– Wiesz, że tu nie chodzi o ciebie. – Muszę przepychać słowa obok guli w gardle. – Ty i Grace jesteście jedynymi osobami, które są tu dla mnie ważne. Nic innego... Wszystko inne jest niczym.

– Wiem – odpowiada, ale wciąż na mnie nie patrzy.

– Hana, oni... oni zabrali moją matkę. – Początkowo nie zamierzałam jej tego mówić, w ogóle nie chciałam o tym rozmawiać. Ale słowa same wyszły z moich ust.

Hana gwałtownie odwraca głowę w moją stronę.

– O czym ty mówisz?

Opisuję jej wizytę w Kryptach. O dziwo, moja opowieść

jest całkiem spójna. Po prostu relacjonuję jej wszystko ze szczegółami. Mówię o Oddziale Szóstym, ucieczce, celi i napisach. Hana słucha w milczeniu. Nigdy nie widziałam jej tak skupionej i poważnej.

Kiedy kończę, twarzy Hany jest biała. Dokładnie tak jak wtedy, gdy byliśmy małe i nie kładłyśmy się spać do późna w nocy, próbując wystraszyć się nawzajem opowieściami o duchach. Zresztą w jakiś sposób historia mojej mamy jest duchach. Zresztą w jakiś sposób historia mojej mamy jest opowieścią o duchach.

– Przykro mi, Lena – mówi, ledwie szepcząc. – Nie wiem, co mogłabym innego powiedzieć. Tak mi przykro.

Kiwam głową, wpatrując się w ocean. Zastanawiam się, czy to, czego się dowiedzieliśmy o innych częściach świata – tych nieleczonych – jest prawdą, czy są takie dzikie, pogrążone w chaosie i bólu, jak zawsze nam mówiono. Jestem prawie pewna, że i to jest kłamstwem. Łatwiej mi, pod wieloma względami, wyobrazić sobie miejsce takie jak Portland – miejsce z własnymi murami, barierami i półprawdami, gdzie jednak miłość wciąż się tli, choć niedoskonale.

– Więc widzisz, dlaczego muszę uciec. – To nie jest pytanie, jednak Hana kiwa głową.

– Tak. – Otrząsa się, jak gdyby próbowała obudzić się ze snu. A potem odwraca się w moją stronę. Chociaż oczy ma smutne, udaje jej się uśmiechnąć. – Ty, Leno Haloway, jesteś legendą.

– Tak, racja. – Przewracam oczami, ale już mi lepiej. Użyła nazwiska mojej mamy, więc wiem, że rozumie. – Choć może raczej opowieścią z morałem.

– Mówię poważnie. – Odsuwa włosy z twarzy, wpatrując się we mnie uważnie. – Myliłam się co do ciebie. Pamiętasz, co powiedziałam na początku lata? Myślałam, że się boisz. Myślałam, że jesteś zbyt przerażona, by zaryzykować. – Smutny uśmiech znowu zakwita na jej ustach. – Okazuje się, że jesteś odważniejsza niż ja.

– Hana...

– Hana...

– W porządku. – Przerzywa mi machnięciem ręki. – Zaslługujesz na to. Zaslługujesz na więcej.

Nie bardzo wiem, co powiedzieć. Chcę ją przytulić, ale zamiast tego obejmuję ramionami siebie. Znad wody wieje przenikliwy wiatr.

– Będę za tobą tęsknić, Hana – odzywam się po chwili.



Hana podchodzi bliżej wody i czubkiem buta kopie piasek, który wznosi się łukiem do góry i zdaje się zawisać na ułamek sekundy w powietrzu.

– Cóż, znasz mój adres w razie czego.

Stoimy tak przez chwilę, wsłuchując się w szum przyływu zasysającego brzeg, wody toczącej kawałki kamieni: odłamki skał, które przez tysiące lat starły się na piasek. Kiedyś może to wszystko będzie wodą. Kiedyś może to wszystko zostanie wessane przez pył.

Aż w końcu Hana odwraca się i mówi:

– Ruszmy się wreszcie. Ścigajmy się z powrotem do bieżni.

– I rzuca się do biegu, zanim zdąży powiedzieć „okej”.

– To nie fair! – krzyczę za nią. Ale wcale nie próbuję jej dogonić. Pozwalam jej biec kilka kroków przede mną i staram się zapamiętać ją właśnie taką: w biegu, śmiejącą się, opaloną, szczęśliwą, piękną i moją. Jasne włosy błyskają w ostatnich promieniach słońca jak pochodnia, jak sygnał przywołujący te wszystkie dobre rzeczy i lepsze dni, które mają nadejść.

Miłość – najbardziej zdradliwa choroba na świecie: zabija cię zarówno wtedy, gdy cię spotka, jak i wtedy, kiedy cię omija. Ale to niedokładnie tak.

To skazujący i skazany. To kat i ostrze. I ułaskawienie w ostatnich chwilach. Głęboki oddech, spojrzenie w niebo i westchnienie: dzięki Ci, Boże.

Miłość – zabije cię i jednocześnie cię ocali.

## 25

Chcę żyć, iść muszę lub zostając – umrzeć<sup>4</sup>.

Cytat z opowieści z morałem Romeo i Julia Williama Szekspira, [przedrukowany w:] 100 cytatów, które warto znać na egzaminach końcowych, „Princeton Review”

Kiedy jakiś czas po północy zmierzam w stronę Brooks Street, jest tak zimno, że muszę zapiąć wiatrówkę aż pod szyję. Ulice są ciemne i nieruchome jak nigdy. Żadnego poruszenia, zasłony w oknach ani drgną, żadnych cieni ślizgających się po ścianach i przyprawiających mnie o żywsze bicie serca, żadnego błysku kocich ślepi, chrobotu szczurów ani odległego dudnienia kroków, gdy porządkowi robią obchód. Jakby każdy już szykował się na zimę – jakby całe miasto zostało skute mrozem. Ten spokój przyprawia mnie o ciarki. Myślę znowu o domu, który jakimś cudem przetrwał blitz i stoi teraz gdzieś tam w który jakimś cudem przetrwał blitz i stoi teraz gdzieś tam w Głuszy, w idealnym stanie, ale pusty, nie licząc polnych kwiatów porastających wszystkie pokoje.

Z ulgą witam widok zardzewiałego metalowego ogrodzenia domu przy Brooks Street 37 i zalewa mnie fala szczęścia na myśl o Aleksie przykucniętym w jednym z ciemnych pokoi, upychającym w plecaku koce i puszki z jedzeniem. Nie zdawałam sobie sprawy aż do tej pory, że w którymś momencie zaczęłam myśleć o tym miejscu jako o domu. Podciągam plecak wyżej na ramię i biegnę do bramy.

Ale coś tu nie gra: trzęsę bramą kilka razy, ale się nie otwiera. Moja pierwsza myśl – zacięła się. A wtedy zauważam kłódkę na bramie. Wygląda na nową. Kiedy ją ciągnę, połyskuje jasno w świetle księżyca.

Dom przy Brooks Street 37 jest zamknięty.

Moje zaskoczenie jest tak duże, że nawet się nie boję ani niczego nie podejrzewam. Myślę jedynie o Aleksie, zastanawiam się, gdzie jest i czy ma coś wspólnego z tą kłódką. Może zamknął dom, żeby chronić nasze rzeczy, i albo przyszłam za wcześnie, albo za późno. Już mam przeskoczyć przez ogrodzenie, kiedy Alex bezszelestnie wyłania się z ciemności.

– Alex! – Chociaż nie widzieliśmy się tylko kilka godzin, to z radości, że go widzę, że wkrótce będzie mój, jawnie i całkowicie, biegnąc do niego, zapominam ściszyć głos.

– Ciii. – Otula mnie ramionami, gdy nieomal wskakuję na niego, i cofa się pod moim ciężarem. Ale kiedy zadzieram głowę, by na niego spojrzeć, widzę na jego twarzy uśmiech i wiem, że by na niego spojrzeć, widzę na jego twarzy uśmiech i wiem, że jest tak samo szczęśliwy jak ja. Całuje mnie w czubek nosa. –

Jeszcze nie jesteśmy bezpieczni.

– Wiem, jeszcze kilka dni. – Staję na palcach i całuję go delikatnie. Jak zawsze dotyk jego ust wydaje się zmazywać całe zło tego świata. Wykręcam się z jego objęć i żartobliwie uderzam go w ramię. – A tak w ogóle to dzięki za klucz.

– Klucz? – Alex spogląda na mnie ze zdziwieniem.

– Do kłódki. – Próbuję go uścisnąć, jednak Alex odsuwa się, kręcąc głową, a jego twarz bieleje z przerażenia; i wtedy to do mnie dociera, dociera do nas obojga.

Alex otwiera usta, lecz ta chwila wydaje się trwać wieki i w tym samym momencie uświadamiam sobie, dlaczego nagle widzę go tak wyraźnie, zastygłego jak jeleni oświetlony światłami ciężarówki. To reflektory porządkowych. „Stać! Oboje! Ręce za głowę!” – grzmi zewsząd dookoła. Jednocześnie dociera do mnie pospieszny głos Aleksa: „Uciekaj, Lena. Uciekaj!”. On sam już znika w ciemności, ale moje stopy reagują wolniej i gdy wreszcie rzucam się do ucieczki w stronę pierwszej lepszej ulicy,

noc zdążyła już ożyć ruchomymi cieniami: chwytają mnie, krzyczą, łapią za włosy – mam wrażenie, że są ich setki, wylewają się w dół wzgórza, wyrastają jak spod ziemi, zza drzew, z powietrza.

– Łapać ją! Łapać!

Serce o mało nie rozsadzi mi piersi. Brak mi tchu. Nigdy nie byłam tak przerażona, zaraz umrę ze strachu. Kolejne cienie zamieniają się w ludzi. Wszyscy mnie łapią, krzyczą, trzymają lśniąca metalową broń, karabiny i pałki, gaz łzawiący. Pochyliam lśniąca metalową broń, karabiny i pałki, gaz łzawiący. Pochyliam się i przedzieram między szorstkimi dłońmi, wrywam się w stronę wzgórza nad Brandon Road, ale to bezcelowe. Jakiś porządkowy łapie mnie z tyłu. Ledwo udaje mi się wyszarpnąć z jego uścisku, kiedy wpadam na kogoś w mundurze strażnika i czuję, jak porywa mnie inna para rąk. Strach jest teraz jak koc: dusi mnie, nie pozwala oddychać.

Tuż obok pojawia się radiowóz, a kręcące się światła koguta migają oślepiającym blaskiem i wszystko wokół mnie pulsuje na czarno i biało, czarno i biało, poruszając się zrywami, w zwolnionym tempie.

Twarz wykrzywiona w przeraźliwym krzyku:

– Łapać ją! Łapać!

Brak mi tchu, o Boże, brak mi tchu.

Ostry dźwięk, przypominający gwizd, pałka zawisa w powietrzu, a potem opada. Widzę psa, skacze, warczy, obnaża kły. Przeszywa mnie palący ból, jak rozgrzane żelazo.

A potem następuje ciemność.

Kiedy otwieram oczy, świat wydaje się rozbity na tysiące kawałków. Jedyne, co widzę, to małe odłamki światła, rozmyte i ruchome jak w kalejdoskopie. Mrugam kilka razy i powoli odłamki układają się w dzwonowate światło i kremowy sufit, zeszepecony wielkim zaciekiem w kształcie sowy. Mój pokój.

Dom. Jestem w domu.

Przez chwilę czuję ulgę: całe ciało mnie kłuje, jakby powbijano w nie tysiące igieł, i jedyne, czego pragnę, to leżeć na powbijano w nie tysiące igieł, i jedyne, czego pragnę, to leżeć na tych miękkich poduszkach, zanurzyć się w ciemności i zapomnieniu, jakie daje sen, i czekać, aż minie ostry ból pod czaszką. Jednak wtedy wracają wspomnienia: kłódka, atak, mrowie cieni. I Alex.

Nie wiem, co się stało z Alekssem.

Staram się podnieść, ale koszmarny ból przenikający od głowy do szyi każe mi opaść z jękiem na poduszki. Zamykam

oczy, słyszę skrzypnięcie otwieranych drzwi i nagle dobiegają mnie z dołu czyjeś głosy. To Carol rozmawia z kimś w kuchni, z jakimś obcym mężczyzną. Pewnie z porządkowym.

Słyszę kroki, ktoś przechodzi przez pokój. Zamykam oczy, udaję, że śpię. Czuję, że ktoś się nade mną pochyla. Ciepły oddech łaskocze mnie w szyję. Zaraz potem następne kroki po schodach i syk Jenny w drzwiach.

– A ty co tu robisz? Ciocia Carol kazała ci się trzymać od niej z daleka. A teraz zjeżdżaj na dół, zanim jej powiem. Ciężar schodzi z łóżka i słychać tupot lekkich kroków oddalających się w stronę korytarza. Otwieram oczy na milimetr, na tyle, by dostrzec Grace, która mija stojącą w drzwiach Jenny. Pewnie chciała sprawdzić, co ze mną. Znowu przymykam powieki, gdy Jenny robi kilka niepewnych kroków w stronę łóżka. Następnie obraca się na pięcie i szybko wybiega z pokoju. Słyszę, jak krzyczy:

– Ciągle śpi! – I drzwi zamykają się ze skrzypnięciem.

Udaje mi się jeszcze dosłyszeć z kuchni:

– Kto to był? Kto ją zaraził?

Tym razem mobilizuję całą siłę woli, żeby usiąść, mimo bólu przeszywającego mi czaszkę i szyję oraz okropnych zawrotów głowy, które towarzyszą każdemu ruchowi. Próbuje wstać, ale okazuje się, że nogi nie potrafią mnie utrzymać. Gdy ląduję na ziemi, zaczynam czołgać się do drzwi. Nawet na czworakach jest to dla mnie nadludzki wysiłek, więc kładę się na podłodze, zrezygnowana, roztrzęsiona, a pokój kołysze się w tył i w przód jak diaboliczna huśtawka.

Na szczęście w tej pozycji da się słyszeć rozmowę z dołu.

– Musiał go pan przynajmniej widzieć – dociera do mnie głos ciotki. Nigdy nie słyszałam jej w stanie takiej hysterii.

– Niech się pani nie martwi – odpowiada porządkowy. – Znajdziemy go.

Co za ulga. Alex musiał uciec. Jeśli porządkowi mieliby pojęcie, kto był ze mną – jeśliby mieli chociaż cień podejrzenia – już by go aresztowali. Odmawiam w myślach modlitwę dziękczynną za to, że Aleksowi udało się zbiec, że jest bezpieczny.

– Nie mieliśmy pojęcia – mówi Carol, wciąż tym drżącym, nerwowym głosem, zupełnie niepodobnym do jej wyważonego tonu. I nagle uświadamiam sobie, że to nie tylko histeria. To przerażenie. – Musicie mi uwierzyć, nie miałam pojęcia, że jest zarażona. Nie było żadnych objawów. Miała taki sam apetyt. Chodziła do pracy punktualnie. Żadnych wahań nastrojów...

– Prawdopodobnie robiła wszystko, aby ukryć objawy – przerywa jej porządkowy. – Zarażeni często tak robią. – Niemal słyszę obrzydzenie w jego głosie, gdy wymawia słowo „zarażeni”, jak gdyby mówił „karaluch” albo „terrorysta”.

– I co teraz? – Głos Carol cichnie. Musieli przejść do salonu.

– Składamy wniosek o przyspieszenie – odpowiada. – Przy odrobinie szczęścia przed końcem tygodnia...

Nie jestem już w stanie dosłyszeć, co mówią. Na chwilę opieram czoło o drzwi i skupiam się na oddechu, jakbym w ten sposób, wypuszczając z płuc powietrze, mogła też wygnać ból. A potem ostrożnie podnoszę się na nogi. W głowie dalej mi się kręci, więc opieram się o ścianę i próbuję przemyśleć swoją sytuację. Muszę się dowiedzieć, co się tak naprawdę stało i jak długo porządkowi obserwowali dom przy Brooks Street. Muszę też mieć stuprocentową pewność, że Alex jest bezpieczny. I muszę porozmawiać z Haną. Hana mi pomoże. Będzie wiedziała, co zrobić. Łapię za klamkę, a wtedy okazuje się, że zostałam zamknięta od zewnątrz.

No tak, teraz jestem więźniem.

Nagle klamka zaczyna się poruszać. Odwracam się tak szybko, jak mogę, i ląduję z powrotem na łóżku – nawet to sprawia mi ból – dokładnie w momencie kiedy otwierają się drzwi i do środka wchodzi Jenny.

Zamykam oczy niedostatecznie szybko. Jenny krzyczy na korytarz:

– Już się obudziła! – Niesie szklankę wody, ale najwyraźniej ma opory przed wejściem w głąb pokoju. Staje w drzwiach, obserwując mnie tylko.

Nie mam ochoty na rozmowę z Jenny, ale potwornie chce  
Nie mam ochoty na rozmowę z Jenny, ale potwornie chce mi się pić. Gdy przelękam ślinę, czuję, jakbym miała w gardle papier ścierny.

– To dla mnie? – pytam chrapliwym głosem, wskazując na szklankę.

Jenny kiwa głową, a jej usta tworzą cienką białą linię. Chociaż raz w życiu nie ma nic do powiedzenia. Szybko rzuca się do przodu, kładzie szklankę na małym rozklekotanym stoliku obok łóżka, a potem błyskawicznie wraca na swoje miejsce.

– Ciocia Carol powiedziała, że to ci pomoże.

– Na co mi pomoże? – Biorę długi łyk, po którym ogień w gardle i głowie zdaje się ustępować.

Jenny wzrusza ramionami.

– Pewnie na infekcję.

To wyjaśnia, dlaczego stoi w drzwiach i nie chce podejść bliżej. Jestem chora, zakażona, nieczysta. Boi się, że mogłaby złapać to samo.

– Nie można się zarazić przez samo przebywanie ze mną, wiesz o tym.

– Wiem – odpowiada szybko, lecz nie rusza się ze swojego miejsca, tylko wciąż obserwuje mnie z daleka.

Czuję się potwornie zmęczona.

– Która godzina? – pytam.

– Wpół do drugiej – odpowiada.

Jestem zaskoczona, że minęło tak niewiele czasu, od kiedy wyszłam na spotkanie z Alekssem.

– Jak długo byłam nieprzytomna?

Jenny znowu wzrusza ramionami.

Jenny znowu wzrusza ramionami.

– Byłaś nieprzytomna, kiedy cię przywieźli do domu – mówi rzeczowym tonem, jak gdyby była to naturalna rzecz albo coś, co sama sobie zrobiłam, a nie wynik tego, że spałowała mnie grupa porządkowych. Co za ironia. Jenny spogląda na mnie jako na tę szaloną, tę niebezpieczną. Podczas gdy facet na dole, który o mało nie rozbił mi czaszki, jest w jej oczach wybawcą.

Nie jestem w stanie dłużej na nią patrzeć, więc odwracam się do ściany.

– Gdzie jest Grace?

– Na dole – odpowiada z tradycyjną nutą biadolonia w głosie. – Musiałyśmy porozkładać w salonie śpiwory.

No tak, wolą trzymać Grace z daleka ode mnie: młodą, podatną na wpływy Grace, chcą ochronić ją przed szaloną, chorą kuzynką. I rzeczywiście czuję, jakbym była chora, mdli mnie ze strachu i obrzydzenia. Myślę o swoich wcześniejszych fantazjach, żeby spalić cały dom. Carol ma szczęście, że nie mam przy sobie zapalek. Bo teraz chyba bym się nie zawahała.

– No więc kto to był? – Głos Jenny obniża się do syczącego szeptu, jak mały wąż, wtykający język do mojego ucha. – Kto cię zaraził?

– Jenny.

Odwracam głowę zaskoczona, słysząc głos Rachel. Stoi w drzwiach i obserwuje nas z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Ciocia Carol woła cię na dół – mówi do Jenny, której nie trzeba dwa razy powtarzać. Pędzi w kierunku drzwi, rzucając

trzeba dwa razy powtarzać. Pędzi w kierunku drzwi, rzucając przez ramię ostatnie spojrzenie w moją stronę, z malującą się na twarzy mieszanką strachu i fascynacji. Zastanawiam się, czy i ja wyglądałam tak samo kilka lat temu, kiedy Rachel miała delirium i musiało ją przyprzeć do podłogi czterech porządkowych, by zaciągnąć do laboratorium.

Rachel podchodzi do łóżka, wciąż mnie obserwując z tym samym wyrazem twarzy przypominającym maskę.

– Jak się czujesz? – pyta.

– Fantastycznie – odpowiadam z sarkazmem, ale Rachel nie daje się sprowokować.

– Weź to. – Kładzie na stoliku dwie białe tabletki.

– Co to takiego? Środki uspokajające?

Jej powieki drżą.

– Advil. – W jej głosie słyszę irytację i cieszy mnie to.

Denerwuje mnie, że tu stoi, spokojna i obojętna, lustrując mnie, jakbym była wypchanym okazem rzadkiego zwierzęcia.

– A więc... Carol cię wezwała? – Zastanawiam się, czy mogę jej zaufać, że to rzeczywiście przeciwbólowy advil, ale postanawiam zaryzykować. Ból zaraz mi rozsadzi czaszkę i nie wiem, czy środek uspokajający mógłby mi jeszcze bardziej zaszkodzić. W każdym razie i tak w tym stanie nie rzucę się do ucieczki. Popijam obie tabletki dużym łykiem wody.

– Tak. Przyjechałam od razu. – Siada na łóżku. – Spałam, kiedy mnie powiadomiono.

– Przepraszam za tę niedogodność. Wyobraź sobie, że nie prosiłam o to, by mnie ogłuszono i zawleczono tutaj. – Nigdy nie mówiłam do Rachel w ten sposób i widzę na jej twarzy mówiłam do Rachel w ten sposób i widzę na jej twarzy zaskoczenie. Pociera czoło ze zmęczeniem i przez chwilę widzę taką Rachel jak dawniej: starszą siostrę, która torturowała mnie laskotkami, zaplatała mi włosy w warkocze i żaliła się, że zawsze dostaję większe porcje lodów.

Szybko jednak wraca twarz bez wyrazu, jak maska. To niesamowite, że zawsze uważałam za normalny sposób, w jaki większość wyleczonych idzie przez życie, otulona gęstą peleryną snu. Może dlatego, że ja też wtedy spałam. Dopiero odkąd Alex mnie przebudził, widzę wszystko wyraźnie.

Przez chwilę Rachel nie mówi nic więcej. Też nie mam jej nic do powiedzenia, więc po prostu siedzimy w milczeniu.

Zamykam oczy, czekam, aż ból ustąpi, i staram się wyodrębnić słowa z kakofonii głosów na dole, odgłosów kroków, stłumionych okrzyków i szumu telewizji w kuchni, ale nie słyszę

wątku rozmowy.

Wreszcie Rachel odzywa się:

– Co się stało dziś w nocy, Lena?

Gdy otwieram oczy, widzę, że znów się we mnie wpatruje.

– Myślisz, że ci powiem?

Rachel nieznacznie kręci głową.

– Jestem twoją siostrą.

– Jakby to coś dla ciebie znaczyło.

Rachel odsuwa się o milimetr. Gdy znów się odzywa, jej głos jest zimny.

– Kim on jest? Kto cię zaraził?

– To pytanie dnia, prawda? – Odwracam się w stronę ściany. Robi mi się zimno. – Jeśli przyszedł tu mnie ściany. Robi mi się zimno. – Jeśli przyszedł tu mnie przemaglować, to tracisz czas. Równie dobrze możesz wrócić do domu.

– Przyszłam tu, bo się martwię.

– O co? O rodzinę? O naszą reputację? – Uparcie wpatruję się w ścianę, naciągając cienki letni koc aż po szyję. – A może martwisz się, bo wszyscy pomyślą, że wiedziałaś? Może myślisz, że wezmą cię za sympatyczkę?

– Nie zachowuj się tak – wzdycha. – Martwię się o ciebie, Lena. Chcę, żebyś była bezpieczna. Chcę, żebyś była szczęśliwa.

Odwracam się w jej stronę, czując przypływ gniewu – i, gdzieś głębiej, nienawiści. Nienawidzę jej. Nienawidzę jej za to, że mnie okłamała. Nienawidzę za udawanie, że się o mnie martwi, nawet za to, że użyła przy mnie tego słowa.

– Kłamiesz! I to od dawna. Wiedziałaś o mamie.

Tym razem maska opada. Rachel odsuwa się do tyłu.

– O czym ty mówisz?

– Wiedziałaś, że ona nie... że tak naprawdę się nie zabiła.

Wiedziałaś, że ją zabrali.

Rachel patrzy na mnie ze zdziwieniem.

– Naprawdę nie mam pojęcia, o czym mówisz, Leno.

Teraz już wiem przynajmniej, że choć w tej kwestii się myliłam. Rachel nie wie. Jej też nie powiedzieli. Czuję jednocześnie ulgę i rozczarowanie.

– Zamknęli ją w Kryptach, Rachel – mówię już łagodniejszym tonem. – Siedziała tam przez cały czas.

Łagodniejszym tonem. – Siedziała tam przez cały czas.

Rachel spogląda na mnie przez długą chwilę z otwartymi ustami. A potem wstaje nagle, wygładzając spodnie, jak gdyby



strząsała niewidzialne okruszki.

– Posłuchaj, Leno... Zostałaś naprawdę mocno uderzona w głowę. – I znowu to samo, jak gdybym sama sobie to zrobiła. – Jesteś zmęczona. Nie myślisz jasno.

Nie dyskutuję z nią dłużej. Nie ma sensu. Dla Rachel już i tak jest za późno. Zawsze będzie żyć za murem. Zawsze będzie w amoku.

– Spróbuj się trochę przespać – dodaje. – Doleję ci wody.

– Bierze szklankę i rusza w stronę drzwi, wyłączając światło przy wyjściu. Przystaje w nich na chwilę, odwrócona do mnie plecami. Światło z korytarza otacza ją poświatą i jej postać rozmywa się w czerń, tak że widzę tylko zarys jej sylwetki.

– Wiesz, Lena – mówi jeszcze, odwracając się w moją stronę. – Wszystko się polepszy. Wiem, że jesteś na nas zła. Wiem, że myślisz, że cię nie rozumiemy. Ale ja cię rozumiem. – Milknie na chwilę, wbijając wzrok w pustą szklankę. – Byłam dokładnie taka jak ty. Pamiętam to jak dziś, ten gniew i emocje, poczucie, że bez tego nie da się żyć, że już lepiej umrzeć. – Wzdycha. – Ale wierz mi, Leno. To wszystko jest objawem choroby. Za kilka dni zobaczysz. Ta cała historia wyda ci się snem. Dla mnie to było jak sen.

– I teraz jesteś szczęśliwsza? Jesteś zadowolona, że to zrobiłaś?

Może bierze moje pytanie za znak, że jej słucham. W każdym razie uśmiecha się.  
każdym razie uśmiecha się.

– Owszem – odpowiada.

– A zatem wcale nie jesteś taka jak ja – szepczę zajadle. – Wcale a wcale.

Rachel otwiera usta, by powiedzieć coś jeszcze, lecz wtedy pojawia się w drzwiach Carol. Twarz ma czerwoną, włosy sterczą jej na wszystkie strony, ale gdy się odzywa, jej głos brzmi spokojnie:

– Wszystko w porządku – mówi cicho do Rachel. – Wszystko zostało uzgodnione.

– Dzięki Bogu – wzdycha Rachel i dodaje ponuro: – Ale ona nie pójdzie z własnej woli.

– Czy ktokolwiek z nich idzie z własnej woli? – pyta sucho Carol i znika.

Ton jej głosu mnie przeraża. Staram się unieść na łokciach i czuję, że moje ręce są jak z waty.

– Co zostało uzgodnione? – pytam, zaskoczona, że mój głos brzmi tak niewyraźnie.

Rachel patrzy na mnie przez chwilę.

– Mówiłam ci, chcemy tylko, żebyś była bezpieczna –  
odpowiada bez emocji.

– Co uzgodniliście? – Przepęnia mnie panika, uczucie tym  
gorsze, że jednocześnie ogarnia mnie dziwna senność. Muszę  
zmobilizować całą siłę woli, by utrzymać otwarte oczy.

– Twój zabieg – mówi Carol. Znowu weszła do pokoju. –

Udało nam się załatwić dla ciebie wcześniejszy termin.

Pojedziesz do laboratorium w niedzielę, z samego rana. Mamy  
nadzieję, że po tym ci się poprawi.

nadzieję, że po tym ci się poprawi.

– To niemożliwe. – Krztuszę się. Do niedzielnego poranka  
zostały niecałe dwie doby. Nie ma czasu, by ostrzec Aleksa, ani  
by zaplanować naszą ucieczkę. Nie ma czasu na nic. – Nie  
zgadzam się. – Mój głos nawet nie brzmi jak mój: to przeciągły  
jęk.

– Pewnego dnia to zrozumiesz – kończy Carol. Razem z  
Rachel ruszają w stronę łóżka i wtedy widzę, że trzymają  
rozciągnięty między sobą nylonowy sznurek. – Pewnego dnia  
nam podziękujesz.

Próbuję się opierać, ale moje ciało jest teraz

niewiarygodnie ciężkie i wszystko rozmazuje mi się przed

oczami. Mgła zasnuwa mi umysł. Świat staje się niewyraźny.

Pierwsza myśl: a jednak kłamała, że to advil. Następna: to boli!

– gdy coś ostrego wbija mi się głęboko w nadgarstki. A potem  
nie myślę już o niczym.

## 26

oto jest tajemnica której nie dzielę z nikim

(korzeń korzenia załążek pierwszy załążka

niebo nieba nad drzewem co zwie się życiem; i rośnie

wyżej niż dusza zapragnie i umysł zdoła zataić)

cud co gwiazdy prowadzi po udzielnych orbitach

noszę twe serce z sobą (noszę je w moim sercu)<sup>5</sup>

Noszę twe serce z sobą, wiersz E.E. Cummingsa,  
zakazany, wymieniony w Szczegółowym wykazie  
niebezpiecznych słów i idei, [www.swnsi.gov.org](http://www.swnsi.gov.org)

Budzę się znowu, kiedy słyszę, jak ktoś powtarza moje

imię. Jak przez mgłę widzę kosmyki jasnych włosów

przypominające aureolę i przez chwilę wydaje mi się, że

umarłam. Może naukowcy mylili się, mówiąc, że niebo jest tylko

dla wyleczonych. A wtedy rysy Hany wyostają się i

uświadamiam sobie, że to ona się nade mną pochyla.

– Obudziłaś się? – pyta. – Słyszysz mnie?

Wydaję z siebie jęk, a ona oddycha z ulgą.

– Dzięki Bogu – mówi szeptem i wygląda na przestraszoną.

– Leżałaś tak nieruchomo, że przez chwilę pomyślałam, że oni...

– urywa. – Jak się czujesz?

– Gównianie – odpowiadam głośno chrapliwym głosem, a Hana krzywi się i ogląda się za siebie. Dostrzegam cień migoczący za drzwiami sypialni. Oczywiście. Jej wizyta jest monitorowana. Albo też jestem strzeżona dwadzieścia cztery godziny na dobę. A najprawdopodobniej i to, i to.

Ból głowy nieco złagodniał, ale teraz ogień przeszywa oba moje ramiona. Wciąż półprzytomna, próbuję poprawić się na łóżku, a wtedy przypominam sobie Carol i Rachel oraz nylonowy sznurek i uświadamiam sobie, że obie ręce mam rozciągnięte nad głową i przywiązane do oparcia łóżka, jak prawdziwy więzień. Znowu ogarnia mnie gniew, a zaraz potem prawdziwy więzień. Znowu ogarnia mnie gniew, a zaraz potem panika, kiedy przypominam sobie, co powiedziała Carol: mój zabieg został przesunięty na niedzielny ranek.

Odwracam głowę w stronę okna. Słońce prześwieca przez spuszczone cienkie, plastikowe żaluzje, oświetlając unoszące się w pokoju pyłki kurzu.

– Która godzina? – Staram się usiąść, ale wtedy sznur wrzyna mi się głębiej w nadgarstki i krzyczę z bólu. – Jaki dziś dzień?

– Ciii. – Hana przyciska mnie z powrotem do łóżka. – Sobota. Jest trzecia po południu.

– Nic nie rozumiesz. – Każde słowo wydobywa się z mojego gardła z bólem. – Jutro zabierają mnie do laboratorium. Przesunęli mi zabieg...

– Wiem. Słyszałam. – Hana wpatruje się we mnie uważnie, jak gdyby coś mi chciała w ten sposób przekazać. – Przeszłam, jak tylko się dowiedziałam.

Nawet to krótkie zmaganie zupełnie mnie wyczerpało.

Opadam z powrotem na poduszki. Lewe ramię mam zupełnie pozbawione czucia od trzymania w gorze przez całą noc i odrętwienie powoli obejmuje też dolną część ciała, zamieniając mi wnętrzności w lód. Znikąd nadziei. Wszystko przepadło. Straciłam Aleksa na zawsze.

– Od kogo słyszałaś? – pytam Hanę.

– Wszyscy o tym mówią. – Podnosi się, idzie do swojej torebki i wyciąga z niej butelkę wody. A potem wraca i klęka przy łóżku, tak że patrzy mi prosto w oczy. – Napij się tego – mówi. –

mówi. –

Poczujesz się lepiej. – Musi trzymać mi butelkę przy ustach, jak gdybym była małym dzieckiem. Pewnie w innych warunkach uznałabym to za nieco krępujące.

Woda gasi ogień w gardle. Miała rację, rzeczywiście trochę mi lepiej.

– Czy ludzie wiedzą... czy mówią...? – Oblizuję usta i zerkam ponad ramieniem Hany. Widzę cień. Kiedy się porusza, miga mi przed oczami pasiasty fartuch. Obniżam głos do szeptu.

– Czy mówią, kto...?

Hana odzywa się przesadnie głośno:

– Nie bądź uparta, Lena. I tak prędzej czy później dowiedzą się, kto cię zaraził. Równie dobrze mogłabyś nam teraz po prostu powiedzieć, kto to był. – Ta mała przemowa jest oczywiście pokazówką odegraną przed Carol. Podczas niej Hana mruga do mnie i niemal niezauważalnie kręci głową. A więc Alex jest bezpieczny. Może jednak istnieje jakaś nadzieja. Bezgłośnie mówię do Hany: Alex. A potem wskazuję w jej stronę podbródkiem z nadzieją, że zrozumie, że chcę, by go odnalazła i powiedziała mi, co się stało.

Mruga oczami i słaby uśmiech znika z jej ust. Domyślam się więc, że ma dla mnie złe wieści. Wciąż wymawiając słowa głośno i dobitnie, mówi do mnie:

– Jesteś nie tylko uparta, Lena, ale i samolubna. Jeśli im powiesz, może dotrze do nich wreszcie, że nie miałam z tym nic wspólnego. Nie chcę być niańczona przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Serce mi zamiera: no tak, Hana jest śledzona. Musieli

Serce mi zamiera: no tak, Hana jest śledzona. Musieli uznać, że w jakiś sposób była w to zamieszana albo przynajmniej ma jakieś informacje.

Może to egoistyczne, ale w tej chwili nawet nie jest mi przykro, że ją wpakowałam w kłopoty. Czuję tylko gorycz rozczarowania. Nie ma sposobu, żeby przekazała jakąkolwiek wiadomość Aleksowi, nie sprowadzając mu na głowę całej policji Portland. A jeśli dowiedzą się, że udawał wyleczonego i wspierał ruch oporu... Wtedy wątpię, by zawracali sobie głowę procesem. Od razu zarządzą egzekucję.

Hana musiała dostrzec rozpacz malującą się na mojej twarzy.

– Przykro mi, Lena – dodaje, tym razem szeptem. – Wiesz, że pomogłabym wam, gdybym tylko mogła.

– No tak, jasne, nie możesz – mówię z goryczą i

natychmiast żałuję tych słów. Hana wygląda okropnie, niemal tak źle, jak ja się czuję. Oczy ma podpuchnięte, a nos czerwony, jak gdyby niedawno płakała, i nie ma wątpliwości, że rzeczywiście przybiegła tu, gdy tylko się dowiedziała. Ma na sobie buty do biegania, plisowaną spódnicę i za duży podkoszulek na ramiączkach, w którym zwykle śpi, jak gdyby założyła pierwsze lepsze ciuchy, które miała pod ręką.

– Przepraszam – dodaję łagodniejszym tonem. – Wiesz, że tak nie myślałam.

– W porządku. – Hana podnosi się z łóżka i zaczyna przechadzać się po pokoju, jak zawsze, kiedy myśli. Przez chwilę, przez malutki ułamek sekundy, niemal żałuję, że w ogóle chwilę, przez malutki ułamek sekundy, niemal żałuję, że w ogóle spotkałam Aleksa. Chciałabym cofnąć się do samego początku lata, kiedy wszystko było takie proste i oczywiste. Albo nawet jeszcze wcześniej, do ubiegłej jesieni, kiedy Hana i ja biegałyśmy wokół Gubernatora i uczyłyśmy się do egzaminu z całek na podłodze jej pokoju, a dni przesuwają się w kierunku mojego zabiegu jak upadające kostki domina.

Gubernator. To właśnie tam Alex ujrzał mnie po raz pierwszy. To właśnie tam zostawił mi wiadomość.

I wtedy przychodzi mi do głowy pomysł.

– No a co z Allison Doveney? – pytam, starając się, by mój głos brzmiał naturalnie. – Nie chciała się pożegnać?

Hana odwraca się i spogląda na mnie ze zdziwieniem, marszcząc brwi. Allison Doveney była naszym hasłem oznaczającym Aleksa, kiedy chciałyśmy o nim porozmawiać przez telefon.

– Nie mogłam się z nią skontaktować – odpowiada niepewnie. Wyraz jej twarzy mówi: „przecież już ci to wyjaśniłam”.

Unoszę brwi, chcąc powiedzieć: „zaufaj mi”.

– Fajnie by ją było zobaczyć jutro przed zabiegiem. – Mam nadzieję, że Carol mnie słucha i bierze to za znak, że pogodziłam się już ze zmianą planów. – Po remedium wszystko będzie inaczej.

Hana wzrusza ramionami, rozkładając ręce. „Co mam zrobić?”

Wzdycham ciężko i pozornie zmieniam temat.

– Pamiętasz lekcje u pana Raidera? W piątej klasie? Jak

– Pamiętasz lekcje u pana Raidera? W piątej klasie? Jak przez cały dzień przekazywałyśmy sobie liściki?

– Tak – odpowiada Hana ostrożnie. Wciąż wygląda na

zdezorientowaną. Chyba zaczyna się martwić, że guz na głowie zaburzył moją zdolność logicznego myślenia.

Znowu wzdycham przesadnie, jak gdyby wspomnianie starych dobrych czasów spędzonych razem wpędzało mnie w nostalgiczny nastrój.

– Pamiętasz, jak nas złapał i posadził po przeciwnych stronach klasy? I za każdym razem, kiedy chciałyśmy sobie coś przekazać, wstawaliśmy, temperowałyśmy ołówki i zostawiałyśmy liścik w pustej doniczce z tyłu sali. – Wybucham wymuszonym śmiechem. – Jednego dnia musiałam zaostrzyć ołówek siedemnaście razy. I nigdy się nie skapnął, o co chodzi, ani razu.

Widzę lekki błysk w oczach Hany. Nieruchomieje i cała zamienia się w słuch, jak jelenie nasłuchujące drapieżników, nim rzucą się do ucieczki. Również wybucha śmiechem i odpowiada:

– Tak, pamiętam. Biedny pan Raider. Nie miał o niczym pojęcia.

Mówi to lekkim tonem, ale gdy siada na łóżku Grace i pochyla się, opierając łokcie o kolana, jest bardzo skupiona. I wiem, że już odgadła, co tak naprawdę chcę powiedzieć, kiedy bredzę o Allison Doveney i lekcjach u pana Raidera – że musi dostarczyć Aleksowi wiadomość.

I znowu zmieniam temat.

– A pamiętasz nasz pierwszy długi bieg? Miałam po nim nogi jak z waty. A pierwszy raz, kiedy pobiegłyśmy z West Endu do Gubernatora? Podskoczyłam wtedy i klepnęłam go w dłoń, jakbym przybijała mu piątkę.

Hana delikatnie zwięża oczy.

– Przez lata nieźle go zamęczałyśmy – mówi ostrożnie i wiem, że jeszcze nie załapała do końca.

Staram się wykrzesać ze swojego głosu maksimum ekscytacji.

– A wiesz, że słyszałam, że dawniej miał coś w ręce? Mam na myśli Gubernatora. Pochodnię albo zwój papieru, albo jeszcze coś innego. Teraz zostało biedakowi tylko puste miejsce w dłoni. – No i powiedziałam to. Hana ostro wciąga powietrze i wiem, że już zrozumiała, ale żeby się upewnić, dodaje: – Zrobisz coś dla mnie? Pobiegiesz tam dla mnie dzisiaj? Ostatni raz?

– Nie dramatyzuj, Lena. Remedium działa na mózg, nie na nogi. Pojutrze spokojnie sama będziesz mogła tam pobiec – odpowiada nonszalancko, tak jak powinna, ale teraz się uśmiecha i kiwa głową. „Tak, zrobię to. I ukryję tam

wiadomość”. Nadzieja przepływa przeze mnie ciepłym promieniem, odrobinę łagodząc ból.

– Tak, ale wtedy będzie już inaczej – mówię z jękiem.

Twarz Carol miga mi w lekko uchylonych drzwiach. Wygląda na zadowoloną. Pewnie uznała, że wreszcie pogodziłam się z myślą o zabiegu. – Zresztą zawsze coś może się nie udać.

– Wszystko się uda. – Hana wstaje i wpatruje się we mnie przez chwilę. – Obiecuję ci – oświadcza powoli, kładąc nacisk na każde słowo – że wszystko pójdzie jak trzeba.

Serce bije mi żywiej. Tym razem to ona mnie przekazała wiadomość i wiem, że nie mówiła o zabiegu.

– Na mnie już pora – stwierdza, kierując się ku drzwiom, niemal w podskokach. Uświadamiam sobie, że jeśli mój plan wypali, jeśli uda jej się przekazać wiadomość Aleksowi, a jemu wyrwać mnie z tego domowego aresztu, to to jest ostatni raz, kiedy widzę Hanę.

– Zaczekaj! – wołam za nią, kiedy jest już prawie w drzwiach.

– O co chodzi? – Odwraca się. Oczy jej błyszczą. Jest teraz podekscytowana, aż pali się do działania. Przez chwilę, gdy tak stoi w poświęceniu słonecznego światła przedzierającego się przez żaluzje, wydaje się błyszczeć, jak gdyby płonęła jakimś wewnętrznym ogniem. I teraz wiem, dlaczego wymyślono słowo „miłość”, dlaczego musiano je wymyślić: to jedyne słowo bliskie opisania tego, co teraz czuję, tej dziwnej mieszanki bólu, przyjemności, strachu i radości, które przepełniają mnie jednocześnie.

– Coś jest nie tak? – powtarza niecierpliwie Hana, przestępując z nogi na nogę. Wiem, że nie może się doczekać, aż będzie mogła stąd wyjść i zacząć wykonywać nasz plan.

Kocham cię, myślę, ale na głos mówię tylko z lekkim westchnieniem:

– Miłego biegu.

– Dzięki, z pewnością będzie miły – odpowiada Hana, a potem znika.

## 27

Ten, kto skacze do nieba, może upaść, to prawda.

Ale może też poszybować w górę.

Starożytne powiedzenie nieznanego pochodzenia, wymienione w Szczegółowym wykazie niebezpiecznych słów i idei, [www.swnsi.gov.org](http://www.swnsi.gov.org)

Bywało w moim życiu, że czas pełzł leniwie jak ślimak.

Bywało też, że mknął z tak zawrotną prędkością, że aż kręciło

mi się w głowie. Mimo to aż do dzisiaj nie wiedziałam, że może to robić jednocześnie. Minuty zdają się nabrzmiwać, puchnąć, dławić mnie swoją powolnością. Obserwuję światło poruszające się po suficie centymetr po centymetrze. Zmagam się z bólem w głowie i w łopatkach. Odrętwienie promieniuje z lewego ramienia do prawego. Patrzę, jak mucha krąży po pokoju i brzęczy, objijając się o żaluzje podczas prób wydostania się na zewnątrz. Wreszcie, zmęczona, upada na podłogę z lekkim plaskiem.

Rozumiem cię, mała. Też bym chciała uciec.

Jednocześnie ogarnia mnie przerażenie, kiedy widzę, ile czasu minęło od odwiedzin Hany. Każda godzina przybliża mnie do zabiegu, do rozstania z Alekssem, i chociaż każda minuta trwa tyle co godzina, każda godzina upływa w minutę. Chciałabym się dowiedzieć, czy Hanie udało się ukryć wiadomość w ręce dowiedzieć, czy Hanie udało się ukryć wiadomość w ręce Gubernatora. Nawet jeśli tak, istnieje jedynie niewielka szansa, że Alex pomyśli o tym, by szukać tam wieści ode mnie – jedynie cień szansy, cień cienia.

Ale zawsze to coś.

Nie myślałam nawet o innych przeszkodach stojących na drodze mojej ucieczki – jak to, że jestem związana sznurkami niczym kawał szynki, czy to, że Carol na przemian z wujkiem Williamem, Rachel i Jenny ciągle trzymają straż przed moimi drzwiami. Nazwijcie to samooszukiwaniem, uporem lub szaleństwem, ale po prostu muszę wierzyć, że Alex przyjdzie i mnie uratuje – jak w tych bajkach, które opowiadał mi w drodze powrotnej z Głuszy, w których księżę ratuje księżniczkę zamkniętą w wieży, zabijając po drodze smoki i przedzierając się przez lasy trujących cierni.

Późnym popołudniem zjawia się Rachel z talerzem parującej zupy. Bez słowa siada na skraju łóżka.

– Znowu advil? – pytam z sarkazmem, gdy podsuwa mi łyżkę z zupą.

– Przecież czujesz się lepiej, teraz, kiedy się wyspałaś, prawda?

– Poczulałabym się lepiej, gdybym nie była związana.

– To dla twojego dobra – odpowiada, wykonując znowu ruch łyżką w stronę moich ust.

Ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, jest przyjęcie jedzenia od Rachel, ale jeśli Alex po mnie przyjdzie (nie „jeśli”, kiedy po mnie przyjdzie – muszę w to wierzyć, choćby nie wiem co), będę potrzebować siły. Zresztą może jeśli Carol i Rachel



będę potrzebować siły. Zresztą może jeśli Carol i Rachel naprawdę uwierzą, że zrezygnowałam z oporu, poluzują więzy albo przestaną pilnować drzwi, co umożliwi mi ucieczkę. Pociągam długi łyk z łyżki i z wymuszonym uśmiechem stwierdzam:

– Niezła.

Rachel uśmiecha się do mnie promiennie.

– Możesz zjeść, ile chcesz. Musisz być w dobrej formie na jutro.

Amen, siostró – mówię w myślach, po czym opróżniam cały talerz i proszę o dokładkę.

Mijają kolejne minuty: wloką się powoli, jak ciężar ciągnący mnie pod wodę. Aż w pewnym momencie światło w pokoju przybiera ciepłą barwę miodu, potem zamienia się w bladą żółć świeżej śmietany, a potem zaczyna zupełnie odpływać wirowym ruchem, jak woda spływająca do kanału. Nie spodziewałam się, by Alex pojawił się przed nocą – to by było samobójstwo – ale ból i tak pulsuje mi w piersi. Właściwie nie ma już czasu.

Na kolację znowu zupa, tym razem z rozmokłymi kawałkami chleba. Teraz to Carol przynosi mi posiłek, a Rachel stoi za drzwiami. Ciotka na chwilę rozwiązuje mi ręce, po tym jak ubłagałam ją, by pozwoliła mi pójść do toalety, ale towarzyszy mi w drodze do łazienki i stoi nade mną, kiedy sikam, co jest potwornie upokarzające. Nogi mam jak z waty, a ból głowy wzmagą się w pozycji pionowej. Na nadgarstkach mam głębokie bruzdy – ślad po nylonowym sznurku – a moje ręce są jak dwa ciężary, zwisające z ramion bez życia. Kiedy Carol chce mnie znowu związać, zastanawiam się, czy nie stawić oporu – chociaż jest ode mnie wyższa, z pewnością jestem silniejsza, ale postanawiam odpuścić. W domu jest zbyt dużo ludzi, w tym wujek, i o ile wiem, na dole kręcą się jacyś porządkowi. Obezwładnią mnie i uspią w ciągu paru minut, a na to nie mogę sobie pozwolić. Dziś w nocy muszę zachować całkowitą przytomność. Jeśli Alex po mnie nie przyjdzie, będę musiała obmyślić własny plan.

Jedno jest pewne: nie poddam się jutro zabiegowi. Prędzej umrę.

Za to kiedy Carol mnie wiąże, maksymalnie napinam mięśnie. Kiedy je znowu rozluźniam, jest tam nieco miejsca na nieznaczne ruchy, jedynie milimetr wolnej przestrzeni, ale może wystarczy, by udało mi się wydostać z tych prowizorycznych kajdanek. Kolejna dobra wiadomość: z biegiem dnia wszyscy

niecو wyluzowali z nieustannym pilnowaniem mojego pokoju, tak jak się tego spodziewałam. Rachel opuszcza wartę na pięć minut, by pójść do łazienki. Jenny spędza większość czasu na wykładaniu Grace reguł jakiejś gry, którą sama wymyśliła. Carol opuszcza stanowisko na pół godziny, gdy idzie pozmywać naczynia. Po kolacji wartę przejmuje wujek William. Cieszę się z tego. Ma z sobą małe przenośne radyjko. Mam nadzieję, że przyśnie, jak mu się to zawsze zdarza po jedzeniu.

A wtedy może – może – uda mi się stąd uciec.

Do dziewiątej wieczorem całe światło zdążyło odsączyć się z pokoju i leżę teraz w ciemności, która zasnuła ściany jak z pokoju i leżę teraz w ciemności, która zasnuła ściany jak zasłona. Księżyc jest wielki i jasny, prześwieca przez żaluzje i ledwo obrysowuje kształty mglistym, srebrzystym blaskiem. Wujek William wciąż siedzi za drzwiami i cicho słucha radia. Przez podłogę dobiegają różne dźwięki: szum wody w kuchni i w łazience na dole, pomruk głosów i szuranie nóg – ostatnie pokasływania i ruchy, zanim dom pograży się w nocnej ciszy, jak człowiek w agonii. Jenny i Grace wciąż nie wolno spać ze mną w pokoju. Przypuszczam, że rozłożyły się w salonie.

Ostatnia przychodzi do mnie Rachel ze szklanką wody.

Trudno mi to stwierdzić w ciemności, ale woda wygląda podejrzanie mętnie, jakby coś w niej rozpuszczono.

– Nie chce mi się pić – mówię.

– Tylko kilka łyków.

– Poważnie, Rachel. Nie chce mi się pić.

– Nie stwarzaj problemów, Leno. – Siada na łóżku i przykłada mi szklankę do ust. – Cały dzień byłaś taka grzeczna. Nie mam wyjścia, więc biorę kilka łyków, wyczuwając cierpki posmak leków. Z pewnością coś dodali – pewnie znowu środki nasenne. Trzymam wodę w ustach, nie przełykając, i gdy tylko Rachel podnosi się i odwraca w stronę drzwi, przekręcam głowę i wypływam wodę na poduszkę, we włosy. Nie jest to miłe, ale i tak lepsze niż alternatywa. Wilgoć wsiąka w poduszkę i chwilowo koi kłujący ból w ramionach.

Rachel przystaje w drzwiach, jakby zastanawiała się, co mądrego powiedzieć na odchodne. W końcu mówi tylko:

– Do zobaczenia jutro rano.

Oby nie – odpowiadam w myślach. A potem Rachel

Oby nie – odpowiadam w myślach. A potem Rachel

wychodzi, zamykając za sobą drzwi.

I tak oto zostaję w zupełnej ciemności, sam na sam z uciekającym czasem. I gdy tak leżę, nic nie mając do roboty

oprócz myślenia, gdy dom powoli uspokaja się i milknie, powraca strach, jak upiorna mgła. Powtarzam sobie, że Alex musi przyjść – musi – ale czas biegnie nieubłaganie, drwiąc sobie ze mnie, a za oknem panuje cisza, przerywana tylko od czasu do czasu szczekaniem psa.

Żeby oderwać umysł od powtarzania w kółko tego samego pytania (przyjdzie czy nie przyjdzie?), próbuję obmyślić, w jaki sposób mogłabym się zabić w drodze do laboratorium. Jeśli będzie jakiś ruch uliczny na Congress Street, rzucę się pod ciężarówkę. A może uda mi się uciec w stronę morza. Utonięcie nie powinno być trudne, zwłaszcza jeśli będę mieć związane ręce. Jeśli to nie wyjdzie, zawsze mogę spróbować dostać się na dach laboratorium, tak jak tamta dziewczyna, i runąć w dół jak kamień.

Myślę o ujęciu, które pokazywano wtedy wszędzie w telewizji, o małej struźce krwi, o dziwnym spokoju na jej twarzy. Teraz już rozumiem. Wiem, że to chore, ale ustalenie planu na jutro sprawiło, że poczułam się lepiej, stłumiło ten straszliwy niepokój i lęk. Wolę umrzeć na własnych warunkach, niż żyć na ich. Wolę umrzeć, kochając Aleksa, niż żyć bez niego.

Boże, błagam, spraw, by po mnie przyszedł.

O nic innego nigdy nie poproszę.

Zrezygnuję ze wszystkiego, co mam.

Tylko spraw, proszę, żeby przyszedł.

Tylko spraw, proszę, żeby przyszedł.

Około północy strach przechodzi w desperację. Jeśli Alex nie przyjdzie, sama będę musiała się stąd wydostać.

Ruszam związanymi rękami, starając się zyskać dodatkowy centymetr przestrzeni. Sznur wrzyna mi się głęboko w skórę i muszę przygryźć wargę, żeby nie krzyknąć z bólu. Nieważne, jak bardzo ciągnę i wykręcam ręce, sznur nie chce się rozluźnić ani o milimetr, ale nie poddaję się, ciągle próbuję, zlana potem, aż zaczynam się bać, że jeśli będę się jeszcze bardziej szamotać, ktoś przybiegnie do pokoju. Coś mokrego spływa mi po ramieniu i kiedy zadzieram głowę, widzę na skórze gęstą, ciemną strużkę krwi, która wygląda jak ohydny czarny wąż. Rozciąłam sobie skórę.

Na zewnątrz ulice są spokojne jak nigdy i w tej chwili dociera do mnie, w jak beznadziejnym jestem położeniu: samej nie uda mi się uciec. Obudzę się jutro i zawiozą mnie pod eskortą na nadbrzeże, gdzie jedyną szansą na ucieczkę okaże się ocean albo skok z dachu laboratorium.

Myślę o oczach Aleksa w kolorze płynnego miodu, o jego

delikatnym dotyku oraz o spaniu pod baldachimem gwiazd rozpostartych nad naszymi głowami, jakby świeciły tylko dla nas. Teraz, po tylu latach, wiem już, skąd się bierze Zimno – to poczucie, że wszystko jest stracone, bezwartościowe, bez znaczenia. Wreszcie chłód nocy i rozpacz litują się nade mną, zrzucając na mój umysł czarną zasłonę, i – cud nad cudami – zasypiam.

Budzę się jakiś czas później w granatowofioletowej ciemności i czuję, że ktoś jest w pokoju i poluzowuje więzy na moich nadgarstkach. Przez chwilę serce bije mi żywiej i myślę, że to Alex, lecz gdy podnoszę wzrok, widzę Gracie przykucniętą u wezłowania łóżka i manipulującą przy sznurku, którym przywiązano mnie do ramy. Ciągnie, rozplątuje, wygina, pomagając sobie czasem zębami jak ciche pracowite zwierzę, wygryzające sobie przejście przez płot.

Wreszcie sznurek puszcza i jestem wolna. Ból w ramionach jest potworny. Czuję na rękach ukłucia tysięcy igieł. Mimo to mam ochotę krzyczeć i skakać z radości. Pewnie tak musiała się czuć mama, kiedy ujrzała pierwsze promienie słońca przebijające się przez szczelinę w murach więzienia.

Siadam na łóżku, pocierając nadgarstki. Gracie spogląda na mnie przykucnięta przy oparciu łóżka, a ja pochylam się i ściskam ją mocno. Pachnie jabłkowym mydłem i potem. Skórę ma gorącą i nie potrafię sobie wyobrazić, jak bardzo musiała być zdenerwowana, zakradając się do mojego pokoju.

Niewiarygodne, jak chuda i krucha się wydaje, kiedy tak drży delikatnie w moich ramionach.

Ale ona wcale nie jest krucha. Gracie jest silna, uświadamiam sobie, być może silniejsza niż my wszyscy.

Dociera do mnie, że przez długi czas stawiała opór na swój sposób, i fakt, że jest urodzoną buntowniczką, wywołuje uśmiech na mojej twarzy. Poradzi sobie. A nawet więcej, niż poradzi.

poradzi.

Odsuwam się na tyle, by wyszeptać jej do ucha:

– Czy wujek William wciąż jest za drzwiami?

Gracie kiwa głową, a potem składa obie ręce przy uchu, by pokazać, że William śpi.

Znowu się nachylam.

– A czy porządkowi są w domu?

Gracie znowu kiwa głową, wyciągając dwa palce, i serce przestaje mi bić. Nie tylko jeden – jest ich dwóch.

Wstaję i sprawdzam kondycję nóg, w których po niemal

dwóch dniach bez ruchu czuję skurcz. Podchodzę na palcach do okna i przesuwam żaluzje tak cicho, jak się da, świadoma, że wujek William śpi zaledwie kilka metrów ode mnie. Niebo za oknem jest ciemne, głęboko fioletowe, w kolorze oberżyny, a mrok spowija ulice niczym aksamit. Wszystko jest absolutnie nieruchome i ciche, ale tuż nad linią horyzontu zaczyna jaśnieć delikatna zorza: do świtu już niedaleko.

Ostrożnie otwieram okno, nagle ogarnięta przemożnym pragnieniem, by poczuć zapach oceanu. I oto wdycham go: powietrze przesycone solą i mgłą, zapach kojarzący mi się z ideą ciągłej zmiany, wiecznym przypiływem. Zalewa mnie wszechogarniający smutek. Wiem, że nie mam szans na odnalezienie Aleksa w tym rozległym, śpiącym mieście i nie potrafię sama dotrzeć do granicy. Najlepszym wyjściem jest dostać się na brzeg morza i wejść do wody aż po czubek głowy. Zastanawiam się, czy będzie bolało. Zastanawiam się, czy Alex będzie o mnie myślał.

Gdzieś z głębi miasta dobiega mnie dźwięk silnika: odległy, Gdzieś z głębi miasta dobiega mnie dźwięk silnika: odległy, niski pomruk przypominający dyszące zwierzę. Wkrótce jasny blask jutrzeńki wyprze ciemność, kształty staną się wyraźniejsze, a ludzie obudzą się, ziewną, zaparzą kawę i przygotowują się na kolejny dzień pracy. Życie będzie się toczyć dalej. Gdzieś głęboko wewnątrz mnie odzywa się ból. To boli coś pierwotnego, głębokiego i silniejszego niż słowa: włókno, które łączy każdego z nas z korzeniami egzystencji, pierwotna siła, która rozwija się jak pąk, stawia opór, rozkłada haczykowate liście i szuka desperacko punktu zaczepienia, sposobności, by tu zostać, oddychać, żyć dalej. Ale spycham ją na powrót w głąb. Zmuszam, by znowu się zwinęła, odpuściła.

Wolę umrzeć na swój sposób, niż żyć według waszego.

Pomruk silnika staje się coraz głośniejszy i oto moim oczom ukazuje się motocykl, który wygląda jak ciemny czarny punkt nadjeżdżający ulicą. Na chwilę zastygam, zafascynowana tym widokiem. Zaledwie dwa razy w życiu widziałam motocykl w ruchu i teraz uderza mnie jego piękno, gdy mknie ulicą, migocząc lekko, gdy przedziera się przez ciemność, niczym mokra czarna głowa wydry wylaniająca się z wody. Dostrzegam też prowadzącego – czarny kształt z tyłu motocykla, płynny jak cień, pochylony, z widocznym ledwie czubkiem głowy, który przybliża się, nabiera kształtów i kolorów.

Czubek głowy płonie kolorem jesiennych liści.

To Alex.

Mimowolnie wydaję z siebie okrzyk radości.

Za drzwiami rozlega się dudnienie, jakby ktoś uderzył o

Za drzwiami rozlega się dudnienie, jakby ktoś uderzył o ścianę, i słyszę mruczenie wujka:

– Cholera.

Alex zatrzymuje się na drodze oddzielającej naszą posesję

– którą stanowi raptem wąski pas trawy z jednym anemicznym drzewem, ogrodzony metalową siatką sięgającą pasa – od następnej. Macham do niego gorączkowo. Alex gasi silnik i obraca głowę w stronę domu. Wciąż jest bardzo ciemno, więc nie mam pewności, czy mnie widzi.

Ośmielam się zawołać go cichutko:

– Alex!

Odwraca głowę w moją stronę i jego twarz rozjaśnia

szeroki uśmiech. Rozkłada przy tym ręce, jak gdyby chciał powiedzieć: „wiedziałaś, że przyjdę, prawda?”. Przypominam sobie, jak ujrzałam go po raz pierwszy w laboratorium. Tak samo wygląda teraz: jak błyszcząca iskra, jak gwiazda migocząca w ciemności specjalnie dla mnie.

W tej chwili przepełnia mnie taka miłość, jak gdyby całe moje ciało stawało się jednym wielkim promieniem światła, wybiegającym wysoko, wysoko, poza ten pokój, mury i miasto: jak gdyby wszystko zostało za nami, jakbyśmy byli sami w powietrzu, zupełnie wolni.

Wtedy drzwi od pokoju otwierają się na oścież i wujek zaczyna wrzeszczeć wniebogłosy.

Dom wybucha światłem, mieszaniną tupotu i wrzasków.

Wujek stoi w drzwiach, wołając ciotkę, i wszystko wygląda jak w horrorach, kiedy budzi się uśpiona bestia, tyle że tutaj bestią jest dom. Słuchać dudnienie kroków po schodach – to pewnie jest dom. Słuchać dudnienie kroków po schodach – to pewnie porządkowi – a na końcu korytarza Carol wybiega z sypialni, w koszuli nocnej trzepoczącej za nią jak peleryna, z ustami wykrzywionymi w jednym przeciągłym krzyku.

Z całych sił napieram na moskitierę, lecz trzyma się mocno.

Na dole Alex również krzyczy, ale nic nie słyszę z powodu ryku uruchomionego na nowo silnika.

– Zatrzymajcie ją! – wrzeszczy Carol, a William wyrwany z letargu rzuca się do okna. Ból pali mi ramię przy ponownym naparciu na siatkę, która na chwilę lekko ustępuje, a potem znów stawia opór. Nie mam czasu, nie mam czasu, nie mam czasu. Za chwilę dopadnie mnie William i wszystko stracone.

A wtedy Gracie krzyczy:

– Zaczekaj!

Wszyscy zamierają. To pierwszy raz, kiedy Grace wypowiedziała jakieś słowo w ich obecności. William potyka się o własne nogi i wpatruje się we wnuczkę z otwartymi ustami. Carol zastyga w drzwiach, a za jej plecami Jenny przeciera oczy, jak gdyby myślała, że śni. Nawet obaj porządkowi zatrzymują się na szczycie schodów.

Właśnie tej jednej chwili potrzebowałam. Napieram raz jeszcze, siatka odskakuje i wypada na zewnątrz. I zanim się zastanowię, co robię, zanim pomyślę, czym grozi upadek z pierwszego piętra, wyskakuję przez okno. Powietrze owiewa mnie, jakby brało w objęcia, więc przez chwilę moje serce znowu wibruje radością, ogarnięte jedną myślą: lecę.

A potem uderzam o ziemię z taką mocą, że nogi uginają się pod moim ciężarem, a siła odrzutu wysysa całe powietrze z moich płuc. Lewa kostka wykręca się pod paskudnym kątem i dziki ból szarpie całym moim ciałem. Z rozpędu przetaczam się aż do ogrodzenia. Nade mną znowu słychać krzyki, a zaraz potem otwierają się drzwi frontowe i dwóch mężczyzn wybiega na ganek.

– Lena! – To głos Aleksa. Podnoszę głowę. Pochyla się nad ogrodzeniem i wyciąga do mnie rękę. Podaję mu jedną dłoń, a on łapie mnie za łokieć, podciąga do góry i niemal przewleka na drugą stronę. Fragment drucianej siatki zahacza o mój podkoszulek, rozdzierając materiał i rozcinając skórę. Nie mam czasu na strach. Na ganku rozlegają się szумы i trzaski. Jeden z porządkowych krzyczy do krótkofalówki. Drugi ładuje pistolet. Dziwne, pośrodku tego chaosu pojawia mi się w głowie bardzo głupia myśl: nie wiedziałam, że porządkowi mogą nosić broń palną.

– Szybciej! – popędza mnie Alex. Wczołguję się na motocykl i opasuję go mocno rękami.

Pierwsza kula odbija się od ogrodzenia tuż po naszej prawej. Druga trafia w chodnik.

– Jedź! – krzyczę i gdy Alex rusza, trzecia kula przelatuje ze świstem koło nas tak blisko, że czuję wibrowanie powietrza na jej torze.

Gdy dojeżdżamy do końca drogi, Alex bierze ostry skręt w prawo, na główną ulicę, i motocykl przechyla się tak mocno, że moje włosy omiatają chodnik. Żołądek wywraca mi się do góry nogami i stwierdzam, że już po nas, ale jakimś cudem wracamy

do pionu i mkniemy dalej, pozostawiając za sobą krzyki i wystrzały.

Cisza nie trwa jednak długo. Gdy skręcamy w Congress Street, dobiega mnie coraz głośniejsze wycie syren. Chcę krzyknąć Aleksowi, żeby przyspieszył, ale serce tak mi wali, że nie mogę wydobyć z siebie słowa. Zresztą i tak mój głos zginąłby we wściekłym wyciu wiatru i wiem, że już szybciej jechać się nie da. Budynki po obu stronach zlewają się w szarą, bezkształtną masę jak roztopiony metal. Nigdy to miasto nie wydawało mi się tak obce, okropne i zniekształcone. Przeróżliwy jęk syren jest jak cienkie ostrze przeszywające na wskroś moje ciało. Światła rozbłyskują w oknach, gdy ludzie budzą się ze snu. Horyzont zaczyna się czerwienić, a wschodzące słońce ma rdzawy kolor zaschniętej krwi. Strach zadaje mi potworny ból, rozdziera mnie na strzępy i czuję się gorzej niż w najstraszniejszym koszmarze. Nagle, jak spod ziemi, na końcu ulicy wyrastają dwa radiowozy. Porządkowi i policja – są ich dziesiątki, całe morze głów, rąk i wykrzywionych wrzaskiem twarzy – wylewają się na drogę. Głosy narastają, zniekształcane przez krótkofalówki i megafony.

– Stój! Stój! Stój, bo strzelam!

– Trzymaj się! – krzyczy Alex i czuję, jak jego ciało się napina. W ostatniej chwili szarpie kierownicą w lewo i skręcamy ostro w następny zaułek, zahaczając o ceglany mur. Przez kilka chwil ślizgamy się wzdłuż ściany budynku, która zdziera mi skórę z prawej łydki, aż wrzeszczę z bólu, dopóki Alex nie odzyskuje z prawej łydki, aż wrzeszczę z bólu, dopóki Alex nie odzyskuje kontroli nad maszyną. Gdy wyjeżdżamy z zaułka, słyszę dwa wozy policyjne z piskiem skręcające za nami.

Pędzimy tak szybko, że trzęsą mi się zaciśnięte wokół Aleksa ręce, ale zaraz potem ogarniają mnie jasność i spokój, gdy dociera do mnie, że nam się nie uda. Oboje zginiemy od kul albo się roztrzaskamy, albo wylecimy w powietrze w straszliwej kotłownianinie ognia i metalu i kiedy będą nas chować, nasze ciała będą ze sobą tak stopione, że tamci nie będą w stanie ich rozdzielić. Część jego pochowają ze mną, część mnie pochowają z nim. Co dziwne, ta myśl wcale mnie nie przygnębia. Jestem niemal gotowa się poddać, wydać ostatni dech wtulona w jego plecy, po raz ostatni czując pod rękami jego żebra, płuca i pierś poruszającą się w tym samym rytmie co moja.

Jednak Alex ani myśli się poddawać. Skręca w najwęższy napotkany zaułek i oba ścigające nas wozy zatrzymują się z piskiem, rozbijając się o siebie i blokując drogę innym. Słychać



trąbienie klaksonów. Od ostrej woni dymu i palonej gumy przez chwilę łzawią mi oczy, ale uwalniamy się od nich, wyjeżdżając na główną arterię, na Franklin Street.

Z oddali dobiega wycie kolejnych syren: posiłki są w drodze.

Jednak przed nami już rozciąga się upragniony widok – oto zatoka, cicha, spokojna i szara jak szkło albo metal. Niebo tli się żółto i różowo nad horyzontem. Alex skręca w Marginal Way. Zęby mi dzwonią, gdy podskakujemy na starym dziurawym chodniku, a żołądek robi fikołki na każdym wyboju. Już niedaleko. Syreny wyją głośniej, huczą jak rój szerszeni. Jeśli niedaleko. Syreny wyją głośniej, huczą jak rój szerszeni. Jeśli uda nam się dostać do granicy, zanim przyjedzie więcej radiowozów, jeśli uda nam się jakimś cudem przedrzeć między strażnikami, wspiąć na ogrodzenie...

A wtedy jak ogromny latający owad pojawia się nad nami helikopter i oświetla zygzakiem ciemną drogę. Wirowanie jego śmigieł ogłusza, rozrywa powietrze na kawałki, na fale.

Z megafonu rozbrzmiewa głos:

– W imieniu rządu Stanów Zjednoczonych Ameryki rozkazuję wam zatrzymać się i poddać!

Po prawej stronie mającą kępy długiej, wyblakłej od słońca trawy – jesteśmy nad zatoką. Alex zjeżdża z drogi i pół jadąc, pół ślizgając się po trawie, suniemy w stronę bagien, na skróty do granicy. Rozbryzgujące błoto wpada mi do ust, do oczu, dławi mnie. Półokrąg słońca wygląda teraz jak częściowo otwarta powieka.

Wreszcie w półmroku wylania się szkielet Tukey's Bridge. Światła w budkach granicznych wciąż się palą. Z oddali wyglądają nawet spokojnie, jak wiszące lampiony, jak coś kruchego i delikatnego. Za nimi jest granica. Drzewa. Wolność. Tak blisko. Gdybyśmy tylko mieli więcej czasu...

Słysząc puknięcie. Wybuch rozrywa ciemność. Błoto łukiem wystrzela do góry. Znowu strzelają, tym razem z helikoptera.

– Stać! Zejdźcie z motoru i ręce za głowę!

Wozy policyjne wjechały na drogę otaczającą zatokę.

Kolejne samochody zatrzymują się z piskiem, a policjanci wylewają się na trawę i biegną w stronę bagnisk – są ich setki, wylewają się na trawę i biegną w stronę bagnisk – są ich setki, nigdy w życiu nie widziałam ich tylu naraz, są ciemni i nie przypominają ludzi, a raczej rój karaluchów.

Znowu pędzimy po trawie, krótkim pasmem oddzielającym

wodę od zniszczonej drogi i budek strażniczych, lawirując wokół krzaków tak szybko, że gałęzie kłują mnie i chłoszczą.

I wtedy, tak po prostu, Alex hamuje. Z rozpędu uderzam o niego mocno, przygryzając język aż do krwi. Ponad nami światło z helikoptera chybotrze, próbując nas zlokalizować, a potem nakierowuje na nas swój promień. Alex podnosi ręce do góry i schodzi z motocykla, odwracając się w moją stronę. W ostrym białym świetle jego twarz jest nieodgadniona, jak gdyby zamienił się w kamień.

– Co ty wyprawiasz? – próbuję przekrzyknąć hałas śmigieł, wrzaski i wycie syren oraz odwieczny szum oceanu, gdy przyplływ wdziera się w zatokę, porywając, co się da, ścierając wszystko na proch. – Jeszcze mamy szansę!

– Posłuchaj mnie. – Nie wydaje się, żeby krzyczał, jednak jakimś cudem dociera do mnie jego głos. Tak jakby mówił mi prosto do ucha, mimo że wciąż stoi o krok ode mnie z rękami w górze. – Kiedy każę ci jechać, pojedziesz. Poprowadzisz tę maszynę, okej?

– Co? Nie umiem...

– Obywatelko 914-238-619-3216. Zejdź z motocykla i podnieś ręce do góry. Jeśli nie zejdziesz natychmiast, będziemy zmuszeni cię zastrzelić.

– Lena. – Sposób, w jaki wymawia moje imię, każe mi

– Lena. – Sposób, w jaki wymawia moje imię, każe mi zamilknąć. – Podłączyli ogrodzenie do prądu. Jest pod napięciem.

– Skąd wiesz?

– Posłuchaj mnie. – Przeważenie i desperacja zakradają się do jego głosu. – Kiedy każę ci ruszyć, ruszysz. A kiedy każę ci skoczyć, skoczysz. Dasz radę przedostać się przez ogrodzenie, ale będziesz mieć trzydzieści sekund, góra minutę, zanim prąd wróci. Musisz się wspiąć tak szybko, jak potrafisz. A potem uciekaj, okej?

Całe moje ciało przeszywa lodowata fala.

– Ja? A co z tobą?

Jego twarz ani drgnie.

– Będę zaraz za tobą – mówi.

– Masz dziesięć sekund... dziewięć... osiem...

– Alex... – Lodowate palce zaciskają się na moim żołądku.

Uśmiech migocze na jego twarzy, jakbyśmy już byli bezpieczni, jak gdyby pochylał się, by odgarnąć mi włosy z oczu lub pocałować w policzek.

– Obiecuję, że będę tuż za tobą. – Jego twarz znowu

tężeje. – Ale musisz mi przysiąc, że nie obejrzysz się za siebie.

Ani na sekundę. Okej?

– Sześć... pięć...

– Alex, nie mogę...

– Przysięgnij, Lena.

– Trzy... dwa...

– Okej – mówię, niemal dławiąc się tym słowem. Łzy rozmazują mi widok. Nie mamy szans. Nie mamy żadnych szans. rozmazują mi widok. Nie mamy szans. Nie mamy żadnych szans.

– Przysięgam.

– Jeden!

W tej samej chwili rozbłyskują wokół nas wybuchy, rozlegają się eksplozje dźwięku i ognia. Jednocześnie Alex krzyczy: „jedź!”, więc pochylam się i wciskam gaz tak, jak on to robił. Jego ręce otaczają mnie w ostatniej chwili tak silnie, że mogłyby mnie ściągnąć z motoru, gdybym nie trzymała się kurczowo kierownicy.

I znowu strzały. Alex wydaje z siebie krzyk i zdejmuje ze mnie jedną rękę. Gdy się odwracam, widzę, jak przyciąga do siebie prawą dłoń. Z podskokiem wjeżdżamy na starą drogę, gdzie czeka na nas mur strażników z wycelowanymi w nas karabinami. Wiem, że krzyczą, ale nie słyszę ich: jedyne, co słyszę, to pęd wiatru i szum prądu biegnącego przez ogrodzenie, tak jak powiedział Alex. Jedyne, co widzę, to drzewa w Głuszy, które właśnie zaczynają się zielenić w świetle poranka, a szerokie płaskie liście wyglądają jak wyciągające się po nas ręce.

Strażnicy są teraz tak blisko, że widzę pojedyncze twarze: żółte zęby u jednego, wielką narośl na nosie innego. Ale nie zatrzymuję się. Pędzimy prosto na nich i nagle wszyscy rozpierchają się, przewracają, odskakują na boki.

Teraz mamy przed sobą tylko ogrodzenie: cztery metry, trzy, dwa. Zaraz zginiemy.

A wtedy rozlega się głos Aleksa, czysty, mocny i niewiarygodnie spokojny, więc nie jestem pewna, czy rzeczywiście go słyszę, czy też tylko wyobrażam sobie, jak mówi rzeczywiście go słyszę, czy też tylko wyobrażam sobie, jak mówi mi do ucha: „Skacz. Teraz. Razem ze mną”.

Puszczam kierownicę i przewracam się na jedną stronę, podczas gdy motor ślizgiem pędzi w stronę ogrodzenia. Ból przeszywa każdą część mojego ciała – kości odrywają się od mięśni, a mięśnie od skóry – gdy koziolкую po wystających kamieniach, wypluwając pył, kaszląc, starając się złapać

oddech. Na jedną chwilę świat pograża się w ciemności.

A potem wszystko staje się eksplozją koloru i ognia.

Motor uderza w siatkę i straszliwy huk przetacza się w powietrzu. Ogień wystrzela w górę, ogromne języki ognia sięgają ku jaśniejącemu niebu. Przez chwilę ogrodzenie wydaje wysoki, przeszywający jęk, a potem zamiera, cichnie. Powstało zwarcie. To moja szansa, by się wspiać na siatkę, tak jak powiedział Alex.

Jakimś cudem znajduję w sobie siłę, by doczołgać się do ogrodzenia, choć od pyłu zbiera mi się na wymioty. Słyszę za plecami krzyki, ale wydają się odległe, jakby dochodziły spod wody. Kulejąc, podnoszę się i podciągam, centymetr po centymetrze. Poruszam się tak szybko, jak mogę, ale mam wrażenie, że niewiele posuwam się do przodu. Alex musi być tuż za mną, ponieważ słyszę jego głos: „Szybciej, Lena! Szybciej!”. Skupiam się na jego głosie – to jedyna rzecz, która każe mi iść dalej. Jakimś cudem udaje mi się dostać na szczyt ogrodzenia i przejść ponad pętlami drutu kolczastego, tak jak mnie nauczył, a potem przetaczam się na drugą stronę i skaczę kilka metrów w dół, uderzając twardo o porośniętą trawą ziemię, półprzytomna i dół, uderzając twardo o porośniętą trawą ziemię, półprzytomna i już niezdolna do przyjęcia większego bólu. Jeszcze kilka metrów i pochłonie mnie Głusza, ochroni mnie swoją nieprzeniknioną tarczą splątanych drzew, roślinności i cieni. Czekam, aż Alex skoczy za mną.

Nie słyszę jednak, żeby skakał.

A wtedy dzieje się coś niespodziewanego. W panice wracają mi wszystkie siły. Zrywam się na nogi dokładnie wtedy, gdy ogrodzenie znów zaczyna huczeć.

I odwracam się.

Alex wciąż stoi po drugiej stronie, za szalejącym murem dymu i ognia. Nie poruszył się ani o centymetr, od kiedy zeskoczyliśmy z motoru. Nawet nie próbował.

Co dziwne, w tej chwili wracam myślami do własnych słów wypowiedzianych kilka miesięcy temu, podczas pierwszej ewaluacji, kiedy zapytana o Romea i Julię byłam w stanie odpowiedzieć tylko, że ta książka jest piękna. Chciałam to potem wyjaśnić. Chciałam powiedzieć coś o poświęceniu. Podkoszulek Aleksa jest czerwony. Przez chwilę wydaje mi się, że to gra świateł, ale zaraz potem uświadamiam sobie, że cały jest przesiąknięty krwią. Krew rozplywa się na piersi Aleksa, tak jak ta kolorowa plama sącząca się w górę nieba, by przynieść światu kolejny dzień. Armia ludzi-insektów biegnie w

jego stronę z wyciągniętą bronią. Strażnicy także go dopadają, łapią go ze wszystkich stron, jak gdyby chcieli rozerwać go na strzępy. Helikopter wycelowuje w niego reflektory. Alex stoi w ich świetle biały i nieruchomy i nie sędzę, żebym kiedykolwiek w życiu widziała coś piękniejszego niż on.

życiu widziała coś piękniejszego niż on.

Spogląda na mnie przez ścianę dymu. Nie odrywa ode mnie oczu. Jego włosy są koroną liści, cierni, płomieni. Jego oczy błyszczą światłem, jest w nich więcej światła niż we wszystkich słońcach wszechświata, więcej światła, niż mogłoby powstać przez setki miliardów lat.

A wtedy otwiera usta, które układają się w jego ostatnie słowo.

„Biegnij!”

I zaraz potem ludzie-insekty rzucają się na niego. Zostaje zalany przez ich wściekłe karabiny i ręce, jak zwierzę otoczone przez sępy, całkowicie spowite w czerń ich skrzydeł.

Biegnę, nie wiem jak długo. Wiele godzin, a może wiele dni.

Alex kazał mi biec, więc biegnę.

Powiem wam coś. Nie jestem nikim wyjątkowym. Jestem zwyczajną dziewczyną. Mam niecałe metr sześćdziesiąt wzrostu i jestem przeciętna pod każdym względem.

Ale znam pewien sekret. Możecie zbudować mury aż do nieba, a mnie i tak uda się nad nimi przefrunąć. Możecie mnie przygwoździć do ziemi tysiącami karabinów, a i tak stawię opór.

I jest nas tutaj wielu, więcej, niż wam się wydaje. Ludzi, którzy nie pozwolili sobie odebrać wiary. Ludzi, którzy odmówili zejścia na ziemię. Ludzi, którzy kochają w świecie bez murów, kochają aż po nienawiść, aż po bunt, wbrew nadziei i bez lęku.

Kocham cię. Pamiętaj. Tego nam nie odbiorą.

Kocham cię. Pamiętaj. Tego nam nie odbiorą.

## PODZIĘKOWANIA

Mojej cudownie cierpliwej i uważnej redaktorce Rosemary Brosnan, która jest po części mentorką, po części nadzorczą, po części terapeutką, a w całości przyjaciółką.

Elyse Marshall, wydawcy wprost niezwykłego, za ogrom jej wsparcia.

Najlepszemu agentowi na świecie, Stephenowi Barbarze, za znoszenie mnie (nie wiem, jak ty to robisz).

Każdemu w Foundry Literary + Media, a w szczególności Hannah Gordon i Stephanie Abou.

Deirdre Fulton za to, że pozwoliła mi zostać u siebie na całe

lato podczas przygotowań do tej książki.

Arabica Coffee House w Portland w stanie Maine za ich wyborną kawę i tosty oraz zwiększenie u siebie liczby gniazdek elektrycznych.

Allison Jones za jej entuzjazm, wsparcie, ogólny urok i za osobistą sprzedaż 7 razy dziś w całym Williamsburgu w stanie Wirginia.

Moim wszystkim wspaniałym przyjaciołom blogerom oraz Moim wszystkim wspaniałym przyjaciołom blogerom oraz fanom za to, że nadają wartość temu, co robię.

Mojej rodzinie, jak zwykle, za to, że mnie kocha.

I oczywiście moim przyjaciołom – za to, że są jak rodzina.